

Robert McLiam Wilson

Zaułek Łgarza

Ripley Bogle

Przełożyła Maria Grabska-Ryńska

Dla Mary i Petera

*Idzie drogą dziad.
Coś by pewnie zjadł...*

Początek

(Wchodzi Bogacz. Czeka. Wchodzi Kobieta - rozchełstana, z wypiekami na policzkach. Kopulują. Następnie wychodzą.)

Aaaaaaaaaaaaa!

Scena narodzin. Chłodny krzyk rozwiązania. Rozgrzane do czerwoności dziecię. Pani Bogle z mozołem wydaje na świat niechcianego potomka - panicza Ripleya, który kiedyś okryje się sławą. Rozwarte kolana, napięte lędźwia. Brudny, wielkogłowy, eponimiczny bękart pcha się na świat.

Aaaaooooooooouuuuuuchhhh!

Pani Bogle głośno puszcza wiatry. Starszawa położna, pani Jones, z niesmakiem marszczy brwi, podczas gdy złośliwa siostra Carter nieszczerze kryje pogardliwy grymas. Młody doktor Pole, raczkujący ginekolog, uśmiecha się szeroko samymi ustami. Z chłopięcym rumieńcem zerka na siostrę Carter ponad wielkim brzuchem rodzącej i jej szeroko rozstawionymi upaćkanymi nogami.

Oooooochchchchchchchrrrrhhhhhhhh!

Nikt nie wyśpiewuje hymnów, nie weseli się w zamkowej sali wielkiego celtyckiego klanu. Milczą dudy, gdy Ripley przedziera się z macicy na nieprzyjazny świat. Za chwilę rozlegnie się hejnał zwiastujący przybycie bohatera, lecz dobiedzie się on z jego własnych płuc.

Aaaauuuuuuuuuooooooooooooo!

Mały drań pcha się coraz brutalniej. Musi. Rozciąga krocze matki z niebywałą siłą. To jego pierwszy grzech. Jest bystry, w lot pochwyił zmieszanie i przestach świata, lecz nie ma zamiaru za to pokutować. To jego chwila i do diabła z resztą.

Ooooooooooooooooooch!

Z cichym, pełnym znużenia czknięciem pani Bogle dopełnia dzieła. Spomiędzy jej ujętych w strzemiona nóg wyskakuje syn. Bezimienny i brzydki, nie robi najlepszego wrażenia na zebranych. To prorocza chwila, zapowiedź jego przyszłego życia.

Czwartek

1

Ostatnio coraz więcej czasu poświęcam na rozmyślania o własnych narodzinach. Przyznaję, to raczej bezsensowne zajęcie. Wydarzenie owo nie zostało należycie uwiecznione w annałach, moje wspomnienia zaś okryła nieprzenikniona mgła. Tak jednak mniej więcej musiało być. Czuję to w kościach.

Należy tu zastrzec, że czas jest niezbyt odpowiedni: świat w tej chwili nie bardzo przypomina matczyne łono. Powolny dreszcz pełźnie mi od kości ogonowej do wątroby; jestem przemoknięty, przewiany i skostniały. Zabrakło mi fajek i nie jadłem od jakichś trzech dni. Czy kojarzy się to wam z zacisznym, ciepłym miejscem? Chyba nie.

Czerwiec. Prześliczny lodowaty czerwiec. Co dziwne, znaczna część populacji Wysp Brytyjskich z niejakim rozrzewnieniem plasuje czerwiec w lecie. Wierutna bzdura. Owszem, drzewa okryły się fałszywym zielonym nalotem, a ludzie usiłują rozgrywać rachityczne mecze krykieta na wydeptanych trawnikach, ale mogę was zapewnić, że nic nie usprawiedliwia użycia słowa „lato”. Tylko my - bezdomni nędzarze i włóczędzy - tylko my znamy syberyjskie oblicze czerwca w Albionie. Jesteśmy jego powiernikami i druhami. Znamy z autopsji

ucisk jego lodowatej garoty.

O proszę: jest środek czerwca, lecz chłód kąsa mnie w jajka, stopy mam jak dwie lodowe kry; słowem - widzicie mnie w trakcie zażyłego *tête-à-tête* z hipotermią. Jest mi tak zimno, że nawet nie czuję głodu! (Choć Niedożywienie i Wyczerpanie też mają na mnie chrapkę.) Tak, chłód jest dotkliwy, acz można doń przywyknąć. Ze wszystkich sił staram się go ignorować. To rozsądna metoda. Po jakimś czasie prawdziwy arktyczny mróz staje się pojęciem teoretycznym. Niczym pogład, z którym nie chcemy się pogodzić - wciąż mierzi, ale przestaje irytować. Sam znieczula przeciw sobie (to ładnie z jego strony). W efekcie człowiek nękanym przez chłód zyskuje pewną groteskową ascetyczną szacowność (bez której osobiście świetnie bym się obszedł).

W tej chwili siedzę sobie na lodowatej ławce w Saint James's Park i posępnie ironizuję w oczekiwaniu na krystalicznie twardego zmierzchu. Przyznaję, jako zajęcie jest to dość wymiotne, mam jednak ograniczony wachlarz możliwości.

W tym miejscu należy zwrócić uwagę na dwie dość osobliwe rzeczy.

Po pierwsze, mimo arktycznej temperatury i ogólnego niezadowolenia z życia wzrusza mnie ten lśniący parkowy wieczór. Wygląda tak, jakby świat wystroił się dziś dla mnie (pewnie się gdzieś wybiera). Gdybym znał go nieco lepiej, naciągnąłbym go na piątkę. (Taki ze mnie esteta.) Ale nie zrobię tego.

Ostatnimi czasy świat i ja staramy się raczej unikać.

Po wtóre: przymarzam do ławki (gdyby nie to, pewnie bym się z niej osunął i umarł) położonej niecałe trzysta jardów od pałacu Buckingham. Na samą myśl o tym ogarnia mnie histeryczny śmiech. Tam w środku jest królowa. Jezu, może nawet siedzi za jednym z tych jasnych wyniosłych okien, patrzy na mnie i naśmiewa się z mojej nędzy. (Właśnie zaczęło padać. Pieprzony deszcz.) Wcale by mnie to nie zdziwiło. Do diaska, większość bezpańskich kundli jest lepiej odżywiona ode mnie! (Znów chichoczę jak głupek. Chyba jestem głupkiem.) Przychodzi mi na myśl, że jestem lepiej wykształcony, ładniejszy i sympatyczniejszy od królowej, a jednak to ja konam z głodu w jej ogródku. Ciekawe, co by na to powiedział Charlie Dickens.

Właściwie jest jeszcze trzecia rzecz, nawet dziwniejsza: w sumie wcale mi to wszystko nie przeszkadza. W każdym razie nie rozpaczliwie. Chcę powiedzieć, że to, iż jestem brudnym, głodnym, bezdomnym włóczęgą, nie dręczy mnie tak, jak zapewne powinno. Najwyraźniej upadłem na głowę. Od kiedy to bieda jest matką beztroski? Ale to prawda. Tu, na dnie, czuję się dziwnie, mgliście szczęśliwy. Niepoprawnie trwam w przekonaniu, że nie jest tak źle. Nie muszę chyba dodawać, że się mylę? Jest źle i będzie jeszcze gorzej. Kiedy jednak patrzę na siebie w tej wzniosłej chwili, zdaję się sobie czysty, wysublimowany w ogniu przeciwności. Wojna trwa, lecz ja się nie uginam. To nie

dla mnie. Uniki i kryjówki zostawiam innym, odżywionym, mądrzejszym. (No dobra, może jestem ciut nieobiektywny, ale nie o to chodzi.)

Pomyślcie tylko, ile zyskuję dzięki ubóstwu, temu surowemu dobroczyńcy. (Ups! Gorączkowo myślę, c o dokładnie zyskuję.) Aha. Właśnie. Wspomnienia i swobodę myśli.

Myślę i wspominam. Mam mnóstwo czasu i niewiele rozrywek. W istocie nędza jest niezbędnym czynnikiem narodzin prawdziwego intelektualisty. Weźcie na przykład Dickensa i Orwella. Gdzie byliby, gdyby nie otarli się o rynsztok?

Pamięć i myśl - zaskakująco jasne. Przyznaję, że moja inteligencja tylko sporadycznie dochodzi do głosu; podpieram się mnemotechniką. Na moją historię składają się powtarzalne chwile. Wyciągam je spomiędzy obłoków niepamięci. Uznaję rzeczywistość, lecz odpycham ją na bok, montując swoje kapryśne etiudy.

Tak się pocieszam.

Powinienem chyba powiedzieć coś więcej o sobie. Dorzucac garść szczegółów. Tło, miara, format.

Mam pięć stóp i jedenaście cali wzrostu. Waga zmienna i w tej chwili nie najlepsza. Oczy zielone - i piękne! - twarz blada, włosy ciemne (co w tej chwili trudno stwierdzić pod warstwą brudu, ale zapewniam was, że są ciemne). Mam dwadzieścia jeden lat, nazywam się Ripley Bogle, a zajmuję się głodowaniem,

marznięciem i histerycznym łkaniem.

Mam w sobie krew irlandzką i walijską. Wybaczcie mi być może brutalną szczerą, kiedy powiem, że w tym momencie mam przesrane. Nigdy nie mogłem się zdecydować, kogo nienawidzę bardziej: Irlandczyków czy Walijszczyków (choć Walijszczyki zwykle wygrywają o pół łba). Irlandczykiem jestem po kądzieli. Zważcie, wszystkie znane mi Irlandki były koszmarnie brzydkie i z radością donoszę, że moja rodzicielka w niczym nie odbiegała od wzorca. Stara tłusta jędra. Pewnie już nie żyje, a przynajmniej krzepię się tą myślą. Jej ojciec (a mój dziadek) przypuszczalnie wciąż zatacza się po brudnych zaułkach Belfastu. Jego ojciec (mój pradziadek) był jedynym członkiem rodziny mogącym rościć sobie pretensje do bycia kimś. Był mianowicie Uznany Bohaterem. Osiągnął to, dawszy sobie odstrzelić nogi i większą część jąder pod Passchendaele, gdy walczył za Wielką Brytanię przeciwko niemieckiej armii. W tym samym czasie jego brat (mój stryjeczny pradziadek) walczył za Irlandię przeciw armii brytyjskiej w powstaniu wielkanocnym. Zginął na dublińskiej ulicy O'Connella, dawszy sobie odstrzelić łeb. Resztę rodu z trudem tylko można zaklasyfikować do naczelników.

Mój ojciec nie żyje i to jest pewne. Fizycznie mniej odrażający od małżonki, miał jednak znacznie ohydniejszą duszę. Mile wspominać dzień, gdy próbował mnie wypatroszyć za pomocą nadtłuczonej butelki po piwie. Miałem wtedy bodajże osiem lat.

Pewnie w końcu sam bym go zamordował, gdyby sukinsyn mnie nie ubiegł, gubiąc większość swych organów wewnętrznych na podłodze w kuchni, zanim dorosłem na tyle, by własnoręcznie posiekać go na kawałki. Nie wiem praktycznie nic o jego przodkach. Bez wątpienia byli to tacy sami jak on śmierdzący walijscy dranie.

Wulgarne? Nieprzekonujące? Być może. Doprawdy nie wiem, po co się na ten mdlący dramatyzm i chybioną ironię. Niezbyt mi z nimi do twarzy; zresztą daleko mi do maestrii w tych środkach wyrazu. Okrucieństwo, agresja - o, w tym za młodu byłem bardzo dobry. Szczególny talent miałem do pogardy. Wydawała się wówczas taką dobrą bronią, użytecznym narzędziem! Teraz trąci fałszem. Półprawda - pestka nicości.

Dla mnie historia jakby się zatrzymała. Na moje własne życzenie. Wsiadłem z jej wózka i wymościłem sobie leże porażką i upadkiem. Skapitulowałem przed światem, wymknąłem mu się tak cicho i dyskretnie, jak tylko zdołałem. Teraz jestem tu i cieszę się z tego. Od roku nie zagrzałem miejsca pod żadnym dachem. Straszne, co? Moje mięśnie i ścięgna rozpadają się z przemęczenia. Wychłodzone ciało przybiera szary odcień. Jestem czymś więcej niż tylko bezdomnym. Jestem klaustrofobikiem, pustelnikiem, prorokiem, straceńcem, zerem! Jestem symbolem epoki!

I bardzo dobrze czuję się w tej roli.

Kiedyś mogłem się nazwać kimś. Byłem wychwalanym, pieszczonym, fetowanym mądrałą. Teraz jestem nikim, nikt mnie nie zna i już ledwie istnieję. Popadłem w cielesność, rozmywam się wśród rzeczywistości. Jestem przedwczorajszy.

Na szczęście przestałem kłamać, szydzić i pływać pod wiatr. Panuję nad językiem. Odrzuciłem wyzwania wszechmocnej młodości. Wycofałem się z awantur dzisiejszego świata. To strata czasu, a ja jestem zajęty. Widzicie, mam przed sobą cel. Misję. Wiem, brzmi to absurdalnie, coś jednak może biedak? Okryty nędzą i hańbą stoję na ruinach moich aspiracji i pogorzelisku talentu.

Ale mam przed sobą cel.

Ta opowieść również ma mu służyć. Jest zaszyfrowaną mapą, na której odnajdę swoje przeznaczenie, zadanie, swój skarb. Zmierzamy tam wszyscy - wy, ja i ta opowieść (taka, jaka jest). To wyprawa. Poszukiwanie ostatecznego, fundamentalnego dobra.

Istnieją takie rzeczy jak prawda, honor, mądrość i piękno. Można po nie sięgnąć. Problem polega na tym, że trudno je znaleźć. Są płochliwe, boją się, że ktoś je rozpozna, wywlecze z kulis wiary na scenę dowodów. Ledwie mającą pośród zasiedziałych grzechów współczesności. Ale ich właśnie chcę, ich pożądam. Dowodów, śladów istnienia dobra na tym jedynym ze światów.

(Dalej, dawajcie je tu na kupkę.)

Park stracił kontury, okrył się zmrokiem. Cienie turlają się po usianym chmurami niebie, a staw lśni szczególną wieczorną poświatą. Za jakie grzechy muszę na to wszystko patrzeć?!

Wstaję. Chłód zaczyna mi serio doskwierać. To taka nie zamawiana premia. Puszczam oko do drzew i rozważam przelotną myśl, by ukamienować jedną lub dwie kaczki. Niestety! Bieda jest zabójcza dla poczucia humoru. Aby przekonująco rechotać, trzeba mieć choć odrobinę forsy. Nie, pora na spacer. Ruszam niezdarnie, starając się wmówić nieco fikcyjnego ciepła w spękane od mrozu pnie moich nóg. Chwilę triumfu przyćmiewa wszakże oślepiający ból, który rozdziera mi kręgosłup, pali mózg i masakruje moje biedne nerki. Jaka szkoda....

Jaka szkoda, że nie mam papierosa.

2

Jeden pyszny ziemniak,
Dwa ziemniaki,
Trzy,
Upaprane ręce
Wycieram o drzwi.

Wedle wszelkich danych byłem wyjątkowo odrażającym niemowlęciem. Jak się zdaje, nawet najżyczliwiej nastawiony widz ledwie tłumił krzyk grozy, rzuciwszy okiem na me drobne ciało. Ponoć znaczna część średniego personelu kliniki położniczej, w której przyszedłem na świat, zmieniła zawód, nie miała część zaś musiała skorzystać z pomocy psychiatrów. Krążyły nerwowe plotki o mutacji, wilkołactwie, próbnym wybuchach atomowych i tym podobne. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że był to spisek, stek przenośni mających uzasadnić, ale też ukoić natychmiastową i trwałą niechęć, jaką poczuli do mnie rodzice.

Cztery wielkie ziemniaki,
Pięć ziemniaków,
Sześć,
Tamte rzeczy lubię,
Tych nie mogę znieść.

Po porodzie panią Betty Bogle nękały wyrzuty sumienia. Była zaledwie miesiąc po ślubie, gdy przyszedłem na świat, kładąc przedwcześnie kres jej obiecującej i ze wszech miar stosownej karierze taniej prostytutki, miała więc poczucie, że nieprawe pochodzenie bynajmniej nie dodaje splendoru mojej skromnej osobie. Małżonek, pan Bobby Bogle, zgadzał się z nią w tej kwestii. Był to definitywnie bezrobotny były piekarz, zdolny czynić cuda, gdy chciał się napić, i przekonany, że popełnił mezalians (typowe dla Walińczyków!).

Siedem ślicznych ziemniaków,
Osiem albo
Dziewięć.
Dziś się zleję w łóżko,
Mama o tym nie wie.

Gdy więc moja rodzicielka regularnie co roku wydawała na świat kolejnego potomka, pomny jej przeszłych dokonań i mego nie wyjaśnionego pochodzenia pan Bogle trapił się coraz bardziej. Wynikające z tych zmartwień burzliwe awantury należą do moich najwcześniejszych i ulubionych wspomnień z dzieciństwa. Nie wiedząc jeszcze, co to konflikt i trauma, byłem nimi zafascynowany. Całym sobą chłonałem prędkie taneczne gesty i dźwięczne jędrne słowa.

Wkrótce też pomiędzy rodzicielskie wrzaski zaczęły się wplatać moje gaworzenia i dziecinne okrzyki aprobaty i zachęty. (Oto przykład wrodzonego poczucia taktu, które zresztą do dziś mnie nie opuściło.)

Ach, dzieciństwo! Każdy poranek składał hołd mej młodości, solidaryzując się z nią początkiem nowego dnia. Te wczesne lata zdają mi się dziś złożone z samych poranków, zielonych drzew i krzewów, pocałunków trawy i porozumiewawczych uśmiechów opiekuńczego słońca. Niewyczerpana energia, zdrowie i niewzruszalna pewność siebie ścieliły mi drogę przez świat.

Wszystko jednak, co dobre...

- Ripley?

(Wyobraźcie sobie radosne śniadanie u Bogle'ów - brudne garnki, nocniki i tłum usmarkanych bachorów.)

- Tak, mamó?

- Wiesz, co to jest szkoła?

Pamiętam, że na dźwięk słowa „szkoła” poczułem przedziwną mieszankę strachu i podniecenia. Zastanowiłem się przelotnie, które z tych dwóch uczuć obrać za podstawę dalszej taktyki. Wiedziony konformizmem, zdecydowałem się na strach.

- No wiesz czy nie?

- Nie.

- Szkoła to jest takie miejsce, gdzie wszyscy chodzą żeby się uczyć.

Błyskotliwa definicja, prawda? Na chwilę zapadła

cisza; oswajałem się z nowym pojęciem.

- Czemu? - pisałem, zmuszając ją do intelektualnego wysiłku.

- No... żebyś umiał czytać i pisać tak jak tatuś i ja.
(W najlepszym razie niezbyt przekonujący powód.)

- Czemu?

- Musisz nauczyć się czytać i pisać. Inaczej nikt cię nie będzie lubił.

Usłyszawszy ten maltuzjański wywód, dokonałem w myślach szybkiej kalkulacji i podjąłem rozmowę w stylu: „śliczny bobas zadaje urocze głupiutkie pytanko”. Taktyka ta, jak dotąd, przynosiła owoce.

- Czemu? - powtórzyłem (może powinienem był nieco to urozmaicić).

- Bo ja tak mówię i nie pyskuj, gówniarzu!

Przegrupowałem siły i zaszarżowałem na flankę macierzyńskiej czułości.

- A ty też tam będziesz, mamusiu?

- Nie bądź dumy. Jasne, że mnie nie będzie.

Poczułem się nieco dotknięty, ale będąc w pogodnym nastroju uznałem, iż ta obcesowa wypowiedź miała pokryć burzę jej tkliwych uczuć. Wpatrzyłem się w nią oczyma zranionej łani i zakrzyknąłem żałośnie:

- To ja nie chcę iść do szkoły!

Dobry Boże, już wtedy byłem kompletnym idiotą! Nie muszę chyba dodawać, że kochana mamusia nie dała się wziąć na litość i wymierzywszy mi solidnego kopniaka w tyłek, oznajmiła twardo:

- Dostyc tego, smarkaczu! I nie waż się ubrudzić spodni, bo... (jak się okazało, moja przyszła kariera była już postanowiona) ... bo jutro idziesz do szkoły!

- A! - bąknąłem, po czym rozsądnie zamilkłem.

A zatem do szkoły. Z domowego bałaganu do nieco bardziej zorganizowanego przybytku podstawowego kształcenia. Trzeba wam wiedzieć, że z medycznego punktu widzenia byłem dziewiczy. Moja skóra nie znała igły. Żadnych szczepień, kartotek, lekarzy czy dentystów. Choroba mogła mnie dostać, gdy tylko zapragnęła (nie zapragnęła). Brnąłem przez życie wspierany wyłącznie własną immunologią.

Z bólem wyznaję, że nie byłem... jak by to rzec... aktywnie maltretowany. Wyznanie to z trudem przechodzi mi przez gardło. Jakże chciałbym roztoczyć przed wami mrożące krew w żyłach obrazy psychicznych tortur, ekscesów seksualnych i wynaturzonych eksperymentów, jakim poddawano mnie w dzieciństwie! Wszystkich tych wypaczających charakter przeżyć na jakie - prawdę mówiąc - zasłużyłem. Na nieszczęście niestety brak mi podstaw, by rościć sobie prawa do tego rodzaju współczucia. Byłem po prostu zaniedbywany, ignorowany, wymazywany z pamięci. Nigdy w życiu nie usłyszałem słowa miłości, zachęty czy współczucia. Nie byłem wart nawet fatygi, jaką trzeba by włożyć w okrucieństwo lub wzgardę. Obywałem się więc (nieuzasadnionym) optymizmem.

(Rozglądam się. Jestem w połowie drogi na Constitution Hill. To Anglia, poważna, stateczna i łagodna. Trudno myśleć o tamtym, kiedy jest się tutaj.)

Z takim samym ociąganiem dreptałem do szkoły owego pierwszego dnia. Rano moi bracia dali wyjątkowy popis plucia i rzygania, ojciec zaś, pijany do nieprzytomności, odnalazł się w komórce na węgiel. Kierując się więc wycuciem godnym rasowego dyplomaty, powstrzymałem się od dalszych apelacji do macierzyńskich uczuć rodzicielki.

Pamiętam, że owego ranka, zmierzając do kresu mej dziecięcej niewinności, zastanawiałem się, czy mijający nas na ulicy ludzie widzą we mnie ciężko skrzywdzone dziecko, którego matka jest potworem. Spodziewałem się, że jakiś niepozorny staruszek o dobrych oczach, palący wonną fajkę, zatrzyma nas na drodze, przepędzi straszną Betty i zabierze mnie do pięknego zamku, gdzie przez cały dzień będę opychał się łakociami i bawił z gromadką prześlicznych dam dworu.

(Bez sensu!)

Owszem, stałem się celem kilku porozumiewawczych mrugnięć i nawet wypatrzyłem dwie pary dobrych oczu, ale z zamku wyszły nici. Koniec. Fiasko. Dno.

Powiedziałem wcześniej, że dzieciństwo jawi mi się jako słoneczny poranek. Cóż, owego pamiętnego dnia zmieniło się w mgliste, pochmurne popołudnie. Nie byłem jeszcze pewien, co takiego straciłem, ale już

wiedziałem, że bardzo mi tego brak.

(Z przeciwka idzie dziewczyna. Starannie omija mnie wzrokiem, zbacza i przemyka się pod murem. Na twarzy ma lęk i dezaprobatę. Nie spodobałem jej się. Nie przypadł jej do gustu pokrywający mnie brud i chwiejny krok ofiary. Przestraszyłem ją, wprowadziłem w zażenowanie, za którym bynajmniej nie tęskniła. Tym trudniej mi to przełknąć, że jest młoda, ładna i ma te łagodne, współczujące oczy, które kiedyś tak uwielbiałem. Mija mnie i oddycha z ulgą. Jestem tylko biednym starym włóczęgą, choć przeżyłem mniej lat niż ona.)

Pierwszego dnia w szkole dowiedziałem się bardzo wielu rzeczy. Zakosztowałem cierpkiego smaku wiedzy, utraty złudzeń. Było to dla mnie ciężkie przeżycie. Jeśli sądzicie, że dziś jestem zgorzkniały, powinniście byli zobaczyć mnie wtedy! Zgoła uginałem się pod brzemieniem lat.

Odkryłem, że mieszkam w Belfaście, a Belfast mieszka w Irlandii, i że ta kombinacja oznacza, że jestem Irlandczykiem. Ponura młoda belfrzyca, która wzięła nas w obroty, kładła na to silny akcent. Podkreślała z mocą, że niezależnie od tego, jak ktoś zechce nas nazwać, my zawsze będziemy się nazywać Irlandczykami.

Byłem tego dnia w ugodowym nastroju, spędziłem więc cały ranek na rozmyślaniach, jaka kombinacja nazewnicza zadowoliłaby tę głupią krowę. „Irlandczyk

Bogle” nie brzmiało dobrze, z kolei „Ripley Irlandczyk” ściągnęłoby na mnie klątwę kochanej mateczki, przekonanej, że pragnę wyprzeć się rodziny. Wrodzony spryt podsunął mi rozwiązanie: będę się nazywał „Ripley Irlandczyk Bogle”. Pamiętam, że byłem z siebie dumny.

Koncepcja ta legła jednak w gruzach, kiedy panna Trocki oznajmiła, że istnieją ludzie, którzy będą próbowali nazywać nas Brytyjczykami. Ludzie ci rzecz jasna Są W Błędzie, albowiem ze wszystkich nietrafionych nazw ta jest najbardziej mylna. Choćby więc Będący W Błędzie prosili i grozili, my będziemy się zwać Irlandczykami z krwi i kości (cokolwiek to miało znaczyć).

Cóż, jak się pewnie domyślacie, zbiło mnie to z tropu. Byłem zaniepokojony, oszołomiony i zmartwiony. Wiedziony wyrobionym instynktem krytycznym i młodzieńczą nieufnością do nauczycielstwa, postanowiłem skonsultować się z macierzyńską wyrocznią po powrocie do domu. Tymczasem przyjąłem kompromisowe rozwiązanie (to dla mnie typowe), nazywając się w duchu „Ripleyem Irlandczykiem Brytyjczykiem Bogle'em”.

Biedny malec! Te brzemiennie w ukryte znaczenia treści, zrzucone tak nagle na me wątle barki, omal mnie nie załamały. Kiedy zagadnąłem rodzicielkę, pragnąc rady w tytułarnym impasie, uczyniła co w jej mocy, żeby wepchnąć mi do tyłka stół kuchenny. (Mogłem to przewidzieć.) Wzywała Boga, co ciężko ją pokarał,

zsyłając jej brzemień w postaci cholernego idioty (mnie).
W duchu przyznałem jej rację. Byłoby chyba ładniej ze
strony Pana Boga, gdyby zatrzymał mnie przy sobie.

(Czy powinienem łagodniej traktować przeszłość?
Okazać jej nieco litości? Nie sędzę. Nie chcę, by
cokolwiek uszło jej na sucho.)

3

Regent's Park.

Pamięć podsuwa gwiazdkową radość dziesięciolatka; przekonanie, że świat jest jednym pasmem zabaw. Takie chwile są mi kruchą pociechą. Łączą mnie z od dawna zaginionym chłopcem z tamtych lat. Optymizm i jaśniejąca wiara nie zmącone doświadczeniem. Tak więc wspominam. Wspominam niezobowiązująco i przelotnie. Te bolesne chwile stanowią dla mnie konieczny balast. Kotwiczą mnie w niestosownie rozchybotanym świecie.

(Ładnie się wyrażam jak na trampa, nie?)

Gwiazdkowa wizja blaknie. Idę dalej. Jestem zmęczony, myśli mi się rwą. Spróbuję je zatrzymać.

(Maurice powiedział kiedyś, że za dużo myślę o niczym. W jego ustach zabrzmiało to jak epigram. Lubił zwięzłe frazy i lubił przywoływać mnie do porządku.)

Noc jest ciemna i bardzo zimna. Półnogie drzewa chwieją się na wietrze, ich pierzaste gałązki przebiega nerwowy dreszcz. Wyżej zieje gwiazdzista, czarna, wroga przepaść nieba. Podstępny wietrzyk muska strąki moich włosów, unosząc w dal niepożądane zapachy ciała. Ach, te noce! Uwielbiam je mimo wszystko.

Tak... Jesteśmy więc w Regent's Park. Znamy wszyscy to miejsce, prawda? Dla mnie znaczy ono bardzo wiele. Nawet gdy byłem na samym dnie, w tej absurdalnie pięknej, zadbanej elitarniej dzielnicy zawsze

znalazło się dla mnie miejsce. To właśnie jest Londyn, który wymarzyłem sobie jako chłopiec. Wypróbuję tu swe różne nastroje i odgrywam je w świetle ulicznych lamp. Pochylają się nade mną z uśmiechem.

Jakże uwielbiam Regent's Park i St. Johns Wood! Zielono-czarno-szare tereny krykietowe szepczą do mnie dwornie i obiecująco. Zwłaszcza nocą. Najbardziej zaś zdumiewa to, że brudny, cuchnący włóczęga jak ja może śmiało paradować w tym wytwornym otoczeniu. Nie do wiary. To po prostu nie wypada i powinno być zabronione. Sam głosowałbym za wydaniem stosownego zakazu.

(W gruncie rzeczy nie jestem tu bez powodu. Gram pewną rolę w tej operze dostatku i dobrobytu - drugoplanową, lecz nieodzowną dla całości. Po przekroczeniu pewnej masy krytycznej zysk przestaje sprawiać różnicę; pieniądz staje się teoretyczny, nienamacalny. I tu zaczyna się moja rola. Służę bogatym, stanowiąc dla nich kontrastujące tło. Bogactwo to po prostu miara odległości od ubóstwa. Mówi ci, do jakiego stopnia nie jesteś biedny. Krezus dopiero wtedy wie, że jest krezusem, gdy zobaczy nędzarza śpiącego pod drzewem przed jego pałacem. A zatem bogacz mnie potrzebuje. Beze mnie byłby niczym.)

Londyn to w ogóle dość zabawne miejsce. Zresztą sami o tym wiecie. Lubię stary Londyn w całej jego brudnoszarej glorii. Żyją tu żywi ludzie, całe mnóstwo żywych. Na Boże Narodzenie śnieg jest suchy i biały, nie

tak jak w Irlandii, gdzie zima jest mokro-brunatna. Ach, Londyn! Przeszedłem go wzdłuż i wszerz. Tylu tu ludzi, którzy nie wiedzą, co zrobić z pieniędzmi, i tylu skrajnie ubogich! Londyn istnieje w równej mierze dla jednych, jak i dla drugich. Naznaczony celtyckim piętnem, nie czuję się tu obco. To miasto pełne jest cudzoziemców. Z rzadka tylko zdołasz dojrzeć anglosaską twarz. Poczciwa stara, egalitarna Anglia! Arabowie, Afrykanie, Amerykanie, synowie Indii Wschodnich i Zachodnich, Niemcy, Pakistańczycy, Żydzi, Chińczycy, Japończycy, Francuzi, Szkoci, Irlandczycy i spora przymieszka pieprzonych Walijczyków. Nie zrozumcie mnie źle. Bycie Walijczykiem to nie grzech śmiertelny, ale w porównaniu z nimi czuję się jak święty Jerzy na białym koniu!

Który Londyn jest twoim? Który najlepiej znasz? Bogaty czy biedny, wschodni czy zachodni, wieżowce czy podziemia? Ja znam je wszystkie. Wszystkie te różne miasta zawarte w jednym. Golders Green, Muswell Hill, Chiswick, Chelsea, Camden, Kennington, Finchley, Fulham, Richmond, Notting Hill i Bethnal Green. Znam je na wylot.

Poznałem je włączając się po ulicach. Poznałem z widzenia. To właśnie daje ci brak dachu nad głową - status obserwatora, malarską panoramę. My, bezdomni, przyglądamy się wam i podsłuchujemy. Może to niezbyt grzeczne, ale nie mamy nic innego do roboty.

Dla nas trampów Londyn jest zupełnie innym,

ekskluzywnym miastem. Bardziej zróżnicowanym niż te, które wymieniłem. O wiele większym, albowiem geografia bezdomnych jest precyzyjniejsza. To różnica skali. Kloszard zna miasto w najdrobniejszych szczegółach. Zna jego kamienie, rury, cegły, sienie i chodniki. Ostatecznie na nich sypia. Pomyślcie przez chwilę o tym, jak dobrze przeciętny człowiek zna własne łóżko. I jak?... No właśnie. Tak samo dobrze znamy nasze miasto. Patrzymy na nie z poziomu zero, w dużym zbliżeniu. Nieraz zasypiałem w przyjaznych objęciach chodnika. Wierzcie mi: ja się nie skarżę. Koniec końców oprócz wad i niewygód większość rzeczy ma też zalety, triki, swoiste uroki.

Bezdomni mają na ogół swoje terytorium, swój kawałek miasta. Tworzą ponure wspólnoty i gniją solidarnie. Ja wędruję. Nie należę do tych konformistycznych snobów. Jestem jak motyl, przelatuję to tu, to tam. Nigdzie długo nie zagrzeję miejsca. Fakt, jestem sam, ale chcę być sam. Skądinąd dziadowskie koalicje są nietrwałe. Szmaciarze z jakiegoś powodu zawsze próbują się nawzajem pozabijać i czasem im się udaje. Są zachłanni, a nic nie przygnębia mnie tak jak żarłoczna chciwość u faceta, który winien być mi bratem. Poza tym nie mam o czym z nimi rozmawiać. Nie wiem, czy mieliście okazję zauważyć, że elokwencja nie jest ich mocną stroną. Łać pod siebie umieją, ale gdy konwersacja wkracza na choć odrobinę wyższy poziom, stają się bezradni. Wiem, wiem, niedożywienie, choroba i

nędza nie są najlepszymi pomocami naukowymi, ale ci faceci nawet nie próbują, na litość boską!

(Zresztą najgorsze jest to, że tak paskudnie śmierdzą.)

Nie zrozumcie mnie źle. Nie mam nic przeciwko kloszardom. Tylko czasem zdaje mi się, że po prostu lubią siedzieć po uszy w gównie.

Chłód nieprzyjaznej nocy zaczyna oplatać moje potykające się serce lodowatą pajęczyną. Kaprysy pogody odbieram właśnie sercem. Spadki temperatury, nize, chłodne fronty odbijają się nieprzyjemnym echem w biednej pompce. Lato powinno nadejść jak najszybciej. Wiem, że nadejdzie, i niepotrzebnie się martwię. Na tę krzepiącą myśl uliczne latarnie mrugają przyjaźnie, rozpraszając nieco dręczącą mnie melancholię.

Nagle dociera do mnie, że jestem głodny. Być może „głodny” nie jest właściwym słowem. „Skrajnie wygłodniały” lepiej odda to, co w tej chwili przeżywam. Tak, tak, jestem młody i jak wszyscy młodzi mam skłonności do przesady, ale wierzcie mi, nie przesadzam. To prawdziwe uczucie. Głód dźga mnie żelaznym łomem i robi to z ukontentowaniem. Czy wspomniałem, że nie jadłem od trzech dni? Wielkie rzeczy, powiecie. Co prawda jakiś czas temu nie jadłem przez pięć dni z rzędu. W rozpaczy wygrzebałem ze śmietnika niedojedzonego hamburgera, oskrobałem go nieco z brudu i pożarłem w dwóch kęsach. (Nb. Ze wstydu i odrazy niemal

natychmiast go wyrzygałem i od tamtego czasu trzymam się z dala od śmietników.)

*

Wróćmy do moich cierpień. Z dumą stwierdzę, że znoszę je w milczeniu (względny), co świadczy o dużym samozaparciu i nie jest bynajmniej cechą mi właściwą. Głód ma wiele sposobów. Wrednych, podstępnych trików.

Najpierw przez dzień lub dwa czujesz tępy ból. Brzuch masz wzdęty i twardy, odbija ci się głośno i masz więcej śliny, niż jesteś w stanie przełknąć. Wielu ludzi zaznało się z tym głodem - między posiłkami, w podróży, w czasie postu lub na diecie odchudzającej. To pestka. Nic takiego.

Zużywając resztki glukozy, mózg wyostrza ci zmysły i rozjaśnia myśli. Stają się lotne, brawurowe, piękne i strzeliste jak fajerwerki. Pisziesz wiersze, grasz sam ze sobą w szachy i wynajdujesz trzy różne lekarstwa na raka.

To miłe i nawet zabawne. Ale potem głód wtyka ci do tyłka rosłą sekwoję i wierci nią w twoim już nadwątłym brzuchu. Pół dnia wesołego burczenia... i na szczęście mija. Natychmiast przechodzisz na nowy poziom uspokojenia. Jesteś niewiarygodnie szczęśliwy. Twojej błogości nie mąci nawet myśl o zbliżającej się śmierci mózgu. Wiesz wszystko i godzisz się ze

wszystkim. Obejmujesz wzrokiem makro- i mikrokosmos. Masz w sobie wielką eteryczną mądrość. Głód daje ci zdolność jasnowidzenia. Bóg przychodzi i rozmawia z tobą jak z równym.

Wtedy napada cię ból i brutalnie gwałci. Pół godziny później rodzisz kombajn zbożowy w ruchu i wykrztuszasz z siebie jelito grube. Odpełza, by zacząć nowe życie pod słońcem, zanim zdążysz je schwytać.

I kiedy sądzisz, że dłużej już nie wytrzymasz, znów przychodzi spokój. Tym razem jest bierny, podobny do śpiączki. Czas się rozciąga i przenosi cię do hipisowskiego raj. Twoja percepcja i inteligencja biorą sobie wolne i udają się w dłuższą podróż w nieznane. Ale cię to nie wzrusza, mało cię obchodzi to, co się z tobą dzieje (możesz na przykład zasnąć na środku autostrady). Nie przejmuj się, w tym stanie radosna beztroska to doprawdy najlepsza taktyka.

O! A co to? Nasz stary znajomy - ból. Tym razem jest wściekły i chce ci zrobić prawdziwą krzywdę. Zaczyna od przyżegania jelit. Potem przenosi się do żołądka i skrobie jego ścianki zgrzebłem pod wysokim napięciem. W przyływie natchnienia przywiązuje ci drutem kolczastym trzustkę do pęcherza. Zwijasz się i tak już zostajesz. Nogi ci odpadają, a kiedy usiłujesz je przytwierdzić, okazuje się, że już nie pasują. Improwizujesz. Pudło. Zarywasz dziobem w chodnik.

To mija. Nie podejrzewałbyś tego, ale mija.

Mając ograniczone pole manewru, twój mózg

decyduje się na drobne przetasowanie. Szare komórki zderzają się i obijają o wibrującą czaszkę. Potem rozpoczynają fantasmagoryczną grę, w której Kafka zamienia się miejscami z P. Ci. Wodehouse'em. Szatan wyczarowuje olbrzymiego pająka, który przykucnąwszy w kupie gówna, obmacuje cię monstrualnymi dygocącymi czułkami. Podniecony bawi się tobą przez chwilę, po czym wyrywa ci płuca i wątrobę...

I tak dalej...

Mało kto zdaje sobie sprawę, że jeśli konsekwentnie ignorować głód, ten cofa się i uspokaja. Chwilowo. Po dłuższym czasie zwyczajnie umierasz. To nie żarty, dlatego lepiej nie bawcie się w ten sposób.

Gwiazdy migocą. Gwiazdy to cudze słońca. Grzeją tamtych, przyprawiając kogo innego o raka skóry. Nas raczą tylko mglistą gwiazdną poświatą.

Świeć nam, gwiazdko, świeć,
Świeć na cud i śmieć,
Kiedy patrzę tak na ciebie,
Zdasz mi się pryszczkiem w niebie.

Wchodzę w Tottenham Court Road. Ta ulica, tak mało brytyjska, przyprawiona smaczkami Ameryki i Dalekiego Wschodu, wydaje mi się odpowiedniejszym tłem. Dla zabicia czasu obserwuję kapryśny szlak własnych stóp. Podziwiam szlachetne zmarszczki na swoich starych czarnych spodniach i butach.

Matowoczarne buty z ostrymi noskami. Klasyka. Nikt już takich nie nosi. (Elegancik ze mnie, co?) Mają chyba silniejszy charakter ode mnie, bo strasznie uwierają mnie w stopy. Głód ustąpił, na jego miejsce usłużnie wśliznęło się Wyczerpanie. Ma wobec mnie pewne plany, ja zaś mam dziwną absurdalną ochotę, by iść tak w dal poprzez noc drogą opromienioną pięknem ulicznych lamp...

Potykam się, omal nie ląduję na tyłku. Mój umysł z ociąganiem wraca do rzeczywistości. Optymista. Idę dalej.

Tottenham Court Road wibruje elektrycznym pulsem dwudziestego wieku. Dochodzi dziesiąta. Ponad łuną światła wznosi się architektonicznie doskonała kopuła niebios, oszroniona księżycem i przyprószona tu i ówdzie czarniawym zieleń posępnych chmur. Pod jej baldachimem ulica nagle przeistacza się w fantastyczną aleję widm, pośród których krocze ja, wdzięczny widz.

Jak na bezdomnego jestem całkiem przystojny. Nędza i poniewierka nie przyćmiły jeszcze blasku mej urody. Zapewne nie prezentuję się zbyt schludnie - wymięty, mocno przybrudzony... Ale poza tym moja młoda, rosła, smukła postać zadaje kłam utrwalonemu w świadomości społecznej wizerunkowi kloszarda. Błada twarz ma nieodparty urok, doskonale zakreślone płaszczyzny i łuki. Szczecina na brodzie dodaje mi męskości; ten styl zrobił się ostatnio modny. Ba, wielu hollywoodzkich gwiazdorów oddałoby swoje sztuczne

zęby za ów niewymuszony *image* męczyzny z charakterem i z przeszłością.

Oczy też mam ładne. Niespotykane. Zielone, zieloniutkie. Jest w nich głębia. Zaskakują i oszałamiają. Wśród kobiet krążą o nich legendy (większość sam wymyśliłem). Spodobałyby się wam moje oczy. Ja wolę o nich nie myśleć. Czasem są mi brzemieniem.

Moje łachmany okrywają więc Apollina. Stoczone chorobą wewnątrz nie wylazło jeszcze na zewnątrz. Utrzymuję się w formie. Nie wyglądam na konającego.

A jestem taki chory! Taki strasznie chory! Anoreksja, anemia, żółtaczka i febra; zatrucia, zapalenia i martwice. Wargi mi się łuszczą, brzuch samowolnie kurczy się i rozkurcza niczym akordeon. Mój układ trawienny to laboratorium, w którym co dzień rodzą się nowe, nieznane ludzkości plagi. Ach, jakże łka nade mną moje biedne, kuśtykające niemrawo serce! Oddech mam cuchnący, a o zębach wolę nie wspominać.

Tak, moje zdrowie pozostawia co nieco do życzenia. Ze zgrozą myślę o tym, jak będę wyglądał mając lat trzydzieści. Nie chcę się tu nazbyt długo rozwodzić nad kwestią zdrowotną, ale dla włości jest ona zasadnicza. To jego „być albo nie być”.

Jak do tego doszło? Dlaczego tak nisko upadłem?

Dajcie mi trochę czasu. Powolutku wszystko wam opowiem.

4

Niebo dzieciństwa było słoneczne i bezchmurne, krasiało jasnym uśmiechem coraz przestronniejsze horyzonty. Szalone wrześnie osy toczyły z sobą gorączkowe turnieje i ponosiły szybką śmierć z mej wprawnej ręki. Otrząsałem pył zwirowanych ścieżek na posadzki szkolnych klas. Katolicka Szkoła Podstawowa dla Chłopców pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusowego miała odcień wyblakłego na słońcu drewna. Stare, pokryte kredowym nalotem tablice. Szacowne ramy dzieciństwa. Chmary zbłąkanych chłopięcych duszyczek zostały tu wystrychnięte na dudka. Jakież fantastyczne fabuły roiłem sobie pośród słodkiej szkolnej nudy! Mój umysł zaludniały sławne niegdyś postacie starożytności i mitów. (Z niewyjaśnionych powodów moim młodzieńczym idolem był Demostenes).

Obraz dzieciństwa jest zawsze elegijny i niepełny. Na wpół zatarte ślady szczytnych aspiracji. Migawkowe zdjęcia. To samo jest ze mną. Zakurzone brukowane boiska, gdzie po lekcjach kopałem piłkę, dopóki zmierzch nie rozpiął na szkolnych murach dramatycznych cieni. Upływ czasu przyprawiał mnie o zawrót głowy, taki się wydawał dziwny i przepastny. Chrząszczące żwirem dróżki, na których czekałem, aż moje życie przybierze kształt - aż z homogenicznej mgły dzieciństwa wyłonią się zdarzenia. Och, te niezmierzone

szanse i uroki braku doświadczenia!

Wiecie, że minęło całe osiem lat, nim ktokolwiek odkrył, że jestem geniuszem? Nie do wiary, a jednak to prawda. Wszyscy dali się nabrać. Zręcznie udawałem kretyna, odgrywałem przemyślane autystyczne scenki, sikałem w łóżko i zdołałem zyskać usprawiedliwioną opinię analfabety. Jedni rozpaczali nad moim kalectwem, inni snuli projekty, przedsiębrali działania. Na krótki czas skierowano mnie do szkoły specjalnej dla dzieci opóźnionych w nauce. Nie wykazałem się dostateczną inteligencją i natychmiast odesłali mnie z powrotem.

Oczywiście moją zawszoną mamuszkę niezbyt to obeszło. Imbecylyzm nie jest czymś, co mogłoby zaniepokoić Betty Bogle. Miała mgliste poczucie, że podtrzymuję rodzinną tradycję.

Nie muszę chyba mówić, że przez cały ten czas mój intelekt kwitł. Przeczytałem dzieła wszystkie Dickensa i Thackeraya jeszcze przed ukończeniem piątego roku życia, a zaraz potem zaliczyłem na dokładkę większość dziewiętnastowiecznej literatury (może dlatego mój styl jest taki kwiecisty, krągły, taki cholernie dworny). Następnie wziąłem się za bary z Szekspirem, Websterem, Marlowe'em i Spenserem. Potem przyszła kolej na starożytnych Greków i krótki flirt z astrofizyką. Nihilizm zgłębiłem, nim jeszcze zaczęły mi się chwiać mleczone zęby. Orwell, Camus, Sartre, Mann i Eliot wpędzili mnie w lekką depresję, ale miałem dopiero sześć lat, łatwo się więc z niej otrząsnąłem. Do tamtej pory zdążyłem już

zresztą dość dokładnie przestudiować epikurejczyków, zbyłem to więc śmiechem jak rasowy hedonista. Przyznaję, wyższa matematyka sprawiła mi nieco kłopotów, toteż uznałem, że zaczekam z nią do, powiedzmy, dziesiątych urodzin. Nie widziałem powodu, by narzucać sobie zbyt wyśrubowane tempo. W wieku lat siedmiu śmiałem się z Freuda, chichotałem nad Jungiem, szydziłem z Lawrence'a, wybrzydzałem na Virginie Woolf i dałem nieźle popalić Bertrandowi Russellowi.

Być może przedwcześnie dojrzałem.

Wyjaśnienie? Tak, chyba należy się wam garść informacji. Być może niesłychane właściwości mego umysłu istotnie zasługują na parę słów wyjaśnienia. Powody są dwa.

Po pierwsze:

Jako dziecko cierpiałem na całkowitą niezdolność oparcia się słowu pisanemu. Mogło to być jakieś zaburzenie percepcji lub anormalne sprzężenie dróg przekaźnictwa nerwowego w moim gładkim jeszcze mózgu, niezależnie jednak od przyczyn czytałem wszystko. Wszystko. *Tout*. Szyldy nad sklepami, gazety, afisze, rozkłady jazdy, instrukcje obsługi, pudełka po płatkach kukurydzianych, etykiety słoików z dżemem, walające się po ulicach strzępy czasopism. Doskwierał mi gorączkowy, nienasycony głód słowa pisanego i cierpiałem męki, kiedy nie miałem co czytać. Może istotnie urodziłem się kaleką.

Po drugie:

To proste - popytowi odpowiedziała podaż. Pragnienie słów zaprowadziło mnie do biblioteki publicznej przy Lower Falls Road (nad podziw imponujący budynek). Tam moje potrzeby literackie sprzęgły się z odziedziczonymi po przodkach lepкими paluszkami. W dziale dziecięcym nie miałem szans czegokolwiek ukraść. Jastrzębiokie jędze były nazbyt czujne; znały takich jak ja. Natomiast biblioteka dla dorosłych... o, to całkiem inna bajka. Tam byłem ponad - a raczej popod - podejrzeniami. Któż by pilnował usmarkanego gnojka włóczącego się bez celu pomiędzy regałami brzemienymi dziedzictwem literatury i filozofii? Rozumiecie teraz? Krótki kaszel. Uskrzydłany wrodzoną przemyślnością i uporem praktycznie opróżniłem półki. Na Boga, to była szkoła - nielegalna, lecz jakże intensywna! Przeczytane tomy zakopywałem w ogródku sąsiadów posługując się chochlą i ułomkiem kija do krykieta. Na cud zakrawa to, że nikt nigdy nie nakrył mnie podczas tej operacji i bez przeszkód kontynuowałem ukradkową edukację. Poszerzałem swoje horyzonty - i chwała mi za to, jako że nikt nie miał najmniejszego zamiaru mnie w tym wyręczyć.

Skoro więc, powiecie, rzeczywiście byłem takim cudownym dzieckiem, po co ze wszystkich sił starałem się to ukryć? Dlaczego zgrywałem imbecyla? Czemu nie wychynałem z ukrycia, nie wziąłem udziału w kilku teleturniejach i nie zarobiłem trochę grosza?

No, cóż... miałem wrażenie, że jeśli starsi

kiedykolwiek odkryją mój geniusz, urwą mi głowę przy samej pupie. Tak, wiem, wiem, że byłem młodym paranoikiem, ale wiecie co? Miałem rację. Kiedy się dowiedzieli, naprawdę próbowali urwać mi to i owo. Stałem się wrogiem publicznym numer 1. A dlaczego?

Oto co zaszło:

Klasa szkolna. Późny ranek. W ławkach trzydziestu czterech dobranych inwalidów, garbusów i idiotów sylabizuje pod wytrawnym pedagogicznym okiem niejakiego pana Samsona. Dobry Boże, to był brutal! Siłą odbierał nam kieszonkowe, grożąc, że porozwala nam łby, jeśli się komukolwiek poskarżymy. Drań i kłamca. Tak czy owak, smażymy się w dusznej suterenie, przedzierając się przez jakiś kretyński elementarz, gdy nagle pojawia się słowo „miedź”. Bum. Stało się. Wredny Samson postanawia wszcząć dyskusję.

SAMSON: Czy ktoś z was wie, co to jest miedź?

(Spodziewa się odpowiedzi typu: „Takie brązowe, pszepana”, „To, z czego robi się rynnny”; „Mieć, to jak się coś ma”.) BOGLE *(rażnie)*: To minerał, pszepana.

SAMSON *(pobłażliwie)*: Nie, Bogle. Miedź jest metalem.

BOGLE: Ale to minerał, pszepana.

SAMSON: Bzdura!

BOGLE: To nie bzdura, pszepana.

SAMSON *(na skraju apopleksji)*: Nie odszczekuj mi

się, gówniarzu! Nie wiesz nawet, co to jest minerał!

BOGLE (*z oślim uporem*): Minerał to występująca w przyrodzie, chemicznie i fizycznie jednorodna substancja w stanie stałym lub ciekłym, mająca określoną strukturę atomową. Powstaje ona w wyniku procesów geologicznych bez... udziału... człowieka...

Mój głos zamarł. W klasie ucichły szmery; koledzy cierpliwie czekali na werdykt pana Samsona. Uświadomiłem sobie, co zrobiłem. Nie powinienem był się dać do tego stopnia ponieść. Teraz dosięgnie mnie surowa gniewna dłoń dorosłej sprawiedliwości.

Samson wpatrywał się we mnie z rozdętymi nozdrzami, wytrzeszczonymi oczyma i rozdziawioną gębą (bardzo nieestetycznie). Czuję, że raz na zawsze tracę kontrolę nad swoim życiem. Wymknęło mi się z rąk. Samson wydał z siebie dziki pomruk i rzucił się na mnie z furją w przekrwionych oczach.

(Upierne, lecz prawdziwe. Takie to moje życie. Nie ma w nim miejsca na subtelną ironię, zawoalowany dowcip. Żadnych aluzji czy niuansów. Piszę je drukowanymi literami w krzyczących plamach plakatowych barw.)

Wierście lub nie: zapakowano mnie do karetki i odwieziono do Royal Victoria Hospital! Tamtejszy główny psychiatra dziecięcy, doktor Harper, pokochał mnie do szaleństwa. Wyraził uznanie dla szkoły za podjęcie zdecydowanych działań, stanowiącym bowiem

trudny i źle rokujący przypadek. Najwyraźniej mój przedwczesny rozwój intelektualny był tylko czubkiem lodowej góry przeróżnych (i mocno zaawansowanych) zaburzeń nerwicowych. Z błyskiem w oku i uśmiechem na ustach Harper jał układać dla mnie plan terapii.

Skierowano mnie do kolejnej szkoły specjalnej. Chodziłem tam raz w tygodniu. Prowadzono w niej wielki natchniony eksperyment: integrację dzieci niedorozwiniętych i wybitnie uzdolnionych. W tej egalitarnej atmosferze kretyni i geniusze brali się za łby, ilekroć mogli się dorwać. Ale osiągnano wiele. Analfabeci rozprawiali o Kierkegaardzie, poliglotów zaś uczono alfabetu za pomocą klocek z obrazkami. Nowatorskie, prawda?

Mamcia nie chciała wierzyć w moje uzdolnienia. Miała w sobie dość pokory, by nie oczekiwać, iż produkt jej pośledniego łona wzniesie się ponad poziom troglodyty. Kiedy w końcu pogodziła się z faktami, potraktowała je jako kolejny dowód mej krnąbrności - i pretekst do nowej serii wymierzanych z przekonaniem batów.

W szkolnym układzie sił cała ta afera wywołała nieobliczalne skutki. Dotąd wszyscy darzyli mnie sympatią, bo byłem brzydki. To się skończyło (sympatia; brzydota pozostała). Nikt nie lubi geniuszy. Zaczęto mnie prowokować do bójek, w których ku własnemu zaskoczeniu zwykle zwyciężałem. Afiszowanie się z siłą pięści na dodatek do przewagi intelektualnej było niezbyt

taktowne. Dobra passa musiała się kiedyś skończyć. I tak pewnego dnia wyzwiał mnie na pojedynek niejaki D. Stark.

D. Stark był najlepszym bokserem w szkole. Miał zaledwie dwanaście lat, ale mierzył już pięć stóp i dziewięć cali. Golił brodę (przysięgam!), miał też dostatecznie dużo włosów na piersi, by się nimi nie przejmować. Trząśł całą szkołą, nie mógł więc pozwolić sobie na to, by zlekceważyć moją wschodzącą gwiazdę. W szkole było miejsce tylko dla jednego fenomenu. O pierwszeństwie miało rozstrzygnąć bezpośrednie starcie.

Wyzwanie zostało rzucone w tradycyjnym stylu naszych wojowników, to jest D. Stark napluł mi na głowę. W tym także był mistrzem, a dzięki czterdziestu papierosom wypalany dziennie od siódmego roku życia jego plwocina była wyjątkowo treściwa i lepka.

Podaję, że D. Stark miał pewne skrupuły przed walką z kimś o tyle młodszym, mniejszym i mniej psychopatycznym niż on. Pozbył się ich wszakże, patrząc, jak podskakuję przed nim na chudych nóżkach. Gra szła przecież o jego honor. Z ciężkim sercem podniósł katowską pięść i ruszył na mnie.

To była masakra. Starłem się z potworem. Nawet pan Samson bał się D. Starka. Krążyła plotka, że wystawiał ojca z okna na piętrze grożąc, że go wyrzuci, jeśli nie da mu na fajki. Przeklęty brutal wytarł mną boisko, połamał mi wszystkie żebra jak zapalki, a organy wewnętrzne przerobił na jednolitą papkę. Przez trzy tygodnie leżałem

w łóżku.

Muszę mu oddać sprawiedliwość: to jedyny przypadek, gdy zrobiłem wrażenie na Bobbym Bogle'u. Być może uznał moją moralną wyższość nad Starkiem, wiedząc, że stanąłem do tak nierównej walki. Nawet gruba Betty poniewierała mną nieco mniej niż zwykle. Kiedy zaś dowiedzieli się, że przez czysty przypadek udało mi się wybić Starkowi jeden ząb, w ich zatęchłych piersiach zapłonęła wątła iskierka rodzicielskiej dumy.

W szkole fakt, że stawiłem czoło D. Starkowi, postrzegany był albo jako szczyt ludzkiego męstwa, albo jako samo dno głupoty. Tak czy owak, zyskałem sobie pewien respekt. Nawet sam D. Stark zaczął traktować mnie dość przyjaźnie. Na przerwach częstował mnie papierosami i siadywaliśmy razem - on błogo otulony chmurą dymu, ja zielony i targany atakami kaszlu.

(W tym miejscu powinienem wtrącić: „Ciekawe, co też dziś porabia stary D. Stark”, ale to akurat wiem i mogę wam powiedzieć. Po krótkiej, acz pełnej sukcesów karierze bandziora oraz dość anemicznej działalności w Sinn Fein został zastrzelony przez wojskowy patrol w okolicach Ardoyne. Zawsze to mówię - biada temu, kto mi się narazi!)

Ach, ten nasz Konflikt! Nasz grzech pierworodny! Wojna w Irlandii Północnej z pewnością ubarwiła moje młode lata. Miałem miejsce w pierwszym rzędzie; świerzbująca mnie ciekawość była zaspokajana sprawnie, prędko i przeważnie gratis.

Sporą część dzieciństwa poświęciłem na oglądanie rzeczy, których nie powinienem był oglądać, oraz przyswajanie sobie trudnych spraw i pojęć, które śmiało mogły poczekać jeszcze dziesięć lat. Zbrodnia, przemoc, krew i flaki tudzież inne przejawy irlandzkiego życia politycznego mogą nieco zwichrować normalny rozwój dziecka. Łatwo popaść w cynizm - pstryk i żegnaj, utracona niewinności!

Dla mnie taką przełomową chwilą była Noc Internowania. Pewnie o niej słyszeliście. Nie? No to sobie na ten temat poczytajcie. Wyniosłem z niej wiele cennych doświadczeń.

Wydarzenia owej nocy nie ominęły skromnego domostwa Bogle'ów - podobnie jak większości katolickich robotniczych rodzin Belfastu. Około drugiej w nocy drzwi wyleciały z zawiasów pod kopniakami czterech żołnierzy o posepnych, zadętych twarzach (zakładam, że twarze mieli posepne i zadęte - nie widziałem ich, leżałem w łóżku). W sieni żołnierze rozdzielili się i grzecznie, a nawet z uszanowaniem zaczęli przetrząsać naszą mikroskopijną rudę. Tatuś jak zwykle gdzieś się szlajał (a raczej pewnie leżał zamroczony w rynsztoku), nic więc nie zagłuszało naszej *mater familias*, gdy dawała wyraz oburzeniu. Czyniła to, rzecz jasna, z werwą i zapalem. Nieszczęśni chłopcy nie byli przygotowani na spotkanie z rozwrzeszczaną harpią. Miny mieli niezbyt uradowane. Młody, pożałowania godny oficer pozostał, by stawić czoło bliskiej apopleksji

Betty, reszta zaś rozpierzchła się po ciasnych izdebkach.

Kiedy połączone siły zbrojne Jej Królewskiej Mości wdarły się do sypialni, moje podniecenie nie miało granic. Nagle zapłonęło światło. Wyobraźcie sobie me zdumienie i radość, gdy zobaczyłem potężnego kaprała rodem z Indii Zachodnich, który stał na progu ściskając wielki karabin automatyczny. Dzika krew zawrzała mi w żyłach z rozkoszy. Nigdy dotąd nie widziałem prawdziwego Murzyna, a teraz - proszę! Stał jak żywy w naszym maleńkim pokoju (choć minę miał raczej głupią), wnosząc ze sobą powiew groźnej egzotyki. Natychmiast się w nim zakochałem. Łzy szczęścia napłynęły mi do oczu. Mężczyzna stał przez chwilę zmieszany, po czym niepewnie puścił do mnie oko, w jego hebanowym obliczu błysnęła klawiatura białych zębów i nagle zniknął mi z pola widzenia.

Po tak wstrząsających doznaniach nawet nie próbowałem na powrót zasnąć. Podkradłem się do otwartych drzwi. Z dołu dobiegały hałasy; urywane uwagi żołnierzy mieszały się z ciągłym ujadaniem mojej rodzicielki. Poczulem litość nad biednymi naiwnymi wojakami. Potem moi młodszy bracia zaczęli wrzeszczeć wyjątkowo zgodnym chórem i serce jeszcze bardziej wezbrało mi współczuciem. Nieszczęśni Brytole! Nie tego człowiek się spodziewa, kiedy chce troszeczkę ujarzmić krajowców. Uznałem wszakże, iż szkoda byłoby opuścić tak dobre przedstawienie. Na paluszkach zszedłem po schodach.

Zatrzymałem się w sieni. Miałem na sobie cienką wystrzępioną piżamę, a przez otwór po naszych wejściowych drzwiach wiało chłodem. Podkradłem się bliżej. Ujrzałem z zachwytem, że zaułek roi się od ludzi. Rząd skleconych byle jak domków, zwany Monagh Parade, tonął w ostrym jaskrawym świetle reflektorów wojskowych dżipów i karettek więziennych stojących szeregiem w zaułku. Wszędzie uwijali się żołnierze o twarzach przyczernionych pastą maskującą. Wbiegali do ciemnych uśpionych mieszkań i wyciągali półnagich mężczyzn do oczekujących suk. Żołnierze czaili się pod ścianami i latarniami z bronią gotową do strzału, krzyczeli, rozdawali ciosy i kopniaki - słowem, zajmowali się swymi żołnierskimi sprawami. Wrzaski i biadolenia rozwścieczonych kobiet dęły jak brzytwy nieruchomą nocną ciszę.

Z radością wtopiłem się w chaos świateł, cieni i dźwięków. Podpełzłem pod płot frontowego ogródka. Czułem dreszcz swobody, wyzwolenia - nigdy dotąd o tej porze nie byłem poza domem. Nocne niebo wyglądało egzotycznie, jakby w ogrodzie rozgościł się ktoś obcy. Z zapamiętaniem przyglądałem się aresztowaniom przez szparę w płocie, czując się doskonale ukryty i całkiem bezpieczny. Było tu niemal przytulnie.

Naraz moje błogie poczucie bezpieczeństwa pierzchnęło. Jakiś żołnierz podbiegł i przycupnął po przeciwnej stronie płotu, tuląc się do cienkich zbiegających sztachet. Choć znajdowałem się na wyciągnięcie ręki, nie

zdawał sobie sprawy z mojej obecności. Krew zastygła mi w żyłach i skrzepła w bryłę lodu. Ledwie parę cali dzieliło moją twarz od potężnej postaci w polowym mundurze wypchanym i obwieszonym mnóstwem niezidentyfikowanego ekwipunku. Widziałem dziwaczne guziki na połyskującym matowo czarno-brązowym karabinie wycelowanym w dom Seana O'Grady'ego naprzeciwko. Obaj patrzyliśmy, jak tatę Seana ładują do suki. Wiedziałem, że żołnierze uzbrojeni są w SLR-y, podsłuchałem bowiem w szkole rozmowę starszych chłopców o zaletach i wadach różnych rodzajów broni.

- Mówię ci, że armalite jest najlepszy!

- Nieprawda!

- Z armalite'u można odstrzelić człowiekowi cały łeb!

- Ale parasi strzelają z SLR-ów pociskami dum-dum. Przetnie cię na pół, zanim zdążysz umrzeć!

Zastanawiałem się, czy młody człowiek, którego chłodny cierpki oddech owiewał mi twarz, jest „parasem”. Nie miałem takiego rozeznania wśród różnych formacji wojskowych jak moi koledzy, ale o parasach krążyły legendy mrozące krew w żyłach. Z przypiętej na piersi żołnierza krótkofalówki dobiegł nagle suchy trzask. Wzdrygnąłem się gwałtownie, omal się nie dekonspirując. Młody żołnierz nasłuchiwał niezrozumiałych dźwięków, ja tymczasem rozmyślałem, jakie to niesamowite, że czaję się w ciemności tak blisko wroga, a on o tym nie wie.

Zerknąłem na niego przez szparę. W głowie kłębiły mi się głębokie, ważne myśli o wojnie i nienawiści, lecz serce nabrzmiwało skrywaną senną czułością dla młodzika, który klęczał tak blisko mnie, że bez trudu mógłbym go zabić. W moim walecznym sercu zrodziło się poczucie mocy - i strach. (Pewnie znów naczytałem się D. H. Lawrence'a.)

Nagle posłyszałem stłumiony dźwięk. Dobiegł od strony domu naszych sąsiadów, Ginchych. Odwróciłem się szybko i dostrzegłem niknącą w cieniu drobną dziewczęcą postać. Poznałem Muire Ginchy i domyśliłem się, co zamierza: przejść po rozciągniętym u góry płotu drucie kolczastym, udając tancerkę na linie. To był jej popisowy numer. Tylko nigdy jeszcze nie wykonywała go w ciemności.

Żołnierz też ją posłyszał; zastygł w bezruchu, czujnie strzygąc uszami, po czym zawołał sierżanta. Z ciemności tuż nad moją głową wychynęły naraz dwie wielkie sylwetki. Przyczaiły się pod płotem; kilka sekund później dołączył do nich mój żołnierz. Rozpłaszczyłem się w cieniu o cal od ciężkiego wojskowego buta.

- Co jest? - spytał krótko sierżant.

- Widziałem, jak jeden przemyka się za tamtym domem. - Z głosu żołnierza łatwo dało się wywnioskować, jak bardzo poczuł się ważny. - Chyba ma broń.

- Dobra, wyjdź tylnymi drzwiami. - Sierżant przejął dowodzenie. - Weź ze sobą chłopców, którzy są w

środku. My obejdziemy dookoła. Damy wam jakieś czterdzieści pięć sekund.

Mój żołnierz entuzjastycznie wbiegł do domostwa Bogle'ów. Zemdliło mnie ze strachu. Czterdzieści pięć sekund. A to była tylko Muire Ginchy tańcząca na drucie. Lubiła się popisać, ot i wszystko. Tymczasem polowali na nią żołnierze z karabinami! Niechętnie uświadomiłem sobie, że będę się musiał odezwać. Nie mogłem tego tak zostawić. Po prostu nie mogłem.

- Przepraszam pana... - pisnąłem.

- Jezu Chryste!

Moją twarz omiótł wściekły promień latarki, a twardy wylot lufy wbił mi się w wątłą pierś. Wnętrznosci stopniały mi z przerażenia. Na szczęście dla mnie rozsądny sierżant dostrzegł mój młody wiek.

- Uspokój się, na miłość boską! - warknął do tego drugiego. - To tylko dzieciak. - Zwrócił się do mnie:

- O co chodzi, synku?

Poczułem, że ciepły strumyk ścieka mi po udzie.

- To Muire, proszę pana - wyjąkałem.

- Co?

- To tylko Muire.

- O czym ty mówisz?

- W tamtym domu. To Muire, mała dziewczynka.

Sierżant okazał się bystry i zareagował błyskawicznie.

Wrzasnął w kierunku sieni:

- Wilson! Wilson, to jest dziecko! Wilson! Cholera...

Pognał za dom; drugi żołnierz deptał mu po piętach, a za nim pędziłem ja. Kiedy wpadliśmy do większego ogrodu za domem, rozpętało się zamieszanie; światła latarek krzyżowały się w bezksiężycowej czerni. Doskonale znając teren, przedarłem się pomiędzy żołnierzami w miejsce, gdzie wiedziałem, że znajdę Muire. Stała na płocie, ledwie widoczna na tle bladej łuny odległych świateł Black Mountain. Tuż pod nią stał Wilson z bronią gotową do strzału. Przez ułamek sekundy trwali tak nieruchomo na tle zamglonego, widmowego pejzażu jak postacie z obrazów starych mistrzów. Potem usłyszałem szcęk odwodzonego bezpiecznika i rzuciłem się w ich stronę wrzeszcząc jak opętany. Muire krzyknęła, zachwiała się i okrakiem spadła na drut.

Oczywiście z powodu ogólnego zamieszania karetka miała trudności z dotarciem na miejsce. W każdym razie tak nam powiedziano. Przynajmniej do tego czasu Muire przestała krzyczeć. Teraz słyhać było głuchy głos pani Ginchy powtarzającej wciąż, że wszystko będzie dobrze, i pełen udręki szloch żołnierza nazwiskiem Wilson:

- Przepraszam... przepraszam... przepraszam...

Twarz umazaną miał łzami, czarną pastą maskującą i jaskrawą krwią dziecka, które wniósł na rękach do domu. Reszta milczała. Czekali niecierpliwie na przybycie karetki, żeby wreszcie móc stąd odejść. Jeden palił ukradkiem papierosa.

Nadszedł kapitan, przystojny młody człowiek

zwieńczony dumną oficerską czapką. Stał obok mnie i wdał się w prowadzoną szeptem rozmowę z sierżantem, który wciąż jeszcze trzymał mnie za ramię. Udało mi się pojąć, że natura obrażeń małej Muire napawa tych mężczyzn zgrozą, budzi w nich jakąś bezradną rycerskość. Próbowałem naśladować ich reakcje, choć prawdę powiedziawszy, nie wiedziałem, co w tym takiego strasznego. Żał mi było Muire, z której wyciekło morze krwi. Bardzo mi jej było żal. Ale nic nie rozumiałem. Zastanawiałem się, dlaczego jej matka się nie wścieka. Dlaczego uśmiecha się do córki w taki sposób - czule, bez cienia goryczy.

Zanim karetka zabrała Muire i jej matkę, wrzawa w zaułku ucichła i z podnieceniem ujrzałem, jak zza góry powoli wypełza na niebo brzask - pierwszy brzask, jaki widziałem na własne oczy. Żołnierze wycofali się przepraszająco, wstrząśnięci i przygnębieni. Zaczęło mi brakować ich krótkiej minionej chwały. Miałem i ja swoje pięć minut: sierżant powiedział mojej rozwścieczonej matce, że jestem dobrym, dzielnym chłopcem, i dał mi nawet funta. Moje irlandzkie serce wezbrało dumą, choć wciąż było mi smutno z powodu Muire. Kiedy żołnierze wreszcie odeszli, matka odebrała mi funta i wyrzuciła. Miałem dość rozumu, by nie protestować. Świt gramolił się przez bezsenne miasto, dodając werwy znużonym awanturom i hałasom. Trwały internowania.

Ciekawe, co dziś porabia Muire. Wątpię, by otaczała ją gromadka dzieci. Z ginekologicznego punktu widzenia można to raczej wykluczyć. Pewnie jest zgorzkniałą, twarooką irlandzką dziwką jak one wszystkie. Belfast robi to z człowiekiem - zmienia mu ciało i umysł w kamień i pozbawia duszy.

Szkoda. Lubiłem Muire. Może nawet po szczeniacku się w niej durzyłem. Była miłą dziewczynką - i bardzo ładną. Owszem, lubiła się popisywać, ale niczym nie zasłużyła na upokorzenie, jakie stało się jej udziałem.

Kogo należy winić? Młodego Wilsona? Mnie? Kogoś innego? Nie, to nie tak. Wolę wskazać palcem miasto. To wszystko wina Belfastu. Powinno się coś zrobić, takie rzeczy nie mogą dłużej uchodzić mu bezkarnie. Należy je powstrzymać.

Mam nadzieję, że ktoś wreszcie je powstrzyma.

5

Nabrzeże. Kolejna ławka, kolejny odpoczynek. Kolejna porcja zażyłości pupy i starych desek. Ławki to przystanki w moich peregrynacjach pod wielkim dachem nieba. Drewniane porty, ostoje wytchnienia i bezpieczeństwa. Czy uwierzycie, że naprawdę lubię snuć się brzegiem Tamizy? Lubię zręczność, z jaką mosty wystrzelają z brzegów i przeskakują nad zanieczyszczonym nurtem. Szczególnie zaś przypadł mi do serca stary most Westminster'ski. Ma w sobie to coś. Przystojniak - oczywiście w kategoriach urody mostów. Czasem jest podświetlony; kamień, drewno i woda tworzą piękną symfonię. Brąz rzeki i zieleń mostu stapiają się w kałużę płynnej poświaty przywodzącą na myśl miętowe czekoladki. Dziś most pogrążony jest w ciemności. Jakoś to przeżyję.

Powietrze jest wilgotne i zimne. Moje dwie osierocone dłonie całkiem skostniały. Wpycham je do kieszeni. Poprawa jest w gruncie rzeczy niewielka. Największą wadą nocy jest ten wieczny przenikliwy chłód. Zaletą - mrok i niezmierna przestrzeń.

A komuż zależy na przestrzeni? Mnie. To dla mnie ważne. Jej ciemny ekran odgradza mnie od świata, stwarza tło dla moich wspomnień.

Już nadchodzą, rojnie, gwarnie i zbrojnie. Tłoczą się wokół ławki, jedno przez drugie wykrzykują swe żale,

domagając się posłuchania. Obok, ujęty we dwa brzegi, pełźnie gęsty jak śmietana ciemny nurt Tamizy. Miasto złagodniało i tej nocy należy do nas.

Mam w zanadrzu kilka obrazków, zdjęć z rodzinnego albumu. Ukazują one poszczególne etapy drogi Ripleya Bogle'a w górę i w dół drabiny społecznej. Pokażę je wam, dobrze? O, te trzy stanowią dość wymowny komplet. Oto pierwsze. Ripley Bogle w najlepszych chłopięcych latach.

Brązowy włóczkowy sweter zapinany na suwak, niebieskie płócienne spodnie z elastycznym paskiem, kolorowa futbolowa koszulka. Skarpetki, jedna szara, a druga zielona. Odrapane, za duże czarne buciorzy. Marchwiana głowa i pyzate oblicze. Małe wredne oczka. Liczne pryszczki. Strupy na kolanach (to od gry w pikę) i siny tyłek (efekt nieporozumień rodzinnych). Szczerbaty kretyński uśmiech. Młody Ripley jest w ciągłym ruchu, wszędzie go pełno. Trenuje głośne beknięcie i puszczenie bąków; ma już spore osiągnięcia. Jego hobby to: „śmierdziele”, proca i dręczenie owadów. Jest odrażający. Chciałby być królem. Mógłby wtedy kazać ścinać swoich braci.

Podczas gdy ja rosłem, moja rodzina prędko się powiększała, aż w końcu było nas ośmioro. Siedmiu chłopców i dziewczynka. Moja jedyna siostra, Patrycja,

w znacznym stopniu przyczyniła się do rozszerzenia moich młodzieńczych horyzontów o pojęcie śmierci, umarła bowiem jak na zamówienie w wieku lat trzech. Przyczyną była dolegliwość określana tajemniczo mianem dziury w sercu. Byłem przerażony, lecz nie do końca przekonany. Jak dla mnie, nie brzmiało to zbyt naukowo. Słabo pamiętam siostrę, ale przypominam sobie, że była ładna, choć chudziutka i blada jak płótno. W niczym nie przypominała reszty nas, Bogle'ów. Ucieleśnialiśmy najgorszy sort uliczników rodem wprost z rynsztoka, ale Patrycja była inna. Może dlatego umarła. Może nie mogła wytrzymać dzieciństwa wśród Bogle'ów, a może też nie lubiła Irlandczyków. Nie wiem.

Dobrze pamiętam pogrzeb. Wiedziona przelotnym współczuciem pani Ginchy wsunęła mi torebkę krówek. Matko Chrystusowa, ależ były pyszne! Papierki ozdobione były obrazkami krów na łące - pewnie gdzieś w Danii. Oglądałem je zafascynowany.

Dziecięce trumny są śliczne, nie sądzicie? Trumna Patrycji była zdumiewająco mała, wręcz niedostrzegalna. Wywarło to potężne wrażenie na wszystkich dorosłych. Szczególnie na mojej matce, która - by oddać jej sprawiedliwość - była dość mocno podłamana.

Ponieważ pozostali młodzi Bogle'owie nie przejawiali zamiaru podążenia w ślad za siostrą, wciąż cieszyłem się ich towarzystwem. Peter, Patrick, John, Paul, George i Declan (ten ostatni najbardziej dał mi w skórę. Nie znam gnojka, który potrafiłby dorównać

Declanowi Bogle!). Nie wyróżniali się niczym szczególnym, odziedziczywszy właściwą Bogle'om głupotę i skłonność do schodzenia na złą drogę. George, drugi w kolejności, pobił swoisty rekord - policja pobrała mu odciski palców w szczenięcym wieku ośmiu lat! Dobrze się zapowiadał; zawsze był moim klanowym faworytem.

Z biegiem lat ojciec przestał udawać, że szuka pracy, i poświęcił się wyłącznie pełnoetatowemu chlaniu - czyli temu, co lubił najbardziej. Stał się przez to miłszy i bardziej przewidywalny, jego wyskoki zaś mniej gwałtowne. Ponadto stracił zapał do tłuczenia mnie na kwaśne jabłko bez chwili przerwy. Wiem, że surowo go osądzam, ale naprawdę zawdzięczam mu niewiele. Jedyne, co mi dał ten cholerny Walijczyk, to moje absurdalne, żałosne nazwisko.

Betty Bogle walczyła więc o byt bez mężowskiej pomocy. Choć nie miała pracy, zdołała zapewnić sobie całkiem niezłe dochody, składając liczne i oparte na fałszywych danych podania do opieki społecznej. Tu może tkwić źródło mych niezwykłych zdolności intelektualnych. Kreatywna wyobraźnia, za pomocą której matka robiła w trąbę wszystkie organizacje społeczne i charytatywne, stanowiła budujący przykład dla jej dzieci, a dla mnie w szczególności. Zmieniała peruki, podawała fałszywe nazwiska i adresy. My, młodzi Bogle'owie, także czyniliśmy co w naszej mocy. Mnożąc się w zastraszającym tempie i wykazując dość

młodzieńczej zimnej krwi, by bez zmrżenia oka odpowiadać na każde imię, którym nas zawołano, uwiarygodnialiśmy roszczenia pani Bogle do posiadania około osiemnastu pociech - zwłaszcza że nie sposób było zgromadzić nas w jednym czasie i miejscu, żeby policzyć.

Inne gałęzie klanu prosperowały znacznie gorzej - częściowo na skutek tego, że większość mężczyzn (choć co z nich za mężczyźni!) została internowana tamtej pamiętnej nocy. Bóg jeden wie, po co brytyjska armia zadawała sobie taki wysiłek i koszty, by uwięzić stado imbecyli, degeneratów i nieudaczników. Widocznie miała w tym jakiś sobie tylko znany cel, wszyscy co do jednego znaleźli się bowiem w Long Kesh - imponującej twierdzy zdobnej w drut kolczasty, wieżyczki strażnicze i tym podobne gadzety. (W owym czasie myślałem, że Wielka Brytania żywi osobistą urazę do Bogle'ów. Byłoby to w pełni zrozumiałe, wręcz usprawiedliwione.) W istocie pośród tej zbieraniny znalazł się jeden trafiony cel w postaci mojego stryjka Joego. Joe był małpoludem jak cała reszta, ale raz wziął udział w marszu protestacyjnym i widziano go, jak rzucał kamieniami w czasie zamieszek na Castle Street.

Uwielbiałem wizyty w Long Kesh (albo Labiryncie, jak nazywają go Brytole. W Ulsterze nazewnictwo jest sprawą najwyższej wagi - dowodzi tego spór o Derry/Londonderry. Nazwa urasta do rangi wyznania wiary, hasła sojuszników. Spróbuj się pomylić, a

ockniesz się dyndając na latarni.) Tak, widzenia w Long Kesh były niezłą frajdą. Odwiedzających poddawano rewizji osobistej i zawsze miałem sprośną nadzieję, że jako nieletni będę mógł przeniknąć przez wejście dla kobiet. Nie udało się. Zawsze klasyfikowano moją płć jako męską i zmuszony byłem znosić widok tłustych, spoconych, obrośniętych i dziwnie zbudowanych goryli.

Podobnie jak większość więźniów stryjek Joe zabijał czas rzeźbiąc w drewnie miniaturowe harfy. Rezydencja Bogle'ów pełna była tych niezdarnych narodowych symboli. Poniewierały się wszędzie, stwarzając więcej kłopotu niż pożytku - do czasu gdy mój brat George zaczął zbijać majątek, sprzedając je amerykańskim dziennikarzom po wygórowanych cenach. Resztę czasu w Kesh Joe poświęcał na narady oddziału Sinn Fein, zwerbowała go bowiem garstka prawdziwych terrorystów, których udało się wówczas zgarnąć.

Po owych pamiętnych emocjach rozwinąłem w sobie zamiłowanie do nocnego życia. Po zmroku wykradałem się z domu przez okno i włóczyłem po okolicy. Szczyt głupoty, okolica bowiem była śmiertelnie niebezpieczna - zwłaszcza nocą. Na cud zakrawa to, że uniknąwszy śmierci od bomby lub kuli, zdołałem również zataić te eskapady przed matką - przy jej furii zblakłyby najstraszliwsze i najkrwawsze sceny widziane lub słyszane w tej dzielnicy. Nieco później nauczyłem się palić w cieniu Fort Monagh, garnizonu wojskowego położonego w pobliżu naszej szkoły. Mój pierwszy cały

papieros miał smak gorzkich doświadczeń, podnosiłem go do ust gestem zapożyczonym z rzadko oglądanej telewizji. Niestety, niemal natychmiast polubiłem ten smak i wkrótce zdałem sobie sprawę, że papierosy odegrają wiodącą rolę w moim życiu. Odtąd po wielekroć wyśpiewywałem hymny radości i wdzięczności na ich cześć.

Turf Lodge to paskudna dziura, ale zarazem wymarzona lokalizacja zdarzeń, wśród których dorastałem. Wielu mędrców wyraża opinię, że nędza i zagrożenie stymulują rozwój dziecka. Wierzę głęboko, że jestem znakomitym przykładem potwierdzającym tę teorię. Od najmłodszych lat otaczały mnie broń palna, bomby i Irlandczycy - i proszę, wyrosłem na geniusza! (To dowód na to, że wszystkiego można dowieść.)

W owym czasie IRA była podzielona na „Tymczasowych” i „Oficjalnych”. Jedni stylizowali się na rewolucyjnych nacjonalistów, drudzy na ultratrockistów (nigdy się nie dowiedziałem, którzy są którzy, niezależnie od tego, co oznaczały te karkołomne terminy). Oba skrzydła łączyło jedno: wiara, że osiągną swe rozbieżne cele zadając ostateczny cios brytyjskiej machinie wojennej poprzez wysadzanie domów towarowych w każdą sobotę po południu.

W efekcie ilekroć kontrolę nad dzielnicą przejmowali „Oficjalni”, dzielnicę patrolowały dzipy pełne chłopców w kominiarkach, którzy demolowali lub wysadzali w powietrze sklepy należące do stronników

„Tymczasowych”. Kiedy zaś u władzy byli „Tymczasowi”, bojówkarze nosili na głowach pończochy, niszczone zaś i palono sklepy profesjonalne. W ten sposób jedynym kupcem, który rzeczywiście się wzbogacił, był Żyd nazwiskiem Painter. Wkrótce nabył także dwa puste sklepy na protestanckiej Shankill Road, licząc na podobnie lukratywną schizmę w szeregach lojalistów.

Życie w naszej dzielnicy było ciekawe, ekscytujące i w ogóle *cool*. Dla nas, smarkaczy, lata wojny domowej trąciły historią starożytną. W spełnianiu patriotycznego obowiązku ograniczaliśmy się do wesołego rzucania kamieniami w stronę transporterów opancerzonych, pojawiających się czasem na Monagh Road. Czasem nocami dochodziło do strzelaniny. Ojciec znosił materace na parter i ustawiał je na sztorc pod ścianą, a my zbijaliśmy się w kupkę na podłodze. Był to dla nas mile egzotyczny, cygański biwak, któremu szczypta zagrożenia dodawała jeszcze uroku.

Turf Lodge stała się też scenerią mojej pierwszej miłości. Wcześniej straciłem głowę dla kobiety. Ba, nie tylko głowę. Ręce, nogi, serce - wszystko. Padłem jak święty.

Obiektem mych pierwszych młodzieńczych uczuć była Jeanette Conlon. Conlonowie sprowadzili się niedawno z Short Strand, ciągnąc za sobą niewyraźny towarzyski smrodek. Jeanette nie grzeszyła urodą, lecz dla mnie była wszystkim. Zresztą świadom własnych niedostatków, nie miałem wygórowanych ambicji.

Zdumiewająca dojrzałość u kogoś tak młodego, prawda?

Panna Conlon miała niebieski płaszczyk z liliową lamówką, który z miejsca mnie urzekł. Gdy traciłem ją z oczu, jedynym szczegółem jako tako utrwalonym w mej pamięci był ów prześliczny fatalaszek. Zdawał mi się miękką bramą do innego, piękniejszego świata. Byłem oczywiście pewny, że kocham Jeanette, a nie jej płaszczyk, jednakże myśl o nim wprawiała mnie w niejakie zmieszanie.

Nie wyznałem jej miłości. Jeanette pozostała nieświadoma żaru uczuć gorzejących w mym tęsknym wzroku. Godzinami jeździłem w kółko pod jej oknem na pożyczonym rowerze. W gwiazdkowym nastroju wyciskałem kolejne okrążenia, aż w końcu niebo bladło, okrywając się kurzem wieczoru. Dla mnie była to czytelna deklaracja uczuć, a zarazem ich satysfakcjonujące spełnienie. Czegóż innego mogłem żądać od kobiety?

Prawdę powiedziawszy, miałem mgliste przeczucie, że w związku dwojga ludzi może istnieć coś jeszcze. Kilkakrotnie śniło mi się, że banda zarośniętych protestanckich bojówkarzy związała mnie z nagą Jeanette i kazała nam ocierać się pośladkami. Miała to być zapewne okrutna tortura, ze wstydem jednak wyznaję, iż sprawiała mi więcej przyjemności niż udręki. Taki był ze mnie lubieżny satyr!

Jeanette i ja nie doczekaliśmy się cielesnego spełnienia. W nasze życie wdzierał się wielki świat.

Zasłynąłem już w całym Zachodnim Belfaście jako jedyny uczeń z Najświętszego Serca, któremu udało się zdać test kompetencji. Na wyścigi oferowano mi stypendia, a gdybym się choć trochę postarał, zapewne mógłbym objąć katedrę w którymś z amerykańskich uniwersytetów. Ostatecznie ogłoszono, iż będę kontynuował edukację w Gimnazjum Świętej Marty przy Glen Road. Był to początek końca mego dzieciństwa. Spędziłem ostatnie beztroskie lato wylegając się na polach pod Black Mountain, gdzie ukrywałem się przed ekipami telewizyjnymi i marzyłem o liliowo lamowanym płaszczku Jeanette.

U Świętej Marty nie wiodło mi się najlepiej. Jak zwykle byłem najlepszym uczniem, lecz mego geniuszu nie otaczała tu aura tkliwego pobłażania. Nawet brzydota nie zyskała mi szacunku ni sympatii. Pozostali uczniowie dosłownie ustawiali się w kolejce, żeby strzelić mnie w ucho. Zdobywszy szlify w słynnym pojedynku z D. Starkiem, bez lęku rzucałem się w wir walki i na ogół radziłem sobie całkiem nieźle (zważywszy, iż zwykle trzymało mnie kilku kumpli tego, który mnie tłukł).

Spędziłem w tej ścirowni tylko rok i był to zły rok. Tego właśnie roku mój ojciec (a w każdym razie pan Bogle) wykrwawił się do zlewu. Opowiem wam o tym później. Nie teraz.

Moja kariera u Świętej Marty zakończyła się dość efektownie. Pewnego popołudnia pod koniec maja wracałem właśnie do domu, gdy natknąłem się na

rozbóję - zwyczajną szczeniacką bójkę. Uznałem, że lepiej dla mnie będzie się nie wtrącać, ale zajmowali cały chodnik. Ruszyłem więc przed siebie z miną, która miała świadczyć, że spieszę się na bardzo ważne spotkanie z premierem.

Podszedłszy bliżej, spostrzegłem, że pięciu czy sześciu chłopców w moim wieku bije i kopie jednego, który leży na chodniku, osłaniając rękami głowę. Przekląłem swoje pieskie szczęście i zacząłem w duchu szukać powodu, by nie wyrywać się z banalną - i kosztowną - rycerskością. Starłem się, jak mogłem, ale wyszło na to, że nie mam innego wyjścia. Ruszyłem więc do boju, wywijając tęczką i rycząc jak tur. Miałem nadzieję, że rozwalę ich w puch psychologicznie i obejdzie się bez rękoczynów.

Nadzieja okazała się złudna. Pięciu napastników odwróciło się, by stawić czoło niespodziewanej odsieczy, a ujrawszy, że odsiecz to tylko ja, z uśmiechem na twarzach zajęło pozycje do ataku. Ze zgrozą uświadomiłem sobie, że Los znów wystrychnął mnie na dudka - tych pięciu było z mojej szkoły. Nie miałem jednak wyboru. Nawet tak wprawny orator jak ja napotkałby spore trudności, próbując w tej sytuacji obrócić wszystko w żart. Parłem więc samobójczo naprzód. Wykorzystałem efekt zaskoczenia - oni też mnie poznali - i wymierzyłem pięknego sierpowego w najbliższy nos. Jego właściciel miękko osunął się na ziemię i dyskretnie pozostał tam do końca starcia. Nim

jeszcze efekt zaskoczenia minął, zdążyłem kopnąć w kolano najwyższego. Było 2:0 dla mnie; jak na początek wcale niezły wynik.

Zręcznym manewrem ocalałem przed zmiążdżeniem rodzinne klejnoty i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że pozostali nie dadzą mi tak czystych szans. Już szarżowali w sprawdzonej, efektywnej konfiguracji trzech na jednego. Przyszłość zarysowała się przede mną w czarnych barwach. Na szczęście ich ofiara dźwignęła się na nogi i stanęła u mego boku, z dużą wprawą posługując się kijem do krykieta. Jego zamaszyste ciosy w połączeniu z moimi zręcznymi prostymi załatwiły sprawę. Przeciwnicy polegli.

Dyszałem ciężko, czekając, aż serce zacznie z powrotem bić w filozoficznym rytmie. Strasznie chciało mi się palić. Mój towarzysz walki z ponurą satysfakcją patrzył na chodnik usłany zwłokami prawych katolików.

- Nic ci się nie stało? - spytałem, przybierając ton umiarkowanie heroiczny.

- Nie, w porządku. - Miał twardy, szorstki akcent. Ze zdziwieniem popatrzył na mój szkolny krawat. - Jesteś feniańczykiem? Z tej samej budy co tamci?

- Tak - uśmiechnąłem się ekumenicznie. - To bez znaczenia, kiedy pięciu bije jednego.

Czułem się jak bohater, twardziel, John Wayne. Tamten kiwnął głową z nieodgadnioną miną.

- Lepiej ich stąd pozbieraj, zanim zjawi się policja. Ja znikam.

Wzruszony tym niezdarnym wyrazem wdzięczności, pochyliłem się nad moimi powalonymi braćmi w wierze. Był to już drugi niewybaczalny błąd, jaki popełniłem tego dnia. Posłyszałem cichy jadowity świst i kij do krykieta z trzaskiem wyrznął mnie w czaszkę. Straciłem przytomność, zanim ległem na bruku.

Gdy przyjechała policja, chłopcy z rzadko spotykaną spontaniczną zbiorową weną złożyli wspaniałą relację z napadu olbrzymiej bandy protestanckich bojówkarzy, którym miałem jakoby przewodzić. Granicząca z cudem jednomyślność budziła pewne podejrzenia, nie miały ich wszakże władze szkolne. Kiedy w końcu opuściłem szpital ze zrastającym się pęknięciem czaszki i imponującym guzem na środku czoła, dyrektor wezwał mnie na rozmowę, w trakcie której wykazał ogrom mej quislingowskiej zdrady i heroiczną postawę pięciu ofiar napaści. Zostałem w niesławie wydalony ze szkoły. Miłosiernie pozwolono mi dokończyć semestr, dzięki czemu koledzy zyskali czas na wyrafinowaną zemstę.

Wyobrażałem sobie, że moje szanse zdobycia średniego wykształcenia gwałtownie zbliżyły się do zera. Myliłem się; wciąż uważano mnie za dobry nabytek. Szkoły dosłownie wyrywały mnie sobie z rąk. Na rynku edukacji byłem nieustającym bestsellerem.

Zakład edukacyjny, któremu w końcu udało się położyć na mnie łapę, nosił imię świętej Cecylii. Była to koedukacyjna szkoła przyklasztorna mieszcząca się w

unionistycznym sercu Ballymeny. Kształciły się w niej głównie katolickie dzieci z okolicznych wsi i miasteczek. Moje wielkowiejskie maniery i słownictwo raziły ich delikatne uczucia. Znów nikt mnie nie lubił, nowi koledzy zaś przez swoje zgoła ośle *machismo* prowokowali do kolejnych przygnębiających bójek. Im częściej wygrywałem, tym więcej musiałem ich staczać. W końcu któregoś dnia poniosły mnie nerwy i zmasakrowałem jakiegoś biedaka. Trafił do szpitala, a ja zostałem na dwa tygodnie zawieszony w prawach ucznia.

Do mojego upadku przyczyniły się też kobiety. Koedukacja mi nie służyła - zakochiwałem się bez ustanku i bez znużenia. Próbowałem wybierać najbrzydsze dziewczyny, świadom niedostatków własnej urody, pomimo to moje awanse wciąż wzdorliwie odrzucano. Pewna odrażająca młoda dama (zwana Kaszanką ze względu na cerę) ni mniej ni więcej tylko udała się do matki przełożonej ze skargą, jakoby czynił jej propozycje obejmujące między innymi niezgodne z przeznaczeniem wykorzystanie klatki schodowej i dżemu z jeżyn. Znów mnie zawieszono.

Trzecim powodem mego fiaska stał się protestancki ekstremizm. Powiedzieć, że Ballymenę zamieszkuje lojaliści, to za mało. Ten obszar lśni najprawdziwszym oranżystowskim oranżem. Ludzie wciąż toczą tu pianę z ust na wzmiankę o Hiszpanii. Metodystów uważa się za papistów, a nawet anabaptyści są mocno podejrzani. Nastolatki wieszają w sypialniach plakaty z Oliverem

Cromwellem. W owym czasie byłem już chory z żalu, zgorzkniały i niebaczny na konsekwencje. Znużony ciągłymi występami nie najlepszych protestanckich orkiestr dętych, w ataku młodzieńczej pasji uznałem, że co za dużo, to niezdrowo, i podjąłem akcję odwetową. Zatrudniłem w tym celu mojego młodszego brata Declana, który niewprawną ręką wymalował mi na pupie trójkolorową flagę. Tak upiększony zostałem niekwestionowaną gwiazdą jednego z najważniejszych pochodów roku...

Kiedy tym razem wyszedłem ze szpitala, dowiedziałem się, że mój nacjonalistyczno-ekshibicjonistyczny występ nie pociągnął za sobą spodziewanej reperkusji w postaci kolejnego zawieszenia. Rozczarowany ukradłem butelkę whisky z pobliskiego sklepu, upiłem się jak Świnia, spróbowałem uwieść osiemdziesięcioletnią siostrę Marię słowem i czynem, na koniec zaś rozbiłem szkolny autobus, którym chciałem uciec przed policją. Bo widzicie, nie sięgałem nogami do pedałów.

Tym razem mnie wyrzucono.

Moja dalsza edukacja stanęła pod znakiem zapytania, gdy niespodziewanie znalazło się dla mnie miejsce w Katolickim Kolegium dla Chłopców pod wezwaniem Świętego Malcolma. Była to tym większa niespodzianka, że o moich wyczynach pisał już nawet „Times” w dodatku poświęconym problemom edukacji.

Kolegium mieściło się nie opodal Carlisle Circus, na onirycznej ziemi niczyjej wciśniętej pomiędzy wściekle katolickie getto New Lodge z jednej strony a równie wściekle protestanckie getto przy Crumlin Road z drugiej. Z okien szkoły widać było ultraopozycyjny żeński klasztor Matki Najświętszej, lecz także więzienie Crumlin - miejsce odosobnienia strzeżone tak nieudolnie, że uciekający stąd więźniowie wynajmowali autokary (w taksówkach by się nie pomieścili). Na tyłach szkoły był garnizon ze strzelnicą i lądowiskiem dla śmigłowców.

Szefem kolegium był przewielebny kanonik Brendan Patrick O'Hara, zwany przez uczniów Dzióbkiem (lub Tukanem) ze względu na wydatny organ powonienia. Człowiek ten roztaczał wokół siebie straszliwą, okultystyczną wręcz aurę władzy. (Oficerowie Kościoła zawsze mają ten dar. Ciekawe, skąd go biorą? Bóg jeden wie.) Szkolnym gorylem, czyli prefektem do spraw dyscypliny, był ojciec Murphy, pseudonim Proca. Zyskał to miano ciskając swe ofiary na ściany, szafy, podłogi i sufity wszystkich szkolnych pomieszczeń, jakie miał pod ręką. *Summa summarum* nareszcie wyglądało to jak szkoła.

Ordynarne maniery pozwoliły mi tu zyskać grono oddanych przyjaciół. Imię ich legion, a były wśród nich takie świetlane postacie, jak Bęcwał O'Halloran, Sean Murphy zwany Brakującym Ogniwnem, Donal Palma McArdle, śniady Abdul McGonagle, Pyszczaty Brady, Rob zwany (H)iobem, Wściekły Szczur Johnson i

oczywiście mój najdroższy, najlepszy przyjaciel nazwiskiem Kelly, któremu na chrzcie dano przedziwne imię Maurice. Wszyscy oni byli wredni i kłamliwi, ale chciałem mieć kumpli, ci zaś byli pod ręką.

Oczywiście miło być lubianym, z początku jednak miałem nieco problemów - głównie natury finansowej. Zaczęło mi brakować papierosów. Kolegium Świętego Malcolma stanowiło zamknięty rynek. Tymczasem mnie dręczył głód nikotynowy. Musiałem wejść na tutejszą giełdę, w tym celu zaś udać się do Świra.

Świr był finansowym geniuszem, któremu szkoła stworzyła odpowiednie warunki rozwoju. Prowadził nielegalne dostawy papierosów dla klas młodszych i alkoholu dla klasy szóstej. Przyjmował wysokie zakłady na wszystkie szkolne zawody sportowe. Nadzorował kasyno i brał procent od wszystkich wymuszeń i haraczy. Krótko mówiąc, czerpał zyski z każdego przekrętu pod tym szacownym dachem. Podobno opłacał też woźnego. Miał własny samochód i złoty zegarek. Jednakże tym, co już na pierwszy rzut oka wyróżniało go spośród tłumu, była ni mniej ni więcej tylko drewniana noga. Bóg jeden wie, jakim cudem w epoce wyrafinowanej technologii protetycznej dał się w nią ubrać, ale fakt pozostawał faktem. Wszyscy ostentacyjnie udawali, że jej nie widzą, albowiem Świr miał na tym punkcie kompleks. Noga była tabu - tabu przestrzegany, ponieważ mimo odrazy do drewnianej kończyny Świr umiał się nią posługiwać nad wyraz skutecznie. Wszyscy uczniowie i połowa

nauczycieli trzęśli się ze strachu na myśl o bezpośrednim starciu ze Świrem. Prócz tego był trudny we współżyciu - świadczyła o tym szybka rotacja jego zauszników. Upierał się na przykład, że będzie grał w piłkę albo pływał, jakby nic mu nie brakowało. Przyjmowanie tych kaprysów z niewymuszonym uśmiechem na twarzy było dla jego świty dość trudnym zadaniem, a nawet najłżejszy grymas mogący zostać zinterpretowany jako kwestionowanie tężyzny fizycznej Świra okazywał się często fatalny w skutkach.

Nie był to więc człowiek, z którym można igrać. Po tygodniu zdecydowałem się jednak wziąć los we własne ręce i wykroić dla siebie kawałek tortu. Wierście lub nie, pewnego dnia wszedłem tanecznym krokiem do ubikacji klas szóstych (co samo w sobie było ciężkim przestępstwem) i poinformowałem szkolnego mafiosa, że chcę z nim zrobić biznes lub coś w podobnie amerykańskim guście. Zanim Świr zdołał rozedrzeć mnie na strzępy, w ciągu ośmiu i pół sekundy zdążyłem wyrzucić z siebie pospieszne streszczenie oferty. Ku mej nieukrywanej radości została przyjęta od razu, bez wahania, ja zaś pozostałem przy życiu.

Świr dał mi dwanaście procent, co jak na Świra było hojnym udziałem. Chyba udało mi się zyskać jego sympatię, rozważał bowiem nawet zatrudnienie mnie na kierowniczym stanowisku w swoim finansowym imperium. Na szczęście dla mnie wakującą posadę objął w końcu pechowy czwartoklasista z Lisbum. Utrzymał

się na niej przez trzy i pół tygodnia i skończył łykając własne zęby w takiej liczbie, że odtąd bardziej opłacało mu się używać szczoteczki *per rectum*.

Co takiego mu zaproponowałem? Czym zasłużyłem sobie na takie łaski? Nie powiem. Jestem socjalistą, a zatem zaprzysięgłym wrogiem reklamy handlowej. Ponadto nie chcę trafić za kratki.

Wyposażony w fajki i stałą prowizję, kontynuowałem szkolną karierę już bez przeszkód. (Na szczęście, albowiem moja droga rodzicielka zagroziła, że wyrwie mi nogi z tyłka, jeśli jeszcze raz wpakuję się w kłopoty - a w jej ustach nie była to przenośnia.) Tymczasem zaś stałem się mężczyzną.

I to dosłownie w mgnieniu oka.

Właściwie powinienem czuć się oszukany, ograbiony z okresu dojrzewania. Wszystko rozegrało się niemal z dnia na dzień w czternastym roku mego życia. W poniedziałek byłem dzieckiem o delikatnym ciele i twarzy gładkiej jak pupa niemowlęcia; nocą z wtorku na środę zaczęło się ze mną dziać coś dziwnego, a w piątek miałem już zarost i bardzo nieestetyczne wybrzuszenie w spodniach. Niesamowite. A najbardziej niewiarygodne było to, że na domiar wszystkiego raptownie wypiękniałem. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ropucha zmieniła się w księcia.

Moja mamuśka poczuła się urażona tą ekspresową metamorfozą. Dorosły syn stał się widomą miarą jej lat. Bynajmniej jej nie współczułem. Ona też nie roniła nade

mną tkliwych łez.

W szkole stałem się obiektem zawiści i licznych plotek. Krążyły różne teorie mające wyjaśnić moje nagłe zmęznienie, lecz większość można było z góry odrzucić jako nieuzasadnione psychologicznie, fizjologicznie bądź teologicznie. Należy tu zaznaczyć, że moi kumple znieśli to całkiem nieźle, zważywszy, iż sami toczyli w owym czasie trudne negocjacje z pokwitaniem. Nazwali mnie Strzała - że niby tak wystrzeliłem w górę - niektórzy zaś, pełni uwielbienia, gotowi byli oddać na żer moich chuci własne matki i siostry.

Oczywiście rad byłem, że udało mi się uniknąć masakry trądziku, ale tęskniłem za dawną powierzchownością. Brzydota tak długo była stałym parametrem układu równań określających Ripleya Bogle'a, że bez niej przez dłuższy czas czułem się niekompletny.

Mój Boże, naprawdę się zmieniłem! Byłem teraz sprężysty, umięśniony, nabuzowany tą butną energią, którą emanuje młodość. Znienawidzilibyście mnie od pierwszego wejrzenia. Jak wszyscy.

Tak oto, szczęśliwie przebywszy wiry i rafy wieku chłopięcego, wydawałem się gotów na przyjęcie tego, co ześle mi los. Miałem szkołę, fajki, kumpli, miałem włosy na podbrzuszu i kontrolę nad swoim życiem. Przyszłe błędy, porażki, katastrofy nie budziły we mnie grozy.

Tak... kiedyś byłem w takiej dobrej kondycji! W moich żyłach płynęła świeża, młoda krew. Teraz kości

mi próchnieją, brzuch obwisł, płuca strzępią się przy każdym oddechu, a wszystkie stawy jęczą z bólu. To podarunek zim spędzonych pod gołym niebem. Moje ciało jest stare, kłótlive, zgorzkniałe. Nie ma ani krzty szacunku dla mojej młodości. Jakby jej nie dostrzegało.

Rzeka zmieniała się w strugę zimnego potu. Zamierzam tutaj, pora się ruszyć. Niepewnie dźwigam się na nogi, spoglądając w bezświatlne niebo. Dziś jest na mnie złe; mierzy mnie sardonicznym nieubłaganym wzrokiem. Niebo przyjęło pozycję widza. Przejrzyste, pozbawione choćby jednej chmurki, jednej smugi po odrzutowcu, rozsiadło się w oczekiwaniu na spektakl. Aktorem jestem ja. Tytuł sztuki brzmi: „Młodość bogów”. Zapraszam.

6

Docieramy teraz do najtrudniejszego etapu nocy. Mrok zawiązuje koalicję z osamotnieniem i niewygoda. Zaczynam odczuwać zmęczenie. Oczy mam suche, powieki ciężkie, pod czaszką pulsuje rozpacz. Gemne płyty chodnika falują mi pod nogami i nawet perspektywa snu przyprawia mnie o zawrót głowy i mdłości. Gdzie znajdę ukojenie? Nogi mam z kamienia, mózg zmienił się w papkę. To już trochę za wiele. Muszę przestać. Przystanąć. W żadnym razie odpocząć, zasnąć lub umrzeć - te surowe rozwiązania są zbyt skomplikowane, wymagają za wiele skupienia i wysiłku. Po prostu chcę się zatrzymać. Potrzebuję tego i tylko na to mnie stać.

Ale nie mogę. Chciałbym i pewnie w końcu to zrobię, choć nie powinienem. Czas, bym was oprowadził, opowiedział o nocach pod gołym niebem, nocach na ulicy. Będzie to lekcja anatomii ubóstwa. Gotowi?

(Lekkie oklaski. No dobrze. Słuchajcie i ucicie się.)

Zaczynamy przed zmrokiem. Wczesny wieczór. Niebo pobladło, stało się achromatyczne i czeka na pędzel nocy. Jest zimno i paskudnie. Witamy w świecie proszalnych dziadów. Zabawne? Jeszcze się okaże.

Pierwsza dość ważna rzecz: masz w posiadaniu, powiedzmy, trzy funty i pięćdziesiąt pensów. Oj, ty, ty

brzydki kapitalisto! Istotne jest, abyś je zachował. Nie jedz. Nie pij. Nie spekuluj na giełdzie. Ta forsa jeszcze ci się przyda, i to bardzo. Owszem, teraz też ci jest potrzebna, ale nie popuszczaj sobie zanadto cugli.

(Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że bezdomni z reguły mają przy sobie co najmniej kilka funtów. Żaden nie jest naprawdę bez grosza. Żaden nie jest aż tak głupi. Nikt nie ma aż takiego pecha.)

Zwalczyłeś pokusę. Dobra robota. Wciąż masz forszę. I masz prawo czuć się bogaczem. Patrzysz na siebie innym, pogodniejszym okiem. Tylko czas ci doskwiera. Czujesz się nieco znudzony. W istocie twoim największym wrogiem może być właśnie nuda. W dużym mieście jest łatwiej. Ogarnij się trochę i wejdź do galerii. Artystyczna natura to całkiem nośna wymówka dla pewnego niechlujstwa odzieży. Syty estetycznych wrażeń skieruj kroki do metra. Jest tanie, dobrze ogrzane i dostarcza różnorodnych rozrywek. Polecam linię „Okrężną”. Jej główną zaletą jest właśnie to, że prowadzi w kółko. Możesz spędzić w wagonie cały dzień. Inni w końcu wysiądą - dzięki temu nie dostrzegą, że nie masz przed sobą celu, biedna istoto. Zdrzemnij się. Wyciągnij stare kości. Podrap się po jajkach (czy co tam masz). Wkrótce i ty będziesz musiał wysiąść. Smutne, lecz prawdziwe. Spanie w metrze zawsze przyprawia o ból głowy. Ciągły ruch, duchota, odór spoconych dał, wibracje, które kumulują się pod czaszką. W końcu masz dosyć. Klaustrofobia, znużenie i wstyd gnają cię z

powrotem na powierzchnię.

Noc jest coraz bliżej, na zewnątrz króluje uroczysty zmierzch. Zachwyciłbyś się nim, gdybyś mógł, lecz przebyte udręki przyćmiły ci zmysły. Jak bezpański pies przemykasz wśród krocących chodnikami tłumów, starając się odsunąć od siebie narastające przekonanie, że życie jest do dupy. Z odrazą patrzysz wokół. Świta ci pewien pomysł, na oko całkiem niezły. Idziesz na dworzec.

(Scena pokrywa się grubą warstwą śmiecia. Są w niej niedojedzone hamburgery, przemoczone gazety, zużyte strzykawki i prezerwatywy, gówna, ludzie porzuceni, włóczędzy, złodzieje, dziwki, uciekinierzy z domu, gwałciciele i wariaci. Leżący po kątach mężczyźni chrapią, bełkoczą i leją pod siebie. Tak wygląda przeciętny dworzec kolejowy.)

Świetnie. Tu nie zwrócisz niczyjej uwagi. No dalej, udawaj, że czekasz na pociąg.

Na dworcach co dzień czeka mnóstwo ludzi. Odchodzi tu cała masa szacownego czekania. Na przyjazdy i odjazdy, umówione spotkania i ukradkowe randki. Krótko mówiąc: ci ludzie mają pieniądze. Mają domy, kuchnie, łóżka, a w nich pościel. (Pamiętasz jeszcze, co to takiego? Jasne, że tak; czule pieścisz to wspomnienie.) I w tym właśnie rzecz. Zbliź się do nich. Spróbuj wejść w obręb roztaczanej przez nich aury normalności i zdrowia. Nasiąknij nią. Dołóż starań, by wyglądać jak zwyczajny człowiek, jak jeden z nich.

Jeśli chcesz wznieść się jeszcze o poziom wyżej, niecierpliwie zerkaj na nadgarstek, nawet jeśli nie masz zegarka. To wypróbowany trik. Tworzy wrażenie, że terminy i zobowiązania nie są ci zupełnie obce. Byłoby jeszcze lepiej, gdybyś miał zegarek. Wierz mi, zegarek to witalny element szlachetnego ubóstwa. Staraj się go zatrzymać, jak długo się da. Zegarki nie są niezbędne, a przy tym stosunkowo drogie, stanowią więc przedmiot zbytku. Nadają ci znamię dostatniej bez troski - lub coś koło tego.

Po jakimś czasie dworzec zaczyna cię irytować. Nie martw się, to naturalne. Umysł przeciętnego człowieka może znieść tylko ograniczoną dawkę nudy. Ludzie, którzy właśnie skończyli pracę, rozjechali się pociągami do domów, perony pustoszeją i wieje z nich ohyda. Postanawiasz iść na spacer.

To głupota. Jeszcze się naspacerujesz. To kompletna głupota, mimo to wyruszasz na przechadzkę. Ma ona jeden pozytywny aspekt: da ci przedsmak tego, jak zimno będzie w nocy. Ale ty go oczywiście nie docenisz. Nigdy nie wysnuwasz trafnych prognoz. A prawda jest taka, że będziesz grzechotać zmrożonymi gonadami. Nawet jeśli już tego doświadczyłeś, zapominasz. Zawsze zapominasz, jak może być zimno. Odsuwasz od siebie tę nieprzyjemną myśl. Zamykasz przed nią drzwi. Nikogo nie cieszy świadomość, że poprzedniej nocy omal nie zamarł na śmierć. Nie jestem lekarzem, zdaje mi się jednak, że pusty żołądek i niedostatek snu czynią

człowieka bardziej wrażliwym na chłód. Ten skądinąd nieszczęsny zbieg okoliczności dla włóczęgi jest normą. Przeznaczenie i traf maltretują cię na cztery ręce, wykazując przy tym nie lada zręczność i wprawę. Po mistrzowsku zonglują bólem, niewygodą, zmęczeniem, tak by dokonać jak największych zniszczeń. Wprost zapiera ci dech z podziwu.

Kiedy tak idziesz przez Charing Cross Road, Strand, Long Acre, Oxford Street czy jakąkolwiek inną ulicę (którą i tak przemierzasz dziś piąty raz), zaskakuje cię nagły brutalny atak głodu. (Mówiliśmy już o Głodzie - znamy tego drania.) Skurczony do rozmiarów orzecha żołądek kurczy się do rozmiarów mikroskopijnej czarnej dziury. Nie myśl o tym, człowieku! Trzymaj przy sobie tę cholerną forszę! Spróbuj zapomnieć, w której jest kieszeni! To konieczne. Przyspiesz kroku, mijając pustoszące bistro. Przejdź na drugą stronę ulicy. Zignoruj ciepły aromat bijący z McDonalda. Nie trać głowy! Na miłość boską, pokaż, że jesteś twardy!

Ostrożnie wypuszczasz powietrze i wzdychasz z ulgą. Znów się udało. Dobra robota, moje gratulacje, chłopie. Nie zamówiłeś pięciodaniowej orgii w Savoyu. Jesteś bohaterem. Idź dalej. Idź.

Pora na interesującą dygresję - niestety, bez niej się tu nie obędzie. Jeśli bezdomny jest palaczem (a z reguły jest), zarządzanie finansami staje się o wiele bardziej skomplikowane. Powiedzmy, że dany włóczęga ma przy sobie pięć funtów. Paczka papierosów kosztuje półtora.

Kupi trzy paczki i dwa batoniki i na tym koniec. Po prostu nie stać cię na kupowanie żarcia, kiedy musisz mieć fajki, żeby zagłuszyć głód. Jeśli gość ma rozum w głowie, będzie się ograniczał w ciągu dnia, oszczędzając paliwo na ciężką, nienawistną noc. To jeden z powodów, dla których tak często widuje się nędzarzy w czytelnich i tym podobnych miejscach. Owszem, jest tam ciepło i przytulnie, ale przede wszystkim nie wolno palić. Asceza potrzebuje czasem bodźca.

Popatrz: zapadła ciemność i ulice zapełniają się innym gatunkiem ludzi. To epikurejczycy; wylegli z domów w pogoni za rozrywką. Czujesz do tych nocnych ptaków jeszcze większą odrazę niż do ludzi pracy zamieszkujących miasto w ciągu dnia. Patrzysz, jak żonglują plastikowymi kartami; jak wydają większe i mniejsze fury pieniędzy na alkohol, na chudziutkie posiłki noszone na srebrnych tacach, na ogłupiającą dwugodzinną grupową terapię kolorowymi światełkami w kinie czy wreszcie na to, by słuchać bezsensownych wynurzeń bandy miotających się po scenie półgłówków. Jeden ich kurs taksówką tobie by zapewnił nocleg. Patrzysz, jak ten czy ów opasły troglodyta przepuszcza tygodniowy zarobek na pięcioipółminutowy seans z niedomytą, zżartą przez syfilis starą kurwą.

Ależ cię to wkurza! Nie dziwota. (Specyficznym produktem ubocznym bezdomności jest to, że robi z ciebie socjalistę.)

Musisz teraz zwalczyć kolejny atak nudy. Miasto na

chwilę przycichło; odpoczywa, czekając, aż wszystkie te pulchne mieszcuchy w czystej bieliźnie i o lśniących włosach wysypią się ze swoich kin, teatrów, restauracji, pubów, nocnych klubów, kasyn i burdeli. Nie ma problemu, jakoś sobie poradzisz. Masz wiele możliwości. Zaczynasz marzyć o pieniądzach, żarciu i ciepłym, przytulnym mieszkanku w Londynie.

Uwaga! Właśnie dostrzegłeś brudną zapchlona rudere. Grają w niej głupie brutalne filmidło, wyświetlane już osiem razy w telewizorze (którego nie masz). Hola, hola, gdzie leziesz, głąbie! Nie bądź głupi! Dwie godziny wśród ludzi w ciepłym smrodku - a kiedy znów znajdziesz się na ulicy, będziesz czuł się tym bardziej zmarznięty i samotny. Idź dalej. Zresztą wchodząc do środka ryzykujesz własny tyłek: Bóg jeden wie, co za dewianci bywają w takiej dziurze.

Sytuacja na razie jest opanowana. Ale odpędzona sprzed drzwi Pokusa próbuje wleźć oknem. Rozglądasz się: gdzie by tu pójść, by twój skołatany mózg nieco odpoczął? W jakieś mało kuszące miejsce...

(Scena znów pokrywa się gnojem.)

Kolejny dworzec? Otóż to. Masz ich parę do wyboru. Unikaj tych nowych, są za czyste i za dobrze oświetlone. Ten sadystyczny blask odbity w chromie, plastyku i szkle to trochę za wiele jak dla mnie. Nie. Łatwiej będzie uniknąć hańby w cienistych wnętrzach przy Liverpool Street lub Charing Cross. Schroń się tam na kolejną godzinkę.

Czemu nie zafundujesz sobie kawy? Pozbędziesz się w ten sposób jednej piątej kapitału, ale człowiek musi mieć jakieś przyjemności. Sącz gorączkowo jej kwaśnawe ciepło. Zapal sobie. Tylko uważaj z fajkami. Staraj się nie rozkoszować. Ostrożnie. W końcu to dla nich cierpisz biedę. Pij kawę, chłopcze, wlej ją w siebie. Kawa i papieros. Fajnie, nie? Jasne, że fajnie.

I do licha, pewnie, że to głupie, ale zaczynasz się czuć nieco lepiej. Owładnął tobą nagły wariacki optymizm. Świat nie wydaje ci się już taki zły. (Świat kłamie - jest tak samo zły jak zawsze.) Przypominasz sobie, że jesteś młody i piękny. Bezrozumna adrenalina wyrywa się z więzienia i zaczyna krążyć ci w żyłach. Wypinasz pierś i zwracasz uwagę na kobiety. Ach, te dziewczyny! Te szykowne, nadziane podróżujące babki! Może i na ciebie ktoś zwróci uwagę. Mimo skromnej szaty krzeszesz parę błysków w damskich oczach. To miłe, lecz niebezpieczne. Zaczynasz śnić na jawie. Skrywana myśl, szambonurek marzeń, który przez cały dzień czaił się w kanałach twojego umysłu, teraz wypływa na wierzch.

Myślisz: w końcu jestem całkiem przystojny. Nawet seksowny. Prędzej czy później któraś się mną zaopiekuje - na przykład czterdziestoletnia blond wyjadaczka z feblikiem do młodych proletariuszy... momencik, może młodych artystów? Młodych obszarpańców? A co tam, możesz zagrać każdą rolę. Najlepiej rozwódka. Zamożna rozwódka. Da ci wikt i opierunek. Marzysz dalej.

Uspokój się, głupcze. Zapomnij o tym. Przecież nie urodziłeś się wczoraj. Wciąż wierzysz w cudownych dobroczyńców rodem z wiktoriańskich powieści? I gdzież są ci wszyscy *dei ex machina*? Roi ci się dobra wróżka z gustowną garsonierą i wielkim biustem?

(O, właśnie nadchodzi, wynurza się z tłumy i zmierza ku tobie z uśmiechem.)

DOBRA WRÓŻKA (*zachęcająco*): Jesteś piękny i młody. A przy tym biedny, głodny i zziębnięty. I ja jestem piękna. Mam jednak bogactwa, suto zastawiony stół i ciepły piec. Pójdź do mego zamku, gdzie czekają na ciebie puchowe poduszki, ciepłe obiady i gorące pieśczoły. Daję ci na to moje słowo!

(*Wychodzi.*)

To ci się marzy? Na to czekasz? Ech, arcyfantasto! Naprawdę wierzysz, że to możliwe?

Na szczęście wszystkie te nadzieje, te mgławicowe nieprawdopodobieństwa wkrótce bledną. Wracasz do smętnej równowagi. Cuda się nie zdarzają. Nie tobie. Nie wtedy, kiedy o nie prosisz. (Na tym właśnie polega cały kruczek ze szczęściem. Jest opieszale, przychodzi dopiero wtedy, gdy już nie jest potrzebne. Cóż za brak przenikliwości!)

Oho! Ktoś się zbliża. Będziesz miał sposobność poćwiczyć się w sztuce konwersacji.

Podchodzi do ciebie zapity, cuchnący zombie. W

oczach obłąkańcza zawistna żądza. Z bezkształtnej jamy ust bluzgają ohydne zaklęcia Piekieł. Zimny dreszcz pełźnie ci po krzyżu, zęby zgrzytają, a jądra trzęsą się z obrzydzenia. Ręczę, ty też nie miałbyś ochoty zaprzyjaźniać się z tym panem w jakimś przejściu podziemnym. Prosisz Boga: nie pozwól mi tak nisko upaść.

Facet błaga i zachwala swój sprzęt. Uciekasz w panice. Serce łomocze ci jak oszalałe, a nieświeża dusza wyje z odrazy i wstydu.

Na zewnątrz Londyn okrył się czernią. Zrodzone z ciemności i niewiedzy niebo przywdziało płaszcz augura. Twój gorączkowy marsz dobiega końca. Zwalniasz, czując dziwne otepienie. Strach wywietrzył, została tylko cierpka rozpacz. Jesteś niczym i będziesz niczym, aż skończy się noc. Godziny dzielące cię od świtu rozparły się na twojej drodze, bezkształtne i groźne. Jasny dzień jest o eony stąd.

Przykucasz pod wilgotnym murem. Zapalasz papierosa, powlekając kolejną warstwą smółki udęczone płuca. Wlokący się czas łechcze twoją skórę. Chłodny wiatr szorstko puka cię w czoło. Frontony budynków, oświetlone żółtymi jupiterami latarni, mierzą cię twardym, oskarżającym wzrokiem. To miasto, zbudowane za pieniądze angielskich protestantów, odwraca od ciebie ogorzałą twarz. Jesteś zbyt biedny, zbyt brudny i za smutny. Zgrzeszyłeś przeciw jego

świetlanym prawom.

Ze znużeniem osuwasz się na zimny chropowaty chodnik, choć wokół cały świat huczy od nowin. Siedzisz samotny, zmarznięty, niepokieszony. Martwiejesz, bledniesz i pogrążasz się w niebycie.

W musującym półśnie roją ci się chmurne oderwane sceny, fragmenty baletowego dramatu z piekła rodem. Otwierają się jamy, tunele i otchłanie; groteskowe postaci bezgłośnie mamlają ustami. Wiesz, że chcą ci przekazać coś bardzo ważnego, lecz nie potrafisz odczytać przesłania z ruchu warg. Śni ci się ktoś, jakby ojciec, cień w mundurze Armii Zbawienia. Mówi prędko, nagle, grożąc ci palcem.

Budzisz się i twoja blada ironiczna twarz krzywi się z bólu. Usta masz zalepione snem, choć zdrzemnąłeś się ledwie na kilka minut. Jest niewiarygodnie zimno. Kości puchną ci z jękiem, mięśnie naciągają się jak plastry bekonu. Straciłeś czucie w stopach, za to dłonie pulsują dotkliwie. Pora ruszać.

Ruszasz. W nieskończonej udręce dźwigasz się na nogi i zaczynasz iść. Jest gdzieś między północą a pierwszą. Zaczyna się twoja wędrówka.

Ból stopniowo ustępuje. Z King's Cross w Euston... potem w lewo w Gordon Street... w lewo na Gower Place (rzucasz okiem, czy uniwersytet jeszcze stoi). Na Gower Street czujesz ostre chłaśnięcie lodowatego wiatru. Prędko skręcasz na Torrington Place, stamtąd w

Tottenham Court Road... Po piętnastu minutach tej gonitwy zaczyna ci być ciepło. Charing Cross Road... Strand... Most Waterloo...

Już wiesz, jakie to będzie męczące. Pocieszasz się myślą, że Londyn nie jest aż tak paskudny, jaki mógłby być. Widywałeś gorsze miejsca. Przynajmniej nocą (i tylko nocą) budzi się do życia przeszłość miasta. Londyn odgrywa swe kroniki na użytek gawiedzi. Jaka szkoda, że nikt ich nie ogląda - tylko ty i tobie podobni. (A propos, gdzież są owi tobie podobni? Jakoś ich nie widać. Sam napawasz się bujnym splendorem przeszłości. Może jesteś zarozumiały, lecz nęka cię uczucie, że jesteś ostatnim żywym człowiekiem na Ziemi, który jeszcze zwraca uwagę na takie rzeczy.)

Dzielny Charlie Dickens też przechadzał się nocą po mrocznych zaułkach starego Londynu. Robił to także wtedy, kiedy już nie musiał - kiedy stał się sławny, kiedy wydawano jego książki. Chodził tam dla rozrywki i po to, żeby nie zapomnieć. Podobnie Orwell. Tacy ocaleni z nędzy esteci zawsze krążą wokół wspomnień najgorszych lat swego życia. Bieda jest zajadlejsza niż komornik; nawet gdy zginie, prześladowuje cię jej duch.

Ty też tak będziesz robił. Również kiedy zdołasz osiągnąć jakąś namiastkę dobrobytu. Będziesz wymykał się co jakiś czas, by spędzić noc pod gołym niebem. Ciekawy syndrom. I jakże miło wraca się wtedy do komfortu. Do tych drobiazgów, które nagle zaczynają tyle znaczyć... Do poduszek, obrusów, jadła i czystości.

To miłe prawda? Aż cieplej robi się na sercu na myśl, w jakiej zacnej kompanii się znalazłeś. Najcześni geniusze literatury wydeptali swe ścieżki na londyńskich ulicach. Dickens, Orwell i twoja skromna osoba.

(Wchodzą Charles Dickens i George Orwell. Twarze opromienia im braterski uśmiech. Pędzą ku tobie w podskokach, wymachując rękami.)

CHARLES DICKENS: Był jasny, chłodny kwietniowy dzień; zegary biły pierwszą...

GEORGE ORWELL *(pokostując)*: Noc była zimna; wiał wilgotny wiatr...

CHARLES DICKENS *(gubiąc nieco wątek)*: Panie Janie, panie Janie, rano wstań! Wszystkie dzwony biją...

GEORGE ORWELL: Biedaczyna! Czy ty nie masz serca, że każesz mu się snuć po tych strasznych ulicach w taką noc? Nie masz oczu? Spójrz, jak drży, jaki jest szczupły i delikatny! (*. Bierze cię za rękę.*) Czy nie masz litości? Ta rączka taka zimna...

CHARLES DICKENS *(hałaśliwie)*: W ignorancji siła! Pokoju szukaj w walce! Precz z Inkwizycją Myśli!

GEORGE ORWELL *(szlocha)*: O hańbo, o samotności!

O zdradzieckie czeluście wielkiej stolicy! Chłód i wilgoć; godziny płyną wolno, a chmury szybko umykają po nocnym niebie.

CHARLES DICKENS: W dupę sobie wsadź pokój numer 101! Chcę mieć apartament z łazienką, ty

irlandzka łajzo!

(Dwaj wielcy pisarze wybuchają nieopanowanym śmiechem i spadają ze sceny.)

Uśmiechasz się. Jesteś namiestnikiem panującej ciszy.

Idziesz dalej, kuśtykasz przez czarną straszliwą noc. Bardzo szybko rozpracowujesz dynamikę procesu przemieszczania się. Aspekt motoryczny jest prosty - można to robić automatycznie. Dzięki temu masz czas i siły na rozwiązywanie innych problemów. Z kwestią odległości i celu także da się uporać względnie łatwo. Wyznaczasz sobie pośrednie punkty docelowe; dzięki nim brzemień zmęczenia staje się lżejsze. Rozbijasz wyrok na składające się nań lata. Drepcząc po Bloomsbury, postanawiasz dojść do Victoria lub Kensington High Street. Gdy tam dotrzesz, wyznaczasz sobie kolejny cel. Podzielona na odcinki noc przeraża znacznie mniej. To taka głupia sztuczka, trik, na który nawet ty się nie nabierzesz, ale jeśli konsekwentnie go stosujesz, noc traci niesamowitość, traci kły.

Chodzenie ma wiele zalet. Rozgrzewa i ożywia, jeśli robisz to umiejętnie. Powstrzymuje cię przed sięgnięciem po następnego papierosa. Rozprasza nudę. Odwraca twoje myśli od stanu zdrowia. Bawi, cieszy i uczy.

Najważniejszym aspektem przemieszczania się jest

jednak paradoksalnie kwestia pozorów. Swojej wędrówce musisz nadać pozór uzasadnienia, stworzyć iluzję, że idziesz dokądś, że masz dokąd iść. Prawdziwi bezdomni mają to w nosie; ograniczają się do tego, żeby nie zamarznąć i nie popaść w kompletny obłąd. Śpią w tych swoich kartonowych trumnach albo walą się na ziemię byle gdzie - pod drzewem, pod murem, w bramie jakiejś drogerii przy High Street. Ale ty jesteś ciągle w ruchu (dzięki temu gliny dają ci spokój). Przystawiasz obolałe, uginające się nogi, choć najchętniej zwałiłbyś się na pysk, idziesz jednak, idziesz, bo... - iw tym tkwi sedno - bo tak ci wstyd! Czujesz się upokorzony. Wolałbyś umrzeć, niż dopuścić, by ktokolwiek odkrył gorzką prawdę - teraz czy kiedykolwiek.

Wstyd dopada tylko niektórych z nas. Tych ambitnych, jak ja i ty. Wolimy pozostawać w cieniu. Gros włóczęgów afiszuje się swoją nędzą, ale ty i ja głodujemy w milczącej udreće, by zachować jako tako przyzwoity wygląd. Całymi dniami wysilasz nadwątlony intelekt, podszywając się pod kogoś, kim nie jesteś. Pod studenta, działacza robotniczego, ekscentryka. Niby nie jesteś jeszcze bardzo obdarty, lecz wyglądasz nieprzekonująco. Nosisz ledwie widoczne piętno braku życiowego celu. Nigdy go nie zmyjesz. Nawet nie próbuj. Złamiesz sobie serce, przyjacielu.

(Tu mała dygresja: w tych ciężkich czasach dodatkowym utrudnieniem jest napływ świeżych, lepiej urodzonych wyrzutków. Młodszych, czystszych i mniej

kwalfikowanych do nędzy niż my, stare wygi. Na ulicach robi się ciasno, pewnie niedługo trzeba będzie płacić czynsz. To zbiorowy zamach na twoje miejsce w tym mieście, mimo to przyglądasz się nowym rekrutom ze współczuciem. Ci amatorzy są ofiarami merykratycznych lat osiemdziesiątych. Nauczono ich oczekiwać, że będą mieli pracę, płacę i dach nad głową - a przynajmniej ciężką harówkę, norę i jakiś ochłap do garnka. Tymczasem ku swemu zdziwieniu nie dostali nawet tyle. Przeważnie nie dostali nic. Absolutnie nic.

Co więc możesz zrobić, jeśli jesteś młodocianym bezrobotnym z Liverpoolu, Glasgow czy Newcastle? Rodzice wyrzucili cię z domu - jak to rodzice. Oceniasz sytuację. Obliczasz swoje szanse, nadzieje i oczekiwania, a uwijasz się z tym w try miga, bo nie ma czego obliczać. Jedziesz więc do stolicy. Resztką zasiłku starczy ci na wynajęcie pokoju na siedem i pół minuty. Nocujesz gdzie popadnie. Waletujesz przy jakiejś hipisowskiej komunie, dopóki ktoś cię nie pobije, zgwałci lub po prostu nie wyrzuci na pysk. Lądujesz na ulicy. Wiesz, co cię czeka, i wiesz dlaczego. Staczasz się w niebyt.

Wróćmy do twoich problemów. Dotarłeś do Victoria lub Chelsey (zgubiłeś się po drodze? Brawo! Miałeś czym wypełnić cenne pół godziny), zawracasz w stronę centrum. Mijany zegar pokazuje, że jest dopiero wpół do drugiej. Niech to szlag! Wciąż o wiele za wcześnie. Czas marudzi. Czas przystaje i łapie oddech. Czas się ze sobą cacka.

Błąkasz się bez celu w chaotycznym ruchu na Trafalgar Square. Stopy poruszają się automatycznie, umysł masz przyćmiony, patrzysz z ukosa. Miasto mruga. Jąkają się latarnie na skrzyżowaniach. Nocni pracownicy siedzą skupieni w jasnych prostokątach okien. Myśl o ich odmiennym świetle, nie tkniętym światłem dnia, zadziwia cię i psuje ci humor.

Obok przepływają samochody. Dziwne, w nocy zawsze wydają się cichsze. Jest ich mniej, wnioskujeś inteligentnie. Przemykasz przez plac, szukając samotności. Dławi cię strach i pogarda. Miasto pulsuje coraz wolniej, jak twoje senne serce. Opadasz na dno, twoje niebieskie/zielone/piwne oczy zamykają się powoli. Umierasz. Samochody milkną, ludzie rozplývają się w powietrzu. Przystajesz i zaciskasz powieki. Wciągasz zimny wiatr w skurczone, niechętne płuca. OK. Jest dobrze. Jeszcze oddychasz.

Miasto odzyskuje równowagę. Samochody wracają, pomrukując gburowato. Kierownice w okryciu dłoni, reflektory kreślące zawiłe arabeski. Rozmyślasz o tym, że miasto nigdy nie śpi. A może nigdy się nie budzi. Jesteś zmęczony - wydaje ci się, że jest w tym głęboki sens.

Opuszczasz plac. W przyływie straceńczej odwagi udajesz się na dwugodzinną wycieczkę do Barbican i z powrotem. Kolana uginają się pod tobą z jękiem stawów. Wkrótce nie będziesz miał sił dalej iść. Srał to pies, stwierdzasz ze złością. Coś się wymyśli.

Brniesz z wysiłkiem przez nieprzenikliwą przestrzeń. Jesteś silny, jesteś dzielny. No dobra, zrób sobie rundkę honorową, a potem idź dalej.

Nim znajdziesz się z powrotem nad rzeką, jesteś wykończony. Masz dość. Przebierałeś nogami przez cały dzień. Starczy ci sił już tylko na kilka kroków. Wstęga bulwaru wije się naprzeciw, szary asfalt pstrzą plamy światła ozdobnych białych lamp i rozwieszonych girland. Ich świąteczna kokieteria wydaje ci się nietaktowna. Patrzysz za rzekę, na południowy brzeg. Tak, to całkiem dobre miejsce dla twoich celów. Zabudowane, zadaszone, ocienione, dyskretne. I spokojne. No, prawie. Ta kwestia staje się coraz bardziej problematyczna. Jest już późno, do tej pory zdążyłeś się zaznajomić z trzecią zmianą mieszkańców Londynu. To twoi pobratymcy: włóczędzy, bezdomni, prostytutki, złodzieje, mordercy i gwałciciele, członkowie gangów, typy spod rozmaitych ciemnych gwiazd. O, tak. Mniej więcej o tej porze pieczę nad miastem sprawują psychopaci. Oni tu teraz rządzą. A tobie się to wcale nie podoba. Ani trochę.

Załóżmy, że jesteś prawdziwym twardzielem (twardzielką). Bywało się tu i ówdzie, owszem, ale tamci to obłąkańcy. Wypiją twoją krew i wyżrą mózg. Z nimi nie wygrasz. Po prostu nie masz szans. Możesz co najwyżej się do nich przyłączyć. Widzisz, jeśli idzie o przemoc, zasady są w miarę proste: nie chodzi o to, ile masz w bicepsie ani co potrafisz. Najważniejsze to ile

jest w tobie świra. Musisz sprawiać wrażenie psychopaty, a będziesz bezpieczny. Nikt ci nie podskoczy. Zaczynij już z daleka wrzeszczeć, stroić miny, rzucać się w drgawkach. (Resztki zdrowia psychicznego, o ile takowe kołaczą w tobie, starannie ukryj.) Jeśli zdołasz to dobrze odegrać, gwałciciele i mordercy zapłacą ci, byłeś tylko sobie poszedł. (Tu uwaga: nie próbuj tej sztuczki wobec prawdziwego świra. Taki nie da się nabrać. Nie zrobisz na nim wrażenia.) Coraz częściej właśnie szaleńcy wygrywają osławione wojny na ulicach naszych miast. Twoja odwaga, choćby i wielka, jest uładzona, grzeczna, niezbyt pewna. Potrzebuje zachęty, pielęgnacji. Świadomości, że działa w słusznej sprawie. Tu zaś nie ma szans. Ci ludzie zrobią z tobą, co zechcą - bez namysłu, bez powodu i bez skrupółów. (Ty nie jesteś w stanie zrobić im nic takiego, co by ich obeszło.) To oni jawią ci się w koszmarnych snach i klasyfikują twoje fobie. Nie zadawaj się z nimi. Nie grasz w tej samej lidze (a przynajmniej taką mam nadzieję).

Napatrzyłeś się na nich dzisiaj, prawda? Wytrzeszczałeś oczy i powstrzymywałeś torsje, oglądając tę zbójecką operę: przy Holbom Circus opętany świr ćwiczył karate na staruszkach z Armii Zbawienia. Kobieta na chodniku, zakrwawiony nos, włosy zlepione błotem i moczem. I odskakujące głowy filantropów, których upodobał sobie jaśnie pan Bruce Lee. Przemknąłeś na paluszkach drugą stroną ulicy.

Stara zebraczka na moście Charing Cross wypróżnia

się dyskretnie, wsparta o latarnię. Ten powolny, precyzyjny ruch, którym podciera tyłek! Grunt to higiena. Błede zwiędłe pośladki jaśniejają w żółtawym świetle. Pomarszczona twarz jest zgorzkniała i pełna smutku. Odwróciłeś wzrok, by nie patrzeć, jak zanieczyszcza świat innym ludziom. Sędziwa, przesuwająca się powoli ręka, trzęsące się białe ciało, szalone oczy.

I tamta dziewczyna. Twarde, wypełnione nienawiścią spojrzenie, odęte usta. Głos piskliwy z napięciem, nalegający. Oferta handlowa: jej ból w zamian za twoją rozpacz. Zgodnie z zasadami handlu ciałem. *Caveat emptor*. Nie. Nie z nią. Odpychasz od siebie myśl o jej chudych bladych udach i małych szpiczastych piersiach. Ojej smutnych doświadczeniach, krzywicy i arsenale złośliwych chorób wenerycznych. I ojej smutku, wstydzie, grzechu. Ojej codziennym umieraniu. Nie, nie z nią.

(Cudzy obłąd jest zawsze znacznie bardziej szalony niż własne racjonalne, usprawiedliwione zaburzenia psychiczne.)

Pijaństwo i przemoc koncertują na każdej ulicy i placu, w każdym zaułku. Wielki bal - nawet drzewa i mury mruczą odziane w jaskrawe smugi światła. Noc jest zdeformowana i obsceniczna. Hałas. Ciemność. Piekło. Ludzie bez skrępowania krzyczą, śmieją się, płaczą. Twarze, które widzisz, są bez wyrazu, martwe, zabite przez alkohol i wystygłe żądze.

(Te sceny są dość łagodne w porównaniu z horrorem, który mógłbyś obejrzeć w Nowym Jorku. Wystarczają jednak, by zaniepokoić twoją tchórzliwą duszę. Tego co najgorsze i tak nie zobaczysz. Rozgrywa się w ukryciu, prywatnie, ukradkiem. W miejscach, których nie znasz, ludziom, których nigdy nie poznasz, dzieją się gorsze krzywdy. To, co widzisz, jest eleganckim czubkiem góry lodowej. Ciesz się.)

Tak, południowy brzeg to dobry pomysł. Ruszasz różnym krokiem.

Istotnie, tu jest lepiej. Mniej lub bardziej wygodnie rozsiadasz się na jednej ze smutnych klatek schodowych biegnących na tyłach Teatru Narodowego. Otulasz się paltocikiem i wyciągasz ocalałe fajki. Konalesz z braku nikotyny; musisz przecież okazać sobie nieco względów. Zapalasz. Poprawiasz się odrobinę na zdrętwiałych pośladkach. Twoje mięśnie otrzymują zastrzyk krwi, tlenu i bólu. Kładziesz się na twardych krawędziach stopni. Co za ulga!

Oczywiście wcześniej czy później cię stąd przegonią, ale zbytnio się tym nie przejmujesz. W dawnych, lepszych czasach, kiedy oglądałeś wystawiane tu sztuki, widywałeś ochroniarzy przy pracy. Zawsze wydawali ci się względnie przyzwoitymi ludźmi. Są zażenowani usuwając bezdomnych, żeby plac był nieskalanie czysty na przyjęcie tych drugich - zamożnych i kulturalnych, popijających drinki w antraktach. Nie można dopuścić, by jakiś zapchlony dziad wykasływał wnętrzności wprost

na włoskie skórzane buty. Co to, to nie! W nagrodę ochroniarz wysłuchuje zwierzeń otyłych teatromanów zdobnych w wille na południu Francji i cyncate blondynki z agencji towarzyskiej, którym nagle zebrało się na egalitaryzm.

Lubisz tych ochroniarzy i oni bez wątpienia też cię lubią, ale i tak przyjdą cię stąd wyrzucić. Muszę, synu. Inaczej wywalą mnie z roboty. Chyba to rozumiesz. Jasne, że rozumiesz. Jesteś już dość duży i odrażający, by się z tym pogodzić. Wystarczy, że zrobią to humanitarnie.

I tak zresztą jak nie oni, dobiorą się do ciebie gliny. Nie pozwolą ci zasnąć. Możesz stać albo siedzieć; możesz włóczyć się, jak długo zechcesz, ale spanie na ulicy jest wbrew prawu. Czy naprawdę myślą, że gdyby cofnięto zakaz, do miasta zaczęliby się zjeżdżać milionerzy, urzędnicy państwowi i bankierzy z City, żeby legalnie zdrzemnąć się w jakiejś bramie?

Kiedy tak odgniatasz sobie tyłek na schodach, przyglądając się rzece, która unosi ku morzu światła Somerset House, zaczynasz zwracać uwagę na temperaturę otoczenia. Taaak... Oto nadeszła chwila dawno oczekiwanej próby. Jezu, jak zimno! Dopóki się poruszałeś, wydawało ci się, że nie jest tak źle. Pamiętasz? E tam, mówiłeś, jestem twardy, co to dla mnie. Otóż byłeś w błędzie. Ciepłota twojego ciała zaczyna się konsekwentnie obniżać. Stopy tracą kontakt ze światem nie mówiąc nawet „do widzenia”, a palce u

rąk szczypią i pieką z braku krwi. Nos rozpływa się w smarkach. Po raz pierwszy w życiu dokładnie zaznajamiasz się z położeniem swoich organów wewnętrznych. Czujesz wątrobę i nerki, a one czują ciebie i też nie sprawia im to zbytnej radości. Pęcherz budzi się do życia; wnet zaczniesz obsikiwać pobliskie mury. Słyszysz wężowy syk zlodowaciałego jelita grubego. Strasznie marudne to twoje jelito.

Niespodzianka: znajdujesz jedno ciepłe miejsce na południe od pępka. Wtykasz zmarznięte łapy za pasek i starasz się je okryć workiem mosznowym. To chybiony pomysł. Powiem więcej: bardzo zły pomysł. Rąk już nie rozgrzejesz, a ich zimno rozchodzi się po całej miednicy i dociera do zdeorientowanego pęcherza. Zabawa zaczyna się od nowa: wydałeś już cały mocz, na jaki cię było stać, a ten dalej swoje! Masz tego dość. Zaczynasz rozumieć, dlaczego większość ludzi woli żyć inaczej.

Tymczasem bóstwa opiekuńcze nędzy płatają ci jeszcze jeden okrutny kawał. Zapalasz papierosa - bardziej dla ciepła niż z nałogu. Po paru pierwszych, eksperymentalnych sztachnięciach uświadamiasz sobie ze zgrozą, że papieros ci nie smakuje. Nie! wyje twoja dusza. Nie odbierajcie mi przynajmniej fajek! Kasłasz, żeby przeczyścić drogi oddechowe, i próbujesz jeszcze raz. Coraz gorzej. Dym drapie cię w zlodowaciałą pierś, w głowie budzi się kac początkującego palacza. Nie, tylko nie to! Modlisz się o siły do świętego Krzysztofa, potem błagasz o litość wszystkich świętych w niebie. W

porządku alfabetycznym - to wymóg dyplomacji. Głupio byłoby któregoś urazić. We wszystkich znanych ci językach modlisz się o zmiłowanie.

Cisza. Żadnej odpowiedzi. Linia abonencka uszkodzona.

Prawda jest taka: żeby docenić smak papierosa, trzeba być względnie zdrowym i wypoczętym. A przede wszystkim musi ci być ciepło. Jeszcze lepiej - gorąco.

I co teraz? Z papierosów nie ma już pożytku. To niedobrze. To źle, koszmarnie, nie do wytrzymania. Weź pistolet i strzel sobie w łeb. Zdążysz jeszcze ogrzać ręce w dymiącym mózgu, nim umrzesz. Zrobiłbyś to, prawda? Jasne. W twojej sytuacji każdy by tak zrobił.

Dalej. Do końca.

Nie ma jeszcze czwartej, a ty już zaczynasz myśleć, że jeśli zaraz się nie rozgrzejesz, skoczysz do Tamizy. To przynajmniej będzie szybka śmierć. Otrujesz się, zanim utoniesz. Jezu, jak ci zimno! Włosy stają dęba, oczy wyłazą z orbit. Pieprzyć to wszystko, myślisz. Musisz się ruszyć, inaczej już po tobie. Sztywno, boleśnie stajesz na tym, co kiedyś było twoimi nogami. Uważaj, chodzenie wcale nie jest takie łatwe, kiedy najmniej zdrętwiałą częścią twego ciała są podeszwy stóp. Bóg jeden wie jakim cudem, ale idziesz. No dalej. Wysił się trochę. Musisz się ruszać. Dobrze. Tak trzymać. Lewaprawalewaprawalewa-prawa. Staraj się zbytnio o tym nie myśleć, możliwe, że nogi same podejmą rytm. Są

do tego przyzwyczajone. Zdaj się na nie.

Przewróciłeś się, leżysz jak długi, niebo patrzy na ciebie z dezaprobatą. Zdaje ci się, że dostrzegasz w jego płytkim jeziorze zapowiedź świtu, który powleka wszystko widmową poświatą. Mylisz się. To nie świt, to umierają twoje oczy.

Stoczony do cna głodem, zimnem i rozpaczą, patrzysz przez rzekę na swoje miasto. Umysł zaciera się z wyczerpania, w końcu staje. Czekasz. Bledniesz, martwiejesz i odpływasz w niebyt.

A miasto?

Tkwi przykucnięte w ciemności niczym pogański bożek, czarne jak śmierć. Bądź mu posłuszny. Oddaj mu cześć. Niski bełkotliwy samochodowy pomruk odzywa się i cichnie w mroku. Na skrzyżowaniach stoją świece wotywnie - czerwone, żółte, zielone; pomiędzy nimi krążą ruchome lampiony. Już późno. Przepastny mroczny poranek czeka na słonecznego zwiadowcę.

Ty też zaczekaj.

7

(Południowy brzeg Tamizy na chwilę przed wschodem słońca. Bohater siedzi skulony w niedbalej pozie pod ścianą Festival Hall. Wilgoć i samotność przenikają jego zeszywniałe, zroszone zimnym potem kończyny. Słucha szmeru rzeki i płacze cichutko. Zwietrzały beton twarzy zachował obraz zastygłej w nim rozpaczy.)

O! Czerń nocy zsiadła się wreszcie w kwaśny fiolet. Mróz wyrywa mi włosy z głowy, odporne minuty ze zgrzytem toczą się w stronę świtu. Tej nocy świat odciął się ode mnie nieprzyjaźnie. Brudnawy przelotny deszczyk kłuje w twarz i ręce. Nie chce mi się wstawać. Z pobłażaniem obserwuję, jak odziane w światło latarni krople wysychają mi na skostniałych dłoniach, rzucając gasnące tęczowe błyski.

Wkrótce zaczniesz świtać. Przez szczelinę brzasku na świat wdrze się słońce. Na lewo ode mnie most kolejowy nuci już uroczyście. Podkłady i tory ze znużeniem pojękują senną kolejową piosnkę. Refren będzie żywszy: stukot i brzęk. Lubię go słuchać. To pobudka dnia.

Świt pomrukuje chwiejną obietnicą światła. Zimna jasność sączy się już powolutku na drzewa, dachy i rzekę - płynny szary wyciek z łóżyska dnia. W domach całej

Anglii włączają się źle wychowane odbiorniki radiowe. Ranne ptaszki się gołą, zasłony wędrują na bok. Ludzie z nadzieją wyglądają na świat, chcąc dostrzec w nim pomyślną wróżbę na nowy dzień, zapowiedź jakiejś odmiany. Otwieram serce dla wszystkich; myśl o uniwersaliach rzuca mnie na pastwę dobroci i rozczulenia. W takich chwilach czuję się staro. Widzę pustkę i banał mojego nowego życia, jego nędzny dyletantyzm. Świadomość ta łamie mi serce.

O świcie napada mnie melancholia. W pełnym świetle dnia nigdy nie nękają mnie filozoficzne myśli, noc wszakże dodaje mi polotu. Rozważam losy świata. Honor, sprawiedliwość, prawda, miłosierdzie, władza, śmierć i Bóg robią co w ich mocy, żeby jeszcze bardziej zamieszać mi w głowie. Z trudem przeżuwam upichcony przez nie łykowaty melanz. Powinienem dać sobie z tym spokój. Do licha, ledwie wyrosłem z pieluch! Z powodzeniem mógłbym się obejść bez filozofii.

O, posłuchajcie. Poranek wypełnił się teraz dźwiękiem, stracił tę ciszę głębokiej studni, która koła mnie nocą. Ptaki zrzędzą w powietrzu, słyszę odległy pomruk budzącego się miasta. Czerń powlekła się bladawym nalotem; w jego poświęcie połyskuje czerwono mój zmarznięty nos. Zerkam wrogo na zmiętą, szarzejącą panoramę; na mrugające mętnie okna, na mżawkę, która delikatnie otula Londyn wiotkimi ramionami.

Na Boga, zmęczyło mnie już takie życie. Kolejne

godziny zmarnowanych dni nie odchodzą w niepamięć, jak powinna czynić przeszłość - padają na stosy, zaśmiecając ulice. Koniec z tym. Muszę wprawić swoje życie w ruch. Wyjść za miasto. Zobaczyć morze. I tamto dawne niebo. Spotkać się z kobietami, które widuję w snach. Zmienić coś. żyć. Zanim obrócę się w pył.

Deszcz pada teraz mocniej, zawzięcie napiera na ziemię. Szare światło wyciąga swe macki coraz dalej.

Przyglądam się z trwogą nadejściu dnia.

Właśnie w owych martwych godzinach przedświt moje myśli zwracają się ku kobietom. Dziewczynom mego życia. Od początku były dla mnie najważniejsze, w każdej widziałem ziarno łaski Bożej, podporę kaleki. Myśl o nich zawsze poprawia mi nastrój. Nie wiem dlaczego, skoro tak chętnie mnie rzucały (najchętniej z wysokich urwisk). Ale taki już po prostu jestem.

W moim życiu były dwie najważniejsze kobiety. Żadna nie dała mi tego, co zwie się szczęściem; przeciwnie - obie hojną ręką zadawały ból. Obu byłem chyba nie dość wdzięczny. Deirdre i Laura. Irlandka i Angielka. Laura i Deirdre.

Deirdre Curran była pierwsza - i gorsza. Poznałem ją w pewien feralny czwartek, kiedy miałem piętnaście lat. Ot, przypadek, złośliwy kaprys losu. Do dziś nie mogę uwierzyć, że się w to wpakowałem. Najwyraźniej względny komfort osłabia instynkt samozachowawczy. O, podrywałem dziewczyny na prawo i lewo -

rozumiecie, jak to młody Irlandczyk - ale dotąd nie dałem się ogłupić pierwszej szczenięcej miłości. Tłumaczyłem sobie, że przedwcześnie dojrzałem. Deirdre wyprowadziła mnie z błędu. Jej zimna krew sprowadziła mnie na ziemię. Tak, Deirdre wyrwała mi skrzydełka. Przystrzygła je. Nadała mi ludzki wymiar.

W tym wieku to jest po prostu odruch. Trzask i gotowe. Zakochałeś się. Ta świadomość trafia cię jak grom z jasnego nieba. „Ona jest dla mnie stworzona” - myślisz. W każdym razie tak ci się wydaje. Wszystko dokoła podbija ci bębenek. Głupawe piosenki ryczące z nadajników popowych radiostacji. Zapadające wprost w serce romantyczne sceny z dziewiętnastowiecznej literatury. Twoje ego nadyma się radością, empatią, miłością do całego świata.

Przykro mi to mówić, ale prawie nigdy nie wychodzę ze stanu cieleńczego zauroczenia. Jeśli się kiedyś spotkamy (szansa jest niewielka, ale będzie mi bardzo miło), sami się przekonacie, że pałam opętańczym afektem do jakiejś niedostępnej i oziębłej damy. Powiecie: szczenięca głupota, żalosna strata czasu. Co dziwne, chętnie się z wami zgodzę.

Deirdre Curran! Deirdre Curran była niska, krępa, bogata i pochodziła z solidnej protestanckiej rodziny. Aha, była też porażająco głupia. Zanim się obejrzałem, już byłem zakochany po uszy.

W tym właśnie sęk, kiedy jest się samoukiem. U takich jak ja mylnych opinii już nie da się wykorzenić.

Boże drogi, jak ja pożałałem tej dziewczyny! Modliłem się do świętego Judy, patrona spraw beznadziejnych. Spiskowałem, knułem, śniłem erotyczne sny. Obsadzałem ją w fantasmagorycznych dramatach jako porwaną przez bandytów heroinę, której spieszyłem na ratunek w najlepszym stylu Toma Jonesa. Następnie ona oddawała mi się z wdzięczności.

Bez większej nadziei na powodzenie uczyniłem pierwszy krok. Nie uwierzycie! Wcale nie powyrywała mi nóg z tyłka. Ba, myśl o rękoczynach była jej do tego stopnia obca, że oświadczyła mi (cytuję dosłownie!), że nie chciałoby jej się nawet na mnie nasikać.

Czy ja ją o to pytałem?

Byłem nieco załamany, lecz postanowiłem nie dać za wygraną. Czego jak czego, ale silnych postanowień nigdy mi nie brakowało. Zaprosiłem ją na kolację. (Ja, uważacie. Nigdy w życiu nie byłem w restauracji, ba! nie wiedziałem nawet, co to jest obrus!) Oczywiście odmówiła.

Brnąłem dalej:

JA (*pewnie*): Wobec tego na obiad.

DEIRDRE: Przykro mi, nie mogę.

JA (*żarliwie*): Śniadanie? Drugie śniadanie? Podkurek? Lunch? Herbatka? Podwieczorek?

(*Ma się ten zasób pojęć!*)

DEIRDRE: Mówiłam ci już, że nie mogę.

JA (*nonszalancko*): Jeśli nic nie będziesz jadła,

umrzesz z głodu.

DEIRDRE: Ach, tak?

JA: Tak. Uwierz mi, wiem coś o tym.

DEIRDRE: Nie wątpię.

(Chwila ciszy. Zabawa na sto dwa.)

JA *(niespokojnie)*: Masz zastrzeżenia do jedzenia czy do mnie? Bo wiesz, rezygnacja ze mnie byłaby dla ciebie równie niebezpieczna.

DEIRDRE: Jakoś nie jestem o tym przekonana.

JA: Ach, to serce takie zimne, tak nieczułe!

DEIRDRE: Słuchaj, muszę już iść.

(Próbuje odejść. Zatrzymuję ją wbrew rozsądkowi, wbrew woli.)

JA *(energicznie)*: O co ci chodzi? Jestem zbyt bezpośredni, niegrzeczny, samolubny, pompatyczny, niedojrzały...? Popatrz na mnie! Widzisz ideał mężczyzny! Nie sądzisz?

DEIRDRE *(niechętnie)*: No... nie jest tragicznie.

JA *(żywo)*: A zatem co cię powstrzymuje? Przyznasz chyba, że jestem zgoła darem Bożym - ślicznie zapakowanym i dostarczonym ca do rąk własnych.

(?)

DEIRDRE: Nie mam dzisiaj urodzin.

JA *(z przyganą)*: Mama ci nie mówiła, że to niegrzecznie odmawiać przyjęcia prezentu?

DEIRDRE: Mówiła mi też, żebym nigdy nie brała słodczy od obcych.

(Długa pauza. Była to jedyna inteligentna riposta,

jaka kiedykolwiek padła z ust Deirdre. Pewnie przypadkiem.)

JA (*dowcipnie*): Twoja matka wydaje się miłą kobietą.

DEIRDRE: Jest bardzo miła.

JA: I musi kochać swoją córeczkę.

DEIRDRE: Nad życie.

(Wychodzi.)

Dlaczego smarkacze plotą takie bzdury? Z moich ust płynął nie kończący się stek banałów. Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko tyle, że byłem młody. Bardzo młody.

Nie byłem przyzwyczajony do dostawania kosza, reakcja Deirdre jednak podejrzenie wyglądała na odmowną. Cóż, przynajmniej tym razem nie groziła mi obsikaniem. Uznałem to za dobry znak. Spróbowałem jeszcze raz.

I znowu.

I wiecie co? W końcu dopiąłem swego. Jakieś dwa tygodnie i piętnaście porażek później dorwałem ją na przystanku szkolnego autobusu i desperacko roztoczyłem przed nią wszystkie swoje wdzięki. Zgodziła się, żebym towarzyszył jej na zakupy w najbliższą sobotę. Zakupy! Serce nabrzmiało mi nieskromną dumą. Uznałem się za wybrańca losu.

Buchnąłem matce pięć funtów, żeby nie wyjść na golca. Tym bardziej byłem zawiedziony, kiedy Deirdre

nie przyszła na spotkanie (co skądinąd było do przewidzenia).

Jej postępowanie powinno było dać mi do myślenia. Ostrzec mnie. (Nie ostrzegło. Gdy w grę wchodzi mój los, jestem ślepy jak kret.) Każdy mógł ujrzeć jak na dłoni nieuchronną ruinę całej mej przyszłości. Każdy oprócz mnie. Człowiek zawsze największe, najbardziej zbrodnicze błędy rezerwuje dla siebie. Słowem: powinienem był dać sobie spokój.

Nie muszę chyba tłumaczyć, że tego nie zrobiłem? Spróbowałem ponownie. Jej opór wzmacniał moje zdecydowanie. O dziwo, tym razem nie stawiała oporu i nawet, by tak rzec, odwzajemniła moje gorące pożądanie na swój powściągliwy prezbiteriański sposób. Przypuszczam, że nigdy nie spotkała kogoś takiego jak ja. Bawiłem ją. Zaskakiwałem. Zadziwiałem. Ponadto byłem o wiele ładniejszy, niż miała prawo się spodziewać. To chyba zadziało na moją korzyść. Bajeczna uroda była jedyną cechą, którą prymitywny aparat percepcyjny słodkiej Deirdre mógł docenić. Nie była stworzona do związków ducha lub intelektu.

W następną niedzielę spotkaliśmy się w parku. Znów odstawiłem swój popisowy numer. Czyniłem cuda. O czarownym zmierzchu wprowadziłem w drżenie omszałe kościelne dzwony. Kazałem im tańczyć i śpiewać dla mej ukochanej (liryka przychodziła mi wówczas bez trudu). Tokowałem jak najęty. Rozdygotany zastanawiałem się gorączkowo, czy powinienem ją pocałować czy też nie.

Bez zbędnego namysłu Deirdre wsadziła mi rękę w spodnie.

Zapytałem ją, co robi.

Odparła: „A jak myślisz?”

Chryste, do dziś rumienię się na myśl, jaki byłem wówczas naiwny!

Nie miałem zamiaru pozwolić, by tak zbrukano moje rzewne uczucia. Delikatnie wytknąłem jej protestancką nieskromność. Odwołałem się do ideałów czystości, dziewictwa i wzajemnego szacunku. Zapytała, kiedy w końcu ją przelecę.

Cóż, miałem piętnaście lat. Rozumiecie, co chcę powiedzieć? Piętnaście. Starłem się pozostać czysty. Nie nadużyć jej zaufania. Naprawdę bardzo się starałem. Ale miałem piętnaście lat i od roku erekcję non stop. Seks - w takim czy innym przebraniu - był stale obecny w moich myślach. Powinienem być mieć przed oczami cnotliwy cień Agnieszki Wickfield. Zamiast tego roił mi się wyuzdany balet piersi, brzuchów i pośladków. Miałem piętnaście lat i żadnych szans.

Sam przed sobą zmuszony byłem przyznać, że mimo ogromnego szacunku dla czci Deirdre zamierzałem ją tej czci pozbawić. Poczyniłem więc pewne plany. Odsunąłem w kąt zasady i upudrowałem sprzęt. Rozpaleni czekaliśmy na sposobną okazję.

Gwałtownie potrzebowałem ojcowskiej porady, ale skąd miałem ją wziąć, sam sobie będąc ojcem? Ja, heros, nie zamoczyłem jeszcze mego pióra w najbardziej

żywotnym z atramentów. Moja chętna współpracowniczka również nie odbyła stosownej inicjacji (w każdym razie tak mi powiedziała). Brak mi było pewności siebie. I rozumu. Na myśl o zbliżającej się nieuchronnie Wielkiej Chwili moje dziewicze uda trzęsły się jak galareta.

W końcu, wykorzystując nieobecność jej rodziców, zająłem twierdzą. Moja męskość już czekała gotowa do czynu, Deirdre z falującą piersią osłabła mi w ramionach, a ja... ja nie mogłem się na to zdobyć!

Wszystko przez jej bieliznę, cnotliwy przyodziewek grzecznej uczennicy, nie zaprojektowany po to, aby go zrzucić. Ani po to, żebym go oglądał. Warczał na mnie, zsuwając się z jej rozpalonych kończyn. Kąsał mnie w palce. Wara! - syczał, opowiadając zarazem historię małej Deirdre, istoty ludzkiej. O, nie, odwarknąłem, milcz; dla mnie ta istota składa się z cycków i tyłka. Dalej, dzielny Bogle'u, jurny Bogle'u, pokaż jej, że jesteś mężczyzną! Ale kupka zmiętych ciuchów leżała na podłodze, krzycząc rozpaczliwie: „Nie! Ręce precz! Gwałciciel!”

Widzicie, połączenie seksu z czułością jest trudnym zadaniem. Można je osiągnąć dzięki naukowo podbudowanej wprawie - albo po prostu do tego dojrzeć! W moim wieku i przy moim braku doświadczenia było to po prostu niemożliwe. Zamiast dokładać drewno do ognia, zacząłem oglądać piec. Fatalny błąd, jeśli miało się w planach tylko niezobowiązujący akt płciowy. Dotąd byłem gotów na wszystko. Niestety, nagle polubiłem

Deirdre. Znadto ją polubiłem.
Zapaliłem papierosa.

Wątpię, czy Deirdre to zrozumiała. Wyjąwszy impotencję (wolne żarty!), nie widziała przeszkód na drodze do naszego celu. Wyjaśniłem, o co mi chodzi. I wiecie? Chyba była mile połechtana, wzruszona - może nawet poczuła ulgę. Napiliśmy się kawy gawędząc o drobnych urokach życia w czystości.

Mało przekonujące, co? Nie tego spodziewalibyście się po nieczułym, agresywnym, przedwcześnie dojrzałym płciowo Ripleyu Bogle'u. A jednak to prawda. Patrząc wstecz, sam się wzruszam. Ten altruizm, szacunek dla drugiego człowieka... Jestem pełen podziwu dla siebie. W gruncie rzeczy byłem dobrym chłopcem. Zważywszy dalsze losy słodkiej Deirdre, mogę co najwyżej zaśmiać się szyderczo. Albo uronić parę gorzkich łez. Nie rozumiecie? Zrozumiecie. Wszystko wam opowiem.

O, nadchodzi (mam na myśli świt). Na niebie wystąpiły zacieki wątlęgo blasku, który kapie na moje powalone nostalgiczne „ja”. Antracytowa rzeka wibruje szeptem i sykiem. Dzień zaczyna rozkładać swój brudny kramik. Wypoczęci, gotowi stawić mu czoło ludzie ściągają już do miasta. Londyn przybiera swój poranny nastrój: przeciąga się leniwie w błogiej jeszcze apatii.

Jestem zmęczony i senny. Zaraz usnę. Sen będzie dla mnie nowym doświadczeniem. Nastął kolejny dzień,

piątek. Dziś są moje urodziny. W każdym razie uważam ten dzień za swoje urodziny z braku przeciwnych dowodów. Nie mogę mieć przecież pewności. Skończyłem dwadzieścia dwa lata. Hurra! Niech się święci ów dzień! I tak nigdy nie lubiłem urodzin. Wydają się kuszeniem losu.

Ach, zamknij już wreszcie oczka, Bogle. Śpij.

Miasto zaczyna lśnić twardym światłem bladego świtu, który spada jak kosa z posępnego kurhanu chmur piętrzącego się na strupieszalym niebie.

Piątek

1

Żwir chrzęści pod dziurawymi butami Ripleya Bogle'a, zagłuszając senny pomruk poranka. Dwudziestodwuletni jubilat patrzy twardo na budzącą się z letargu panoramę; idąc, wali patykiem w anemiczny żywopłot z ligustru.

Dwadzieścia dwa lata. Duchy przeszłości paradują przed nim, wykrzywiając się szyderczo. Prawdziwy bal maskowy. Dwadzieścia i dwa. Nie zostało w nim nic z dziecka.

Osiągnąwszy najwyższy punkt długiego, łagodnego wzniesienia, patrzy na rzekę, która toczy ciche odrętwiałe wody pod rozjaśniającym się niebem. Wstrzymuje oddech, skrupulatnie utrwała w pamięci ten obraz. To jego stara sztuczka. Przywłaszcza sobie wrażenia. Czerpie pociechę *per fas et nefas*.

Powoli wypuszcza z płuc przeciągłe bezgłośnie westchnienie. Nad jego głową pierwsza samotna mewa wystrzela w górę z przenikliwym krzykiem.

Idzie powoli obmywanym przez przypływy brzegiem. Za chwilę będzie kawa, myśli. Gorąca i gorzka rozkosz. Do tego papieros, może nawet kilka. Uśmiecha się z rezerwą, smakując tę myśl. Nie lubi pośpiechu. Maestria wymaga czasu i uwagi. Powietrze jest zimne i

szorstkie. Wśród rzadko rozsianych drzew zalega jeszcze warstewka mgły. Niebo pokryły zasy ciężkich białych chmur. Wiatru prawie nie ma, a nieprzejrzysty opar głuszy nieśmiałe jeszcze dźwięki, moduluje milknący w górze krzyk mew.

Ripley kluczy wśród kamieni i cuchnących kałuż. Wdycha gorzkie wspomnienia morskiej wody, echa dnia, gdy jako młodociany filozof zakosztował jej po raz pierwszy. Sok płaskiego, z pozoru przyjaznego oceanu okazał się żrącą trucizną; dopiero lody zdołały zatrzeć to doznanie.

Parę metrów od brzegu sterczy wielki głaz. Ripley wspina się po jego mniejszych braciach i zasiada na kamiennym tronie. Lekko zmrużonymi zielonymi oczyma wpatruje się w zmarszczoną przyplływem rzekę. Tymczasem nad Londynem pojawia się, czkając z lekka, zaspane słońce niczym eteryczny mleczarz, który wiezie płody ziemi w dzwoniących butelkach. Pobudka!

Nasyciwszy zmysł wzroku, nasz bohater powraca do rozmyślań. Urodził się równe dwadzieścia dwa lata temu. Tak mu powiedziano i nadal w to wierzy. Słynny Ripley Bogle, ongiś człowiek, dziś tramp, ukończył dwadzieścia dwa lata. Wszystkiego najlepszego! Gratulacje! Minęły wieki, odkąd po raz ostatni ktoś składał mu życzenia. Ale sza! To mizantrop. Stroni od ludzi, odkąd życie mu zdechło.

Patrzcie, znów się zamyślił. Dojrzewa do papierosa. Jego twarz rozjaśnia się na krótką chwilę. Ustępuje

dławiający płuca ucisk. O, czcigodni Benson & Hedges i wam podobni! O, sponsorzy krykieta i agencji reklamowych! Dawcy szczęścia i uspokojenia w królewskich złotych paczkach lśniących dyskretnie pod celofanowym woalem!

Nie opodal zgarbiona postać gramoli się niezdarnie po wilgotnym rumowisku.

Qui va là?

Perry.

Nadchodzi.

Ripley siedzi w towarzystwie rzeki, która szemrzącym bulgotliwym szeptem zwierza mu swe sekrety.

Perry zmierza powoli ku Skale Ripleya. Drewniane kule stukają na kamieniach. Stuk-puk-klik. Sunie żmudnie jak żółw. Żółwia głowa wysunięta w przód, stercząca na karku szczecina. Okrągłe żółwie plecy.

- Cześć, Perry.

- Witaj, chłopcze. Dobrze dziś wyglądasz.

Perry manewruje kulami, podskakuje i dryga, wreszcie siada. Ripley nie rzuca mu się na pomoc. Udaje, że nie widzi jego kalectwa. Rozumiecie, Perry dba o pozory. Podobnie Ripley.

Stary rzuca współczująco:

- Ciężka noc?

- Jak każda.

- To fakt.

Milkną zgodnie. Ripley z wysiłkiem odwraca wzrok od sakwy starego.

Artretyczna drżąca dłoń kaleki sięga po brudną płócienną torbę. Zagłębia się w niej. (*Fanfary.*) Najpierw termos. Odrapany metalowy cylinder w szkocką kratkę, kielich gasnących nadziei. Następnie podobna do niego jak siostra puszka na tytoń. Dzyń-dzyń. Śniadanie dla chłopców.

- Kawki, Ripley? - zagaja dyplomatycznie starzec z wystudiowaną swobodą.

Młodzieniec nie wie, czemu podejmuje grę.

- A wiesz, chyba dam się skusić. Dzięki.

Rzucając sobie wzajem rozbawione spojrzenia, zaczynają przygotowania. Zadania są podzielone. Młody nalewa czarnej jak smoła kawy do nakrętki termosu. Stary skręca w bibułkach podejrzanej jakości tytoń. Słońce przyświeca blado zza szarej błony chmur.

Puchar wzniesiony. Perry pociąga długi łyk, ze smakiem młazzcze zwiędłymi wargami. Oddaje kubek swemu akolicie. Chłopak także pociąga długi łyk. Jego zaskoczony żołądek wzdryga się w panice. Z opustoszałych wnętrzności dobywa się dziwny, dysharmoniczny odgłos. Chłopak czerwieni się. Perry udaje, że nie słyszał. Obaj dbają o pozory.

Z uśmiechem kiwają głowami - i nad sobą, i nad tym drugim.

Znów piją kolejno. Grunt został przygotowany: tym

razem gorący płyn przemierza wnętrzości Ripleya bezgłośnie. Podkrada się nieśmiała jeszcze Rozkosz.

- Mmmm... Dzięki.

Perry przesuwa ręką nad szorstkim kamieniem i na czubku zapalki pojawia się płomyk, sycząc i prychając ze złością. Stary zapala dwa luźne, powykrzywiane skręty. Podaje młodszemu ten grubszy i zgrabniejszy.

- Masz.

Ripley pali z nabożną czcią; dym grzeje mu usta i palce.

O tym marzył w swoich najczarniejszych chwilach. Kłęb ostrego wilgotnego dymu znów budzi do życia wyschnięte płuca. Panie Boże Wszechmogący, jakież to wspaniałe uczucie!

- Smakuje?

- Bardzo.

- No. Ja też to lubię.

- Tak?

Ripley zawiesza głos. Pytanie retoryczne. Użyteczne narzędzie: pozostawia cię na nasłuchu (choć słuchasz głównie siebie). Perry wygłasza następne pytanie spowite w chmurę niebieskawego dymu:

- Chyba niezbyt dobrze to znosisz, co?

- Niespecjalnie.

- Jesteś młody. Wszystko jeszcze przed tobą. Nie powinieneś się tak opuszczać.

- Wiem.

Obaj patrzą na rozleniwioną szarą rzekę. Oleisty nurt

orze rdzawe przęśła masywnych mostów. Ripley drżącą ze szczęścia dłonią podnosi skręta do ust. Znów namaszcza wonnym dymem spragnione płuca. Cisza sączy się jak mżawka, głuszac skrzek wszędobylskich mew. Minuty płyną. Poranek się wydłuża. Mężczyźni milczą. Wykrztuszone od czasu do czasu frazy padają głucho w pełne wiatru serca.

- Tamci dalej cię nachodzą? - Ripley sili się na zainteresowanie.

- Byli wczoraj.

- I co mówili?

Spod ciężkich powiek błyskają dobrotliwe żółwie oczy. Perry cierpliwie czeka, aż będzie mu dane posiąść ziemię.

- Stwierdzili, że chata nie jest moją własnością.

- Na litość boską, przecież sam ją zbudowałeś!

- To im właśnie powiedziałem.

- Chcą cię wysiedlić? Wątpię, żeby mieli do tego prawo.

- Mają prawo zrobić, co tylko zechcą. - Stare żywicznobursztynowe oczy przymykają się łagodnie.

- I co zrobisz? - pyta Ripley.

- Zaczekam.

- Na co?

Pomarszczona uduchowiona twarz obraca się ku rzece. Perry uśmiecha się.

- Czasem się zastanawiam, jak to możliwe - mówi - że na tym pięknym świecie jest aż tylu drani.

Myśli Ripleya śmigają z młodzieńczą werwą. Oho! Staruszek zaczyna gonić w piątkę. Ma już pewnie z osiemdziesiątkę. To sporo. Patrzy biedak na księżą oborę. A ma rodzinę. Sześciu synów. Pieprzeni dranie. Gównu ich obchodzi, że stary włóczęga szykuje się do skoku wzwyż. Przygnębiające. Na przyszłość powinienem pamiętać, że rozmowy ze starymi ludźmi nieuchronnie prowadzą do rozważań o śmierci.

- Nie wyrzucą cię stąd - mówi, żeby coś powiedzieć. - Nie mogą.

- To nie ma znaczenia.

Cisza. Pałają w skupieniu.

Poranek stroi się w wąły uśmiech. Miasto niezdarnie bierze się do życia. Głodne mewy kołują i nurkują w panice, krzyczą coraz głośniej, coraz bardziej nagłaco. Milczące drzewa wyciągają zmarznięte gałęzki, jakby chciały się otulić miękkim futrem chmur. Przygarbione, półnagie, patrzą z pogardą na wiecznie zielone, arogancko beztroskie iglaki. Niebo obniża się, rzucając na miasto groźny cień.

Ripley desperacko zdziera z siebie palto. Zdziwiony Perry wolno unosi głowę. Wskazuje na toczący się od rzeki dywan mgły.

- Po jaką cholere się rozbierasz?

- Noszę to na grzbiecie od tygodni. Zaczynam się dusić własnym smrodem.

- Myślisz, że jeśli zdejmiesz, zaczniesz pachnieć fiołkami?

- Chodzi o zasadę.

- Aha.

Młody człowiek rozpościera palto na sąsiednim kamieniu. Jest zły. Odór własnego ciała rodzi w nim wstyd i bunt. Zaciska zęby, gwałtownie wciąga w płuca cuchnący dym ostatnich okruchów tytoniu i wilgotnej bibułki. Jego twarz okrywa się ciemnym rumieńcem.

- Chcesz jeszcze fajkę? - pyta Perry.

- Chętnie.

Gniew młodzieńca nagle mięknie, wiotczeje w mackach lepkiej mgły, która objęła jego głowę. Artretyczne dłonie Perry'ego manewrują puszką z tytoniem. Ripley rzuca niedopałek w powietrze. Ten zatacza łuk, pada w błoto i gaśnie z sykiem.

Mgła zbiegła się zewsząd, otula ich teraz jak mufka. Wilgoć błyszczy na gęstych włosach młodzieńca i rzadkich starca.

- Dlaczego to robisz? - odzywa się Perry.

- Co takiego?

- Włóczysz się po ulicach.

- Ach, to... No, cóż, plany mojej przyszłej kariery są na razie, jak by to rzec... niesprecyzowane.

- Bardzo zabawne.

- Owszem.

Perry zapala oba papierosy.

- Nie idzie ci to na zdrowie - podejmuje. -
Wyglądasz jak truposz.

Podaje doczesnym szczątkom Ripleya Bogle'a

zapalonego papierosa. Trup dziękuje. Perry mówi dalej:

- Nie chcesz chyba doczekać takiej starości jak ja?
- Dlaczego nie?
- Nie bądź głupi!

Stare żółwie oczy przenikają na wylot rumieniec, który okrywa twarz chłopaka. Perry ciągnie z zadowoleniem:

- Możesz mi wierzyć, synu.
- Wierzę, wierzę.

Zapada cisza. Wiatr unosi wydychaną z tytoniowym dymem różnicę zdań. Chłód zdaje się kąsać mocniej i głębiej. Ripley obserwuje orszak tłustych dżdżownic mijających jego kamień w drodze do kupki liści. Cicho, bez pośpiechu kurczą się i rozkurczają. Ripley wybucha śmiechem.

- Może i masz rację. Może powinienem odpocząć.

- Zarób trochę forsy. Znajdź sobie mieszkanie. Przecież to nie takie trudne. Zwłaszcza dla ciebie.

- O, tak!... - Ripley zwija się z uciechy. - Żaden problem.

Jego śmiech cichnie, na twarz wypełza gorycz pomieszana z lekkim rozbawieniem i rozpaczą. Przyszłość go nie trapi. Weźmie trochę nadziei, zmiesza z wodą, wymiesi i upiecze w ogniu swych żarliwych doznań.

- Zresztą co ja ci będę mówił, chłopcze. Rozumiemy się bez zbędnych słów.

O Boże. Ripley uśmiecha się z zażenowaniem.

Metafizyka o poranku! Co ma odpowiedzieć? Patrzy na rzekę. Znów na bardzo, bardzo długą chwilę zapada cisza.

Woda pluszcze o kamień. Prawa stopa Ripleya pławi się w cuchnącej oleistej pianie. Perry rozgląda się zaskoczony. Jest starszy, ma spowolniony refleks.

- Zbierajmy się stąd. Idzie przypyw.

Ripley wstaje, podciąga nogawki i jak dziecko radośnie skacze po kałużach. Patrzcie na to cudowne odmłodzenie! Perry rozsądnie kuśtyka po suchym, mocno wpierając kule w rumosz. Miałby pomykającego do domu małego kraba. Ripley wpatruje się w konającego skorupiaka. Perry też jest konający. Zbiera towarzyszy podróży na tamtą stronę.

Kaleka i włóczęga, jeden suchy, drugi mokry, wspinają się na brzeg, ścigani przez brunatną wodę. Przygrywa im kakofoniczny zgrzyt kul Perry'ego. Ripley zatrzymuje się nagle.

- Psiakrew! Mój płaszcz!

Starzec niezgrabnie manewruje kulami, podając mu zapomniany przyodziewek. Ripley wkłada go i wzdryga się pod zimnym dotykiem przemoczonej tkaniny.

- Muszę już iść, Perry. Wracasz do swojej budy?

- Chyba jeszcze tu posiedzę. - Perry wskazuje niewysoki, porośnięty trawą wzgórek. - Lubię rano popatrzeć na rzekę.

Stoją niezgrabnie, nie wiedząc, jak zakończyć. Ripley patrzy na starego. Jego twarz jest rozmyta we mgle i mżawce jak na starym dagerotypie, oczy znużone i

zatroskane.

- No to... - Rozpoczęte zdanie umiera w jego ustach i leży nie pogrzebane. (To źle; takie zdania należy chować, inaczej pojawiają się zdradliwie w cudzych myślach, wyzute z synowskich skrupułów.) Ripley jąka się, myśli zbyt szybko, w końcu rezygnuje z wymogów dramaturgii. - No to do jutra - duka.

Stary kaleka uśmiecha się.

- Będę tu na pewno.

Ripley wie, że to wcale nie jest takie pewne. W wypadku Perry'ego każdy poranek ma tę szansę, że może się okazać ostatnim.

Stoją nieruchomo. Kozuch deszczu i mgły nieco się unosi. W rzedającym powietrzu majaczą z nagła złowieszcze kształty. Ptaki zaczynają leniwie świergotać na gałęziach. Brzydkie, skażone trądem miasto uśmiecha się z posępną satysfakcją. Ripley z przekonaniem demonstruje troskę.

- Dbaj o siebie, Perry - radzi.

- Cześć. - Perry wdrapuje się na swą ziemną trybunę.

Syk rzeki. Tchnienie poranka.

Ripley zbiega ze wzgóрка, ślizgając się na mokrej trawie. Zastanawia się, czy jeszcze zobaczy Perry'ego. Trudno powiedzieć. Wkłada zmarznięte ręce do kieszeni. Prawa napotyka dziwny, na poły zapomniany kształt cienkiego zwitka papieru. Trawa zwalnia i zatrzymuje się pod stopami. Zgrabiałe, niezręczne palce omal nie upuszczają zdobyczy. Powoli, ostrożnie rozchyła je i

patrzy na dziesięciofuntowy banknot, który leży na jego brudnej dłoni, szeleszcząc lekko na wietrze.

Usiłuje nie myśleć. Wstyd i poczucie winy - dwie wiedźmy - warzą w kociołku żal. Ripley idzie dalej, wyczekując chwili, gdy schowa się za zbawczym żywopłotem. Stara się nie obejrzeć. Ogląda się.

Perry siedzi jak posąg na wzgórku, otoczony porankiem. Spokojnie czeka.

2

Putney Bridge Road. Zapalam kolejnego papierosa. Kolejny cudowny trik, który od nowa rozkrwawi mi płuca. Jezu! I o to chodziło! Czterdzieści ślicznych smukłych fajek pozwoli mi godnie przeżyć pół parszywego dnia. Dzięki dziesięciu wymiętolonym, cudownym, demokratycznym funtom Perry'ego!

O, tak... Szczęście osiada mi na kościach jak rosa. Nic tak nie podnosi człowieka na duchu jak trochę forsy. Dzięki Perry'emu dym namaszcza moje zawężone wnętrzości, rozluźnia je błogo. Dym mnie oczyszcza, jest panaceum, wyrocznią, dobrą wróżbą! Boże jedyny, jak ja kocham palić!

Kiedy byłem przy forsie, paliłem cztery paczki dziennie, czasem więcej. Płuca miałem pokryte grubą warstwą asfaltu. Mój oddech czuć było siarką, język - rynsztokiem i gnijącymi wodorostami. Dym był moim naturalnym, życiodajnym środowiskiem. Świeże powietrze przyprawiało mnie o mdłości, a tlen o ból głowy, który mógł uleczyć tylko solidny zastrzyk nikotyny. Wystarczył kwadrans bez papierosa i zaczynałem chodzić po ścianach. Któregoś roku praktycznie sam sfinansowałem działalność drużyny krykietowej hrabstwa Essex! W dziale marketingu firmy Benson & Hedges moje imię wymawiane jest z głęboką czcią. Niedługo zaczną kręcić reklamy specjalnie dla

mnie.

Fakt, że każdego ranka pluję krwią. Zresztą nie krew martwi mnie najbardziej, lecz to ciągłkowe nie wiadomo co, które w niej pływa. Zielone, żółte, brązowe, z dnia na dzień ciemniejsze i gęstsze. Może po kawałku pozbywam się płuc?

Skrećam w Armoury Way kierując się ku York Road. Miasto jest dziś wyjątkowo oślizłe; stopy ślizgają się na wyboistym chodniku, więzną w tonach mokrego śmiecia. Ludzie garbią się ze wstydu, że żyją. Powinienem się tu czuć jak u siebie w domu.

Cały problem w tym, że Putney jest tak daleko. Wyprawa jak u Tolkiena! Pomimo to zwykle maszeruję tam rano, by odwiedzić Perry'ego. Perry to prawdziwy as, wyjątkowo twardy, zważywszy okoliczności. Mieszka w zapluskwionej budzie nad Tamizą. Sklecił ją z odpadków jakieś sto lat temu. Nie jest to zbyt przytulne lokum - wilgotne, zimne, o powierzchni wygodki - ale stary snob nie chce być bezdomny. Jest na to zbyt dumny, jak to Polak.

Śmieszna rzecz z tymi Polakami - za młodu strach na nich patrzeć, ale za to jak przystojnieją na starość! Tak właśnie stało się z Perrym. Pokazał mi kiedyś swoje zdjęcie z czasów wojny. Koszmar. Za to teraz - fiu, fiu! Granitowy Adonis. Ta godność, ta mądrość malująca się na obliczu! Skrzyżowanie Jamesa Masona z Bogiem z obrazów Blake'a: siwy włos i przenikliwe wejrzenie. Słowo daję, że sam chętnie bym mu się oddał!

Perry jest Polakiem. Nikt by tego nie odgadł, a on rzadko o tym mówi. Nie cierpi Polski i Polaków (tak jak ja Irlandczyków). Uważa, że Polska wypięła się na swoich synów. Jeśli mu wierzyć, wszyscy Polacy nienawidzą się nawzajem. W czasie wojny był pilotem (jak oni wszyscy). Kiedy uciekł do Anglii, zaproponowano mu wstąpienie do jednej z polskich eskadr. (To właśnie lubię u Brytoli - są tacy mili, tolerancyjni i gościnni.) Perry odmówił. Podejrzewam, że chętniej zaciągnąłby się do Luftwaffe. Jednakże po pewnym czasie dowiedział się, że Szwaby przerobiły na gulasz jego mamę, tatę, siostry, braci, dziadków, wujków i narzeczoną (Niemcy potrafią być strasznie nietaktowni). Perry tak się wkurzył, że zwalczył swoje zdrowe odruchy i wstąpił do polskiej jednostki RAF. Przez następne dwa lata własnoręcznie wypruwał flaki z hitlerowskiej maszyny wojennej (Polacy są zawzięci i pamiętliwi). Pod koniec wojny pocisk rozwalił mu miednicę (zdołał jeszcze wylądować, dacie wiarę?). Zabrano go do szpitala, gdzie nabawił się grypy i stracił wzrok w jednym oku. Wojskowy chirurg spieprzył operację, dzięki czemu łądzwia Perry'ego są do dziś kompletnie sztywne. Przy wypisie dali mu medal i parę kul inwalidzkich.

Perry miał kiepskie życie (za to go lubię - nie wpędza człowieka w kompleks niższości). Jest moim przyjacielem, chyba jedynym, jakiego mam. Dziwna przyjaźń, powiecie. Jaką płaszczyznę porozumienia, co

wspólnego może mieć młody bezdomny Irlandczyk i stary polski kaleka? Pomimo to Perry jest moim druhem, już ostatnim. Lada dzień zostanę całkiem sam. To smutna prawda i żadna tajemnica: Perry niedługo umrze.

W zasadzie nic mu nie dolega. Owszem, jest kulawy i prawie ślepy, ale jak na swoje lata całkiem nieźle się trzyma. Męczy go ciągły bronchit, lecz to nie on go zabija. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, co konkretnie zabija Perry'ego - widocznie jest jakiś powód. Przeczucie bliskiej śmierci, grające tak istotną rolę w wiktoriańskich powieściach, wydawało mi się ongiś bzdurnym wymysłem. Nie trafiało mi do przekonania. I wiecie co? Nie miałem racji. To działa. Takie rzeczy się po prostu wie. Jak w przypadku Perry'ego. Nie pytajcie, skąd wiem. Wiem i już.

Wyszedłem na Battersea Park Road. Miasto wyraźniej rysuje się w porannej mgle. Szarzejące niebo patrzy z wyższością na brudne dachy i kręte ulice południowego Londynu. Kościoły optymistycznie wychylają się z szarzyzny.

Perry to mądry facet. Nie obnosi się z tym, ale to fakt. Może dlatego tak wyprzystojniał na starość. Kto wie? Dziś rano był nie w sosie. Cóż, starzy mają prawo od czasu do czasu pozzrędzić - ostatecznie stoją jedną nogą w grobie! Zburczał mnie za to, że jestem włóczęgą. Stary snob. Uważa, że powinienem lepiej zadbać o siebie. Nic odkrywczego. Miło, że się mną interesuje. W tym wieku to musi być trudne. Jest się tak wątle związanym

ze sprawami świata. Myślę, że Perry naprawdę się o mnie martwi. Sentymentalny dureń. Choć właśnie to jest główna zaleta jego pokolenia.

Starzy wygrywają przyzwoitością. Niewiarygodne, a jednak prawdziwe. Wyobraźcie mnie sobie: prę przed siebie, wysoki, silny, męski i niebezpieczny jak wąż. Jestem nędzarzem, lecz zarazem pieśnią triumfu młodości i siły. Jestem groźny, powierzchowny i kocham tylko siebie. Najwyższy kapłan wyszczekanej młodości! Nic nie zbije mnie z tropu prócz przyzwoitości. Postawcie mnie naprzeciw przyzwoitego człowieka - krótkonogiego brzuchatego przeciętniaka z debetem na koncie i pryszczatymi córkami - i zrobię się, o, taki malutki. Zabija mnie ich łagodna mądrość, równowaga i doświadczenie. Takt, dobroć i pokorne godzenie się z losem. Chryste, myśl o tej zupełnie zbędnej dobroci przyprawia mnie o mdłości! Mieszam się, jąkam, dukam... Ja! Gwiazda wśród oratorów! Kiedy byłem młodszy, lałem ich po pyskach, uwodziłem im żony i sikałem na peruczki. I tym podobne. Ale to i tak niczego nie zmieniało. Zawsze miałem uczucie, że to oni są górą, niezależnie od stawki. Nie mogłem tego znieść. Co takiego mają te tęgoryjce, czego mi brakuje?

(Nie staraj się odpowiedzieć na to pytanie!)

Wiek. Właśnie to was odróżnia. Śmieszna rzecz z tą starością. Tak samo jak ze śmiercią - o obu staram się zbyt często nie myśleć. Wkrótce nadejdzie i co wtedy pocznę? Och, ta przepaść!... Ten świetnie strzeżony mur

po między starymi i młodymi. Oni nienawidzą nas, a my ich. Jednakowoż to oni rządzą światem, także młodymi. Cały ten geriatryczny park przywódców państw, którzy turlają naprzód naszą biedną Ziemię. Cóż oni wiedzą o współczesnym świecie? Przekwitli jeszcze w czasach drugiej wojny światowej. Są niedzisiejsi. To żywe trupy, do licha!

(Z drugiej strony nie chciałbym, żeby jakiś niedorobiony gówniarz rządził krajem metodą prób i błędów. To byłoby nierozsądne... i dość uciążliwe.)

Problem ze starymi ludźmi polega na tym, że są starzy. Są nadęci, nietolerancyjni i kłótlivi. Brak im spontaniczności i wigoru. No i strasznie roztkliwiają się nad swoją starością.

Problem z młodymi polega na tym, że są młodzi. Uparci, próżni i krnąbrni. Brak im rozumu i trzeźwości osądu. Ponadto strasznie roztkliwiają się nad swoją młodością.

Mam wrażenie, że sprawdzę się jako starzec. Będę musiał, nie? Kościsty, szlachetny profil... (mam nadzieję). Jeszcze się nie zdecydowałem, jak długo chciałbym żyć. Nie jestem gerontologiem. Przemyślę to, kiedy będę nieco starszy.

Perry wsunął mi dziś dychę do kieszeni płaszcza. (Takt kieszonkowca! Ten człowiek to święty.) Muszę przyznać, że poczułem się nieco urażony. Doznałem uszczerbku na honorze, a nie mam go na tyle, by pozwolić sobie na codzienne straty. Nie zrozumcie mnie

źle: ta forsa spadła mi jak z nieba, ale co za cios dla mojej pychy! (Skądinąd czyż to nie szczyt uporu, że jeszcze trzyma się mnie ten zacny grzech główny?) W moim wieku wisieć na garnuszku kalekiego nędzarza? Staczam się, to pewne. Choć może nie powinienem tak nad tym biadać. Może należałoby się pogodzić z nieuchronnym. Przygotować na zetknięcie z dnem.

Może powinienem się uczyć od Perry'ego? Brak mi pokory. A ta w moim położeniu może okazać się przydatna. Tylko że moją maksymą zawsze było: „Zaczekaj z pokorą, aż braknie ci sił”. Widocznie zaczyna mi ich brakować. Moja małość karmi się moją słabością. Tak jest zawsze. To niesprawiedliwe. Perry czerpie z pokory to co najlepsze. Ma tę przewagę. Mnie cały świat rzuca kłody pod nogi.

Dochodzę do Nine Elms Lane. Zapałka syczy anemicznie, krztusi się i pluje siarkowym płomieniem na czubek papierosa. Mgiełka znów się zagęszcza, chce pokazać, co potrafi, nim przepłoszy ją dzień. A potrafi to i owo, dusi ziemię ciężkim pledem. Włosy znów mam mokre, w płucach skrapla się wilgoć. Chłód także zrobił się bardziej przejmujący. Na moim zamierającym sercu zaciska się wisielcza pętla niewyspania i znużenia. Boże mój, jakież jestem śmiertelnie zmęczony! Pierzchają resztki koncentracji, myśli cienkie jak skrzydła ważki ulatują beztrąsko, wtapiając się w szorstki płaszcz mgły. Będę musiał się zdrzemnąć. W jakimś miłym parku. Kawa, fajka, drzemka - żyć, nie umierać.

Stary Perry ma klasę. Ma ten fotogeniczny honor biedaka. Jeśli go ładnie poproszę, może się nim ze mną podzieli. Perry nie jest zachłanny.

Maurice też miał cholerną klasę. W jego zbroi ziały liczne szczeliny, to prawda, ale przecież był jeszcze młody. Panował nad tym. Wiecie, naprawdę lubiłem Maurice'a Kelly'ego. Wzruszające, co? *Agape*. Chłopięca miłość.

Maurice był najstarszym synem zamożnej nauczycielskiej rodziny. Jego ojciec wykładał ekonomię w Queens College, a matka uczyła historii u Marii Panny - w szkole dla zamożnych dziewcząt na Upper Falls, mającej wielkie aspiracje, niestety, nie spełnione po części z powodu nieszczęśliwej lokalizacji. Państwo Kelly byli ludźmi rozsądnymi, wręcz oburzająco normalnymi, natomiast ich liczne potomstwo co do jednego miało nierówno pod sufitem. Może zabrzmie to brutalnie, ale nie miałbym siły użerać się z zespołem napięcia przedmiesiączkowego stukniętych pannic, które na domiar złego nie były w stanie przyprawić mnie (nawet mnie!) o wzwód. Siostry Maurice'a irytowały mnie w najwyższym stopniu, jego zresztą też. W porównaniu z nimi Maurice wydawał się nieomal zrównoważony.

Był głęboko wierzący. Jego katolicyzm graniczył z papizmem. Wytyczne Stolicy Apostolskiej odegrały wiodącą rolę w kształtowaniu skrajnie rygorystycznego

kodeksu moralnego mojego druha. Był pod tym względem niepoprawnym, nieuleczalnym Irlandczykiem. Cechowała go głupota polityczna, wściekły nacjonalizm i republikanizm. Nie było takich głupstw i barbarzyństw, których nie byłby zdolny popełnić w imię celtyckiego katolicyzmu - podobnie jak wszyscy jego kompatrioci z piekła rodem. Bóg i Ojczyzna nierozłączne na zawsze!

Wiem, że obrzucam błotem jego wizerunek, wiem też jednak, że wiele bylibyście mu w stanie wybaczyć. Pamiętajcie, że nasze pokolenie od dziecka karmione było tą patriotyczną sieczką. Nie znaleźliśmy innych opcji. Spróbujcie to sobie wyobrazić: przyszliśmy na świat w połowie lat sześćdziesiątych. Ataki bombowe nie przybrały jeszcze takiego zasięgu. Nie było tylu uzbrojonych po zęby bojówek. Nasz świat wypełniali bezrobotni katolicy, bid i poniewierani. Palono im domy przy okazji różnych protestanckich świąt, wydłużając już i tak długi rachunek krzywd.

Wkrótce jednak rozpoczęły się marsze protestacyjne. Katolicy upomnieli się o prawa obywatelskie. Protestantów troszeczkę to zmierziło. Woleliby (nie dziwota), aby prawa obywatelskie pozostały ich wyłącznym udziałem. Korona brytyjska wysłała więc do Ulsteru wojsko, aby broniło katolickiej mniejszości przed prześladowaniami ze strony protestanckich ziomków. Na nieszczęście w dniu zwanym odtąd Krwawą Niedzielą żołnierze brytyjscy posłali do piachu pewną liczbę nie uzbrojonych katolickich cywili, księży i przechodniów.

To z kolei okrutnie wkurzyło katolików, którzy poczuli się uprawnieni do planowej eksterminacji żołnierzy, policjantów, rezerwistów z obrony cywilnej, protestantów, katolików, angielskich sklepikarzy, piwoszy z Birmingham i wydawców „Księgi rekordów Guinnessa”.

I jaką mieliśmy szansę wyrosnąć na normalnych ludzi? Niewielką.

Widzicie: nie doceniając katolików, ktoś popełnił gruby błąd. Nie trzeba było tak przeciągać struny. W końcu musiała pęknąć. I pękła. A chociaż ulsterscy katolicy stanowią ohydną bandę zapijaczonych, niegramotnych, stosujących przemoc w rodzinie bydła, wkrótce okazało się, że poza nieprawdopodobną płodnością i darem do wygadywania zdumiewających bzdur mają jeszcze jeden, nieznany dotąd talent, który teraz zajaśniał pełnym blaskiem. Talent do zabijania ludzi. I to jaki! Niewielu nam ustępuje.

W takiej Irlandii urodziliśmy się i wychowaliśmy. Karmieni obaj gaelickim obłędem, zareagowaliśmy jednak odmiennie. Maurice przyjął go jako cenne dziedzictwo. Ja schowałem głowę w piasek. „Nie ja popełniam zbrodnie, niech się kto inny martwi.” Zacząłem uczyć się na pamięć rozkładu jazdy promów kursujących z Belfastu w świat. Doprowadzałem tym Maurice'a do furii.

Prowadziliśmy cudowne młodzieńcze spory na temat tak zwanej irlandzkiej polityki. Ostrzyłem w nich swoje

krasomówcze pazury, przedkładając oponentowi, że jest głupi i ma wszy (retoryka zawsze była moją mocną stroną). Maurice pocieszał się myślą, iż jestem politycznie naiwny. Ja pocieszałem się myślą, że mam to wszystko w dupie.

Po pewnym czasie zaczęliśmy unikać tego tematu.

Mimo różnic natury ideologicznej pozostaliśmy przyjaciółmi. Maurice był raczej małomówny. Stosował politykę milczącego izolacjonizmu. Czasem jednak odrobinę rozwijał skrzydła - dla mojego dobra. Czułem się mile połączony. Zawsze byłem dumny, że mam takiego kumpla. Uważałem, że dodaje mi to splendoru i świadczy o duchowej głębi, którą w innej sytuacji trudno byłoby u mnie dostrzec.

Pewnie sobie myślicie, świntuszki, że czułem do niego miętę. Może i macie trochę racji. Sami byście ją czuli, gdybyście go znali. Wysoki, błękitnooki, z szopą lśniących czarnych włosów, na których wspomnienie do dziś ślinię się przez resztki zębów. Podziałałby wam na wyobraźnię, jestem tego pewien. Ale go nie znacie i nie poznacie, bo nie żyje. Zginął od kuli. Żli chłopcy odstrzelili mu łeb.

Co za ironia losu. Z jednej strony ja, Ripley Bogle, dziecię dołów społecznych wychowane wśród świstu kul, wyłażę z urodziwej skóry, żeby się od tego wszystkiego odciąć; z drugiej Maurice - nadziany, srebrnousty, w czepku urodzony - udaje Che Guevarę.

Powinien był poruszać się na płaszczyźnie

teoretycznej - uprawiać politykę grzeczną, negocjowalną i nie zagrażającą życiu. Ale nie, on musiał wypróbować ją w praktyce, w śmiertelnie niebezpiecznej praktyce.

Zabili go. Czuję, że do tego dojdzie, cóż jednak mogłem zrobić? Byłem jeszcze bardzo młody, nieledwie dzieciak. Miałem własne problemy. To nie była moja wina. Nie mogłem temu zapobiec.

Po moim przyjacielu została tylko garść wspomnień. Było dla czego umierać! Chociaż z drugiej strony, cóż innego pozostaje po człowieku? Twój zmarły staje się niemą wymówką dla twoich kłamstw, nieporozumień i porażek. Niedługo Perry też zasili ów lamus opowieści, wspomnień i anegdot. Taki już los moich zmarłych i konających przyjaciół. Tworzą pretekst do wspomnień. Prześlizgują się po mej pamięci niczym bajki pozbawione morału.

I o to właśnie chodzi. Spokrewnij się ze zmarłymi. Przywiąż do nich wagę. Do tych, których znałeś, a których już nie ma. To dla ciebie bilet, dokądkolwiek zechcesz. Zaludnij swoją przeszłość cudzą śmiercią.

Niech stanie się trenem, rapsodem, lamentem.

*

Maurice i ja różniliśmy się w poglądach na prawie każdy temat, toteż często dyskusja przeradzała się w zajadłą kłótnię. Jedyne wszakże utarczki prowadzące do

autentycznych rękoczynów wiązały się z Deirdre. Maurice nie pałał do niej sympatią. Twierdził, że jest nic nie warta i będę miał przez nią dużo różnych a dotkliwych kłopotów. Do licha, mawiał, nie marnuj sobie życia na tego kaszalota! Ponieważ byłem niezwykle przeczulony na tym punkcie, naturalnie próbowałem urwać mu, co się da. Jak należało się spodziewać, Maurice nie pozostawał mi dłużny.

Powinienem był oszczędzić sobie potu i krwi. Maurice wyjątkowo miał rację. Jak przewidywał, droga mateczka zaczęła demonstrować silne niezadowolenie z moich ekumenicznych uczuć. Oznajmiła, że Deirdre jest protestantką (czyli poganką i bezbożnicą), a jako protestantka, choćby i była sympatyczna, musi odejść. Jeśli będę się upierał, moja rodzicielka zostanie zmuszona obciąć mi (acz niechętnie) organ, który najwyraźniej zastąpił mi mózg. Miłość, która obala barykady, ma rację bytu tylko w piosenkach i filmach. W prawdziwym życiu przyniosłaby mi co najwyżej nadprogramową okrągłutką dziurę w głowie. (. "Zapewne postarałby się o to któryś pryncypialny członek mojej licznej rodziny.) Zresztą, argumentowała mamusia, Curranówna to zwykła protestancka dziwka, niewarta, by na nią splunąć.

Z pewnością się domyślacie, że nie była to właściwa taktyka. Serce wezbrało mi świętym oburzeniem. Nic z tego, oznajmiłem, odczep się, zrobię, co zechcę, nie przekonasz mnie. Co to, to nie!

Bardzo głupio zrobiłem. Kochana mamusia poprosiła bowiem o wsparcie wujka Joego. Wujek Joe potraktował to poważnie. Zagroził, że przestrzeli mi oba kolana, jeśli nie usłucham matki. Pokazał mi nawet spluwę, którą zamierzał się postłużyć. Oczywiście sprawi mi to wielki ból, rzekł, większy nawet niż mnie, bo w końcu jesteśmy rodziną. Miałem pewne wątpliwości, czy tak będzie w istocie.

I cóż ja biedny miałem zrobić? Zwiąłem z domu. Odszedłem w siną dal. Co prawda nie miałem ani dokąd pójść, ani za co, nie spędziło mi to wszakże snu z powiek. Rodzina rzecz święta, lecz do swych kolan też byłem bardzo przywiązany.

Muszę tu oddać Maurice'owi sprawiedliwość: ani razu nie powiedział: „A nie mówiłem?“, „To było do przewidzenia” lub „Kretyn!”. Na jego miejscu použíwałbym sobie, ile wlezie. Ale Maurice był miłosierny, okazał mi jedynie współczucie. I przestał ostrzegać mnie przed Deirdre. Dlaczego, na Boga? Dlaczego nie wybił mi jej z głowy?

3

(Hyde Park. Pozbawiona osłony zielona drewniana ławka błyszczy i zaczyna skwierczeć w porannym słońcu. Światło dnia pada na doczesne szczątki Ripleya Bogle'a. Śpi jak kamień, pochrapując i gulgocząc sobie do snu, ciasno owinięty w swój brudny paltocik. Na policzkach i brodzie ma ślady niemęskich łez. Na skroni pulsuje żyłka. Żar zaczyna mu doskwierać; wierci się niespokojnie, jego sen zaludniają potwory wspomnień. Jęczy cicho.)

Nie.... (Zaczyna się budzić.) Chrrrr... (Porusza się.) Mmmm? (Przez zwoje mózgowe przebiegają pierwsze impulsy świadomości.) O Jezus, Maria! (Jęczy; kaszle i pluje na przemian. Odrażające. Przeciera brudną twarz brudną dłonią. Jęczy. Znów jęczy. Łaska zapomnienia zostaje mu odjęta. Z niejakim trudem siada.)

O Jezu, nie... Au! O mój Boże!

Z oczu mi cieknie, głowę mam ciężką i obolałą. Czuję się jak trzydniowy trup. Uroki snu pod gołym niebem.

Od razu poznać, kiedy z kimś jest naprawdę źle, kiedy jego życie legło w gruzach: sen staje się dla niego nieproporcjonalnie cenny. Wręcz bezcenny. To zły znak. Uważaj. Dyskretna ucieczka od odpowiedzialności do raju zapomnienia. Zapomnienie - tylko ono ci zostało.

(Głoszę teraz elegię na śmierć mego snu. Lament obudzonego. Jak się pewnie domyślacie, mam drobne

problemy.)

Nie do wiary! Zrobiło się gorąco. Nocą zmarzłem na kość, teraz grozi mi udar cieplny. I gdzie tu sprawiedliwość?

Znajduję się w Hyde Parku. Wokół kłębią się jakieś dzieci. Z czułością myślę o różyczce, wietrznej ospie i bronii maszynowej. Przywiedły park smaży się w południowym słońcu, ziemia schnie na kamień, a drżące powietrze rodzi obiecujące (nie dla mnie) miraże. Wrzaski rozbrykanych smarkaczy (pewnie mają przerwę na lunch) wkrótce cichną, stłumione ciepłą, wilgotną duchotą. Na sąsiedniej ławce siedzi mały chłopczyk z aparatem na zębach. Jeszcze się nie przyzwyczył: w udręce zмага się z dojrzałą brzoskwinia. Bezgłośnie łyżki ciekną mu po twarzy, mieszając się z sokiem. To jeden z powodów, dla których nie cierpię lata.

To stwierdziwszy, muszę wyznać, że zaczynam się czuć całkiem dobrze. Ba, nawet bardzo dobrze. Jest ciepło, wyspałem się, mam papierosy, stosunkowo dużo pieniędzy i nieodległą perspektywę posiłku. Fiu, fiu, oglądacie mnie zgoła u szczytu!

No, może jestem nieco zaniedbany. Prawdę mówiąc, brudny. Z rozkoszą bym się umył, ale komuś w mojej sytuacji trudno jest rygorystycznie przestrzegać zasad higieny. Zresztą - czego ludzie na ogół nie wiedzą - ciało przyzwyczaja się do niemycia. Stawia opór. Samo dba o siebie. Dziwne, lecz prawdziwe. Jestem tego najlepszym dowodem. Rumienię się na samą myśl, ile czasu minęło

od moich ostatnich ablucji, mimo to nie śmierdzą aż tak bardzo. Włosy... no cóż, pobiły kilka rekordów, ale w półmroku ujdą (zwłaszcza gdy wcisnę na łeb papierową torebkę). Jeśli nie liczyć pach i stóp, którymi można by użyźnić glebę, nie grozę klęską ekologiczną. Przyznam jednak, że kąpiel nie byłaby od rzeczy.

Zapewne miło wam będzie usłyszeć, że zachowałem rozsądek. Od czasu porannego spotkania z Perrym kupiłem dwie paczki fajek i nic poza tym. Udało mi się zwalczyć w sobie chęć przeputania pozostałych siedmiu funtów na lamborghini albo udział w którejś z większych grup kapitałowych banków. To jest to, co nazywa się wewnętrzną dyscypliną, ascetyzmem. Ostatnimi czasy stałem się ascetą.

Siedem rozkosznych funtów podnosi mnie na duchu. Dzięki nim moje plany na przyszłość nabrały niewymuszonej elegancji. Z uśmiechem na ustach myślę, co mógłbym sobie kupić. Niezbyt wiele, ale każdy drobiazg się liczy. Dobroczynnym efektem ubocznym wychowania w nędzy jest umiejętność cieszenia się małym. Zadowolenie jest na wyciągnięcie ręki. Jestem szczęściarzem. To jedna z cech, które w sobie cenię.

Będąc minimalistą, uznaję wszakże, iż niebawem powinienem coś zjeść. Czyn usprawiedliwiony, wręcz zalecany. Mój oddech pali, wnętrzności pokryte mam smołą zmieszaną z tłuczonym szkłem. Lada moment grozi mi omdlenie i beri-beri, toteż lepiej na razie dam sobie spokój z ascezą. Muszę jednak zachować

ostrożność. Mój układ trawienny został nieco osłabiony bezczynnością. Zachłanność niesie ryzyko biegunki. Należy delikatnie przywrócić jelita do życia, nim podejmę tak ambitne zamierzenie jak obiad.

(Znałem kiedyś włóczęgę nazwiskiem Crusher Grothag - czy coś w tym guście. Był to stary śmierdziel z Glasgow o kompletnie spróchniałych zębach i zaskakująco obfitej gamie chorób skórnych. Nie znosiłem gościa. Tak czy owak, kiedyś nie trzeźwiał przez osiem dni, obywając się w tym czasie bez jedzenia. Dziewiątego dnia zabrakło mu płynu do chłodnic, którym się krzepił, i zjadł ponad pół spleśniałej kanapki z serem, którą znalazł w parkowym śmietniku. Umarł wskutek szoku. Osobiście wolałbym tego uniknąć.)

Zupa. Tak, to będzie to. Ewentualnie kawa i niewielka tartinka.

Wstaję, gratulując sobie w duchu. Czynność wstawania wydaje mi się niesłychanie dynamiczna. Z wyżyn mego wzrostu skwar jakby bardziej dokuczał. Dołącza się doń głód nikotyny.

Pospiesznie zapalam papierosa.

I siadam. Chyba przeceniłem swoje siły. Zawiodłem się na sobie. Powinienem był się bardziej postarać. Opuszczam się. Maleje dystans pomiędzy tym, czym jestem, a prawdziwym szmaciarzem. Ale wciąż jeszcze walczę. Wciąż mam w sobie za wiele dumy, by całkiem upaść. Owszem, ludzie na ulicy omijają mnie z daleka, lecz działa tu raczej ogólna nieufność w stosunku do

obcych, niekoniecznie szczególna odraza wobec mnie. Przynajmniej staram się wyglądać jak człowiek i w zasadzie nigdy dotąd nie zhańbiłem się żebractwem.

Niektórzy rodzą się do nędzy, innych wtrąca w nią zbieg okoliczności. Zastanawiam się, do której z tych kategorii zaliczyć siebie. Chyba do obu. Ze społecznego punktu widzenia jestem motylem - bezdomnym, ale dbałym o to, z kim się zadaję. Nie chcę sięgnąć dna. Muszę uważać. Nie jestem taki jak tamci. O, nie.

Opieram się wygodniej, powierzam zbolełe ciało objęciom liniejącego z farby drewna. Słońce przypieka moją zarośniętą gębę, powoli dusi mnie na miękko w mym wonnym pode. Zaprawdę, powiadam wam, zwierzęca rozkosz, ot co! Zamykam piekące oczy; pod powiekami wyświetla mi się słoneczny kalejdoskop - plamy i smugi purpury, żółci, oranżu, czerni... Wiercę się, szukając wygodniejszej pozycji. Parkowe hałasy są teraz głośniejsze, lecz mniej czytelne. Mój umysł zapada w drzemkę. Stopy pulsują wdzięcznością za chwilę wytchnienia, a żołądek zgadza się zachować cierpliwość. Czekał już tak długo, może zaczekać jeszcze trochę. Miło z jego strony. Korzystam z darowanego czasu.

Moja opowieść zaczyna tracić tempo, sięgam więc do rezerwuaru wspomnień. Dochodzę do wniosku, że zbyt pośpiesznie prześliznąłem się nad swoim dzieciństwem. Zaniedbałem niezbędne wymowne detale. Opuściłem też podsumowanie.

Oto dwa obrazki z dzieciństwa. Nie związane ze sobą

i niezbyt znaczące, mimo to ciekawe. Mam nadzieję, że się wam spodobają.

Mając dziesięć lat, widziałem śmierć żołnierza na Falls Road. To był pierwszy raz. Od tamtej pory zdążyłem się przyzwyczaić.

Stuknięta Betty Bogle ciągnęła mnie właśnie na kolejną konsultację u wampirycznych psychiatrów. Był typowy dzień na Falls - kurz, brud i ubóstwo przyprawione zimną grudniową mgiełką. Uliczne zatrzymania i rewizje, anemiczne sprzeciwy. Bawiłem się świetnie.

W pobliżu starego szpitala posłyszeliśmy kilka suchych, metalicznych trzasków. Wszyscy rozpięchli się szukając osłony, jak nakazuje zwyczaj w takich razach. Również pieszy patrol wojskowy, włączający się w żółwym tempie po Grosvenor Road, w panice rozprysnął się na wszystkie strony. Dwóch umięśnionych wojaków przykucnęło obok mnie i matki pod ścianą przychodni chorób ucha, nosa i gardła. Na dachu wieżowca przy końcu ulicy tkwił snajper. Podczas krótkiej przerwy w kanonadzie matka zdążyła opieprzyć żołnierzy, że stoją za blisko - celując do nich, snajper mógł trafić ją (nie wątpię, że o mnie też się martwiła). Kilka zabłąkanych rykoszetów zgrabnie obłupało tynk z muru. Brytole wezwali przez radio śmigłowiec i postanowili przeczekać. Kilka minut upłynęło w błogiej ciszy, jeśli nie liczyć upartego snajpera, który co jakiś czas dawał

znać o sobie. Bawiłem się wyśmienicie i z niecierpliwością czekałem, aż poleje się pierwsza krew.

Nagle ze Springfield Road wyjechała pielęgniarka na rowerze. Na ulicy nie było ani jednego samochodu, piesi leżeli plackiem po bramach, ale ta głupia krowa nie wyciągnęła z tego żadnych wniosków! Żołnierze wrzeszczeli: „Kryj się!”, kobita miała jednak grube futrzane nauszniki i nic do niej nie docierało. Krzyknęli jeszcze raz, głupki. Tym razem usłyszała, wpadła w panikę, zeskoczyła z roweru i stanęła jak wryta dokładnie na środku skrzyżowania. Rozległy się kolejne gorączkowe okrzyki, kilka kul wbiło się nieopodal w asfalt. Prawdę mówiąc, snajper oddałby wszystkim przysługę, gdyby ją zastrzelił.

Rozpłaszczony obok nas gołowąsy żołnierz cisnął karabin i zygzakiem wielkimi susami rzucił się w stronę osłupiałej pielęgniarki. Trzask! Poszybował w powietrzu i wyrznął o chodnik wiele metrów od miejsca, w którym został trafiony. Krzyczał z bólu; chyba tak naprawdę wcale nie chciał umierać. Byłem zaskoczony i poniekąd zawiedziony, że nie widzę fontanny tryskającej krwi i flaków. Ten snajper musiał być geniuszem w swoim fachu. Co za strzał! Z odległości trzech czwartych mili do poruszającego się celu! Mówię wam, byłem pod wrażeniem!

Pielęgniarkę zatchnęło; wytrzeszczyła pełne niedowierzania oczy i co prędzej odpełzała byle dalej od ranego (nie troszcząc się zbytnio o względy etyczne).

Żołnierze, uziemieni przez niewidzialnego snajpera, przypuszczalnie uznali, że wystarczająco dowiódł swej celności. Czekaliśmy. Wkrótce dobiegł nas złowieszczy pomruk nadlatującego śmigłowca. Chłopcy ożywili się; zaczęli pokrzykiwać do kolegi, żeby się trzymał i tym podobne bzdury.

Snajper najwyraźniej zauważył przybycie sił powietrznych; kolejne pociski wbiły się w mur. Jęczący ranny zagulgotał, usiłując się podnieść. Kolejny strzał, ciało z impetem uderzyło o asfalt i znieruchomiało.

Idiota. Po co w ogóle się ruszał?

Później dowiedziałem się, że snajper został zabity podczas ucieczki. Z pewnym zażenowaniem przyjęto wieść, że miał ledwie trzynaście lat.

Wiecie, zawsze żał mi było Brytyjczyków w Irlandii. Wcale się tu nie prosili; ściągnęli ich protestanci i wkrótce tego pożałowali, kiedy armia zaczęła wchodzić w paradę tradycyjnym protestanckim rozrywkom (tj. zabijaniu katolików). Właściwie to nie była sprawa Anglików, choć z drugiej strony w ciągu minionych czterystu lat popełnili w tym kraju nieco gaf, z których nie najmniejszą była Krwawa Niedziela. Mimo to nie mieli powodu wciąż tu ginać.

W Ulsterze wdepnęli w szambo: 1). nie mogli wygrać, 2). gdyby się wycofali, rozpętałyby się tu wojna domowa pełną gębą, 3). dopóki tu tkwili, dostawali lanie od obu stron. Wątpię, by bawili się najlepiej.

Wiecznie ten sam błąd. Ilekroć próbowali wycofać się z Indii, Hindusi i Pakistańczycy natychmiast skakali sobie do oczu i Anglicy musieli zostać troszkę dłużej. Tubylcy sami ich o to prosili. I za każdym razem brnęli nieco głębiej w kłopoty. To samo w Palestynie po wojnie. Żydzi i Arabowie nigdy nie byli najlepszymi przyjaciółmi. Ale trzeba przecież zaprowadzić pokój. I kto na tym ucierpiał?

Spójrzmy prawdzie w oczy: większość krajów europejskich miała swoje pięć minut w historii, swoje imperium. Kiedy jedno się rozsypywało, rosło inne. Tym właśnie są interregna - nawiasami historii. Ale Brytyjczycy tego nie pojęli. Chcieli być szlachetni i miłosierni. Jako jedyna w dziejach potęga imperialna próbowali sami oddać zagarnięte ziemie. I to był ich błąd. Nam, uciśnionym, wcale się to nie spodobało. Ani trochę.

Oczywiście drobne kiksy, jak Amritsar czy wspomniana Krwawa Niedziela, bynajmniej im nie pomogły. Cóż, nikt nie jest ideałem. Trudno lubić Brytoli, ale ja się staram.

Mniej więcej w tym samym czasie byłem świadkiem tarzania w smole i pierzu. Pamiętne przeżycie, ciut za mocne nawet dla mojego strusiego żołądka. Chłopięca ciekawość świata nie sięga aż tak daleko. Ofiarą była niejaka Mary Starkey będąca przy nadziei za sprawą pewnego kaprała Królewskich Wojsk Inżynieryjnych.

(Udało mi się to inteligentnie wydedukować z enigmatycznych wypowiedzi dorosłych.)

Mieszkańcy Turf Lodge poczuli się urażeni, toteż kilku patriotycznie nastrojonych młodzieńców zdecydowało się na pokazową karę. Złapali Mary i przywiązali do latami na końcu naszego zaułka. Następnie ogolili jej głowę i obdarli ją z szatek. Ku memu zaskoczeniu wcale nie sprawiło mi to oczekiwanej rozkoszy. Mary miała bardzo małe piersi, co z jakiegoś powodu pogarszało wrażenie. Nie byłem na to przygotowany. (Była niedziela i przez całe popołudnie czytałem Trollope'a.) Potem zaczęli gotować smołę - tuż obok Mary. Nawet ja rozumiałem, że to nie jest taktowne.

Tu muszę oddać sprawiedliwość moim miłosiernym sąsiadom. Byli zdania, że sprawa zaszła dostatecznie daleko. Wystarczyło w zupełności publiczne upokorzenie, brutalność - to już przesada. Stali na progach w swoich niedzielnych ubraniach, zaniepokojeni i zmieszani. Oczywiście nikt nie miał odwagi zaprotestować, ale przynajmniej nie słychać było aplauzu. Kobiety łkały, mężczyźni szemrali zbici w grupki. Milcząca Mary bez ruchu tkwiła pod latarnią.

Wkrótce smoła zawrzała i dwaj młodzieńcy cały kubeł po prostu wylali na Mary. Nie macie pojęcia, jak straszny może być ludzki krzyk. To nie ten czysty, przejmujący dźwięk, jaki słyszeliście w filmach. Przypominał raczej wrzask garotowanego kota. Mary

pokazała klasę, zasłużyła co najmniej na mistrzostwo kraju. Jej śmiertelny lament wywarł potężne wrażenie na bądź co bądź wrażliwym dziecku, jakim wówczas byłem, i sam dostałem ataku hysterii. Matka odciągnęła mnie pospiesznie do ogródka na tyłach, gdzie przez następne dziesięć minut sam darłem się jak opętany.

Kiedy znów byłem w stanie śledzić bieg wydarzeń, okazało się, że przybrały niespodziewany obrót. Na scenie pojawił się mianowicie Bobby Bogle, mój ojciec (a przynajmniej formalny opiekun).

Nie uwierzycie: wyglądało na to, że ten stary dumy walijski moczymorda zamierza stanąć w obronie bulgoczącej coraz ciszej Mary! Matka rozdarła się na niego w przystępie furii i wzdargy, ale on jakby nie słyszał - kroczył naprzód, wprawiając w osłupienie sąsiadów i bez wątpienia także siebie.

Uskrzydłony synowską dumą wyrwałem się z żylastego uścisku mojej matki-czarownicy i pobiegłem za nim.

Mary była w dość kiepskim stanie. Zlepione smołą resztki włosów sterczały jej na głowie jak spiczaste różki. Przez nieliczne szczeliny w czarnej dymiącej powłoce widać było pęcherze i czerwone, makabrycznie żywe mięso. Już nie krzyczała, łkała teraz bezgłośnie, jakby sama się sobie żaliła. Oblepiające głowę pierze kryło jej twarz, ale czułem, że nie bawi się najlepiej.

Ojciec podszedł do otaczających ją młodzików. Nie widziałem jego twarzy, zauważyłem jednak, że jego

szerokie leniwe ramiona trzęsą się spazmatycznie, jak gdyby próbował pohamować śmiech.

- Nie mieszaj się do tego, Bobby. Wracaj do domu. To nie twoja sprawa - odezwał się przywódca grupy. Miał około dwudziestu lat, chytrą przystojną twarz i gładkie czarne włosy starannie zaczesane za kształtne uszka. W przeciwieństwie do innych ubrany był z pewną małomiasteczkową elegancją - w garnitur. Górną wargę szpecił mu rzadki wąsik podobny do rozmazanej sadzy lub smarków. Często go dotykał, jakby chciał się upewnić, że wciąż tam jest.

Ojciec nie odpowiedział. Podkradłszy się bliżej, spostrzegłem, że trzyma w dłoni krótką deskę niczym kij do krykieta. Ścisnął ją mocniej i drzenie jego ramion ustało.

- Daj sobie siana, Bobby. Nic do ciebie nie mamy. Bądź rozsądnym człowiekiem i idź do domu.

Ojciec nadal milczał. Robiłem w gatki ze strachu, niemniej było to ekscytujące.

Do dyskusji włączyli się inni, pragnąc bardziej stanowczo przekonać mego tatę, by skorzystał z przyjacielskiej rady. Jeden z nich, dryblas z zajęczą wargą, najwyraźniej poczuł się w swoim żywiole. Zdawać się mogło, że żywi jakąś osobistą urazę do Bobby'ego i nareszcie znalazł okazję, by się na nim odkuć.

- Spierdalaj, Bogle! - wrzeszczał. - Myślisz, że co nam zrobisz tym patyczkiem? Co? Spieprzaj, mówię, bo

pożałujesz!

- Przysięgam Bogu - odezwał się wreszcie ojciec, ruszając powoli w stronę łkającej Mary - że jeśli jeszcze raz otworzysz ten niewyparzony pysk, gówniarzu, skręcę ci kark.

Niesamowite: Bobby Bogle okazał się mężczyzną, i to groźnym mężczyzną! Z rozkoszą ujrzałem strach w łasiczych oczkach tego z zajęczą wargą. Pozostali wymienili niepewne spojrzenia. Przystojniak, który odezwał się pierwszy, zagroził ojcu drogę. Ten był opanowany. Mniej groził, więcej obiecywał. Czułem (jak się później okazało, słusznie), że jest niebezpieczny. Przemówił cicho, wręcz z troską:

- Posłuchaj, Bobby, nie rób głupstw. Sam wiesz, że na to zasłużyła. Nie chcesz chyba przez nią narobić sobie kłopotów. Ta dziwka nie jest tego warta, Bobby.

Ojciec ominął go i zaczął rozwiązywać Mary - delikatnie, niezgrabnie, starając się jak najmniej dotykać poparzonego ciała, odwracając głowę przed gorącym i smrodem. Cisza. Lodowaty strach. Zgięte plecy ojca wystawione na cios. Chyba zdawał sobie z tego sprawę; podświadomie oczekiwał ataku. Ten ze spieprzoną buźką ruszył nagle na niego. Ale ja byłem na straży. Krzyknąłem ostrzegawczo. Ojciec błyskawicznie wywinął się w półobrocie, trafiając gościa wprost w zajęczą wargę. (Powinien był zawodowo grać w krykieta!) Młodzian osunął się na ziemię bez czucia. Skinienie głowy wąsatego generalissimusa osadziło

innych w miejscu.

Ojciec obrócił ku mnie wykrzywioną furią twarz.

- Do domu! - ryknął. - I to już!

(No i co wy na to? Kto by się tego spodziewał po starym śmierdzielu? Odwaga. Rycerskość. Klasa. Staruszek zapunktował, nie ma co, byłem pod wrażeniem. To miło móc od czasu do czasu podziwiać rodziciela. Może ostatecznie nie był aż takim gnojkiem.)

Tak...

Zapamiętałem na zawsze ten obraz oglądany zza furtki naszego miniaturowego ogródka. Patrzyłem z synowską dumą, jak mój ojciec idzie powoli pogrążając się w zmierzchu uliczką. Idzie w stronę domu, trzymając w mocnych ojcowskich ramionach wstrząsaną szlochem dziewczynę. Idzie pośród tchórzliwego milczenia swoich biernych, spłoszonych, na wskroś irlandzkich sąsiadów.

Oczywiście Bobby Bogle zapłacił za ten romantyczny wyczyn. Z góry było wiadomo, że zapłaci. Chłopcy należeli do „Tymczasowych” z IRA. Ojciec troszkę nadepnął im na ambicję; powetowali sobie ujmę na honorze pakując mu dwie kule w brzuch, gdy pewnego wieczoru wracał do domu z knajpy. Dosłownie i w przenośni był to cios poniżej pasa. Życie bardzo długo wyciekało z niego na podłogę w kuchni. Na popękkanym linoleum utworzyło się lepkie szkarłatne bajoro, rozdeptane przez nas na brzegach. Kiedy po trzech

godzinach przyjechała karetka, Bobby był już sinożółty i zimny. I od dawna martwy.

Dziwnie jest patrzeć, jak ktoś umiera - zwłaszcza jeśli tym kimś jest twój ojciec. Dziwnie jest wiedzieć, że za kilka chwil będzie po nim. Obserwować, jak żegna się sam ze sobą. Trudno jest komuś ulżyć w takiej chwili.

Teraz mówię o tym spokojnie, ale wówczas byłem bliski obłądu ze zgrozy i żalu. Ostatecznie to był facet, do którego mówiłem „tato”.

Ciepło. Upał. Wygoda. Ławka. Słońce. Zapachy miłe i przykre. Znużenie. Melancholia. Zgiełk i wrzawa. Oczy zamknięte, zwrócone w górę, patrzą w ciemność. Sen. Relaks. Drzemka. Odpoczynek. Sen.

4

Zostałem więc wyrzucony z domu, definitywnie odstawiony od matczynej piersi, skazany na głód i chłód. Zgrzeszyłem uczuciem do heretyczki. Deirdre była protestantką i moja matka powiedziała stanowcze „nie”. Miałem wtedy szesnaście lat. Opuściłem rodzinne gniazdo wyposażony w trzy funty czternaście pensów oraz zieloną płócienną torbę ze skromnym zapasem lekko przybrudzonej bielizny, szczoteczką do zębów, adekwatnym tematycznie tomikiem „Ciężkich czasów” Dickensa oraz niewielkim kawałkiem sera cheddar - luzem.

Pierwszej nocy spałem na ławce w parku Ormeau. Był sierpień - ciepło i przyjemnie. Pomimo to pierwsza noc na wygnaniu przyprawiła moją wrażliwą naturę o wstrząs. Rano uczyniłem próbę pozbierania do kupy smętnych resztek mojej młodzieńczej osobowości. Ku memu zdziwieniu, udało się. W końcu byłem rasowym epikurejczykiem.

Tego dnia uświadomiłem sobie, że muszę zacząć sam troszczyć się o siebie, bo nikt inny tego nie robi. Wiem, że to prawo ogólne, ale byłem wtedy bardzo młody i poczułem się lekko dotknięty. Dla podniesienia nastroju zamelinowałem się w bibliotece miejskiej i spędziłem dzień na lekturze mów Winstona Churchilla.

Kolejna noc była o wiele chłodniejsza i dłuższa.

Odkryłem, że muskulatura człowieka bezdomnego starzeje się w zastraszającym tempie. Czułem się samotny i bolały mnie wszystkie kości od leżenia na ławce. Palilem jednego papierosa po drugim, myśląc o Deirdre, uśpionej słodko w puchach i jedwabiach i nieświadomej mego okrutnego losu. Chłopięce łzy płynęły mi po policzkach. Nie czułem zawiści ani złości. Było mi po prostu żal, że ona o tym nie wie. Na pewno byłoby jej przykro. (Mylilem się: moje cierpienia tylko ją irytowały. Pałała oburzeniem, jakbym popełnił jakieś ciężkie przestępstwo.) Postanowiłem wszakże nie informować jej, że straciłem dach nad głową. W każdym razie nie od razu. Chciałem zaoszczędzić jej smutku.

Rozmyślenia te pomogły mi przetrwać drugą noc. Świadomość osamotnienia i dzielącej nas przepaści napawały mnie swoistą smętną ulgą. Wady Deirdre nie sprawiały mi już bólu. Przeciwnie, nieco podnosiły mnie na duchu.

Nazajutrz snułem się po okolicach Botanic Avenue, starając się wyglądać jak student. Przy okazji wydałem ostatnie pół funta na kawę i trzy ciastka w muzealnej kawiarni.

Nie zdążyłem na nocleg przed zamknięciem parku. Skuliłem się więc w cuchnącym zaułku przy Newtonards Road i płakałem, płakałem, płakałem, aż usnąłem. Ocknąwszy się rano, stwierdziłem, że we śnie zlałem się w spodnie.

Od tamtej pory rozpoczął się mój upadek.

W gruncie rzeczy była to tragedia. Chcę powiedzieć, że nie zasłużyłem na taki los. Wbrew własnej woli namiętnie użalałem się nad sobą. Przecież taki miły ze mnie chłopiec. Przejawiam zadatki geniuszu. Jestem grzeczny, skromny, uroczy, posłuszny i niewymagający. Zamożni rodzice narkomanów, bandziorów, zboczeńców i chamów daliby sobie wyrwać wszystkie zęby za takie dziecko jak ja. A ja byłbym grzeczny, odrabiałbym lekcje, bawił rozmową ciotki, zmywał naczynia, obierał kartofle i wycierał pupę babci. Byłbym wart swojej wagi w złocie. Cała rodzina kochałaby mnie do szaleństwa.

Mam w sobie nadmiar uczuć rodzinnych. W innym wcieleniu byłbym pewnie głową klanu. Każdy normalny ród z dumą przyjąłby mnie w swe szeregi.

A tymczasem wylądowałem pośród stada krwiożerczych wilkołaków! To niesprawiedliwe. Nikt nie zasłużył na taką obojętność, taką wrogość - a już szczególnie ja.

No cóż, życie okazało się opętańczo skomplikowaną sprawą. Musiałem znaleźć sobie pracę, dach nad głową i wrócić do szkoły. Tymczasem nie mogłem dostać pracy nie mając stałego adresu, a nie stać mnie było na mieszkanie, dopóki nie miałem pracy. Jako uczeń nie miałem prawa do zasiłku dla bezrobotnych. Byłem za duży, by zamieszkać w domu dziecka, a za młody na dom starców (na miejsce w domu samotnej matki tym bardziej nie miałem szans). Betty Bogle wciąż pobierała

na mnie zapomogę, podczas gdy ja z głodu byłem gotów zjeść własny stolec. Podjęcie pracy - nawet w niepełnym wymiarze godzin - groziło mi wyrzuceniem ze szkoły; zresztą i tak kazali mi przyjść z rodzicem lub opiekunem. Nie miałem szans na pomoc socjalną. Nie przysługiwała mi ani płaca, ani jałmużna. Zaklęty krąg, biała plama w państwie opiekuńczym. Ziemia niczyja.

Ale to jeszcze nic. Wyklęty przez cholerną rodzinę (matka groziła, że każe mi poprzetrącać kopyta, jeśli kiedykolwiek pokażę jej się na oczy), cierpiałem głód, chłód i poniewierkę; znosiłem to wszystko w imię miłości. Nie zdziwi was zatem chyba, że poczułem się dotknięty, gdy ukochana wyrzekła się mnie, otrzymawszy podobne w duchu (acz nie grożące uszczerbkiem na zdrowiu) ultimatum od własnej rodziny.

Prawdę mówiąc, był to dla mnie ciężki cios. Naiwniak ze mnie, że szczyłem się w duchu swym szlachetnym gestem. I jakże byłem zdruzgotany, gdy został on w ten sposób zredukowany do zera. Wcale nie wiarołomstwo czy tchórzostwo Deirdre ubodło mnie najbardziej (mogłem się tego spodziewać, ostatecznie miała do stracenia więcej niż ja). Nie, najbardziej zabolalo mnie to, że wyszedłem na gówniarza. Moja bohaterska wierność okazała się niczym. Ot, taki sobie pusty, szczeniacki gest.

Tak więc, niestety, sam musiałem się uporać ze swoimi drobnymi problemikami. Mój kipiący optymizm i wiara w siebie wyparowały bez śladu (w istocie nic ich

nie usprawiedliwiało). Twardo wziąłem się w garść i obróciłem nosem w stronę wyjścia z impasu. Wziąłem się do pracy. Imąłem się wszystkiego, z żebraniną i rozbojem włącznie. Prowadziłem rejestr swych porażek i uraz, żeby później wziąć za nie rewanż. Miałem szesnaście lat, ani pensa przy duszy i byłem bardzo naiwny. Przez gąszcz wątpliwości, racji i argumentów przerąbywałem się maczetą w najlepszym stylu Davida Copperfielda. I udało mi się wyrąbać dla siebie przejście.

Deirdre i ja zesłiliśmy się w końcu. Wystarczyło, że podważyła ojcowskie embargo. Curranowie nie odważyli się stawić czoła najdroższej córeczce.

(Jakoś nie wpadło jej na myśl, żeby wcześniej im się postawić. Co ja mówię? Mnie też nie przyszło to do głowy.)

Z niechętną pomocą Deirdre rozpocząłem dwuletnie *tournee* po najgorszych ruderach zmurszałego Belfastu. Na przemian okradany, molestowany lub prześladowany przez szereg psychopatycznych gospodarzy, nie zdołałem nigdzie dłużej zagrzać miejsca. Właściciel „pensjonatu” u wylotu Indiana Avenue, niejaki Raymond Murphy, powiadomił mnie w zaufaniu, że jest wtyczką oddziałów specjalnych w IR A. Kiwałem głową i przybierałem pełne uznania miny. Kiedy zaczął zestrzeliwać mi muchy znad głowy z karabinu marki Smith & Wesson, chcąc udowodnić, że ma lepsze oko niż Wilhelm Tell, postanowiłem się stamtąd ewakuować.

Nędza, samotność i brud nie są najsmaczniejszą mieszanką, a w połączeniu z wyczerpaniem i rozpaczą przyprawiają o mdłości. Chodziłem do szkoły (przekupiwszy woźnego), pracowałem w trzech różnych pubach (by opłacić czynsz, woźnego i od czasu do czasu kupić coś do jedzenia), martwiłem się, spałem, martwiłem i głodowałem. Pieniądzy nie miałem, a przyjaciół niewielu. Ci, których miałem, byli uczniakami i mało co mogli mi zaoferować poza zażenowaną dobrą wolą. Dobra wola generalnie nie jest zła, ale sam miałem jej pod dostatkiem.

Czy umarłem z rozpacz? A właśnie że nie. Powyższe dramatyczne opisy o tyle nie mają sensu, że paradoksalnie - to wręcz perwersja - byłem wówczas szczęśliwszy niż kiedykolwiek w życiu. Młodość to jednak cudowny fenomen. Nadzieja też nie jest zła, a najlepszym towarzyszem dla tych dwojga jest ślepy optymizm. Droga, którą widziałem przed sobą, zdawała mi się prosta.

Muszę przyznać, że moje poświęcenie wywarło spore wrażenie na Deirdre. Taki hołd była w stanie zrozumieć i uważała, że nań zasługuje. Prowadziła rejestr moich upokorzeń i cierpień - stanowiły jej trybut, jej skarb, chciała się nimi nacieszyć.

Co prawda jeśli stawały na drodze jej planom - na przykład jeśli nie mogłem z nią iść na jakiś głupi film, bo byłem w pracy - o, wtedy czuła się bardzo urażona. Wytykała mi, że za dużo pracuję, a kiedy próbowałem

zwrócić jej uwagę, że takie drobiazgi jak żywność, odzież i dach nad głową są człowiekowi niezbędne do życia, oskarżała mnie, że zanadto się nad sobą roztkliwiam i robię z igły widły. Jasno dała mi do zrozumienia, iż nie ma zamiaru dać się pociągnąć na dno wraz ze mną. Zrozumiałem i uznałem jej racje. Taki już jestem.

Boże mój! Wciąż ją kochałem. Jeszcze bardziej niż przedtem. W całym tym chaosie była moją pociechą, moją ambicją. Chciałem kupować jej drogie prezenty (Bóg jeden wie, za co!), aby udowodnić, że przy pierwszej sprzyjającej okazji stanę się jej godny. To znajdowało uznanie w oczach Deirdre. W najwyższym stopniu natomiast irytowało ją, że wciąż nie chciałem zaciągnąć jej do łóżka. Nie była w stanie tego zrozumieć. Miała siedemnaście lat i rozpierał ją popęd płciowy. W mojej niezrozumiałej wstrzemięźliwości dopatrywała się złowrogiego katolickiego zabobonu. Do głowy jej nie przyszło, że to jedynie przejaw naiwnego szacunku dla jej dziewictwa. Uznałaby to za szczyt głupoty (i miałyby rację). Niestety: nie potrafiłem powiedzieć „tak”.

Etapy mego życia ulegały przedziwnemu spłaszczeniu. Ominął mnie wiek dojrzewania. Teraz, w wirze kłopotów, przeciwności i smutków, omijała mnie młodość.

5

Jem bez przekonania. Asceza osłabiła mi żołądek i jelita. Żarłoczny gwar innych bezdomnych przyprawia mnie o zawrót głowy. Patrzę, jak napychają sobie gęby szarymi kartoflami, i żołądek podjeżdża mi do gardła. Raz po raz pełne szufle chlaśniętej cienkim sosem brei lądują w rozdziawionych paszczach. Niektórzy rezygnują z pośrednictwa widelca i nagarniają jadło do ust palcami. Szczęk sztućców i talerzy, mlaskanie, smużki stygnącego sosu.

Paru duszpasterzy postawiło sobie za punkt honoru zjeść razem z nami. Gest tyleż ekstrawagancki, co głupi. Obserwuję łysiejącego, młodego jeszcze duchownego o skórze usianej plamami wątrobowymi. Przełyka z trudem. Oczy mu łzawią, twarz szarzeje. Z wysiłkiem dźwiga widelec do ust. Choć w sali jest chłodno, czoło i górną wargę rosza mu krople potu. Przypuszczam, że wolałby pościć. Chyba przecenił swój egalitaryzm. Patrzy na nędzarzy, którzy mlaskają, siorbią, czkają i pierdzą. Dławi się z odrazy. Ja patrzę na niego i czekam, kiedy zwróci przełknięte kęsy prosto na czyjś talerz.

Jestem w dobroczynnej garkuchni pod szyldem Miłosierdzia i Braterstwa. Smutne, prawda? Modlimy się chórem i w nagrodę dostajemy trochę pomyj. Banda śmierdzących obdartusów wylizuje talerze dzięki uprzejmości Pana Boga Wszchemogącego oraz Kościoła

Anglii. Ponury widok. Aktywne komponenty dobroczynności zawsze wyglądają ponuro. Zebrani tu wikariusze, czy jak ich tam zwa, mają tego świadomość. Toczą z góry przegraną walkę z własnym niesmakiem. Nie powinienem był was tu przyprowadzać. Wiem. Ale chciałem wam pokazać całość mego nowego świata. W imię głębi narracyjnej, rozumiecie.

Nad ascetycznie niskim refektarzem zalega nagła cisza. Jezu, znów modły? Chyba na co dzień nie są tacy gorliwi? Może wyczuli we mnie katolika. Już pochwyciłem parę zaciekawionych spojrzeń. Może dodali mi do żarcia strychniny albo psiego gówna? Nigdy nie wiadomo, co tym bezbożnikom może wpaść do głowy.

Dusząc w sobie sprzeciw wobec pogańskich (tj. niekatolickich) rytuałów, pochylam głowę udając skupienie. Pociemniały splamiony stół obojętnie wytrzymuje mój wzrok. Zamykam oczy, przysłuchując się szeptanym tajemnicom, które wypełniają ciszę. Na zewnątrz powietrze tętni plotką o nadejściu lata. Dopiero co zazielenione gałęzie zaczynają się uginać pod ciężarem liści. Miasto suszy płaszczy kurzu, żeby porywiste letnie wiatry miały nam czym sypać w oczy. A ja tu ogryzam jakąś podejrzaną padlinę w jadłodajni dla ubogich!

Problem polegał na tym, że nie potrafiłem zebrać się na odwagę, aby wejść do baru, sklepu czy nawet brudnej budki z hot dogami. Pieniądzy miałem dosyć; brakło mi pewności siebie. Wciąż wydawało mi się, że będą się

zastanawiać, skąd ktoś taki jak ja ma forszę. Nie byłem w stanie wkroczyć do normalnego świata, wziąć udziału w normalnej handlowej transakcji. Wstyd mi było nawet płacić. To źle. Po raz pierwszy naprawdę pomyślałem o sobie jak o zwykłym żebraku.

Ta porażka nie daje mi teraz spokoju. Patrząc wokół; po co się oszukiwać, niczym nie różnię się od tamtych. Gromadnie przyjmujemy jałmużnę, upokorzenie i to przeterminowane żarcie dla kotów. Niepokojąco łatwo przywiodło mnie tutaj. Po prostu ustawiłem się w kolejce. Przełknąłem dumę, a ta zepsuła mi apetyt.

Spoglądam na pochylone twarze rozmodlonych duchownych. Są ziemiste, niezdrowe, jak twarze wszystkich znanych mi księży i mnichów. Ich zawistna pobożność przyprawia mnie o mdłości. Wydzielina małostkowych dusz ludzi, którzy nic innego nie potrafią.

Wbijam wzrok w talerz. Ziemniaki pogodnie pływają w sosie, kołysząc amorficzne mięsopodobne ochłapy. Nie mam serca zakłócać im tej sielanki. Z ulgą odsuwam się od stołu.

Przez niskie okno wpada (w samą porę!) ciepły promień słońca, przeistaczając wstających od stołu pokornych żebraków w istoty ludzkie. Salka wypełnia się nieśmiałym szmerem. Duchowni zręcznie kierują swe owieczki do przyległego pomieszczenia (czy raczej przyległej owczarni, sądząc po zapachu).

Drepczemy potulnie, gdzie nam kazano. Pożegnawszy się z resztkami skromnego posiłku,

wchodzimy do większej sali, zastawionej ławkami i stołami, na których piętrzą się w schludnych kupkach brunatne koce i odzież - na oko odzyskana po ekshumacjach. Wokół kręcą się nerwowi przedstawiciele młodzieży chrześcijańskiej. Teraz ich kolej uczynić coś dla bliźnich. Pogawędzić, pomóc napisać podanie, wskazać drogę. To tu zdobywamy wytarte płaszcze, koślawe buty i Włosienice. Dla naszego cielesnego i duchowego dobra. Przyjmujemy je w pokorze. Zawsze jest cień szansy, że na końcu będą rozdawać fajki.

Biedacy instynktownie zbijają się w grupkę na środku sali, tworząc jądro, na którego orbitach krążą duchowni, młodzież chrześcijańska i ekipy telewizyjne. Jakiś lotniejszy bezdomny obok mnie szepcze, że zaraz odbędzie się tu grupowa orgia. Chichoczemy, chrząkamy i rżemy - w zależności od wieku, temperamentu i stanu uzębienia.

Pastorzy, starzy wyjadacze, zręcznie dzielą zbity tłum na stadka, które wiodą ku załadowanym stołom. Młodzież zaczyna wydawać zmięte, bezkształtne łachy. Skąd je u licha wzięli? Odzież bezdomnych różni się od stroju reszty ludzi. Pochodzi z dziwnej bajkowej krainy, w której nie ma krawców. Nie szyje się jej, lecz hoduje. Powstaje w wyniku naturalnego procesu fermentacji i przyswajania wydzielin ciała nędzarza. Ja nie żartuję.

Trzymam się na uboczu wraz z opozycją - garstką co dumniejszych włóczęgów. Korci mnie, żeby sobie pójść, ludziska jednak szepczą z nadzieją o tych

charytatywnych fajkach. Traktuję to sceptycznie, ale nie wybaczyłbym sobie, gdyby okazało się to prawdą, a ja bym się nie załapał. Dla papierosów gotów jestem poświęcić ludzką godność, posiadane zaś siedem funtów to za mało, aby żyć z odsetek.

W sali jest ciepło i duszno. Zbieram się na odwagę i zapalam. Kto wie, może będzie to wymowna aluzja? Wypinam pierś, unoszę dumnie głowę i przytykam zapalną do smukłego walca marki Benson & Hedges. Pozostali biedacy patrzą zazdrośnie, jak wonny dym spowija moją samolubną głowę. Nie proszą, żebym ich poczęstował. Wiedzą, że nie ma takiej możliwości.

Nagle czuję się o wiele lepiej. Z fajką w dziobie i forszą w kieszeni (czujnie zaciskam na niej palce) jestem niczym opoka. Dla zabicia czasu przyglądam się zebranym dobroczyńcom. Głównie młode, miłe twarze. Chłopcy i dziewczęta. Przeważnie w moim wieku. Ich czyste, bezgrzeszne oblicza rozjaśnia banalna niewinność oraz idiotyczna anglikańska gorliwość w czynieniu dobra. Dziewczyny mają cnotliwie splecione włosy i twarze nie tknięte makijażem, chłopcy połatane na łokciach swetry i rzadki miękki zarost, który świadczy o wrażliwości. Nachylają się nad potrzebującymi z kamiennymi twarzami, żaden mięsień nie ma prawa drgnąć, by wyrazić niechrześcijańską odrazę.

Psiakrew! Ależ dziś ze mnie cyniczny mizantrop! Ci młodzi ludzie nikomu nie robią krzywdy. No... z wyjątkiem mojej dumy.

Co za tolerancja, co za mądrość, co za zdolność zrozumienia, wczucia się w położenie drugiego człowieka!

O, tak, ach, tak. O! A co my tu mamy? Dzierlatka, gołąbeczka, lala! W kącie po lewej dostrzegam prawdziwą dziewczynę wśród tych wszystkich bezpiersnych, kosmatoudych, jałowych dziewic. Fiu, fiu! Całkiem niezła! Jakim cudem zabłąkała się pomiędzy prawych chrześcijan i co tu robi? Jest nie tylko ładna; ma klasę. No, no. Dostrzega mnie. Ha! To był szok, prawda? Patrzy znowu. Mhm, uznanie i wzajemność. Blednie, wpada w panikę. Biedaczka nie jest chyba przyzwyczajona czuć miętę do kloszarda. Usiłuje mnie zignorować; stroi jakiegoś przemoczonego do nitki biedaka w bezkształtny średniowieczny habit.

Nic z tego, moja pani! Mój nieustępliwy pałający wzrok bezlitośnie przyciąga jej oczy. Dziwna błagalna zmarszczka przecina jej czoło. Żywi nadzieję, że będę miłosierny. Ma dziewczyna szczęście. Moja litość jest niezmierna.

Chryste Panie, gotowym się tu zakochać! Jak już mówiłem, to bardzo łatwe, kiedy się jest młodym. Sentyment tryska ze mnie wszystkimi porami. Błazeńskie łzy napływają mi do oczu. Zapominam, kim jestem, i zaczynam snuć misterną uwodzicielską intrygę.

Nie. Bez głupot. Nie bądź osłem, Bogle. Nie ponizaj się bardziej niż to konieczne.

Patrzę na nią ponownie. Jest piękna. Ciemne

kosmyki starannie wystrzępionej grzywki stanowią ramę dla ciemnych, poważnych oczu. Usta niezbyt wydatne, zamknięte, nieodgadnione. Aura rezerwy i niedostępności. Powaga, którą tak uwielbiam w kobiecie! Ta dziewczyna coraz bardziej podbija moje serce. Melancholijna szczerłość, z jaką odwzajemnia moje buńczuczne spojrzenia. Delikatna zbroja kosztownej odzieży osłania niedopowiedzianą heretycką nagość. Z pożądania mąci mi się w głowie. Czczę ją wzrokiem. Chciałbym się do niej uśmiechnąć, ale czuję, że zerwałbym łączącą nas teraz pajęczą nić smutku i tęsknoty. Tym bardziej nie mogę się do niej odezwać. Muszę uszanować milczącą uległość pięknych ciemnych oczu.

Omam nie dławię się tym stekiem lirycznych bzdur. Ładny dowcip! Wygłodniały brudny tramp smali cholewki do pięknej szacownej filantropia. Erotyczne wyższe sfery, niech to szlag! (Możecie ze mnie szydzić, ja to lubię.)

Czuję się jeszcze bardziej upokorzony. Krótki napad bezpodstawnej euforii odchodzi, szuka sobie miłszego otoczenia. Dawniej beznadziejna namiętność była moim żywiołem, teraz grozi mi katastrofą. Gorycz i żal sadowią się wygodnie w moim opustoszałym „ja”. Pieprzyć fajki, myślę. Wychodzę.

Wymykam się z salki do zakurzonego świętością holu. U jego końca przez otwarte drzwi widać zalaną światłem, kusząco hałaśliwą ulicę. Idę ku niej ze

smutkiem w sercu.

- Halo! Proszę zaczekać!

Damski głos. Odwracam się z ociąganiem. Nie uwierzycie: to moja Ciemnooka i Pięknousta we własnej osobie! Zatrzymuje się niepewnie w rudawym półmroku. Rozchylone wargi, wstrzymywany oddech. Wcale mnie nie dziwi, że jest tak speszona. Dziwi mnie, skąd znalazła tyle odwagi!

Pokornie czekam, aż raczy do mnie przemówić.

Uśmiecha się rozbrajająco. Śnieżnobiałe zęby lśnią w gładkiej, zdrowej twarzy. Głos ma dźwięczny i cywilizowany. Jej zakłopotanie zaczyna mi się udzielać. Mózg, nie przyzwyczajony do towarzyskiej konwersacji na poziomie, bulgocze i dymi z wysiłku. Jej wypiełęgnowane, wściekle piękne ciało jaśnieje niczym zorza. Opowiada historię jedynej córeczki miłego małżeństwa, zainwestowanych w nią pieniędzy i troski. Miłości rodzinnej, nadziei i radości. Starannie dobranych szkół i kształcących wycieczek. Kimże jestem, by stawać temu wbrew?

Cisza naciąga się do granic wytrzymałości.

- Wychodzisz? - wyrywa się dziewczyna i natychmiast żałuje tego błędnego kroku, niech Bóg się nad nią zlituje. Patrzy na mnie błagalnie, zmieszana. Jej ból jest moim bólem.

Takie sytuacje to woda na mój młyn.

- Hm, no cóż... Taki miałem zamiar.

Gdzie się podziała moja słynna elokwencja? Może to

dlatego, że staram się być miły.

Dziewczyna się uśmiecha. Wolałbym, aby tego nie robiła, lecz ona uśmiecha się, potęgując jeszcze moje pożądanie i rozpacz.

- Ohyda, co? - pyta.

- Fakt.

Patrzy na moje poźółkłe od nikotyny palce.

- Za chwilę będą rozdawać papierosy. Nie chcesz zaczekać? - bąka nerwowo.

- Dam sobie radę, dziękuję.

Patrzy na mnie oczyma zranionego dziecka.

- Przepraszam. To w sumie nie moja sprawa.

- Owszem - rzucam kwaśno.

- Przepraszam - powtarza. - Nie zamierzałam się wtrącać.

Najchętniej zabiłbym ją i siebie - za to, że jestem takim wrednym i głupim gnojkiem. Stoimy zmieszani; w końcu ona znów się uśmiecha. Czuję się trochę głupio, stojąc w tym ciemnym holu i warcząc na niebiańsko piękną kobietę. Najwyraźniej ona też nie czuje się za mądrze. Mówi bez przekonania:

- Mam wrażenie, że gdzieś cię już widziałam.

- Wątpię. Nie szperasz chyba co dzień po śmietnikach?

Milknie spłoszona. W jej wielkich ciemnych oczach widzę, że nie rozumie. Powinno się mnie powiesić.

- Nie - mówi z wahaniem. - Ale jestem prawie pewna, że skądś cię znam. Co robiłeś zanim... no,

zanim...

Jest śliczna, lecz na Boga, popełnia gafę za gafą!

- Zanim wylądowałem w rynsztoku, chcesz powiedzieć?

- Przepraszam, ja...

- Niektórzy rodzą się do nędzy, innych dopada ona wskutek niepomyślnego zbiegu okoliczności.

- Co takiego?

- Nic.

- Nie znoszę, kiedy ludzie to robią.

- Kiedy mówią „nic”?

- Kiedy zaczynają i nie kończą.

- Naprawdę nie ma o czym mówić.

Oscar Wilde byłby ze mnie dumny. Cóż za wspaniałe uwodzicielskie tyrady! Patrzymy na siebie baranim wzrokiem.

- Pochodzisz z Londynu? - zagaja rozpaczliwie po raz kolejny.

- Przez jakiś czas mieszkałem w Tooting Bec - łzę bez mrugnięcia.

- W Tooting Bec? Tam chyba jest ładnie?

- Niezbyt.

Znów traci kontenans.

- Myślałam... - jąka się - myślałam, że mieszka tam wielu poetów i malarzy...

- Raczej mnóstwo non stop naćpanych Murzynów.

- O... - Biedaczka stara się skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory. - A skąd pochodzisz?

- Z północy. Tam nawet Tooting Bec wydaje się metropolią.

- Ach, tak...

Cisza. Ku memu zdumieniu dziewczyna wyciąga paczkę fajek. Kto by pomyślał, że ta chrześcijańska dusza tkwi w szponach nałogu?

- Przez całe popołudnie strasznie chciało mi się palić. - Uśmiecha się konspiracyjnie.

Powściągliwie odwzajemniam uśmiech i wrzucam zgnieciony niedopałek do najbliższego wazonu z suchym kwieciem. Dziewczyna podaje mi już zapalonego papierosa. Widać, że naoglądała się nieodpowiednich filmów. Jej gest wszakże przyprawia mnie o zawrót głowy. Te czyste, dumne wargi na filtrze, który trafi do mej plugawej paszczy! Widocznie wyglądam i śmierdzę mniej ohydnie, niż mi się wydawało.

- Co robisz w tej jaskini nieutulonej rozpaczy? - pytam, chcąc wyrzucić na niej wrażenie swoim nietuzinkowym słownictwem. - Nie przypominasz tamtych dzielnych filantropów.

- Mogłabym o to samo zapytać ciebie i twoich aromatycznych kolegów.

- Możliwe - rzucam enigmatycznie.

Trzask-prask. „Możliwe”. Co za szpan, prawdziwy miejski szyk. Jestem wspaniały. Dumny galeon płynący przez gnojówkę.

Dziewczyna zaciąga się delikatnie. Widać, że nie pali nałogowo. Przyglądam się jej. Rzadko zdarza mi się

oglądać kobietę palącą elegancko i jestem pod wrażeniem. Przypominam sobie szponiaste wydry z Belfastu z petami sterczącymi z kącików wypacykowanych ust. Ta tutaj należy do zupełnie innej płci.

Promień słońca niczym smuga światła z kinowego projektora wpada naraz przez drzwi i tańczy w jej oczach. Otaczają ją taneczne wiry blasku i dymu. Na widok jej urody serce rozdziera mi nagły ból.

- Ściągnęła mnie tu koleżanka - mówi. - Poza tym chyba byłam ciekawa.

Na wszelki wypadek poleruję językiem niezbyt czyste zęby i uśmiecham się ostrożnie. Mówię:

- A ja przyszedłem, bo byłem głodny.

- No tak. - Uśmiecha się. Jej oczy zdobi cudowna obojętność bogini. Po chwili dodaje: - To było głupie pytanie. Przepraszam.

- Nie przepraszaj - uśmiecham się pewniej. Stare nawyki pozera zaczynają dochodzić do głosu.

- Nazywasz się Bogey, Boggy czy jakoś tak... - Dziewczyna marszczy brwi w skupieniu. - Pamiętam, że nietuzinkowo.

- Słucham? - charczę zaskoczony.

- O, już wiem. Bogle. - Jej twarz rozjaśnia się z dumy.

Ładne kwiatki! Uciszam swe zasmucone zbuntowane serce i uśmiecham się jeszcze raz - tym razem z wystudiowaną nonszalancją.

- Niestety, nie.

Patrzy na mnie z powątpiewaniem.

- Jesteś pewien?

- Chyba wiem, jak się nazywam, nie sądzisz?

- Tak, chyba tak.

Milkniemy. Ona wciąż powątpiewa, ja się zastanawiam. Serce bije mi nerwowo. Jestem zbity z tropu. Wy na pewno też. Zmieszanie wprowadza jeszcze większy chaos w moje rozproszone myśli. Może mała jest z KGB albo CIA?... Ci dranie wszędzie mają swoich ludzi i wszystkich na oku.

Tracę grunt pod nogami, a ona jest coraz pewniejsza swego. Nie chcę, żebyście na to patrzyli. Postanawiam, jak zawsze, przegrupować się w stronę wyjścia za dymną zasłoną słów.

- Skąd mogłabyś mnie znać? - peroruję jowialnie.

- Spójrz na siebie, a potem na mnie. Widzisz? Nasze ścieżki mogły się przeciąć... - błyskawicznie odzyskuję kontrolę nad tym, co mówię - wyłącznie dzięki tej groteskowej kombinacji nędzy i hojności, jaka ma miejsce tutaj. Ty nie należysz do Klubu Kloszardów, a ja rzadko obracam się w wyższych sferach.

Jestem teraz bardzo spokojny. Niewzruszony i przekonujący. Chyba się udało, przynajmniej na krótko. Teraz ona jest stropiona. Patrzę w jej niepotrzebnie piękne oczy. Byłyby lodowate, gdyby nie wątła nutka niepewności. Na niej opieram swój młodzieńczy blef.

Dziewczyna się rumieni. Z tym różowym blaskiem

na policzkach jest jeszcze piękniejsza.

- Może masz rację - powiada.

(Mowa!)

Na te słowa czuję nagły bezrozumny przyпіływ radości i pierwotnego lęku. To dziwaczne, nieprawdopodobne spotkanie napęlnia mnie rozpasanym poczuciem wszechmocy. Pod brylantami oczu tej kobiety młoda krew tętni mi w żyłach. Płuca wdychają jej złocistą aurę. To chwila rozkoszy, wirtuozerii. To, na co człowiek czeka nieraz latami.

Patrzę na jej skąpane w świetle włosy, na jej epickie oczy i dramatyczne usta. Mocno, choć bezowocnie zaciągam się jałowym dymem niskonikotynowego papierosa. Kokon dymu rozmywa moje rysy. Okrywam się nim, nieodgadniony i tajemniczy.

Uśmiecham się.

6

Mężczyzna jest szorstki, bezlitosny, pewny siebie. Ona za wszelką cenę stara się zachować godność, nie uронić ani jednej łzy. Na próżno. Spłoszona zerka na przygodnych gapiów, w tym i na mnie. Pali się ze wstydu. On rzuca się, wścieka coraz głośniejsze.

- Dałaś mi słowo, prawda?

Łzy, bąbelki milczącej soli, ciekną jej po policzkach. Dlaczego mu nie wygarnie? Nie kopnie go w jaja? Facet zachowuje się jak świr. Takich rzeczy nie załatwia się publicznie. Chętnie stanąłbym w jej obronie. Ruszyłbym na niego z lśniącym ostrym mieczem. Sprowadziłbym go do właściwego formatu. Zrobiłbym to, gdybym nie był tym, kim jestem. Jestem kloszardem. Po prostu mi nie wypada.

- Prawda? - Mężczyzna pieni się ze złości. Jego elegancki garnitur szeleści ze słusznego oburzenia. Racja musi być po jego stronie - w każdym razie on jest tego pewien. Nie podoba mi się ten gość, jego wygolone opalone policzki, śnieżnobiała koszula, krzyczący dostatek i jego romantyczne komplikacje. Ale jej najwyraźniej na nim zależy. To widać. Mówią o tym łzy, a potwierdza jej milczenie.

- Prawda? - powtarza mężczyzna.

Kobieta robi wąty gest, który bez powodzenia ma symbolizować niezadowolenie połączone z chęcią zgody.

Grupka smarkaczy czekających w kolejce pod budką telefoniczną pozwala sobie na złośliwe komentarze. Mężczyzna krzywi się z niesmakiem. Daj spokój, myślę, nie niszczyć wszystkiego. Masz ją całą, czeka tylko na twój przyjazny gest. Przecież to i owo przeżyliście już razem. Uśmiechnij się. Powściągnij swój słuszny gniew. To naprawdę nie kosztuje aż tak wiele wysiłku. Przyjmie od ciebie każde zdawkowe przeprosiny. Ona cię kocha, kipi uwielbieniem, gotowa jest pójść na ustępstwa. Nie odrzucaj tego.

Mężczyzna odwraca się i odchodzi, z oburzeniem bębniąc obcasami w chodnik. Smarkacze spod budki telefonicznej szydzą już całkiem jawnie. Kobieta stoi jakby przykuta do chodnika swoim wstydem i rozpaczą. Rozgląda się wokół. Policzki lśnią jej od łez. Włosy opadają na skulone ramiona, czyniąc co w ich mocy, żeby ukryć twarz. Na ułamek sekundy mój wzrok napotyka jej ślepe, martwe spojrzenie. Usta drżą jej konwulsyjnie i tak słabo, och, tak bezsilnie. Serce mi pęka. Odwracam wzrok. Próbowiałem go ostrzec, powstrzymać, ale ten dureń wolał wszystko zniszczyć. Kiedy patrzę ponownie, już jej nie ma. Rozglądam się po rozległym wulgarnym Leicester Square, lecz nie mogę jej dostrzec w zmiennym, falującym tłumie.

Leicester Square. Monstrualnie ekscentryczne miejsce. Ze wszystkich stron tłoczą się kina, rażąc oczy przechodniów wielkimi billboardami. W samym środku

widnieje maleńki prostokącik trawy i parę zawstydzonych drzew zastygłych jak żona Lota pośród bruku. Setki szpaków wypełniają powietrze kłótniami, gałęzie i ławki okryte są ich ruchliwym czarnym kożuchem. Cały plac zalega warstwa guana. Leicester Square upstrzony jest odchodami angielskiej fauny i amerykańskiej kultury. Osobiście wolę jednak faunę.

Zachodzące za budynkami słońce dzieli przestrzeń na wielkie płaty światła i cienia. Znów robi się chłodniej. Próżniacy i pracusię przemieszczają się takim samym powolnym ciągiem zygzaków i uników. Leicester Square nie schlebia nikomu. Tu każdy w mniejszym lub większym stopniu przypomina szmatę.

Miejsce to zamieszkuje swoista elita ulicznych włóczęgów. Nie zwykli kloszardzi, lecz uciekinierzy z domów, młodociani kieszonkowcy, nieletnie prostytutki, grupy punków i tym podobnych świrów. Najwyraźniej odpowiada im to, co ten plac ma do zaoferowania.

Nie lubię tej atmosfery, ale często przychodzę tu odsapnąć. Przychodzę, bo na Leicester Square nawet ja wyglądam porządnie, wręcz szacownie. Wedle obowiązujących tu standardów jestem elegancki, nadziany i zdrowy psychicznie. Miło od czasu do czasu zabłysnąć. Ta mętna kałuża jest na tyle mała, że czuję się w niej wielką rybą. Niewielki to zaszczyt, ale ostatecznie powinienem czerpać z życia nieco satysfakcji.

Przedstawiwszy wczoraj nocne przeżycia włóczęgi, powinienem teraz przejść do opisu jego życia za dnia.

Noc niesie tylko cierpienie, za to dzień nie przysparza włóczędze wielu trudności. Daje mu komfort posiłku, snu i życie towarzyskie. To pouczające przeciwieństwo normalnej powszedniości, kiedy wieczór przynosi posiłek, odpoczynek i czas na pogawędkę, podczas gdy dzień wypełniony jest wielorakimi zadaniami. Dla zwykłego człowieka to praca jest trudem, udręką, przybliżonym ekwiwalentem nocnego koszmaru włóczęgi. Nieuchronna, lecz mało zabawna.

W dzień kloszardzi głównie śpią. Drzemią, pochrapują, relaksują się. (Z jakiegoś powodu najzimniejszy nawet dzień jest zawsze cieplejszy od przeciętnej nocy.) Również we dnie odwiedzają paśniki. Na szczęście żywieniowe potrzeby bezdomnych są zwykle skromne i ściśle skorelowane z ilością wypijanych trunków. Im więcej ktoś pije, tym mniej musi jeść. W Londynie jest wiele jadłodajni gotowych nakarmić potrzebującego. Widzieliście mnie dziś w jednej z nich. Jadło ohydne, ale nie bądźmy wybredni.

Życie towarzyskie to najmniej ważki składnik dnia kloszarda. Jak wiecie, mam niewielu znajomych, nie czuję się więc upoważniony do głębszych rozważań tej kwestii, jestem jednak pewien, że poczucie przynależności do pewnej kasty jest dla nich ulgą, chroni przed bolesną świadomością, że nie są nikomu potrzebni. Wątpię wszakże, czy prowadzą wzniosłe dyskusje lub dokonują wiekopomnych czynów.

Tym, co może kloszardowi skutecznie zepsuć dzień,

jest stan jego zdrowia. W nocy jest zajęty: stara się przeżyć. Dopiero w relatywnym komforcie dnia ma czas porozmyślać o różnych aspektach fizjologii i wtedy to wydaje się na łaskę i niełaskę swoich schorzeń. Są one przeróżne, lecz rzadko estetyczne, dlatego nie będę o nich opowiadał.

Sam nie jestem w najlepszej formie - przedwcześnie postarzały, wycieńczony, nękany infekcjami i urazami. To mi jednak tak bardzo nie przeszkadza. Mam poważniejszy problem natury zdrowotnej i jemu poświęcam większość czasu.

Rak. Przeraża mnie i równocześnie fascynuje. Szczerze go podziwiam. To surowy mistrz i czuję, że dobrze znam go od podszewki. Wiele o nim myślałem. Nie chcę, żeby dopadł mnie znieńcka.

Jak dotąd nie mam raka. W każdym razie nikt go jeszcze u mnie nie stwierdził. Ale widok tego, co wykrztuszam z płuc i wydzielam ze swych smutnych jelit, budzi we mnie pewne podejrzenia.

Chodzi o to, że Rak to kanalia. Nie jest podobny do innych chorób. Nie przestrzega zaleceń lekarza. Oszukuje. Zwykłe komórki ciała są zdyscyplinowane jak Szwedzi, demokratycznie podporządkowane biurokracji organizmu. Komórki nowotworowe to anarchiści. Wandale. Bojówkarze organizacji przestępczej, której na imię Rak.

Nikt nie wie, jak zwalczać tych mikroskopijnych terrorystów. Pozostaje zagadką, dlaczego tak gwałtownie

nienawidzą życia. To śmiertelnie groźni partyzanci, nieubłagani i prawie zawsze zwycięscy. Postawili nas pod ścianą. Trzymają na muszce całą ludzkość.

Możecie mnie uznać za paranoika, ale to mnie martwi. W ciągu tych dwunastu lub trzynastu lat, odkąd palę, wciągnąłem w płuca, ostrożnie licząc, blisko ćwierć miliona papierosów. I jestem pewien, że nie wyszło mi to na zdrowie. Rak jest kapryśny, bywa, że daje dożyć dziewięćdziesiątki komuś, kto wypala cztery paczki dziennie. Wątpię jednak, by zdołał się oprzeć tak kuszącej okazji, jaką ja mu stwarzam.

To śmieszne, lecz mam pewność, że nawet gdybym rzucił palenie, Rak i tak mnie dorwie. Zawsze odnosiłem wrażenie, że jestem ujęty w jego opasłym biznesplanie. Zważywszy moje pieskie szczęście, taki wniosek sam się narzuca.

Kiedyś Rak mnie przerażał. Teraz nie jest tak źle. Poufałość bynajmniej nie prowadzi do lekceważenia, lecz skutecznie rozprasza zabobonny lęk. Mam wysoki poziom pesymizmu, a niski limfocytów. Po nocach śnią mi się gruczolak, białaczka i nowotwór odbytu. Trzustka bardzo mnie niepokoi, a o krtani wolę nie myśleć. Terminologia medyczna przyprawia mnie o dreszcz, jakbym otarł się rdzeniem kręgowym o szorstki całun. (Skoro już mam być hipochondrykiem, mogę być hipochondrykiem czytany.)

Martwi mnie chrom, kobalt, sadza, asfalt i środki konserwujące w musztardzie. Martwią substancje

smoliste w papierosach, włókno szklane i azbest. Gdziekolwiek człowiek się obróci, atakują go substancje rakotwórcze. Przypalona grzanka, na rany Chrystusa! Przypalona grzanka! Czy mamy choć cień szansy wygrać z tym draniem?

We śnie widzę zastępy podpitych, ostrzyżonych na zero komórek nowotworowych. Wszczynają burdy, hałasują i niszczą budki telefoniczne. Mają na mnie zamiary i chcą mojej krwi.

O, już idą.

PIEŚŃ KOMÓREK NOWOTWOROWYCH *(śpiewają hałaśliwie)*

Hejże, naprzód, dalej, pany
Z Cmentarnej ulicy,
Miejsca tutaj załatwiamy,
Tacy to z nas zawodnicy.
Naświetlania - kaszka z mlekiem,
Chemia po nas spływa,
Wciąż zmagamy się z człowiekiem,
Banda nasza dokuczliwa.
Co tam zawał, mózgu udar,
Alzheimer czy jakiś mór.
Dumnie nasz powiewa sztandar,
Wdzięczni są nam łowcy skór.
Gdy ofiary krwią się krztuszą,
Ciała ich chwytny w mig,

Zajmujemy się też duszą:
Z nami wszak nie przetrwa nikt.
Pijesz i palisz, wdychasz smog,
Szykujesz nam łóżeczko,
A potem się dziwisz: Jakże to?
Chcą zamknąć trumny wieczko?
Więc strzeż się, bracie, czerniaka,
Guzków, znamion i cyst,
Bo światem rządzi prawda taka:
Z nami nie wygrał jeszcze nikt.

Rozumiecie teraz, o czym mówię? Te dranie nie mają żadnych skrupułów.

Spłoszone stadko wróbli rozprasza się, krzycząc z oburzeniem. Z chaosu trzepoczących skrzydeł wyłania się niewielki czarno-biały kot, władczy i niewzruszony. Stąpa bezgłośnie na miękkich, wyściełanych łapach. Smukłe łaciate ciało zakreśla łuk w powietrzu i ląduje obok mnie na ławce. Kot bez lęku zbliża się do mnie. Podnoszę rękę, żeby go pogłaskać. Na ułamek sekundy waha się, po czym zezwala mi na poufałość. Ociera się czołem o moją dłoń. Ma nadzieję, że dam mu jeść. Mruczy uparcie, małe ciało wibruje pod moją dłonią. Nie mam czym go poczęstować. Pomimo to nadal okazuje mi życzliwość. Teraz ociera się pupą o mój kciuk. Jest zadowolony z życia i wygląda na dobrze odżywionego. Ciekawe, jak mu się to udaje.

Ups! Zrywam się gwałtownie. Kot zeskakuje z ławki, bynajmniej nie wzruszony moim nagłym odejściem. Pędzę jak oszalały w stronę publicznej toalety w rogu placu. Roztrącam przechodniów, zbiegam na złamanie karku po stopniach do podziemia. Jasny szlag! Płatna! Gorączkowo grzebię po kieszeniach i wciskam dziesięć pensów otyłemu staruchowi u wejścia. Barijerka idzie w górę; wnikam w glazurowane trzewia Londynu. Wyminąwszy stojących mi na drodze pederastów i tajniaków, dopadam wolnej kabiny. Mam ją tylko dla siebie. Bezpiecznie zamknięty, pochylam się i przygotowuję psychicznie, spozierając z bliska na wypełniający wyszczerbioną muszlę papier toaletowy i nasiąknięte moczem niedopałki. Zaczynam wymiotować.

Kiedy jest już po wszystkim, spluwam brunatnym śluzem. Uparta smużka wisi mi u warg. Spluwam mocniej. Pozostaje mi wierna. Ocieram wargi dłonią, a dłoń - o upaskudzoną ścianę.

Czuję się znacznie lepiej. Zaglądam do muszli na wypadek, gdybym wypluł z siebie jakieś ważne organy, a następnie z ulgą spuszcza wodę. W głowie tętni mi ból i obrzydzenie. Kieruję się do wyjścia. Jakiś pedał z kąta patrzy na mnie z nadzieją. Wydaje mu się, że upadłem dostatecznie nisko, aby być nim zainteresowany. Myli się; może tylko trochę, ale się myli.

Na zewnątrz dobiegający końca dzień nie ma dla mnie żadnych ofert. Tłum starannie opływa mnie dookoła. Spoglądam w stronę mojej ulubionej ławki. Już

zajęta. Rozsiadło się na niej dwóch zapchlonych meneli z torebką przemoczonych chipsów i butelką wypełnioną podejrzanie niebieskim płynem. Czarno-biały kociak przykucnął obok, przyglądając się im z zainteresowaniem.

Wlokę się w kierunku Charing Cross Road. Jest tandetna, ale przynajmniej mieści kilka księgarń rozsiewających fałszywą aurę wiedzy. Wystarczy mi ten pozór szacowności. Mam już dość Leicester Square.

Nie będę wam opowiadał, co wyrzygałem. To było straszne. I bolało. Może nowotwór już wziął mnie w obroty. Czasem myślę, że umieram. Mam taką nadzieję. Chociaż z drugiej strony, skoro wciąż żyję po tym, co przeszedłem, to śmierć musi być znacznie, znacznie gorsza. Ta myśl trochę mnie niepokoi. Łaknę wytchnienia. Wolałbym uniknąć niespodzianek.

Tyle bólu. Tyle bezkompromisowego samoudręczenia. Jakie robi to na was wrażenie? Przeraża czy irytuje? Po cholere to znoszę? Ćwiczę silną wolę czy jak? Zamiast dać sobie siana, wziąć ciepłą kąpiel, włożyć kapcie i zdrzemnąć się w fotelu przed kominkiem. Co za chory snobizm każe mi odrzucać komfort i spokój ducha?

Zapewniam was, że nie jestem snobem. Przeciwnie, byłem ongiś wielkim fanatykiem wygod. Nie łaknąłem podniet ani uszlachetniających cierpień. Chciałem, by los wymościł mi drogę pluszem i starannie zmiotł z niej wszelkie komplikacje. Najbardziej na świecie wkurzały mnie przejawy autodestrukcji znaczące rozwój jednostki

na przestrzeni dwudziestego wieku. Atakowanie własnych pozycji. Dążenie do katastrofy lub równie samobójcza bierność. Duma czerpana z upokorzenia i dorabiane do niej *ad hoc* teorie. Degeneracja uszlachetnia. Cnotliwy masochizm doprowadza mnie do szału, napawa odrazą. Jest ohydny, niewytłumaczalny i bzdurny.

Naturalnie jak większość moich żywiołowych opinii, ta również oparta była na niedostatecznej wiedzy. Myliłem się. Cierpienie - kiedy ma szansę cię dopaść, zmielić i kompletnie zmieszać z błotem - samo się usprawiedliwia. Staje się własną racją bytu. Dzięki temu zaś zyskuje funkcję, swoiste tchnienie życia. Na swój groteskowy sposób bawi i dostarcza rozrywki. Rola jak każda inna, a nawet lepsza od wielu.

Innymi słowy, kiedy jesteś na samym dnie, czerpiesz pociechę zewsząd.

Sądzę, że jednak powinienem dopowiedzieć wam do końca historię pięknookiej dziewczyny z Braterstwa i Miłosierdzia. Nie darowałibyście mi, gdybym to zataił. Uparła się, że mnie zna. Było to oczywiście wykluczone - poruszam się w znacznie niższych sferach. Pewnie słyszała, jak zwracał się do mnie któryś z dziadów. Albo strzelała w ciemno. Byłby to jednak absurdalnie szczęśliwy strzał, zważywszy, że Bogle nie jest tak popularnym nazwiskiem jak powiedzmy, Smith. Nie potrafię zatem wyjaśnić, skąd je znała, ale wyzbądźcie się

podejrzeń. Przecież bym was nie okłamał.

Biedna dziewczyna była zdruzgotana, że tak nisko upadłem. Chciała coś dla mnie zrobić. Rozważyłem przelotnie możliwość wyłudzenia od niej paru funtów. Zrezygnowałem. Byłoby to żenujące.

Powiedziała, że postara się znaleźć mi jakieś lokum. Ktoś z jej znajomych ma pusty dom w Enfield. Spróbuje mnie tam wkręcić. Dala mi numer telefonu i kazała zadzwonić w poniedziałek. Nie muszę być bezdomny, stwierdziła. Ulica to nie miejsce dla mnie. Kiedy będę miał dach nad głową, prędko się pozbieram (cokolwiek miałyby to oznaczać).

I co o tym sądzicie? Ja osobiście nie jestem przekonany. Owszem, to niezmiernie miło z jej strony, że chce mi pomóc i tak dalej, ale dręczy mnie paskudne podejrzenie, że w ostatecznym rozrachunku łotrzyca zamierza dobrać mi się do zadka. Nie mogę się aż tak sprostytować. Chyba jednak nie zadzwonię.

Londyn, późne popołudnie. Smętny ubłocony targ wtulony pomiędzy Covent Garden i Southampton Street. Zagraniczne wycieczki wylewają się spod zabytkowych łuków, młode i hałaśliwe. Deszczowy wieczór nie ochłodził ich żywotności i szczeniackich wybryków, jakby nie dostrzegali brzydoty oleistego nieba i przelewających się studzienek odpływowych.

Jak sami widzicie, pogoda się popsuła. Co było do przewidzenia.

Przyglądam się mokremu światu spod parasola jednej z tandetnych kafejek, które zaśmiecają Covent Garden. Przyglądam mu się życzliwie. Napawam się posępną grozą sklepionego nieba. Lubię, kiedy pada.

To skądinąd głupota. Deszcz nie jest mi przyjacielem. Zmusza mnie do szukania schronienia w brudnych miejskich norach. Mam przemoczone buty, nadgniłe skarpetki lepią mi się do nóg. To dla mnie żaden komfort. Obiektywnie jednak lubię deszcz, podziwiam go. Uwielbiam sposób, w jaki olewa wszystkich i wszystko.

Dzisiejsza ulewa jest tego dobrym przykładem. Spada jak grad strzał, dziurawiąc miejski kurz. Niebo jest ponure i niezycliwe. Kwaśną miną deprecjonuje blichtr miejskiego zmierzchu.

Zasnąłem na krześle. Pewnie chrapałem i

smarkałem, lecz co dziwne, nikt nie miał serca przerwać mi wypoczynku. Ludzie potrafią być mili, kiedy mają czas zechcieć. Obudziłem się połamany i smutny. Zesztywniały kręgosłup pali mnie jak rozżarzony pręt. To jedyna część mojego biednego ciała, która nie zamarzła na kość. Nie wiem, czy mam się z czego cieszyć.

Ostrożnie zmieniam pozycję. Nic nie wyciekło ani nie odpadło, mam więc powody do zadowolenia: jestem okazem zdrowia. Sięgam do kieszeni lepkiego od brudu palta. W wymiętolonej paczce zostały dwa papierosy. Jeden jest złamany, filtr wisi na skrawku bibułki. Odrywam go i palę resztę. Smakuje nawet lepiej. Bez pośrednika: czysty zysk. Wypluwam twarde listki tytoniu i czuję dreszcz wdzięczności w skamieniałym ciele.

Siedzę w pustoszejącym barze, opływając w dostatki. Mam do wyłącznej dyspozycji stół i dwa krzesła. Na blacie wahają się w rozterce cztery puste filiżanki po kawie z dużą ilością cukru. Wysączyłem je do dna; kelnerka zostawiła je, żeby dotrzymywały mi towarzystwa.

Obszargana markiza tandetnej kafejki stanowi właściwą ramę dla smutnego, utrzymanego w brunatnych tonach obrazu, który jawi się moim oczom konesera. Deszcz przybrał na sile i ze złośliwą satysfakcją bębni o brudne parasole targowiska. Ludzie kulą się, okrywają, biegną lub czekają. Parasolki jęczą w porywach wiatru, a kunsztowne fryzury rozwiewają się w jednej okrutnej chwili. Tu, na tarasie, byłoby całkiem zacisznie, gdyby

nie to przenikliwe zimno. Zacieram ręce, żeby choć trochę je ogrzać. Czerwiec, psiakrew!

Cztery kawy! To szaleństwo kosztowało mnie firm ta sześćdziesiąt. Ale postawiły mnie na nogi. Dałem się ponieść panice - po ataku torsji poczułem, że umrę, jeśli nie wypiję dokładnie czterech filiżanek kawy. Wlałem je w siebie i po chwili doszedłem do wniosku, że będę żyć. To był fałszywy alarm.

Teraz cztery znajome filiżanki siedzą tu wraz ze mną. Czytam z fusów żalowaną prawdę o swoim życiu. Postrzegam się jako kiepski dowcip; widzę wyraźnie brud, smród i ubóstwo mego losu.

(Każdy ma czasem zły dzień.)

Deszcz pluje. Chodnik pokrywa rzadkie rozdeptane błoto. Patyna tłustego brudu jest zdradziecko śliska, przechadzający się w tę i z powrotem niesympatyczny policjant omal nie ląduje na zadku. Wszyscy zachowują stosowną powagę, to nie powód do ukradkowych śmichów-chichów.

Deszcz. Zimny, szorstki i bezlitosny. Szare krople błota bębnią głucho o chodnik i mury. Wszystko jest płynne, niestałe i rozmyte.

Jak się zapewne domyślacie, to wymarzone tło historii, którą chcę wam opowiedzieć. Smutne błoto, siekający deszcz, melancholijna huśtawka nastrojów. Symbolika żalowanej porażki.

Albowiem.

Trudno mi o tym mówić. Trudno i smutno. Pora

wywlec na światło dzienne mój dramat. Myślę, że tym razem wzbudzę wasze współczucie. Będzie to romantyczna tragedia pod tytułem „Tajemnica Deirdre”. Zapis najgorszego okresu mego życia.

Tak oto, przedwcześnie dojrzawszy, w pocie czoła wiązałem koniec z końcem. Życie mnie nie rozpieszczało; ja jego tym bardziej. Podziwiałem się za to, że jestem taki twardy. Troskliwie pielęgnowałem swoje brzemię. Jeśli coś poszło mi dobrze, znajdowałem dwa inne powody do żalu. Dokładałem starań, aby być zgorzkniały, ciężko doświadczony i żądny pomsty. Do pewnego stopnia i nie bez powodu osiągnąłem ów cel. Gromadziłem urazy jak cenne klejnoty i co noc przeliczałem skarbiec mych goryczy. Cierpiałem srodze; czułem, że pewnego dnia ktoś mi za to drogo zapłaci. Myśl ta była mi najcenniejszą pociechą. Dodawała mi bodźca, by żyć dalej na przekór całemu światu. Myśl o zemście doskonale wpływa na samodyscyplinę.

Mój problem polegał na tym, że nie miałem się do kogo przyczepić. Niewątpliwie ktoś robił mi krzywdę, lecz był to ktoś bezcielesny; nie miał telefonu ani córki, którą mógłbym zgwałcić. Przeznaczenie było moim zaprzysiężonym wrogiem - nie mogłem liczyć, że wezmę na nim odwet. Ilekroć próbowałem, dostawałem w ucho. Czułem się jak prywatna latryna cierpiącego na biegunkę Pecha. Nieszczęścia waliły się na mnie ze wszystkich stron, na zmianę to przewidywalne, to niespodziane,

złożone, oszałamiające, żałosne, epickie, zasłużone, zbędne, złośliwe i niewiarygodne. Mój kapitał się kurczył, akcje spadały.

Pocieszałem się myślą, że gorzej już chyba być nie może. Niezmiennie okazywało się, że może. Moje regularne żenujące wpadki mogły zastąpić kalendarz, zegar i minutnik do jajek. Ogarniała mnie histeria i na przemian to śmiałem się, to płakałem. Kapitulowałem, to znów podejmowałem walkę. Godziłem się z losem i stawiałem mu zacięty odpór. Zasięgałem porady u pracownika pomocy społecznej i egzorcysty - obaj uznali mnie za beznadziejny przypadek. Wkrótce losowi zabrakło pomysłów na nowe psie figle. Pozwoliłem sobie na ostrożny optymizm - a los przerzucił parę kartek i zaczął wszystko od początku. Wyłysiałem, dostałem zmarszczek i straciłem potencję. Przyjaciele na mój widok uciekali z krzykiem. Mój rachunek strat i zysków zaprzeczał regułom prawdopodobieństwa, jak dowiodło paru wybitnych matematyków. Humanisci na myśl o mnie załamywali się nerwowo, a teolodzy przytaczali mnie jako dowód na istnienie Boga (acz dość sardoniczny). Stałem się rozkojarzonym nihilistą z silnym nerwowym tikiem.

A było coraz gorzej.

Nie mogę powiedzieć, żebym wszystkie swoje dopusty zawdzięczał wyłącznie ślepemu losowi. Na liście osób, którym zamierzałem podziękować, znaleźli się właściciele pokoi do wynajęcia i barów (przeklęci

krwiopijcy). Rodzice Deirdre też dokładali starań, by mnie pognać. Wynajmowali prywatnych detektywów, wysyłali paszkwile do kierownictwa szkoły i podrzucali mi bomby w łazience. Jak to teściowie. Tak, w swej nienawiści nie znali znużenia, a przecież ci żałośni przeciętniacy naprawdę nie mieli się czym pochwalić.

Nieświadome tortury, jakie zadawała mi ich śliczna córeczka, były o wiele bardziej dotkliwe. Prym pośród nich wiodły zimna nietolerancja Deirdre i jej - co tu kryć - egoistyczna zamożność. Podczas gdy ja głodowałem, ona obrastała w sadelko. Moje buty składały się w większej części z dziur, ona oblekała nieszczególną figurę w coraz kosztowniejsze kreacje. Ona miała sute konto w banku, a ja cienki albumik, w którym przechowywałem zdjęcia wszystkich pięćofuntowych banknotów, jakie w życiu widziałem. Trudno było uznać nasz związek za modelowy pod względem równouprawnienia (choć czy równouprawnienie w ogóle ma rację bytu?).

Drugie śniadanie Deirdre zawierało na ogół więcej kalorii niż moje tygodniowe wyżywienie, lecz nie dawała po sobie poznać, że dostrzega tę nierównowagę, i najwyraźniej oczekiwała ode mnie, iż ja także zachowam się dyskretnie. No i milczałem jak zakochany kretyń. Dyplomatycznie ukrywałem koszmar, w jakim żyłem. Moje zapieczętowane wargi nie splamiły się słowem skargi ani buntu. Jeśli zdarzyło mi się zemdleć z głodu albo porzygać się od ciągłego zucia trawy, zbywałem to milczeniem tak samo jak kolejną dziurę w podeszwie

mojej nędznej egzystencji.

Kiedy żyjesz w spokoju i dostatku, cudze nieszczęścia wprawiają cię w straszliwe zażenowanie. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Nie chciałem, żeby Deirdre zaczęła mnie unikać.

(Satyryk winien wytykać wady, lecz się do nich nie ustosunkowywać; unikać moralnej wyższości i hipokryzji. Korygować, nie szukać zemsty. To dmuchawka na szpilki; powinno się z niej strzelać tylko do ziemskich baloników.

Czy to cała prawda? Chyba nie.

Wszyscy jesteśmy ofiarami satyry - wykpiwani, wyśmiewani, wyszydzani. Łatwiej by nam było znosić życiowe dramaty, gdyby krzepiła nas świadomość, że cierpimy wzniośle. Ale nie, nic z tego! Bezczelna, małpio złośliwa satyra nie zostawi nas w spokoju. Każde nieszczęście opatrzy obelżywym piętnem. Ironia i śmieszność kąsają głęboko i chętnie. Jesteśmy smacznym kąskiem dla pani Drwiny.

Powyższe dywagacje sprowadzają się do jednego: będąc w złej formie, wychodzimy na głupców; będąc w dobrej - na mądrych inaczej.)

Osiemnasty rok mojego życia trudno nazwać dobrym rokiem. (Dla Maurice'a też nie był on dobry; między innymi właśnie w tym czasie zginął.) Śmierć przyjaciela była tylko paciorkiem różańca nieszczęść, z których

jedno szczególnie mnie dotknęło. Posłuchajcie:

Siedemnastego lutego w osiemnastym roku mojego życia pracowałem jak zwykle w czasie szkolnej przerwy na lunch za barem w Shannon Inn. Praca w tej knajpie była w ogóle sama w sobie kształcąca. Obszarpani zawszeni starcy, którzy po paru godzinach spędzonych w barze zaczęli dopiero czuć, że należą do rodzaju ludzkiego. Niski, przygnębiający szmer głosów tonących w kuflach piwa. Zastłona papierosowego dymu i odór ludzkich ciał wiszący stale w powietrzu. Zabawa jak ta lala.

Tom Mullen, mój szczerbaty pracodawca, powiedział mi, że przed barem czeka ktoś, kto chce ze mną mówić. Był wściekły. Oznajmił, że nie płaci mi za to, żebym w godzinach pracy wystawał z kumplami na ulicy. Puszczając mimo uszu jego klątwy, wybiegłem na zewnątrz. Osobą, która na mnie czekała, był ojciec Deirdre. Zdziwiłem się. Nie utrzymywaliśmy stosunków dyplomatycznych, a już na pewno nie można go było nazwać moim kumplem. Minę miał ponurą.

Powiedział mi coś, co rozłożyło mnie na obie łopatki. Znokautowało. Na szczęście jako rozumny chłopiec natychmiast znalazłem właściwe rozwiązanie: upiłem się do nieprzytomności.

Maurice znalazł mnie wieczorem uśpionego świętokradczo na stopniach ołtarza w szkolnej kaplicy. Tuliłem do siebie dwie butelki whisky na wypadek,

gdybym zaczął trzeźwieć. Co prawda w najbliższej przyszłości mi to nie groziło, ale wolałem się zabezpieczyć. O wielu rzeczach nie chciałem teraz myśleć.

Zdumiony Maurice próbował się dowiedzieć, co mnie tak wytrąciło z równowagi. Kosztowało go to dużo czasu i cierpliwości, przy czym niewiele usłyszał ciepłych słów, w końcu jednak wydobył ze mnie prawdę. Muszę mu to przyznać: nawet on przeżył szok. Czegoś takiego się nie spodziewał. Ależ musiało mu być głupio.

Ojciec Deirdre poinformował mnie, że jego córka poroniła. Był to, wedle wszelkich danych, rezultat amatorskiej próby usunięcia ciąży dokonanej kilka tygodni wcześniej. Dziewczyna omal nie przypłaciła jej życiem, ciąża była bowiem zaawansowana. Odbyło się to tak, jak zwykle się odbywa - odrzucony kaleki płód spuszczone w klozecie. Niepiękny pogrzeb. Chyba właśnie ten ponury szczegół ostatecznie mnie dobił. Kruche tkanki w całunie wody i moczu, wtłoczone w porcelitową trumnę. Biedny dzieciak. (Pamiętam, że napotkałem pewien problem semantyczny: czy powinienem go określać tym mianem?) Biedne to coś.

Ciężko to przeżyłem. Przygnębiony i pijany całkiem zapomniałem wyjaśnić teściowi, że to nie ja wpędziłem Deirdre w kłopoty. (Jego wizyta świadczyła dowodnie, że Deirdre też nie uznała za stosowne o tym wspomnieć.) Nawet jej nie tknąłem, wstrzymywany nabożnym szacunkiem dla jej dziewictwa. Muszę dziś przyznać, że

minąłem się z celem!

Współczułem Deirdre. Poza tym cała sprawa przyprawiała mnie o mdłości, a na mdłości najlepszym lekarstwem jest alkohol. Maurice - poczciwa dusza! - strasznie się o mnie martwił. Nagle dotarła do mnie groteskowość sytuacji. Uwieńczony znieścacka imponującą parą rogów, bez szemrania wziąłem na siebie winę - jak zawsze pełen bezsensownych dobrych intencji. Śmiech na sali! (Mój śmiech brzmiał, rzecz jasna, grobowo.) Maurice był zgorszony. Nie widział w tym nic zabawnego.

Szkoda, że nie potrafię wam opisać, jak się załamalem. Rozsypalem się w proch. Moja głowa zamieniła się w zbolalą gąbkę mokrą od łez, serce krwawiło czystym żalem. Osaczony ze wszystkich stron przez rozpacz, piłem - twardo, bez wytchnienia. W takich chwilach człowiek nie zawsze potrafi uderzyć we właściwy ton. Ja staczałem się w niebyt.

(Och, satyra to podła suka! Mam nadzieję, że sama kiedyś też dostanie za swoje!)

Weekend po ginekologicznej katastrofie Deirdre nie należał do udanych. W piątek wypilem dwie potężne butle pernodu, w które zdołałem zaopatrzyć swój barek. Sobotę spędziłem głównie na wyławianiu co ważniejszych organów z pełnej wymiocin muszli klozetowej. W niedzielę usiłowałem poderżnąć sobie gardło tępym nożem do papieru, ale byłem tak pijany, że

nie mogłem trafić. (Udało mi się wszakże zadać sobie kilkanaście innych ran.) Gorzkie łzy mieszały się ze zgorzkniałą krwią. Cierpiałem strasznie.

Wszystko poszło źle. Życie już takie jest - lubi demonstrować swoją zmienność. To właśnie mi się w nim podoba: ostentacyjne, pozbawione skrupułów komedianstwo.

Moja sytuacja nie była godna pozazdroszczenia. Mieszkałem w mikroskopijnej komórce wraz z milionem jadowitych insektów i bakterii, przez trzydzieści godzin na dobę lizałem podłogi w knajpach, żeby opłacić wygórowany czynsz, a moja dziewczyna właśnie poroniła dziecko, które zrobił jej jakiś inny facet. Biedny stary Bogle - wszystko można na niego zwalić, ale żeby miał z tego choć trochę przyjemności...

Błagałem Opatrzność o minimum sprawiedliwości. Miałem zaledwie osiemnaście lat i uważałem, że należą mi się pewne względy. Tłumaczyłem, że jestem młody, biedny, nieszkodliwy. Że jestem tylko zwykłym śmiertelnikiem. Szkoda było śliny i fatygi.

A więc złego początki także nie były miłe. Potem już szło z górki. Deirdre milczała jak zaklęta, ja zaś niewiele miałem szans, by oczyścić się z posądzeń - zresztą co ciekawe, wcale mnie to nie martwiło. W porównaniu z innymi aspektami mego życia kwestia winy była nieistotna. Zasadniczym aspektem stał się alkohol. Pomagał, kiedy życie mnie przerastało (czyli zawsze).

Moja rozpacz przybrała formę płynną.

Praca w pubie ma wiele zalet - między innymi prawie nieograniczony dostęp do trunków. Do wyboru, do koloru. Wychodziłem z pracy obładowany butelkami antidotum na bezsenność noc. Niestety, wkrótce przebrałem miarę. Wyrzucono mnie ze wszystkich (około czterdziestu) pubów, w których pracowałem. Tom Mullen pokazał klasę: pierwszy się połapał. Udzielił mi paru cennych porad i rzucił na pastwę swym dwóm przerośniętym synom, ci zaś z wigorem i weną wdeptali mnie w ziemię. Skończyło się osiemnastoma szwami, złamaniem obojczyka i trzech żeber oraz wstrząsem mózgu. (Nigdy nie lubiłem tych cholernych Mullenów.)

Z uporem piłem nadal. Sprzedałem te spośród swych żalonych ruchomości, które się dało. Pożyczałem pieniądze od przyjaciół i wrogów. Wydierałem je spod ziemi, żeby tylko zaspokoić dręczące mnie pragnienie.

To z kolei skomplikowało moje sprawy lokalowe. Nie zadawałem sobie trudu, by ukryć smętne efekty nieumiarkowania. Tym razem pobili mnie synowie ostatniej gospodyni. Nie byli tak duzi jak Mullenowie, za to mieli nieporównanie większą inwencję. Dali mi nieźle popalić. (Dlaczego te stare dziry zawsze rodzą psychopatów?) Dołączyłem do kolekcji następne pęknięcia, przemieszczenia i krwiaki. (Och, moje kości, moje smutne, biedne, potrzaskane kości!) Stałem się ekspertem od chirurgii urazowej.

Gospodyni zawłaszczyła resztkę mego dobytku na

pokrycie zaległego czynszu, który zainwestowałem w trunki. Nic mnie to nie obeszło; byłem nazbyt obolały.

Przerażające, czyż nie?

Przez pierwszy miesiąc z niewiadomych przyczyn wciąż chodziłem do szkoły. Trudno dociec, jakich upatrywałem w tym korzyści, jako że nigdy nie byłem trzeźwy, ale pęd do wiedzy musiał widocznie być mocno zakorzeniony w moim zbolałym sercu. Koledzy generalnie okazywali mi współczucie, choć deprimowały ich nieco moje ekscesy. (Tylko Maurice znał ich przyczynę; zachował ją dla siebie. Zresztą Maurice miał wówczas własne kłopoty, związane głównie z jego zbliżającą się nieuchronnie śmiercią). Piegus McGonagle przyjmował zakłady, czy dotrwam do końca semestru. Notowania wynosiły pięć do jednego przeciw mnie, ale doświadczałem moralnego wsparcia. McGonagle zarobił na mnie fortunę (w tajemnicy kupił mi parę butelek dzinu, żeby poprawić swoje szanse; zawsze wiedziałem, że ten chłopak daleko zajdzie).

Sytuacja nie była dla nich komfortowa. Pochodzili przeważnie z katolickiej elity, ja zaś reprezentowałem dno. Najwyraźniej czuli kompleks niższości i cackali się ze mną jak ze śmierdzącym jajkiem. Na miarę swych ograniczonych środków starali się pomóc. Z relacji wiem, iż odrzucałem wszelką pomoc w niewybrednych słowach. Rwałem się do bitki, próbowałem znokautować nawet Maurice'a. Nawet w najlepszej formie byłem

upartym draniem, alkohol zaś tylko utwierdzał mnie w uporze. Pomimo to kumple nie ustawali w wysiłkach.

Zdarzało mi się tracić przytomność w klasie. Zarywałem lekcje, usiłując wyrzygać wnętrzności do któregoś z wonnych szkolnych pisuarów. Bęcwał O'Halloran wyłudził od woźnego wiadro i koledzy trzymali je w pogotowiu. Dyżurowali z nim na zmiany!

Na początku ciało pedagogiczne twardo udawało, że nie dostrzega mego zachowania i chociaż nie chciałem współpracować, koledzy tuszowali nawet grubsze ekscesy. Konfiskowali krocie butelek, które przynosiłem ze sobą na lekcje. (Będąc człowiekiem przebiegłym, zawsze zdołałem jedną lub dwie ocalić. Były za duże, żeby wetknąć je sobie w pupę - wiem, próbowałem - lecz znalazłem doskonałą kryjówkę w szatni drużyny kręglarzy i utrzymywałem tam obfity zapasik w razie nagłej potrzeby.) Kiedy nie byłem w stanie utrzymać się na nogach, wlekli mnie pod prysznic i znosząc moje wściekłe, acz chaotyczne ciosy trzeźwili zimną wodą. Kiedyś nawet zgolili mi trzytygodniowy zarost. (Pokaleczyli mnie przy tym nieco, ale mieli dobre intencje.)

Praktycznie więc byłem noszony na rękach. Dziś mnie to wzrusza; wówczas nie byłem zachwycony.

Nie muszę chyba dodawać, że wkrótce przekroczyłem wszelkie granice i szkoła nie mogła dłużej tolerować moich coraz dzikszych wybryków. Doniesiono o nich staremu Dzióbkowi. Nim zdążył

wydać ostateczny wyrok, sam usunąłem się ze sceny, zapomniawszy w pijanym widzie, do której szkoły chodzę.

Kolejne zdjęcie z mojego albumu. Podsumowanie owych pięknych lat. To ja, w polaroidzie:

Zgarbiony, ze zwieszoną głową i rękami, zygzakiem zasuwam przez kałuże. Moją sponiewieraną postać spowija trzy numery za duży plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy. Wymięta niebieska góra od pizamy pełni rolę koszuli i marynarki. Do tego wystrzępione, zbryzgane błotem granatowe szkolne spodnie. Dziurawe buty kłapią mokro na gołych stopach. Ręce pokryte grubą warstwą brudu. Włosy tłuste, na brodzie szczecina i zaschnięte wymioty. Policzki wpadnięte, czoło zasepione, oczy martwe. W ślad za mną posuwa się obłok smrodu. To mamroczę, to znów wykrzykuję, żeby świat mnie usłyszał. W głowie mam pustkę, w sercu twardy skrzep, ale jestem szczęśliwy. Przyjaźnię się ze słońcem i księżycem, śmieję się w towarzystwie gwiazd.

Maurice znalazł mnie w końcu cztery miesiące później pod ławką w ogrodzie botanicznym. Mamiąc mnie obietnicą morza wódki, jeśli będę mu posłuszny, zaciągnął mnie do względnie przyzwoitego pensjonatu przy University Street. Tam zdołał mnie z grubsza oczyścić (jak słyszałem, nie było to łatwe zadanie: pokrywała mnie warstwa własnych odchodów i

przeróżnego plugastwa, w którym tarzałem się na ulicach). Zdawszy pomyślnie ten trudny egzamin z miłosierdzia, uśpił mnie butelką bellsa.

Spędził tę noc przy mnie. Nie mógł zaprowadzić mnie w takim stanie do swoich rodziców. Przeżyliby szok; zakładali pewnie, że szkolni koledzy syna należą do zbliżonego gatunku ssaków. Nie mógł zostawić mnie samego, bo znów bym uciekł. Spał więc biedak na podłodze przy akompaniamencie przeróżnych wydawanych przeze mnie odgłosów.

Jak można się było spodziewać, gospodyni nie była tym zachwycona. Wyraźnie podejrzewała nas o najobrzydliwsze zbrocenia. Biedny Maurice musiał wysłuchać długiej gwałtownej tyrady na temat obrazy moralności, nim wreszcie udało mu się wywlec mnie na ulicę. Ja się, rzecz jasna, niezbyt przejąłem i szczerze zaproponowałem, że przelecę starą wiedźmę, dowodząc tym samym swych preferencji seksualnych.

W końcu Maurice oderwał mnie od niej i brutalnie skierował w stronę Świętego Malcolma. Tłumaczył, że właśnie dziś jest dzień egzaminów maturalnych. Nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia - do tego stopnia że (nie wypuszczając flaszki z dłoni) natychmiast zaryłem nosem w chodnik i oznajmiłem stanowczo, że nigdzie się nie ruszę. Moją maturę mogą sobie wetknąć w zad.

Nie bez pewnej młodzieńczej dumy stwierdzę, że moje pojawienie się w szkole stało się największą sensacją roku. Byłem gwiazdą; obchodzono mnie na

paluszkach z mieszaniną podziwu i lęku. Kilku uczniów młodszych klas poprosiło mnie nawet o autograf.

Zaskakujące jest to, że w tym pożałowania godnym stanie w ogóle dopuszczono mnie do egzaminu. Tukan nagiął całe mnóstwo przepisów, chcąc dać mi bezcenną szansę dalszej nauki. Wszedłem. Usiadłem. Wziąłem do ręki pożyczony długopis. Potem zdrzemnąłem się z godzinkę i w końcu zacząłem pisać. Maurice odetchnął z ulgą. Pewnie wyobrażał sobie, że udało mu się ocalić mnie przed sobą samym. Mylił się. Spłodziłem zaskakująco dobry paszkwil na egzaminatorów, po czym natychmiast wróciłem do rynsztoka, niwecząc wszystkie jego nadzieje. Smutne, lecz w sumie można było się tego spodziewać.

Deszcz traci zapach, wycofuje się. Pospieszne staccato stopniowo milknie. Ciemniejące powietrze robi się przejrzyste, rozświetlone. Mobilny chłód przemieszcza się powietrznymi korytarzami. Covent Garden wzdryga się i kuli z zimna. Niebo syczy resztką deszczu, a mokre chodniki jaśnieją twardo. Wysoko na niebie simą bezgłośnie światła odrzutowca. Tam, w górze, jest ciepło i wygoda, dżin i stewardesy. I ludzie niesieni troskliwie przez przestworza.

Mam dość. Wpadam w melancholijny nastrój. Nagle dopada mnie samotność. Przyglądam się ariergardzie mieszczuchów spieszących do swych zacisznych

domostw. Czuję potrzebę zapomnienia. Innymi słowy:
muszę się napić.

Smutno mi. Tak mi smutno...

8

Niska mroczna izba pomnożona przez ściennie lustra. Gęsta atmosfera prążkowana smugami tytoniowego dymu, który wyrasta widmowymi okólkami na /miętoszonych petach wetkniętych między żółte zęby. Ciągły hałas: Irlandczycy kłócą się, wrzeszczą, klną i śpiewają w tradycyjnej dysharmonii. Śmierdzi rozchlapanym piwem, whisky i gnijącym dywanem. Ten ciepły bukiet upaja, idzie do głowy. Rozgwar u wodopoju: żołądki bulgoczą i plotą androny.

Z lewej strony sceny, przez niższe i mniejsze drzwi, wchodzi nieśmiało młody mężczyzna. Jest obdarty, blady, nieogolony. Błoto okrywa jego rozpadające się buty, oczy ma puste i smutne. To on, Ripley Bogle. Drewnianym krokiem przepycha się przez celtycki chaos w stronę baru. Niknie w tłumie. Zbliżenie. Widzimy go, jak podnosi oczy i mówi wolno i gorzko:

- I co teraz? Szukam pracy? Dachy nad głową? Ratuje się od ostatecznego upadku? Nie, oczywiście, że nie; przychodzę do Kilbum, żeby naciągnąć na parę piw jakiegoś Irlandczyka równego mi głupotą!

Krótką pauza. Oczy świadków odwracają się od niego ze znudzeniem. Kretyński gwar ponownie przybiera na sile. Kakofonia paskudnych, bezmyślnych dźwięków. Szkocki rechot i pijacka czkawka. Młody człowiek odzywa się ponownie; w jego głosie

pobrzmiewa cień ironii:

- Witaj w domu, Ripley! Pub Kilbum to kawałek Irlandii, zakamarek ulsterskiego nocnika!

Królujący za barem facet zwraca ku niemu tłusty tors. Oto Martin Malone, człowiek o cienkiej głowie i grubym karku. Dar Boga dla Irlandii.

- Czym mogę panu służyć? - pyta z jękliwym akcentem okolic Derry. Oczy błyszczą mu zapraszająco i pożądliwie. Młody człowiek się peszy, bąka coś pod nosem. Malone ośmiela go jowialnym uśmiechem wodzireja.

- Wybierać, przebierać! - szerokim gestem wskazuje geograficzny kalejdoskop butelek za swymi plecami. - Mamy wszystko, czego dusza zapragnie. Bezwstydna orgia bogactwa. Patrz i ucz się. Wystarczy wskazać palcem... i oczywiście zapłacić!

Uśmiecha się jeszcze szerzej, dumny ze swej retoryki i asertywnej postawy. Młody człowiek jest zakłopotany, wzdraga się mówić wprost. Malone, stary wyjadacz i rasowy handlowiec, przybiera ton władczy:

- Pozwól, młody człowieku... - Stroi miny i mruga do rosnącej widowni złożonej ze stałych bywalców. - Czymże jest alkohol? Radością w pigułce. Czystym duchem wina. Związkiem chemicznym węgla, wodoru i tlenu; w zależności od składu stałym (bez sensu) lub płynnym (to jest to). - Malone wybucha teatralnym śmiechem.

Wśród wpatrzonych weń z czcią widzów zrywa się

szmerek uznania. Malone bacznie taksuje wzrokiem pełną wahania twarz gościa. Wprawną dłonią demonstruje kilka flaszek.

- Dżin? Drugi w kolejności skarb Anglii. W rankingach plasuje się między kobietami a krykietem, choć nie wiadomo dokładnie, co jest skarbem największym. Co ty na to, chłopcze?

Kibice z zapartym tchem śledzą tę wymianę zdań, transakcję *in statu nascendi*. Obserwują Ripleya, który czerwieni się i mówi ostrożnie, z wahaniem:

- Nastał smutek. Dzień wczorajszy okrył mnie żałobą. Przyszedłem utopić przeszłość, lecz moja terażniejszość też nie umie pływać. - Chichocze. - Ciekawym, czy chociaż przyszłość da się zwodować!

Słuchacze się krzywią. Tego się nie spodziewali. Szepczą między sobą, zmieszani i niezadowoleni z odpowiedzi młodego. Malone szybkim ruchem wyciąga następną butelkę.

- Może whisky? Emetyczny źród, zabójca skupienia i dyskrecji. O smaku nie wspomnę. Sprawia, że twoje migdałki porastają futrem. Nie dla dbających o zdrowie oraz tryskających szczęściem. Nalać?

- Wulgarna tragedyjka, jak w kiepskiej amerykańskiej powieści. Gdzie tu niezbędny patos, gdzie zapadający w pamięć morał? - Ripley patrzy w krąg. Odpowiadają mu tępe spojrzenia słuchaczy.

Malone dyszy z wysiłku. Czuje palącą potrzebę zarobienia grosza. Próbuje jeszcze raz:

- Wódka? Lotna, palna, toksyczna. Napój konesera. Chce pan spróbować?

Bogle nie odpowiada. Patrzy na grupkę zapijaczonych wraków. Mówi poważnie, tonem wyjaśnienia:

- Jej miłość była dla mnie wszystkim. A wszystko okazało się niczym.

I znów słowa młodego człowieka nie budzą stosownego oddźwięku. Wśród widzów narasta niezadowolenie. Pragnąc uspokoić nastroje, Malone wtrąca:

- A zatem porto? Może wino? E, chyba nie. To nie trunek dla mężczyzny. Nie dla Irlandczyka. No oczywiście! Piwo. Mocne piwo. - Sapie ze zmęczenia, wybałusza oczy, ociera pot z czoła.

Teraz wszyscy wbijają wzrok w Ripleya Bogle'a. Czekają, co powie. Cisza nabrzmiała oczekiwaniem i złowieszczym przecuciem.

- Na starość sięga się po resztki czułości. - Dopiero teraz młodzieniec odwraca się do Malone'a. Marszczy brwi.

- Alkohol. Pozór. Licha, fałszywa pozłota. Nie warto. Daj sobie spokój.

Od stolików zrywają się okrzyki: „I kto to mówi?” oraz „Spadaj, kretynie!”. Widzowie są zdenerwowani, zaczynają głośno sarkać. Malone czyni ostatni desperacki wysiłek:

- Co podać?

- To co niezwykle, Martin.
- Już się robi, proszę pana.

Bogle zostaje nagrodzony skąpymi oklaskami. Wszyscy odzyskują humor. Malone z nieufną, wrogą miną sięga po brudny kufel i kieruje doń pienistą strugę z kurka. Ripley zastygł obok, oczekuje na wniebowzięcie. Płaci brzęczącą monetą i zanurza usta w pragnieniu i lęku. Jego młoda, blada, nie ogolona twarz na ułamek sekundy się ożywia. Mówi ze smutkiem:

- A król Finn powiedział: Niech się stanie światłość!... I nastał mrok.

Odchodzi od baru wśród przyjaźniej teraz nastawionej widowni. Martin Malone człapie do innych obowiązków i niewielkie zbiegowisko rozprasza się ociężale, wyczerpane po osiągnięciu dramatycznego klimaksu. Malone kokietuje klientelę, jego mięsista twarz zniekształcona jest chciwością i występkiem.

- Chlej, hibernijska hołoto! Najlepsze piwo w Londynie! Lepsze niż woda w Renie! Ja zgarniam forszę, wy macie czym sikać! - rechocze.

Szmaciarze wznoszą okrzyki:

- Hip, hip, hura!
- Marty! Jeszcze dwa i wiadro dla mojego braciszka!
- Lej, Malone!

(Ogólna weselość.)

Martin Malone chwyta naręcze zamglonych kufli i znika z nimi za barem. Tam kaszle, prychnie, charczy i pluje do piwa. Następnie sprzedaje je spragnionym

klientom, uśmiechając się złośliwie:

Hep, hep, hep,
nie bądź kiep,
co rzygnąłeś
dobrze schowaj,
bo potrawka to gotowa.

Do Ripleya zbliża się mocno uróżowana kobieta w średnim wieku. Jest przesadnie wystrojona, ma na sobie wyliniąle, poplamione futro z lisa. Kroczy chwiejnie, napędzana płynnym owocem ostatniego zasiłku z pomocy społecznej. Trafia zadkiem w krzesło naprzeciw młodzieńca i szczyrzy zęby, spłoniona zalotnym dziewczęcym pąsem.

- Jak ci na imię, przystojniaku? - pyta.
- Armand - Armand, a dalej?
- Lefevre.
- Dziwne nazwisko.
- Francuskie.
- Nie wyglądasz na Francuza.

Ripley w zapamiętaniu dopija resztkę piwa. Podane przezeń wątki biograficzne zbiły nieco z tropu starą zdzirę. Usiłuje zebrać rozpełźnięte myśli. Po chwili podejmuje z ożywieniem:

- I cóż taki śliczny chłopiec jak ty, Armandzie, robi w tej śmierdzącej dziurze?
- Szukam miłości.

Twarz kłamliwego młodzieńca opromienia szeroki, szczery uśmiech. Starsza pani jest wzruszona. Jej grube pospolite rysy łagodnieją z czułości.

- Nie masz nikogo, kto by cię kochał? - pyta, nie zdradzając własnych sprośnych myśli.

- Właśnie. Nie mam nikogo, kto by mi postawił piwo, którego bardzo pragnę.

- Chcesz, żebym kupiła ci piwo, kochanie?

Twarz Ripleya jest smutna i pełna rezerwy.

- To bardzo miłe z pani strony. Nie odmówię.

Kobieta nachyla się nad nim, ujmuje jego młodą twarz w swe zwiędłe ręce. Wypacykowane oblicze marszczy się triumfalnie, a śmiech pełen jest chłodnych podtekstów. Całuje młodzieńca głośno i mokro. Ripley nie czuje odrazy.

- Za chwilę wrócę, mój miły - mówi kobieta wstając i podniecona kroczy w stronę baru. Ripley ociera wargi z jej śliny i oczyma wyobraźni rozkoszuje się czekającą go piwną nagrodą. Królujący na barowych stołkach starzy wyjadacze z pogardą mierzą go wzrokiem i Ripley po stokroć kona ze wstydu. Jego nowa znajoma konferuje z barmanem. Och, jakże nisko upadł! Brudny oblepiony zarost kryje grymas rozpaczy.

Wokół stolika w kącie pubu rozsiadło się siedmiu braci Murphych - Paddy, Billy, Frankie, Danny, Mickey, Marty i Mobadingwe. Spostrzegli Ripleya Bogle'a i w ich zapitych braterskich oczkach pojawia się nostalgiczny wysiłek umysłowy. Znają go, poznali go w starym

Ulsterze.

Paddy przygląda się bohaterowi z rosnącym przekonaniem.

- Patrzcie no, to... jak mu tam było? Ikey Moses?...

- Ten, który pije ze starą dziwką?

- Ano.

- Nie pamiętam nazwiska.

- Ale gębę pamiętasz?

Billy pospiesznie kiwa głową:

- Jasne. Choć jest tak zarośnięty, że nie wiedzieć: gęba to czy srom niewieści. Ciekawe, co tu robi?

- Nic dobrego, to pewne.

Do rozmowy wtrąca się Danny Murphy. Jest dużo bardziej pijany od pozostałych. Głośny, agresywny, kombatanckie oblicze usiane ma śladami chlubnych potyczek.

- Zamknijcie ryje, bo tylko robicie przeciąg - brzmi jego wkład do dyskusji. - Po co tyle gadać, zamiast iść i skopać mu jaja?

Paddy Murphy - najstarszy, sędzia i wyrocznia rodu - ostrzegawczo łapie brata za gonady i wyciska z niego głośny jęk. Marty Murphy, gawędziarz, *bon viveur*, opowiada intelektualny dowcip:

- Słuchajcie! Jak długo trwa, zanim Angielka zrobi kupę?

Ogólna konsternacja. Niewyraźne pomruki: „Trudno powiedzieć... ” i „A kogo to obchodzi!” Marty odpowiada:

- Dziewięć miesięcy. A potem idzie ją ochrzcić.
(*Śmiech na sali.*)

Mobadingwe jest zafrapowany. Marszczy brwi, spozierając niepewnie na swych białoskórych braci. Mówi:

- Ba zan ci dankali ka doja ba!
- Co on mówi?
- Że nie będzie jadł patatów.
- Aha.

W drugim kącie Bogle zachłannie dudli piwo. Czarodziej Alkohol bierze go we władanie. Czyni cuda, przenosi góry. Już zdołał poprawić mu humor. Stara zdzira z ukontentowaniem kiwa głową. Wychodzi z założenia, że upiwszy młodzieńca, zdoła mu się dobrać do jędrnego członka. Przypuszczalnie się myli (choć pozostaje cię szansy).

- Zgadnij, co ma mamusia dla swego dzidziusia? - grucha. W oczach ma kpinę, tłuste policzki trzęsą jej się z uciechy.

- Pewnie coś ohydneho - odpowiada wyniośle Bogle.
- Mamusia da dzidziusiowi buzi.
- Wiedziałem.
- No, no, bądź grzeczny - karcą go starsza pani.
- Buziak za piwo to chyba uczciwa cena?

Całują się. Ripley tęsknie spoziera w stronę baru. Jego towarzyszka skwapliwie zrywa się z krzesła i drecze ku szklanemu królestwu Malone'a. Od stolika Murphych dolatują szydercze okrzyki:

- Bawidamek! Nekrofil! Męska dziwka!

Ripley udaje, że nie słyszy. Jest w tym dobry. Ma wprawę.

- Pamiętacie? Prowadzał się z tą protestancką kurewką. Tą z małymi cyckami. Zdrajca. Nigdy nie był dobrym Irlandczykiem - mówi z gorzką zadumą Paddy Murphy.

- Teraz też udaje, że nie widzi ziomków - syczy zjadliwie Billy.

- Nie dziwota, że nie widzi! - śmieje się Marty. - Ze wstydu wsadził sobie łeb do tyłka!

- Jakże było tej małej... - zastanawia się Paddy. Odpowiadają mu entuzjastyczne okrzyki:

- Cizia!

- Lala!

- Siostra miłosierdzia!

Bogle, zaopatrzony w baterię piw przez swą antyczną wielbicielkę, zerka w ich stronę. Czoło chmurzy mu przypomnienie. Ociera z oka nie przelaną łzę, szepcząc smutno i mściwie:

- Deirdre Curran. Chłuba Wzorcowej Szkoły Średniej dla Dziewcząt. Tęgi zadek i wąły mózg. Zdrój, w którym zgasła moja namiętność.

- Curran! - woła Paddy Murphy. - Tak, to ona. Lubiła krykiecistów.

- I ich pałki - dodaje przytomnie Danny.

- A jaki miała jęczyczek! Lepszy niż myjnia samochodowa.

- Tylko tańszy!

Brada Murphy wybuchają chóralnym śmiechem.

- Z dziwki zrodzony, dziwką zachwycony - recytuje Paddy w natchnieniu.

Oklaski.

Zazdrosny o powodzenie brata Marty Murphy wskakuje na stół, przybiera klasyczną pozę i grzmi:

- Gównu zawsze na wierzch wypływa!

Odpowiadają mu syki, gwizdy, wyrazy niezadowolenia. Rozczarowany Marty wymiotuje i wali się jak kłoda między przewrócone kufle. Brada zrywają się, odskakują od stołu. Wymierzają mu życzliwe braterskie kuksańce. Marty opędza się od nich i wstaje, mówiąc:

- No dobra, panowie, brońcie twierdzy. Idę zrobić kupę.

(Oddala się dumnie.)

PADDY MURPHY *(z braterskim podziwem)*: Ten chłopak sra bez przerwy.

BILLY MURPHY: To fenomen. Cud natury.

(W barze zrywa się pieśń pochwalna dla nieustrudzonych bohaterских jelit Mar ty 'ego.)

Bogle odrywa usta od zwiędłego dekoltu przyjaciółki i zatacza się w stronę baru, wyławiając z kieszeni swe ograniczone zasoby finansowe. Porzucona kobieta wrzeszczy za nim obelżywie, następnie rozgląda się w

poszukiwaniu kogoś bardziej towarzyskiego. Zaciąga bluzkę na pomarszczonych piersiach i chwiejnie wychodzi na środek sali. Czujny barman jest już na miejscu. Woła głośno:

MARTIN MALONE (*licytator*): Kto z państwa rozpocznie licytację tego nieco zużytego naczynia rozkoszy? Cena wywoławcza: czterdzieści szekli. Kto da więcej? Który z was, panowie, powie: pięćdziesiąt? Przywiędła, ale tania!

MICKEY MURPHY: Czterdzieści pięć i dwa wielbłądy!

MARTIN MALONE (*zachęcająco*): Czterdzieści pięć szekli i para pustynnych ssaków! Kto da więcej? Nie krępujcie się, panowie! Cenny zabytek historii mody damskiej! Spójrzcie tylko: bezmyślna, łagodna, wdzięczna... Któryż Irlandczyk mógłby żądać więcej? Kto podwoi cenę?

MOBADINGWE MURPHY: Dari ragar mugu!

MARTIN MALONE: Dziękuję panu. (*Rozgląda się wokół baczny kupieckim spojrzeniem.*) Po raz pierwszy... Po raz drugi... Po raz trzeci! Sprzedano Iroetiopczykowi za... za to, co przed chwilą wymienił.

(*Generalny aplauz; jedynie tu i ówdzie kwaśne miny malkontentów. Stara wiedźma człapie do stolika Murphych. Ze smutkiem ogląda się na Bogle'a.*)

WIEDŹMA (*rozzalona*): Kto mnie pokocha? No kto? Nie widzę ochotników. Każdy ostry kij ma trzy końce.

(Ogólna konsternacja.)

FRANKIE MURPHY *(łagodnie)*: Zamknij się i pij.

(Licytacja skończona, gwar przybiera na sile. Podpici katolicy udzielają Murphy'emu obscenicznych rad. Bogle szłocha, osunąwszy się na brudną podłogę w kącie; piwo piastuje na brzuchu. Marty Murphy powraca z wygnania; jego płaskie oblicze napęczniało dumą. Widzi poprzewracane szklanki, zarzygany blat, rozlane piwo. Płacze gorzko. Wzywa barmana.)

MARTYMURPHY: Te, Malone, rusz dupę i przynieś nam coś do picia, śmierdzący leniu!

(Potyka się o krzesło i pada pod stół, gdzie już pozostaje. Dochodząca stamtąd czkawka świadczy, że wciąż jest pośród żywych.)

PADDY MURPHY *(na wszelki wypadek)*: Panie Malone, raczy pan nas zaszczyścić uwagą. Jeszcze raz to samo.

(W powietrzu nagle materializuje się taca zastawiona kufłami piwa, lewitująca metr nad poplamionym blatem. Wszyscy łapią za kufle i piją zachłannie. Piwo zwilża brody, spodnie i umysły. Opróżniona taca kołysze się lekko i frunie z powrotem do baru. W zadymionym powietrzu unosi się odległy, cichnący, kabalistyczny zaśpiew Malone'a.)

MARTIN MALONE *(szczerząc w uśmiechu wampirze kły)*:

Ach, w tych księgach jest wiedza zaziemska:

Tajemne znaki, kręgi, hiperbole...
Wiedzy tej ja, Malone, pożądam najwięcej,
Cały świat mi otworzą nekromancji symbole
Pełen władzy, zaszczytów, bogactw i rozkoszy.
Będę królem tej ziemi - ja, Malone wszechmogący!

(Tymczasem Frankie Murphy, erotoman, przysiada się do nabytku Mobadingwe - starej zdziry. Na jego obliczu pojawia się lubieżny uśmiech. Oko mu błyska, głos przybiera namiętne tony.)

FRANKIE: Kochana, pozwól, że będę majstrem na placu budowy twoich uczuć.

(Stara zdzira tka z wdziękiem.)

FRANKIE: Ten wypierdek Bogle cię nie zaspokoił. Ja jestem mężczyzną; dam ci niebiańską rozkosz.

(Bogle protestuje z kąta. Frankie go ignoruje, pozostali bracia retortują obelżycie.)

BRACIA MURPHY: Dupek! Złamas! Prawiczek! Kastrat! Impotent!

FRANKIE *(lekko, do zdziry)*: Pokaż mi wargi. Nie bój się, zapłacę. Zresztą czymże jest życie bez odrobiny ryzyka? Zdradź mi swe sekrety. Dam pięć pensów za rzut oka na sutek. Dziesięć za cały biust. Funta za to, co masz między nogami. Zaufaj mi. Powoduje mną czysto naukowa ciekawość.

(Zakończywszy grę wstępną, Frankie błyskawicznym ruchem wsadza kobiecie dłoń pod spódnicę; słychać głośny plask. Na twarzy starej zdziry rozlewa się błogi

uśmiech.)

ZDZIRA:

Bardzo lubię moją piczkę,
A znów piczka lubi mnie;
Często szepcze mi lirycznie:
„Pieść mnie w nocy, pieść we dnie!”

(Padają na podłogę i zaczynają energicznie kopulować. Ripley Bogle patrzy na nich z zawiścią. Mobadingwe wskazuje go gestem; uśmiecha się drapieżnym afrykańskim uśmiechem. Oczy błyszczą mu wrogo w hebanowej twarzy.)

MOBADINGWE: Ga Ripley Bogle kan!

(Bogle się zrywa, zapadniętą twarz krasi rumieniec. Frenetyczne oklaski, okrzyki zachęty.)

PADDY (w natchnieniu): I góra się podniosła. Pan wrażeń zastępów gotuje się do bitwy...

(Patrzą na siebie z Bogle'em ponad spółkującą parą. Minęły godziny, Bogle wchłonął w siebie morze piwa. Jego twarz zniekształca kretyński pijacki uśmiech. Dawno stracił wątek. Improwizuje.)

RIPLEY BOGLE *(smętnie; tonem wyjaśnienia):*

Kiedyś był ci ze mnie człowiek
Cywilizowany,
Płatałem za wszystko czekiem,
W szkołach byłem znany.

Teraz śpię na ławce w parku,
śmierdząc stęchłym potem
I obrażam ludzkie oczy
Niemiłym widokiem.
Przyjmę wikt i opierunek,
Dam się posiąść cudnie;
Chciałbym siedzieć w miękkich puchach,
Ale siedzę w gównie.

BILLY (*przedrzeźnia go*):

Moczyłem ja kiedyś łóżko
Po każdym pacierzu,
Dziś małego w ryzach trzymam,
A z nim mocz w pęcherzu.

(*Szydercze brawa.*)

PADDY (*mrugając znacząco*):

Bogle gryzie suchar nędzy,
zuje gorzki żal.
Misją jego - cierpień więcej,
Głód i droga w dal.

(Widownia szaleje. Bracia kłaniają się skromnie. Na scenę sypie się deszcz kwiatów, szmaragdów, sztab złota. Frankie podnosi się ze starej zdziry i teraz cały klan

Murphych, silny, niezwycięzony, staje naprzeciw smutnego, samotnego Boglea.)

PIJACY: Brawo! Bis!

BRACIA MURPHY (*chórem*):

Z Bogle'a jest idioty kawał,
Do tego straceniec.
Stracił wszystko, co posiadał,
Na własne życzenie.

(Bracia unoszą kufle, salutując widzom. Uśmiechają się lekko do siebie, do swej tradycji i rodu. Paddy występuje naprzód, gestem ucisza widownię. Unosi jedną brew, w oku ma celtycki błysk, ironicznie wydyma wargi. Milczy przez chwilę; to jego chwila, czas na przesianie rzecznika klanu. Mówi.)

PADDY (*z namaszczeniem*): Czy gdybyśmy dali światu w pysk, nadstawiłby drugi policzek?

(Pandemonium. Pijacy nie posiadają się z zachwytem.)

PADDY (*skromnie*): Och, nie trzeba. To naprawdę nic takiego. Kochani, byliście cudowni. Kochamy was. Brawa dla orkiestry!

(Bracia Murphy mieszają się z tłumem wielbicieli, rozdają całusy i autografy. Stara zdzira, uwieszona na ramieniu Frankiego, pokazuje Bogle'owi język. Bracia zbierają propozycje małżeńskie, polisy emerytalne, czekolady, płyty z muzyką reggae, czasopisma pornograficzne, modele samolotów, papierosy z

bezczłowych sklepów, małe wyspy pacyficzne, osły, Oscary, Nagrody Nobla i Pulitzera, naczynia kuchenne i rozmaite egzotyczne choroby układu pokarmowego. Intonują „Pieśń Murphych”.)

PIEŚŃ MURPHYCH

Jesteśmy słynni bracia Murphy,
Talentów wzór i wszelkich cnót.
Kto się narazi naszej mafii,
Padnie rażony strzałą Muz.
(Wychodzą; pieśń cichnie w dali.)

Bez Murphych pub staje się przeciętny i brzydki. Pijacy starają się zwiększonym tempem picia nadrobić poczucie pustki. Martin Malone zbija majątek, gasząc ich nienasycone żalobne pragnienie. Bogle chwiejnie dźwiga się na nogi.

Wychodzi na środek sceny i najwyraźniej zapomina, po co tam przyszedł. Okna jego duszy są powybijane, deszcz zacina do wewnątrz. W pustych rękach brak piwa. Patrzy błagalnie na Malone'a.

- Ach, panie Malone, królestwo za piwo! Co prawda nie mam ani pensa, ale samo moje nazwisko warte jest pięć funtów dla połowy tego miasta. Drugą połowę pominę milczeniem. Proszę, niech pan zaryzykuje. To konieczne dla niezmaconej percepcji.

Malone podnosi chmurny wzrok znad kasy i

nalewaków. Odpowiada lakonicznie, lecz wieloznacznie:

- Nie bluzgaj mi tu, chłopcze, bo skasuję ci kredyt!

Pijacy drwią z porażki Bogle'a. Słyszą gwizdy.

- Złota nić poezji - wzdycha Bogle. - Cóż wy, miernoty, możecie o niej wiedzieć?

Pijacy czują się osobiście urażeni, zaczynają szemrać. Atmosfera robi się wyraźnie antyripleyowska. Bogle twardo stawia jej czoło.

- Zimna magia ignorancji - mówi. - Niezawodna.

Z tłumu dobiegają krzyki, które Bogle beztrudnie ignoruje. Pijacy są niezadowoleni. Po *tour de force* braci Murphych występ Bogle'a nie robi na nich wrażenia.

Rozlega się dzwon - czysty i władczy. Zapada cisza. Ludzie się niepokoją, część zaczyna płakać. Oczy zebranych kierują się na charyzmatyczną postać Martina Malone. Czy w obelżywych słowach rozkaże im wyjść? Personel zabiera się do sprzątnięcia. Na scenę wychodzą ludzie z wiadrami i szmatami. Część klientów się wymyka. Najtwardsi wszakże zostają. Czują się pewnie. Wiedzą, że Malone nigdy w życiu nie zmarnował okazji do zarobku.

- Czas, panowie? - pyta przekornie Malone. - Nie sądzę. Przeciwnie. Jestem pewien, że nie. Czas nie jest absolutem. Kimże zresztą jestem, by kończyć tak radośnie rozpoczęty wieczór?

(Radosne okrzyki, śmiechy, wyrazy wdzięczności.)

Malone ciągnie tonem heroicznym:

- Pora na Złot Duchów! Klientów uprasza się o

pozostanie na miejscach. Bez obaw, napoje serwowane będą również w czasie seansu. Dziękuję państwu. Oddajmy głos istotom nadprzyrodzonym!

Aplauz. Pijacy rozsiadają się wygodnie i z podnieceniem oczekują na seans. Bogle dźwiga się na nogi. Unosi ramiona nad głową, przygina kolana. Zaczyna taniec - ni to grecki, ni to turecki. Pierwsze pojawiają się duchy jego Byłych Miłości. Są ich setki. Sala barowa nie może ich pomieścić. Wszystkie martwe, nieobecne. Bogle z uśmiechem pełni honory domu.

- Witaj, Catherine; o, Carol, jak się masz, kochana? Na Boga, Judy! Saro, cieszę się, że cię widzę. Cześć, Maggie, cześć, Diano. Marion, skarbie... Tess, Lesley, Vicky! Siobhan, *cad e mar ta tu?* Się masz, Tina. Beryl, Emmo, Fiono, Jane, Elizabeth, Georgino, Mary, Alice, Julio, Susan, Debbie, Claire, Celio, Jenny, Annę, Annette, witajcie. Charlotte, Rachel, Frances, Iris, Nataszo, Suzy, Muire, Normo, Queenie, skarbie! Philippo, Lucy, Mirando, Liso, Sally, Samantho, Madeleine, Geraldine, Les, Justine, o, cześć, Eryko. Henrietto, *ça va?* Roisin, Matildo, Josephine, Vanesso, Ivonne, Helen, Jocasto, Kimberly, Ingrid, Jodie, Wendy, Ursulo, Rosemary i Agnes, witajcie, siostrzyczki! Victorio, *żabciu!* Mario, Lucindo, Patricio, Paulo, Pamelo, Amando, Christine, Karen, Rhodo! Valerie, Denise, Melisso, Camillo, Joan, Lauro, Hermione... Jak się ma, dziewczyny? Wszystkie byłyście wyjątkowe.

Widzowie szemrzą z powątpiewaniem. Bogle

sprawiedliwie rozdaje uśmiechy. Patrzy na widmowe szeregi i jego czoło się chmurzy. Mówi:

Księgi mych podbojów
Leżą w mocnym sejfie.
O tym, którą kocham bardziej,
żadna z dziewcząt nie wie.

Uśmiechnięte liczka
W wielkim mam wyborze;
Chyba zdam się na los ślepy -
Rozum nie pomoże.

Aby serc nie łamać
Pilnie kalkuluję.
Rachunki się nie zgadzają,
Wynik wiatr dyktuje.

Duchy jego Byłych Miłości śpiewają: „Spadaj, mały; nigdyśmy ci nie dały” na melodię znanego broadwayowskiego musicalu.

Bogle jest opanowany - prawdziwy profesjonalista.
- Jak możecie tak mówić? Kochałem was wszystkie.
Każda z was krzesłała gwiazdy w moim sercu.

Słuchacze ryczą ze śmiechu. Duchy Byłych Miłości wybiegają truchcikiem, chichocząc obłąkańczo. Malone i jego pomocnicy roznoszą napoje (oczywiście nie za darmo). Pijacy piją i szydzą. Czekają na drugi akt.

Podrygując groteskowo, wchodzi Maurice Kelly. Zapada cisza. Bogle stoi na środku sali, skamieniały ze strachu. Odrażający duch w sztywnej od krwi odzieży przepycha się między zachwyconymi widzami, zostawiając za sobą mokre szkarłatne ślady. Skroń i szyję znaczą mu wielkie poczerniałe dziury. Jedno oko zwisa ze zmasakrowanego oczodołu na cienkiej nitce nerwu. Patrzy srogo na Ripleya.

Duch mówi oskarżycielsko:

- Ty!

- Owszem, to ja, i co z tego? - Bogle jest przerażony, ale stara się wykić.

Maurice unosi się straszliwym pośmiertnym gniewem:

- Zginałem przez ciebie, apostato! Wyprowadziłeś mnie na rzeź i zostawiłeś, bym zgnił. Jak czułbyś się na moim miejscu?

- Przesadzasz. - Bogle lekceważąco macha ręką.

- Zdrajca! Sprzedawczyk! - Duch podnieca się; z jego twarzy i szyi odpadają nadgniłe fragmenty, rozbryzgując się na podłodze. - To ty mnie zabiłeś!

- Ach, spadaj do swoich robaków!

Słyszą groźny pomruk. Pijacy są oburzeni takim traktowaniem ducha. Jeden z nich, dość mocno umięśniony, wymierza Ripleyowi prawego prostego w nos. Nos krwawi. Duch Maurice'a przybiera klasyczną pozę.

- O, Ripleyu! - intonuje podniośle. - Jakiż to był

upadek! Wlany w krużganki mych uszu ów odwar jadowity wystrzelony został z prędkością początkową 874 mil na godzinę z wojskowego rewolweru webleya model z roku 1925, kaliber 38. Rewolwer miał odrapany bębenek i zardzewiały spust. Czaszka pękła, mózg eksplodował, połała się krew. Bolało jak cholera! Spróbuj zrobić sobie coś takiego, jak będziesz miał wolną chwilę.

- Nie pieprz - zżyma się Bogle.

Urażony duch odchodzi. Pijacy pomagają mu zbierać rozsypane części ciała. Wchodzi Bobby Bogle, ojciec Ripleya. W jednej ręce ma flaszkę, w drugiej - swoją trzustkę. On również jest zakrwawiony od stóp do głów, lecz minę ma pogodną. Pijacy ożywiają się, siadają wygodniej w oczekiwaniu na kolejną scenę. Bobby przybiera ton żalobny:

- Na co ci przyszło, dziecię moje? Splamiłeś pamięć ojca. Tam, w górze, nie witano mnie z otwartymi rękami. To twoja wina. Jak miałem zrobić dobre wrażenie, skoro własny syn mnie nie považał? Hm? Urodziłeś się wrednym gnojkiem i takimże gnojkiem umrzesz.

- Znikaj, facet - ucina twardo Ripley. - Wstyd mi, że jestem twoim synem.

Bobby zwraca się do widzów:

- Widzicie, jakim wyrodnym potomkiem skarała mnie Opatrzność?

Pijacy mu współczują, ale Ripley jest nieugięty.

- Zjeżdżaj!

Podłoga przechyla się do skosu i świętej pamięci

Bobby Bogle zaczyna się osuwać w zaświaty. Zjeżdżając coraz szybciej, woła:

- Jeszcze za to zapłacisz, synu. Ujrysz swoje grzechy w pełnym świetle. Wiem wszystko. Twój sekret nie jest u mnie bezpieczny!

Nieco zmieszany Ripley śmieje się gburowato. Niknący duch łka boleśnie; butelka wyskakuje mu z ręki i ląduje na barze, gubiąc stoper. Zwraca się nalepką do Ripleya.

BUTELKA WHISKY (*szorstko*): Jam duch twego ojca!

Spiritus sum!

Słysząc śmiechy i oklaski. Ten humorystyczny przerywnik zrobił dobre wrażenie. Butelka odbiera telefony od różnych londyńskich agencji teatralnych. Następnie wytacza się na konferencję prasową.

Kolejny akt. Na scenę pewnym krokiem wkracza Deirdre Curran. Bogle jest zaskoczony jej widokiem. Niewiele się zmieniła, a jeśli, to nie na lepsze. Jej żal jest widoczny jak na dłoni i Ripley nieco się miesza. Dziwi się obłudnie:

- A ty czego tu szukasz? Nie umarłaś. Chyba nigdy nie umrzesz. Myślisz, że cię kochałem? Nie oszukuj się. To nie była miłość.

- Wiesz, co ja wiem - odpowiada Deirdre gorzko, tajemniczo. - Wiesz, co mogę wyjawić.

Bogle jest przestraszony. Blednie, odwraca wzrok.

Dzwon odzywa się po raz wtóry. Wszyscy oczekują, że teraz coś się wyjaśni. Bładość Ripleya ich nie wzrusza. Pragną mocniejszych efektów. Okrzykami dodają Deirdre odwagi, Bogle jednak stanowczo wskazuje jej drzwi.

- Odejdź. Nie ma tu dla ciebie miejsca. Sio!

Ku zdziwieniu i rozczarowaniu widzów Deirdre potulnie odchodzi, choć wargi jej wykrzywia cyniczny uśmieszek. Chwila przerwy. Wszystkie spojrzenia wlepione są w obitego, lecz zwycięskiego Ripleya Bogle'a. W przesiąkniętej odorem potu sali zalega pełna wyczekiwania cisza. Pora na wielki finał, występ Ostatniego Ducha. Splamione płachtami dymu powietrze drży z napięcia. Nagle na środku sali pojawia się czysta, prawie nowa muszla klozetowa. Wszyscy czują niepokój. Ripley wytrzeszcza oczy ze zgrozą, na czole perli mu się zimny pot. Z wnętrza muszli dobiega rozpaczliwy plusk. Nieliczne obecne na sali kobiety kwilą histerycznie. Malutka, koszmarne czerwona rączka kurczowo czepia się obrzeża. Słysząc cichutki głosik, oszalały ze strachu, bólu i agonii:

- Tatusiu, pomocy! Tatusiu, ratuj mnie!

Pisk kończy się zdławionym szlochem, okrwawiona rączka osuwa się z powrotem w wodę. Na sali wybucha pandemonium. Pijacy płci obojga wrzeszczą, na oślep rzucają się ku drzwiom. Tłum trątuje tych, którzy upadli. Stare alkoholiczki podrzynają sobie gardła obtłuczonymi szklankami. Tumult jest koszmarny, piekielny, obsceniczny. Pękają miażdżone czaszki. Śmierć

odprowadza na bok swoją trzódkę. Wrzask osiąga najwyższe rejestry. Potem raptownie zapada cisza. Pijacy uciekli, powraca spokój. Kurz osiada na przewróconych stołach i krzesłach, na trupach ofiar. Ripley Bogle leży z głową w ciemnej kałuży pieniącego się portera. Jęczy i mamrocze pod nosem - najwyraźniej rozpamiętuje jakieś bardzo nieprzyjemne przeżycie. Wyczerpany barman ziewa. Podchodzi do młodego człowieka i kopie go z rozdrażnieniem. Jego czas jest cenny. Ripley już zrobił swoje, Ripley może odejść.

MARTIN MALONE (*zniecierpliwiony*): Wstawaj, darmozjadzie. Tędy do rzeczywistości.

(Kolejnym kopniakiem wyrzuca go za drzwi.)

Sobota

1

Rzeka zatacza tu szeroki łuk, przepływając pod zniszczonym mostem Putney. Oddałam się od centrum miasta, po drodze zaś zerkam, czy pałac Fulham wciąż stoi na drugim brzegu. Stoi, migocze i chwieje się w rozgrzanym powietrzu. Nieco dalej leżą Parsons Green i Brompton. Nie dla mnie.

Dziś znów będzie upał. Nadgorliwe słońce przypieka mnie w moim własnym tłuszczu. Z trudem łapię w płuca podgrzane stęchłe miejskie powietrze. Chyba szkoda zachodu.

Stan Perry'ego się pogarsza. Dziś rano było z nim całkiem źle. Nie jestem w nastroju, by go pocieszać; po przeżyciach zeszłej nocy ciężko mi wykrzesać z siebie odrobinę współczucia. Ale Perry czuje się coraz gorzej i to jest fakt.

W tej chwili jest tak gorąco, że powietrze faluje na trzy metry wzwyż i rozmywa kształty, które człowiek ma nieledwie tuż przed nosem. A może to z moimi oczyma coś jest nie tak. Powieki to mi się ślimaczą, to znów wysychają i bolą bez przerwy. Może ślepnę z głodu, trudno powiedzieć. Powinienem przetrzeć oczy, ale jakoś nie potrafię znaleźć dość odwagi.

Tak czy owak, jest gorąco jak diabli. Co się dzieje?

Pogoda dostała kompletnego fioła. Podejrzewam, że ma do mnie jakąś prywatną meteorologiczną urazę. Że za dużo sobie wyobrażam? Może, ale jestem tego niemal pewny. Znam się na pogodzie. Zgłębiłem tajniki fizyki i chemii wszystkich warstw atmosfery, jej temperatury, gęstości, ruchów, składu, zachodzących w niej procesów chemicznych, oddziaływań słońca i promieniowania kosmicznego. Jestem przygotowany na piątkę.

Idealna pogoda dla włóczęgi to łagodna złota jesień, jaką miewamy tu we wrześniu i na początku października. Ani ciepło, ani zimno, żadnych opadów i silnych wiatrów. My, kloszardzi, pożądamy umiarkowania i spokoju. W lecie jest za gorąco; dusimy się we własnym smrodzie, umieramy z pragnienia i zapadamy na najegzotyczniejsze z egzotycznych chorób. Zima - jak łatwo się domyślić - jest za zimna. Zamarzamy, tajemy i znów zamarzamy. Odmrożenia, gangreny, bronchity, zapalenia płuc, nerek i pęcherza koszą nas niby łąn. Co gorsze dzielnicę usiane są zwłokami zamarzniętych nędzarzy. Wiosną za często pada. Człowiek moknie, marznie, trzęsie się, porasta grzybem i zapada na dymienicę morową. (Sam ostatnio przeżyłem chwilę grozy, kiedy wymacałem na szyi monstrualny wrzód. Na szczęście okazał się tylko zwykłym przerośniętym pryszczem.) Nie mówiąc o tym, że człowiek, na którego ktoś lub coś bez przerwy sika, łatwo wpada w depresję.

Ale mówiliśmy o pogodzie. Ostatnio wszystko się jej

pokiełbasiło. Na przemian walczę to z kąsającym mrozem, to z udarem słonecznym. Z Arktyki wprost na równik bez stadiów pośrednich. W każdej godzinie pogoda pichci jakiś nowy fortel, żeby mi dopiec. Może istotnie nadchodzi nowe zlodowacenie, o którym tyle piszczą jajogłowi. Ja nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że w grę wchodzi zwykła małpia złośliwość sił wyższych. Ktoś tam, na górze, mnie nie lubi.

Chryste! Ostatniej nocy nie mogę zaliczyć do udanych. Uchlałem się jak Świnia i niczym ostatni kretyń puściłem w kanał jedyne, a tak nieodzowne sześć funtów. W zamian oberwałem po pysku od jakiegoś zbzikowanego Irlandczyka, który twierdził, że mnie zna. I to za własną ciężką forszę. Chyba rzeczywiście musiałem wcześniej wyrzygać resztki mózgu.

W efekcie to, co przeżywam w piękny czerwcowy poranek, tylko w przybliżeniu da się określić mianem kaca. Alkoholizm to zaledwie jedna z wielu płaczek, które czuwają dziś nad moimi zwłokami. Prym wiedzie Chroniczna Rozedma na spółkę z Wychudzonym Szkorbutem podszczypującym co chwila Ginekomastię - najwdzięczniejsze z Zaburzeń Hormonalnych. Młodzieńczy Czerniak o twarzy efeba trzyma się nieco z tyłu jak antyczny chór. W roli heroiny występuje Migrena. Słyszę jej sopran, którym obwieszcza swe zbrodnicze zamiary. Szyja boli mnie wściekle, stos pacierzowy jęczy i trzeszczy. Za chwilę mózg (jeśli jeszcze go mam) będzie się zwijał i prężył w udręce. (Nie

uwierzylibyście, do jakich rozmiarów potrafi się nadać czaszka przy bólu głowy!) Atmosfera jest napięta. Jak przed burzą.

W moim wnętrzu burza szaleje już od dawna. Czuję mdłości i równocześnie zaburzenia jelitowe. Mój szlak wyznaczają publiczne toalety. Torsje - biegunka - migrena. Jak ja to dobrze znam!

Skłócony ze swym organizmem i kompletnie spłukany wynoszę się na obrzeża Londynu, byle dalej od centrum. Jakież to rozkosze czekają mnie na zielonych łąkach Roehampton czy Mortlake? Przyznaję: żadne. Uciekam z miasta, bo dziś jest sobota, a sobotnie oblicze Londynu doprowadza mnie do szału. Ludzie robiący zakupy, działacze Armii Zbawienia, gospodynie domowe drepczące raz w miesiącu do męskiego burdelu, dłubiący w nosach i uszach smarkacze, uczennice obnoszące przedwcześnie rozkwitłe piersi, wycieczki z prowincji, weseli policjanci bez marynarek, bawiące się w parku rodziny, młode pary, sportowcy, spacerowicze, ludzie, ludzie, ludzie...

Najgorsi są kalecy, narkomani, bezdomni - ludzie z dna. Soboty to ich żebracze żniwa. Dzień najlepszych zysków. Londyńczycy są w dobrym nastroju. Chcą czynić dobro. Łatwiej sięgają do portfeli. To miłe, lecz przygnębiające. Nie chcę patrzeć, jak moi bracia w nędzy tak się poniżają.

(Prawdziwym powodem, dla którego nie chcę brać udziału w sobotniej paradzie, jest lęk, że spotkam kogoś

znajomego. Kogoś, kto znał mnie przed laty. Kto nie wie, kim się stałem. Na samą myśl drzę ze zgrozy.)

Człapię raźnie dalej, młody i beztroski.

Perry traci siły. Dziś rano omal się nie rozplakał. Może dopadła go w końcu świadomość, że nie ma już przed sobą wiele życia. Twarz miał szarą, ściągniętą, co w połączeniu ze szklącymi się w oczach łzami i jego rozpaczliwymi wysiłkami, by zachować fason, naprawdę mnie zdołowało. Myślę, że jest już zmęczony walką z przeciwnościami losu. Czuje się stary. Ma dość. To niedobrze. Rezygnacja przyspieszy jego śmierć. Młodych kloszardów rozpacz przyprawia o ból głowy, starych zabija.

Nie przyniósł kawy ani papierosów, a to zły znak. Po raz pierwszy zaniedbał pełnienia honorów domu. Pomijając już to, że pozbawił mnie jedynych codziennych przyjemności, takie zaniedbanie bardzo źle rokuje.

Egoizm mój i ja chodzimy ręka w rękę, przepiękna para ta przyprawia mnie o mękę.

Próbowałem go pocieszyć, ale zabrakło mi mądrości (pod dostatkiem miałem za to pustych frazesów). Koń by się uśmieł. Perry łka nad swoim gasnącym życiem, a ja zasuwam mu gadkę jak z telewizora. Powinienem się leczyć. Na głowę.

Ruszyło mnie to, naprawdę. Strasznie zażenowało. Zważywszy kaca, nie byłem w najlepszej formie, czułem jednak, że wypada mi przynajmniej wyciągnąć do niego

rękę. Jak na kogoś tak młodego i bezdusznego mam dobre serce, chyba mi to przyznacie?

Tak czy owak, trudno jest efektywnie pomóc komuś, kto miał tak zasrane życie jak Perry. Niewiele można rzec, by podsumować równie smutną historię. Jak już mówiłem, Perry wkrótce umrze i cała kwestia stanie się akademicka. Kostucha już ostrzy kosę. Będzie mi go brakować. Do licha, już mi go brakuje. Serce miał szczere i hojne. Biedak. Melancholia ścigała go po całym mieście i w końcu dogoniła. Żegnaj, Perry.

(Podobnie jak on docieram do rozstaja dróg. Tylko że Perry ma do wyboru niedaleką śmierć i obecną rozpacz, ja - Mili Hill i Rocks Lane. Mój wybór jest trudniejszy. Patrząc na bohatersko broniącą swych przyczółków roślinność, na ceglane mury, łysawe boiska do krykieta i cmentarze. Dobra. Niech będzie Mili Hill.)

Zostało mi dwanaście papierosów. Muszę zachować umiar. Ułożyć plan oszczędnościowy. Na razie zapalam jednego w ramach nagrody za przyszłą przezorność. Od razu mi lepiej.

Czułbym się jeszcze lepiej, gdyby upał nieco zelżał, a ból głowy wypuścił mnie ze swych szponów i odszedł w siną dal. I gdyby to, co przelewa mi się w trzewiach, przybrało postać stałą. A przede wszystkim - gdybym miał choć trochę forsy!

Niestety, Perry nie miał dziś dla mnie kolejnej dychy. Nie do wiary, prawda? Cóż, nie mogłem się upominać. W końcu facet umiera.

Idę. A co? Idę dalej.

Gdy przerwaliśmy opowieść o młodzieńczych latach Ripleya Bogle'a, bohaterowi nie wiodło się najlepiej. Bezdomny pijak i nihilista jeszcze przed osiągnięciem pełnoletniości! Był takim zatwardziałym młodym alkoholikiem, jakich widuje się w rynsztokach prowincjonalnych miast. Obita czerwona gęba, obłąkańczy bełkot i przekrwione ślepia. Śmieć. Samo dno.

Trudno w to uwierzyć, ale udało mi się uratować, zanim mój bilet do nicości został nieodwołalnie skasowany. Powinienem był wałęsać się tak jeszcze trzy lub cztery lata - bo przy tym trybie życia nie pociągnąłbym dłużej. Powinienem był skończyć jako bezimienny preparat marskości wątroby, rozebrany na części przez uodpornionych na emetyczne widoki studentów medycyny. Miałem szczęście. Powiem więcej: miałem cholerne szczęście.

Pewnej nocy pod koniec lata czteroosobowy patrol policyjny przyłapał pewnego młodego włóczęgę na próbie włamania do sklepu monopolowego przy Lisbum Road. Młodzieniec ów, zarzuciwszy Królewskiej Policji Ulsteru w wyszukanych słowach brak miłości bliźniego, usiłował następnie czynnie znieważać wszystkich czterech konstabli. Dostał w dziób i w końcu udało się z niego wydobyć kilka szczegółów biograficznych.

Zawieźli go do szkoły Świętego Malcolma, gdzie wyciągnęli z łóżka kanonika O'Hare (nazwisko to przewinęło się w bełkotliwej wypowiedzi zatrzymanego). Dostał do wyboru: albo bierze chłopaka, albo go pudłują. Na szczęście stary Tukan stanął na wysokości zadania.

Powiadam raz jeszcze: miałem cholerne szczęście. Po pierwsze, policjanci mogli zrobić mi krzywdę. (Byłem tak pijany, że bez trudu pobiłby mnie średniej wielkości królik. Ludzie jednak bywają miłsi.) Po wtóre, wielebny Paddy O'Hara, zwalczywszy senność i odruch wymiotny (śmierdziałem pod niebiosa), jednak się do mnie przyznał.

Nazajutrz (wspominam to ze wstydem) dał mi dość sporą sumę i wysłał mnie do cysterskiego klasztoru w Portglenone, żebym tam odtruł się pośród mnichów. W szarym habicie i twardych zakonnych buciorach rozpocząłem życie monastyczne.

Kiedy trzy miesiące później wróciłem do Belfastu, wciąż miałem na sobie habit, ale byłem już trzeźwy. Zniknął dawny rozkoszny Ripley Bogle, brawurowo brnący z jednego nieszczęścia w drugie i wydający pocieszne okrzyki, że życie się na niego uwzięło. Teraz miałem w sobie zimną nienawiść i siłę. I poczucie celu.

Pożyczywszy pieniądze od lichwiarza, z którego synem chodziłem do szkoły, znalazłem sobie lokum, wyjątkowo brudną norę pod Downview. Właścicielka domu, niejaka pani Collins, była odrażającą starą pijaczką, nie mytą od wieków, sądząc po zapachu. Kiedy

była na bani, niezmiennie zaczynała wciąż tę samą opowieść o życiu i śmierci swego świętej pamięci męża. Musiałem siedzieć i słuchać barwnych opisów efektów chemioterapii i raka, inaczej wyrzuciłaby mnie na zbity pysk. Prawdę mówiąc, trudno by to uznać za dotkliwy cios. Warunki były tam zdumiewająco niehigieniczne. Brud, robactwo i smród taki, jakby pod podłogami rozkładały się trupy syfilityków. Najgorsza była kuchnia. Pływała w starym tłuszczu i roiło się w niej od nieznanych mi bliżej form życia. Dotychczasowe przejścia pozostawiły mnie nieco nadwątlonym, ale w obliczu zatrucia salmonellą postanowiłem nadal zachować post. Wolałem nie jeść, niż umrzeć na jakąś zarazę. Stara czarownica chytrze to obmyśliła: po obcięciu posiłków jako lokator kosztowałem ją niewiele.

Mniejsza z tym; potrzebny był mi adres, jakikolwiek pozór stałego miejsca zamieszkania. Udało mi się w pewnym stopniu rozwiązać problemy finansowe i edukacyjne. Wymusiłem zasiłek strasząc urzędnika, że poskarżę się prezydentowi Stanów Zjednoczonych (lub coś w tym stylu), a chłopięcym wdziękiem i szczerą pokorą zbajerowałem Tukana do tego stopnia, że pozwolił mi wrócić do szkoły. Miałem przed sobą cel. Kiedy opowiedziałem o nim Tukanowi, sam się zdziwiłem, że nie zabił mnie śmiechem lub nie zadzwonił po facetów z kaftanem bezpieczeństwa. Powiedział, że mogę chodzić na lekcje - tak długo, jak będzie trzeba. Ten człowiek to święty. Na pewno zostanie

kiedyś papieżem.

Cóż to za cel, spytacie? Hm... Musicie zrozumieć, że w owym czasie byłem kompletnym zerem. Nie miałem pieniędzy, rodziny, przyjaciół, pracy, kwalifikacji, szans ani nadziei. Lumpenproletariat patrzył na mnie z góry; żebracy omijali mnie na ulicy. Praktycznie nie istniałem.

W związku z tym zdecydowałem się na wyższe studia. Gdzie? A gdzież by, jak nie w Cambridge?

Nie śmiejcie się ze mnie, cynicy! Uznałem, że skoro już chcę poprawić swój status, równie dobrze mogę zrobić to raz a dobrze. Z samego dna na renomowany uniwersytet. Z jednej skrajności w drugą. Przypadło mi to do gustu; mile łechtało moje poczucie absurdu. *Quel arriviste!*

Właśnie dzięki temu przestałem pić. Moją deską ratunku nie była mnisia pokora, lecz wygórowana ambicja. Szmaciarz, alkoholik na najlepszej uczelni w Europie. To mi się podobało.

Wyznaczywszy cel, podążyłem ku niemu różnymi krokami. Rozpaczliwie pragnąłem odnieść sukces. Choć jakoś nie mogłem sobie wyobrazić moich brudnych buciorów na szacownych posadzkach uniwersyteckich gmachów, byłem dobrej myśli. Musiało się udać, to była moja jedyna szansa. Porażka oznaczałaby koniec.

Rodzice Deirdre wysłali ją do ciotki w Niemczech. Po powrocie zagroziła, że się zabije, jeśli nie pozwolą jej się ze mną spotykać. Rodzice ulegli, jak zawsze. Ech, Curranowie zasłużyli sobie na taką córeczkę!

(Powinienem tu napomknąć, że kwestia mojej ojcowskiej niewinności nie padła. Nie zadbała o to ani Deirdre, ani ja. I tak już zostało.)

Na jej widok wyparowała ze mnie cała nienawiść i gorycz (właśnie kiedy najbardziej ich potrzebowałem!). Być może trochę dorosłem. Pojąłem, co znaczy być mężczyzną i tak dalej. Deirdre się zmieniła - na gorsze. Całkiem jej odbiło. Przestała już nawet udawać normalną. Zacząłem z nią sypiać. Prawdę mówiąc, musiałem. Odmowa powodowała atak hysterii, a poza tym wciąż wmawiałem sobie, że ją kocham. Nasza miłość zahartowała się w ogniu przeciwności losu. Tak to sobie wymyśliłem. Ładnie, co?

Jednakże coraz trudniej było ignorować obłąd Deirdre. Niepokoiła mnie gwałtowność jej zachowań. Rozkosz erotyczną osiągała tylko zadając ból. Kiedyś podczas stosunku uraczyła mnie opowieścią o swym poronieniu, wykazując przy tym nielichy talent narracyjny. Orgazm okraszony został opisem dziecka i uwagą, że każde nasze dziecko będzie wyglądać tak samo. Resztę nocy spędziłem w toalecie, starając się - z delikatności! - nie wymiotować zbyt głośno.

Tłukła mnie kijem do krykieta, pluła, szarpała, drapała i dusiła - zwłaszcza w łóżku. Paskudna sprawa. Nabrała miłego zwyczaju pojawiania się u mnie z wieścią, że właśnie przedawkowała. Musiałem ją wieźć do szpitala (miała teraz własny samochód, biedaczka). To dopiero był skrajny ubaw! Nigdy nie miałem zadatków

na dobrego kierowcę. Samochód i ja to katastrofalny zestaw. Kiedy zasiadałem za kierownicą, Deirdre groziło większe niebezpieczeństwo niż od któregokolwiek z jej narkotycznych koktajli.

Kiedyś, gdy jej rodzice wyjechali na weekend, spędziliśmy razem jedyną całą noc. Wykonawszy długi szereg ruchów frykcyjnych w małżeńskim łóżu państwa Curranów, zasnęliśmy (jak to często bywa). Po paru godzinach poczułem dziwne łaskotanie na obnażonych plecach. Nie wyrwało mnie bynajmniej ze snu i właśnie zapadałem głębiej w objęcia Morfeusza, gdy posłyszałem metaliczny szczęk, cichy i ukradkowy. Uczyniłem gigantyczny wysiłek, by pokonać bezwład dała. Byłem taki zmęczony. W tym wielkim czystym łóżu było mi miękko i ciepło. W końcu jednak zdołałem się obudzić.

Skonfiskowawszy mej nietuzinkowej ukochanej nożyczki, pospieszyłem do łazienki, żeby zmyć krew. Cięcia nie były głębokie; najwyraźniej robiła to dla rozrywki lub wprawy. Były jednak długie, liczne i piekły jak diabli. Opatrzywszy sobie rany, ulotniłem się po cichutku, uznając, że będzie lepiej, jeśli przez jakiś czas nie będę się widywał ze słodką Deirdre.

Nie muszę dodawać, że niedługo wytrwałem w tym postanowieniu. Wciąż ją kochałem. Jej niezrównoważenie było zrozumiałe, miało powód. Udało mi się zdławić w sobie wszelkie odruchy egoizmu. Nie zapytałem nawet, kto był ojcem dziecka. W istocie kwestia ta zdawała mi się drugorzędna. Jak się okazało,

od początku do końca byłem żalosnym jeleniem. Nie potrafiłem się nawet gniewać.

Tak więc świetlany obraz Deirdre uległ w mych oczach tylko nieznacznemu zmąceniu. Dobrze i to.

W listopadzie składałem pisemny egzamin wstępny do Cambridge. W warsztacie za rogiem wybuchły w tym czasie trzy pięćdziesiętofuntowe bomby. Sprawilo mi to niejaką przyjemność. Zastanawiałem się, ilu wyciągniętych z rynsztoka alkoholików pisze ten egzamin przy akompaniamencie bliskich eksplozji. Myśl dosyć płytka, ale poczułem się kimś wyjątkowym.

Staralem się ze wszystkich sił, z całej duszy. Serce trzepotało mi nadzieją i obawą. Modliłem się, by wreszcie, po raz pierwszy w życiu, coś mi się udało.

Udało się! (Pewnieście już dawno się tego domyślili.) W ostatni piątek przed Bożym Narodzeniem, wróciwszy nad ranem z pracy do mojej rudery, zastałem list:

Szanowny panie Bogle,

Z przyjemnością powiadamy Pana...

W moich żyłach zatętniła niebiańska ekstaza. Byłem z siebie dumny. Dokonałem niewiarygodnego osiągnięcia. Innym - wychuchanym, pieśczone, kształconym w najlepszych szkołach - się nie udało. Pobitem ich wszystkich na głowę. Ja, wydziedziczony,

skazany na zagładę. Zawdzięczałem to tylko sobie i garstce miłosiernych księży.

Nim otrząsnąłem się z zawrotu głowy, prawie świtało. Nie mogłbym zasnąć. Poszedłem na spacer.

Połyskująca łagodnie noc przywitała mnie serdecznie, rozpowiadając szeptem nowinę o moim szczęściu uśpionym domom i wysokim, nagim zimowym drzewom. Antrim Road, stara przyjaciółka, rozwinęła przede mną swój asfaltowy dywan. Cavehill słał mi z dala wyrazy uznania na falach ciemnego, naelektryzowanego wiatru.

Wszedłem do Alexandra Park, który drzemał pod czarnym nadrannym niebem. Minął mnie pierwszy mleczarz, pobrzękując cicho jak dzwonek na jutrznię. Powitałem go radośnie, lecz nie usłyszał. Zszedłem pod arkadami bezlistnych gałęzi nad staw. Szare widma łabędzi sunęły wyniośle po ciemnej tafli, nie zwracając uwagi na szczęśliwego chłopca odprowadzającego je wzrokiem. W ich oczach nie różniłem się od innych.

Świt zaczął nasączać zimowy park chłodnym srebrnym blaskiem. W mroku lśniły radosne ogniki moich oczu. Zawróciłem. Żegnaj, Irlandio. Wszedłem ponownie w Antrim Road i wydało mi się, że znajome odrapane fasady domów przebudziły się i składają mi pożegnalny hołd. Szedłem ich unizonym szpalerem, rumieniąc się skromnie.

Byłem w siódmym niebie. Czułem, że coś takiego mi się wreszcie należało. Zacząłem robić plany.

(Kiedy zadzwoniłem do Deirdre, by podzielić się z nią wspaniałą nowiną, wściekła się tak, że rzuciła słuchawkę. Uznała, że zmyślam, nie mogąc pogodzić się z rzeczywistością. Deirdre mogła stawić czoło rzeczywistości - ojciec opłacił jej chesne za pierwszy rok w prywatnej uczelni artystycznej w Leeds.)

Jedynym zgrzytem w ciągu następných miesięcy była śmierć Maurice'a. Ciężko ją przeżyłem i tylko myśl o Cambridge była mi pociechą. Cała ta sprawa potwierdziła tylko, że słusznie robię, opuszczając Ulster. Nie chciałem, żeby mnie też załatwili. Nie chciałem umierać. Nie tak jak mój ojciec. Nie tak jak Maurice.

Mój pobyt na Szmaragdowej Wyspie dobiegał końca. Odmłodniałem, oczy znów miałem zielone. Znów czułem się piękny i wspaniały. Spakowałem porządnie miasto mojej młodości i odstawiłem je do lamusa. Nic mnie tu nie trzymało. Byłem gotów do drogi.

Chciałbym dziś czuć się równie wspaniale. Ulice spletały się w niechlujny kłęb. Nie za bardzo wiem, którądy mam iść. Troszkę się zgubiłem. Patrzę wokół na rozgrzane, topiące się nawierzchnie i ciężkie jak marmur powietrze. Na pobliskim murze widzę wykonane wprawną ręką graffiti:

D. H. LAWRENCE TO ZOOFIL

Cieszę się, że w południowym Londynie są jeszcze

przenikliwe umysły ceniące literaturę i cięty dowcip. Uśmiecham się pod nosem i męka staje się łatwiejsza do zniesienia. Jeszcze tylko puszczę jednego lub dwa pawie i będzie dobrze. Przechodzę teraz do najprzyjemniejszej części mojej historii. Myślę, że wam też się spodoba. Lata studenckie. A w nich nie tylko przeciwności i smutki, także wzloty i radosne chwile. I Laura. Wkrótce o niej usłyszycie. Będzie tkliwie i romantycznie. Momencik. Jak powiedziałem: jeszcze tylko sobie rzygnę.

2

A Irlandia? Chyba należy jej się chociaż parę słów na pożegnanie?

My, Irlandczycy, jesteśmy cholernymi durniami. Lubimy się tarzać w bezmyślnym sentymentalizmie. Ukochani przez Boga pieprzeni Irole. Jako rasa jesteśmy przeżytkiem, jako naród - porażką, kulturowo nudni, a jeśli patrzeć na nas jako na jednostki - często po prostu obrzydliwi.

Ale my to kochamy. My się tym upajamy. Im gorsi jesteśmy, tym bardziej nam w to graj. Czujemy się tym większymi patriotami.

Szmaragdowa Wyspa! Reklamowe brednie rozpowszechniane przez Amerykanów i wykładowców literatury angielskiej! Jej uroki to plucie na świętości, dzicz i krew na ulicach. Dziwny kraj. Flagi na stałe przybite do masztów. Zieleń, biel i to, co mogłoby być złotem...

Ach, Irlandia to śliczny kraj.
I ludzie tacy mili,
Modlą się dzień i noc,
By bliźni ich nie zabili.

I cóż w niej takiego, że sikamy po nogach ze szczęścia? Co każe nam bez ustanku sławić ten kraj?

Nędza, cierpienie i śmierć? A może pogarda, nienawiść, zdrada, głupota, grzech, okrucieństwo i nieuleczalna rozpacz? Cokolwiek to jest, zaiste my, Irlandczycy, mamy za co być wdzięczni Opatrzności.

Cóż mógłbym powiedzieć o Irlandczykach, by się tego nie wyparli? Cóż mógłbym dodać do długiej listy płaczliwych ewokacji celtyckiej legendy?

Już wiem. Opowiem wam pewną historię. Będzie to historia prawdziwa, a zarazem prawdziwie irlandzka. Wydarzyła się, gdy chodziłem do szkoły, i w swoim czasie była dosyć głośna.

*

Pewnego październikowego wieczoru dwaj uczniowie naszej szkoły popełnili rażący nietakt - udali się mianowicie na przechadzkę przez Crumlin Road. To paskudna ulica. Ziemia niczyja. Po jednej stronie Shankill, po drugiej New Lodge. Spotykają się tu dwaj różni Bogowie. Co zrozumiałe, chłopcy byli ciut niespokojni. W owych czasach grasował tam Rzeźnik z Shankill, zagorzały przeciwnik ekumenizmu (dawał temu wyraz dekapitując obywateli wiernych Stolicy Apostolskiej).

Jest to więc kraina łowców głów. Chłopcy idą ostrożnie, na paluszkach wymijając wnyki, jakie stawia im na drodze lęk.

Zatrzymuje ich trzech uzbrojonych facetów (co było

do przewidzenia). Jak się zapewne domyślacie, nasi bohaterowie mają majtki pełne strachu. To koniec, myślą w panice. Witaj, kulko, żegnaj, życie! Faceci z pukawkami pytają ich o wyznanie wiary. I tu świta wątpliwość nadziei. Mikroskopijna szansa ocalenia. Pierwsza odpowiedź się liczy. Nie będzie nagród pocieszenia. Nasi chłopcy kombinują gorączkowo: kim są tamci? Teren nie daje punktu zaczepienia, a napastnicy też nie starają się ułatwić rozwiązania zagadki. W końcu jeden z chłopców rzuca w duchu monetą i bąka nieśmiało: „Jesteśmy katolikami”. Rewolwerowcy niepewnie spozierają po sobie. Jeden mówi:

- Udowodnij.

O rany Julek, udało się, myślą nieszczęśnicy. A jednak się udało! Ulga spływa im w serca, w uszach tętni dzika pieśń na cześć życia.

Recytują chórem „Zdrowaś Mario” i obaj dostają kulę w łeb. Ha, ha, ha.

Domyśliliście się, prawda? Czy to nie piękne? Dranie byli rzetelni: postanowili się upewnić! Co za perfekcyjny, okrutny artyzm - mord w chwili nadziei i szczerzej modlitwy! Przebiegłe skurwysyny, sami to przyznacie.

(Znam tę historię tylko dzięki temu, że jeden z chłopców przeżył. Przeżył strzał w głowę, wyobraźcie to sobie? Oczywiście odbiło mu się to na zdrowiu. Paraliż i te rzeczy. Życie w fotelu na kółkach nie jest miłe, ale rzecz szczególna, najdotkliwiej zraniło go to zestawienie:

modlitwa i odpowiedź na nią. Wpędziło go to w obłąd.)

Tak, moje miasto nie jest zbyt miłe. Toczy je rak, toczy trąd.

Pomyślcie o tym, żeby kogoś zabić. Kogokolwiek. Wyobraźcie sobie jakiegoś niemilego żalostnego gnojka. A teraz pomyślcie, że chcecie go ukatrupić. Bez pośpiechu. Poświęćcie mu trochę czasu. Porozmyślajcie sobie o jego życiu, jego mamie, tacie i bachorach. Pomyślcie o piersiach i udach kobiet, które pieścił. O jego bolących zębach, zaparciach, wyżłopanych przez niego hektolitrach piwa. O książkach, których nie czytał, ludziach, których nie poznał, i miejscach, których nie widział. Pomyślcie o jego próżności, ignorancji, chciwości i egoizmie. O jego przedsiębiorczości i uprzejmości, czułości i współczuciu. Wyobraźcie sobie, jak kupuje te swoje niemodne buty i wulgarne marynarki. Przypomnijcie sobie jego kiepskie dowcipy i zmieszane miny. Jego dziecięce gaworzenie i mleczne zęby, jego kanapki, zdjęcia, meble, zadłużenie w banku, jego pismo, łysinę, ulubione posiłki, jego drużynę piłkarską, brudne skarpetki, twarz i bagaż lat. Pomyślcie o nim. Pomyślcie o jego życiu.

Pomyślcie, że chcecie go zabić.

Czy jest coś, co to usprawiedliwia? Komu to potrzebne?

Deirdre i ja wkrótce ochłodliśmy w miłosnych zapalach. Nasz romansik wypalił się na krótko przed

moim wyjazdem do Cambridge. I chwala Bogu. W tym ostatnim okresie dziewczynie coraz bardziej odbijała palma. Jej ządania i zachowania przybierały na ekstrawagancji. W końcu powiedziała mi nawet, z kim zaszła w ciążę (choć wcale o to nie pytałem). Był to hydraulik, który przyszedł przetkać odpływ w łazience. Wzdragam się konstruować jakiegokolwiek analogie; rzecz jest dostatecznie ohydna. Akt rozegrał się na wykafelkowanej podłodze obok muszli. Hydraulik najwyraźniej nie miał na podorędziu odpowiednich membran, toteż zostawił jej na pamiątkę owoc tych łazienkowych uciech. To przygnębiające, jak podobne szczegóły odzierają moje życie z należnego mu tragizmu. Pozostaje piętno absurdu, plugawy rechot przypadku.

Po raz ostatni widziałem się z Deirdre na neutralnym gruncie - nad zaplamionym stolikiem w kawiarni. Gruntownie przygotowałem się do wielkiej (i głośnej) sceny. Przećwiczyłem wrzaski, syki i grymasy. Ułożyłem monolog pod tytułem „Na czym polega twój problem”. Oj, miałem zamiar nieźle dać jej popalić! Oczywiście kiedy przyszło co do czego, machnąłem ręką. Nagle przestało mi się chcieć. Byłem teraz wolny. Wolny. Ta świadomość wprawiła mnie naraz w euforię. Przypomniałem sobie, że jestem jeszcze bardzo młody. Zabawne. Uśmiechnąłem się więc tylko, wstałem i wyszedłem. Podejrzewam, że ubodło ją to bardziej niż najkarczemniejsza awantura. Zwyczajnie spieprzyłem w siną dal. Jezu, ależ miałem radochę!

Nie mam wiele litości dla Deirdre, prawda? W mojej opowieści urasta do rangi potwora. Okrutna, samolubna, uparta i tępa. Jest w tym opisie sporo prawdy, lecz sam też nie będę udawał niewiniątka. Nie byłem od niej lepszy. Nieczuły, wykrętny, nadęty pogardą dla całego świata drań. To dziwne. Człowiek poniżej dwudziestego piątego roku życia myśli przeważnie, że ma prawo do pewnej dozy brutalnego egoizmu i nieodpowiedzialności. Ma taką cudowną wymówkę: młodość, brak doświadczenia. Jakże można go winić? To nieprawda. W każdym razie mnie śmiało można winić. Byłem, mówiąc krótko, wrednym sukinsynem.

(À propos: czy ta żarliwa samokrytyka nie wydaje się wam wzruszająca?)

Jak doszło do tego wielkiego zerwania? Chcecie wiedzieć? Tylko nie mówcie, że nie.

Zdziwicie się: to Deirdre odstawiła mnie od piersi. Zresztą sypiała w owym czasie z kim innym (comme d'habitude). Skreśliła mnie. Pokazała mi drzwi.

Fajnie, co?

3

Barn Elms. Słońce głaszcze leniwie tereny sportowe. Równe rzędy ugrzeczionych topoli chylą się dwornie w ciepłym, przesyconym zapachem lata wietrze. Jest gorąco, pustawo i cicho. Cichy szmer miejskiej letniej nudy, punktowany tylko odgłosem stóp graczy. Atakujący pędzi z nozdrzami rozdętymi jak buhaj, bębni nogami w umierającą trawę. Słodki, pełen satysfakcji trzask, gdy kij styka się z piłką. Piłka wylatuje wysoko w powietrze, śmiga ku linii autowej i spada na ziemię tuż u moich stóp.

Zmieszany, odrzucam ją zdziwionemu graczowi.

Oglądam właśnie mecz krykieta. Mecz krykieta, uwierzycie? Czy istnieje bardziej idylliczny sposób spędzenia wolnego czerwcowego popołudnia? Słońce nie pali już tak mocno, a łagodny wietrzyk rozprasza odór mego potu. Głowa mnie prawie nie boli, jelita też są względnie spokojne. Obserwuję mecz. Jest fajnie.

Krykiet to bardzo ważna gra. Ma ogromne znaczenie, nawet dla takiego szmaciarza jak ja. Pośród innych sportów cechuje go największa spójność i logika. Wymaga odwagi, namysłu, współdziałania i wiedzy. To gra umysłu, wyobraźni. (A najważniejsze, że nie opanowali jej Amerykanie.)

Rzygnałem sobie i jest mi nieco lepiej. Ociupinę się pogubiłem. Czułem się zmęczony, chory, głupi, a nawet

lekkobłąkany. Wpadłem w histerię. Nie mogę sobie na to pozwalać. Nie wolno mi zadawać sobie bólu myśleniem na temat „co by było, gdyby”. Dotąd radziłem sobie całkiem nieźle i nie chciałbym tego zmarnować. Nie mówiąc już o tym, że muszę dokończyć tę swoją opowieść. Biorę się w garść. Jestem w tym dobry (czasami).

Kładę się na trawie patrząc, jak do ataku wychodzi nowy zawodnik. Ziemia wzdycha; wydziela ciepłą, letargiczną wilgoć. Pot łaskocze mnie w ucho. Mój na wskroś europejski umysł wyrusza w podróż po krainie abstrakcji, spokoju i wypoczynku.

W pierwszej chwili Anglia wydała mi się ziemią spełnionych marzeń. Jadąc pociągiem ze Stranraer do Londynu odczytywałem widziane przez okna nazwy stacji - miast i miasteczek z mych dziecięcych rojeń, miejsc z moich książek.

Czując się prowincjuszem w każdym calu, z bijącym sercem i zawrotem głowy przebiegałem ulice cudownego Londynu, ulice mych literackich wspomnień. Covent Garden tchnący atmosferą czasów Restauracji; most Westminsterski, po którym wciąż toczą się fale anonimowych tłumów; Bloombury - wioska-muzeum... I rzeka. Tamiza, powiernica i nieprzyjaciółka Lizzie Hexam. Żyłem w świecie cudzych wyobrażeń.

(Prawdę mówiąc, Londyn od początku zrobił na mnie wrażenie szamba. Tandetny i odrażający. Karol Dickens na pewno przewraca się w grobie. Nigdy wcześniej nie

widziałem prostytutki... w każdym razie zawodowej. Ani sex shopu. Brud był tu inny tuż w Irlandii. Lepki i snobistyczny. Teoretycznie powinienem się tu czuć wielkim człowiekiem w niezwykle ważnej misji.)

Ponadto Londyn był o wiele za duży. Zgubiłem się w metrze i wylądowałem na Hampstead Heath. Oglądane stamtąd miasto zdawało się nieruchome, złowieszcze i groźne. Tutejsze kobiety otaczała lubieżna aura; ich rozchełstane szmatki ukazywały piersi opalone na brąz w czasie wakacji na plaży topless. Nie przypominały Irlandek z Belfastu. Były piękne, wspaniałe, zapierały dech w piersiach. Uroda podkreślona dużym wkładem pracy i pieniędzy. Perfekcyjnie umalowane oczy prześlizgiwały się po mnie z rozwścieczającą obojętnością.

Zakochałem się w metrze. Godzinami pozwalałem się unosić temu niewzruszonemu węzokształtnemu potworowi. Rozpierałem się w pustawych wagonach i przesiadałem z jednej linii na drugą, ilekroć przyszła mi na to ochota. Nazwy stacji brzmiały wyzywająco, niczym nazwiska starych znajomych, którzy nagle ujawnili swoje drugie oblicze. Napawały mnie radością i skrywanym podnieceniem. Próbowałem udawać, że mnie to nie wzrusza, zachowywać się jak prawdziwy londyńczyk. Miałem świadomość, że w porównaniu z nimi jestem nieokrzesanym wieśniakiem. Zazdrośnie podziwiałem rutynę innych pasażerów, którzy pewnie i beztrąsko wysiadali z wagonów, nie patrząc nawet na nazwę stacji.

Znów się zgubiłem. Tym razem wynurzyłem się z podziemi przy Tumham Green. Machnąłem ręką na wszystko i wróciłem na dworzec taksówką, postanawiając dawkować sobie Londyn mniejszymi porcjami.

Do Cambridge dotarłem tuż przed zmierzchem. Pierwszy rzut oka na takie miasto jak Cambridge jest zawsze najlepszy i najchętniej wspominany. Wyglądało niczym perfekcyjna makieta. Zachowane jakby w pomniejszeniu wąskie uliczki i kryte arkady pobrzmiwały jeszcze mglistymi echemi przeszłości. Miękki szary zmrok uwydatniał klasztorną omszałość dziedzińców i parków. Kolegia rozparły się z wytworną nonszalancją w samym centrum miasteczka. Moje wzruszone serce nabrzmiało łzami rozkoszy. Jakie to wszystko było stare. Jakie wypieszczone, czyste i śliczne! Sam widok uwznioślał moją chamską duszę.

Z pewnym trudem odnalazłem swoją bursę i zapoznałem się z portierem, siwym Irlandczykiem zwanym Nagrobkiem. Facet miał klasę. Ucieleśnienie szacowności i unizonej dyskrecji. Odegrałem przed nim człowieka z gminu i pokochał mnie natychmiast. Szeroki, ujmujący ripleyowski uśmiech przypieczętował naszą przyjaźń. Zawsze miałem dar zjednywania sobie ludzi.

Moje śmieszne nazwisko było już wymalowane nad drzwiami pokoju: R. BOGLE. W tym kontekście miało arystokratyczny wydźwięk, do którego przedtem nawet

nie starało się aspirować. Po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że jest czymś więcej niż tylko slapstickowym zlepkiem śmiesznych spółgłosek. Na tej szacownej ścianie wyglądało poważnie i znacząco. Byłem z niego prawie dumny. (Takie nazwisko to na ogół prawdziwy garb; żyje się z nim ciężiej, niż bylibyście skłonni przypuszczać. Ripley Bogle. Ciekawe, o czym myśleli Betty i Bobby, moi staruszkowie, nadając mi takie imię. Pewnie o tym, że aliteracja wyszła z mody.)

Pokój był bajeczny. Ciemne boazerie, okno z widokiem na rzekę. W to ostatnie trudno mi było wprost uwierzyć. Zgasilem światło, zapaliłem papierosa i usiadłem przy oknie. Patrzyłem na pociemniałą rzekę powtarzając sobie, że nie śnię, że to wszystko dzieje się naprawdę. To ja, Ripley Bogle, nieudacznik, włóczęga, szmaciarz i pijak za uszy wydzwignięty z dna. Co ja tutaj robię?

I tak sobie siedziałem i paliłem w ciemnym pokoju, pogrążony w rozmyślaniach. Moje akcje nareszcie zaczęły zwyżkować; nieśmiałe nadzieje kiełkowały w moim sercu.

„...A teraz rozwiązanie konkursu z zeszłej soboty. Przypominam, że do wygrania był nowy album Kim Wilde. Szczęściarze z was, kochani! Odpowiedź brzmi: Polski hrabia Borulawski, karzeł, który oczarował i uwiódł najpiękniejszą baronową na drezdeńskim dworze. Tak, przyznaję, że pytanie było podchwytliwe!”

Z czyjegoś radia dobywa się irytujący wulgarny bełkot. Niedaleko ode mnie rozsiadły się na trawie dwie młode kobiety. Zerkają na miłego nieszkodliwego kloszarda (mnie) i chichoczą złośliwie. Ich śmiech jest zbyt piskliwy, radio wrzeszczy, ubrane też są krzykliwie. Zgiełk rozprasza graczy, krzywią się z niezadowoleniem. Dziewczyny chichoczą w najlepsze, zadowolone z powodowanych zakłóceń.

„Czyż to nie wspaniałe? Już za chwilę Rodney, który będzie gościem w naszym studiu, opowie o swoim nowym singlu zatytułowanym «Matka mnie biła». Ciekawe, czy na dowód zaprezentuje blizny! Ha, ha, ha, ha, ha, hi, hi. Jest sobota, moi mili, czas na dobrą zabawę! Właśnie otrzymałem telefon od słuchacza z Bletchley, który twierdzi, że mylnie zacytowałem Kanta. No cóż, bardzo mi przykro, panie Jenkins, wrócimy do tego później, bo teraz pora na serwis dla zmotoryzowanych...”

Dziewczyny zaczynają zrzucać z siebie szatki. Rozbierają się do wyszarzałej bielizny, rzucając mi drwiące spojrzenia. Paru graczy patrzy na to ze skrywaną dezaprobatą. Wcale im się nie dziwię. Pomijając wszystko inne, tak bujne kształty lepiej byłoby pozostawić wyobraźni, a nie wystawiać ich na widok publiczny. Obecni tu mężczyźni powinni się zrzucić na lampę kwarcową dla tych neolitycznych Wenus. Spokój ducha wart poniesionych kosztów.

O psiakość, dobry strzał! W życiu nic takiego mi nie

wyszło. Uwielbiam krykieta, ale gracz ze mnie mamy.

Jedna z dziewczyn robi w moim kierunku brzydki gest i woła coś, czego nie dosłyszałem. Idiotkom najwyraźniej się wydaje, że czerpię przyjemność z widoku, jaki sobą przedstawiają w opiętych majtasach. Nie mogłyby się bardziej mylić, biedule. Zastanawiam się, czy powinienem im to wyjaśnić. Może lepiej nie.

„...Dzięki, Rob. Teraz pora na przedstawienie wyników naszej najnowszej ankiety. Jak sobie przypominacie, prosiliśmy słuchaczy, by opowiedzieli nam o swoich ulubionych fantazjach seksualnych. Była to nasza pierwsza telefoniczna superankieta w tym roku i z przyjemnością donoszę, że otrzymaliśmy wiele bardzo interesujących odpowiedzi. Dzięki temu mogę dziś obwieścić, ha, ha, ha, hi, hi, że najbardziej rozpowszechnioną fantazją, ha, ha, seksualną pośród słuchaczy ha, ha, hi, hi, hi, naszej rozgłośni jest...”

Aut. No jasne. Nie trafił nawet w pobliże. Pałkarz odchodzi smętnie, nie czekając nawet na decyzję sędziego. Miły widok. Przeciwnicy zbiegają się w gromadę, cieszą. Dwóch graczy z pola dryfuje ku opalającym się narzeczonym Drakuli. Mają błysk w oku i głupawe uśmieшки. No nie, panowie! Chyba sperma rzuciła się wam na mózg. Otwórzcie oczy, przyjrzyjcie się tym kaszalotom!

Najwyraźniej podjęli decyzję. Nonszalancko przeskakują linę odgradzającą boisko. Wykalkulowanym łukiem (co jednak nikogo nie zwiedzie) zbliżają się do

dziewczyn. Są nawet całkiem przystojni. Z pewnością byłoby ich stać na coś lepszego. Może chodzi o zakład. Taką przynajmniej mam nadzieję.

„...Na naszej gorącej linii Dave z Reigate... Halo, Dave, czy mnie słyszysz?... Halo!... Halo! Ha, ha, ha, wygląda na to, że Reigate znalazło się poza zasięgiem cywilizacji. Spróbujemy połączyć się z Dave'em później. Ha, ha, ha, ha, hi, hi, hi, nasz didżej gorączkowo szuka, czym by tu zapełnić tę nie planowaną przerwę. Mamy dla was coś ekstra. Oto Mick Jagger i Frank Sinatra! Ha, ha, ha, hi, hi, ha, ha...”

Dziewczyny podniosły się do pozycji siedzącej i rozmawiają ze zbłąkanymi krykiecistami. Przygnębiające. Inni gracze nawołują tych dwóch. Przygotowują się do kolejnej rozgrywki, ale panów na trawie najwyraźniej przestał interesować sport. Przysiedli się do dziewczyn, niecierpliwymi gestami zbywają okrzyki kolegów. Z boiska dobiegają cierpkie komentarze. Ich dezercja nie została przyjęta ze zrozumieniem. Demokracja zawodzi, drużyna pogrąża się w anarchii. Romantyczni zawodnicy pasą oczy golizną, dziewczyny chichoczą i wskazują na mnie. Jeden z graczy sroży się i fuka, drugi - widocznie socjalista - z rozbawieniem łagodzi sytuację. Ciekawe, co ich we mnie tak śmieszy?

W końcu chłopcy z ociąganiem wracają na boisko, najwyraźniej zdążywszy ustalić termin randki. Miłośniczki opalania cieszą się głośno - nie ma się

czemu dziwić, przy ich powierzchowności to rzadki i niezasłużony sukces. Podkręcają radio, żeby przypomnieć wszystkim wokół o swej obecności. Uwieńczony powodzeniem erotyczny podbój wzmaga jeszcze ich pogardę dla mnie. Kierują w moją stronę dość wulgarne docinki, przeznaczone rzecz jasna dla uszu dwóch piękniśców w białych sportowych strojach, którzy nadal wyraźnie ciążą ku temu skrajowi pola.

„...Pora na listy od naszych słuchaczy. Gillian Crawley ze Slough pisze... ha, ha, ha, ha, pisze, cytuję: „Skarbie, masz taki seksowny głos; chcę, żebyś zrobił mi dziecko”. Co za dziewczyna, nie? Ha, ha, ha, hi, hi, hi. Hm, no cóż, Gillian, ty bezwstydna łasiczko, bardzo chętnie, bardzo chętnie, ha, ha, ha, ale na razie posłuchajmy wszyscy nowego utworu grupy UB40, ha, ha, ha, ha, ha...”

Dziewczyny wtórują grupie UB40. Mają cienkie matowe głosy nałogowych palaczek, co im nie przeszkadza śpiewać forte. Gracze uśmiechają się, krzywią, kręcą głowami, wzruszają ramionami, chrząkają i chichoczą. Zaczynam wpadać w depresję. Dajcie mi strzelbę. Skróć te cierpienia. Bez obawy, nie własne.

Wyobrażacie to sobie? Ja w Cambridge! Historia jak z powieści. Musicie to zobaczyć:

Cambridge. Płaskie, brunatne, paździenikowe miasto. Wijąca się wąska wstążka Trinity Street wypada na szeroki bulwar Kings Parade oflankowany sklepami i

uczelniami. Okna rozjaśnia akademicki blask lamp bibliotecznych. Studenci starszych lat włączają się po ulicach, odruchowo unikając miejsc odwiedzanych przez turystów. Spotykając znajomych, raczą ich przesadzonymi opowieściami o upojnie spędzonych wakacjach. Letargiczne odliczanie dobiega końca, nowy rok uniwersytecki z wolna rusza. Otulone wilgotnym uściskiem niebios miasto obojętnie przygląda się kolejnym pokoleniom dobrze zapowiadających się młodych ludzi. Tym nowym, pełnym entuzjazmu, i tym nieco starszym, lecz nie mądrzejszym.

Ripley Bogle, nasz bohater, kroczy z namaszczeniem, prowadząc u boku wiemy czarny odrapany rower. Stukot obcasów i terkot łańcucha są jego jedyną pieśnią; zmierzchające światło nadaje twarzy bohatera bladość alabastru.

(Ładne, prawda? To moje trzecie i ostatnie zdjęcie. Pochodzi z najlepszych czasów.)

Postać bohatera spowija antracytowo-szary garnitur, workowaty, lecz szykowny (model z lat 50., ginący gatunek, całe piętnaście funtów). Miękka biała koszula. Nie wykrochmalony kołnierzyk, przecięty na pół spłowiałym szarym krawatem w ciapki, ostro odcina się od klap marynarki. Stopami obutymi w brązowe, starannie niedobrane do reszty ubioru buty, bohater depta mroczniejące ulice, dumając o dawnych królach i pochodzie ludzkości. Poszeptuje w rytm kroków. Zmierzch niedostrzegalnie przechodzi w noc;

pomarańczowy księżyc barwi swą poświatą jego twarz i dłonie. Ech, niespełnione marzenia!

Tak, to były dobre czasy. Najlepsze. Osiągnąłem cel, uwalniając się zarazem od strachu, nędzy, wstydu i konieczności patrzenia w przyszłość. Byłem domyty, wytworny, kulturalny. Bez obaw moglibyście mnie przedstawić swoim matkom. Na samo wspomnienie łąza kręci mi się w oku. Tyle nadziei! Dążyłem prostą drogą ku szczęściu. Wycierpiałem już swoje. Teraz przyszła kolej na odmianę losu.

Wkrótce jednak Cambridge mnie rozczarowało. Jego uroda z początku zawróciła mi w głowie, lecz gdy oczarowanie spowszedniało, zaczęło mi brakować tego, do czego przywykłem w Belfaście: posmaku prawdziwego życia.

Anglicy, przynajmniej ci w Cambridge, wydali mi się dziwnymi ludźmi. Byli uprzejmi, czarujący, otwarci, tolerancyjni, ale mimo swych licznych zalet zbijali mnie z tropu. Może jestem paranoikiem; podejrzewałem, że łączy ich jakiś spisek, tajemne stowarzyszenie przedstawicieli ich rasy, klasy i kultury.

Oczywiście nie ma w tym żadnego sekretu. To raczej kwestia cech charakteru, z którym zwykle się nie afiszują. Moi rówieśnicy najchętniej kojarzyli się w niezliczone kluby i frakcje. Bez wahania łykali każdy modny trend w polityce, sztuce lub nauce, który pozwalał im przyłgnąć do większej grupy. Aby być sobą, potrzebowali innych. Najstraszliwszą groźbą było dla

nich wykluczenie z towarzystwa wzajemnej adoracji. Panował powszechny strach przed samotnością - a raczej strach, że ktoś pomyśli sobie: „O, ten jest samotny”. Osoby niepopularne zmyślały fantastyczne historie o pozauczelnianym życiu towarzyskim, a osoby lubiane dwoiły się i troiły, zaliczając kolejne spotkania i prywatki, by przypadkiem nie dostać się na boczny tor. Każdy mówił o licznych rzeszach przyjaciół i dekorował ściany starymi zaproszeniami.

Wśród tych sterylne egotycznych, nie tkniętych miłością ludzi niewiele było osobowości, a żadnej duszy. Istnieli tylko jako człony większych skupisk. Praktycznie trudno ich było od siebie odróżnić. Wszyscy przedkładali mgławicową nienamacalność idei nad brutalny ludzki empiryzm. Bali się jasnych określeń i sprecyzowanych charakterów (sama myśl o bliźnim różniącym się od nich pod jakimkolwiek względem napawała ich grozą). W rzadkim przeblasku intelektu doszedłem do wniosku, że u Anglika brak zainteresowania sobą automatycznie wyklucza też zainteresowanie bliźnim. Byli bezosobowi, dalecy, niezaangażowani, zachowywali dystans. Łatwy łup dla mrocznej, wieloznacznej celtyckiej witalności niżej podpisanego.

Jedno mnie zaskoczyło. Naczytawszy się o idealistycznym homokomunizmie Cambridge lat trzydziestych oraz pseudoegalitarnym flircie z klasą robotniczą w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, byłem zaszokowany skalą przemian ideologicznych,

jakie tam zaszły. Stare miasto dusiło się teraz w lekkim oparzę faszyzmu. Widać go było na ulicach, widać było w działalności przeróżnych grup poświęcających swój czas na udowodnienie roli KGB w brytyjskim ruchu związkowym i propagowanie repatriacji etnicznych jako jedyne rozwiązanie problemów ekonomicznych kraju. Odarci z imperium, ci ludzie przedstawiali sobą smutny widok.

Na domiar złego w modzie znów panował arystokratyczny snobizm. Ja, Ripley Bogle, dziecię natury, z trudem pojmowałem zasady dynamiki tej klasy. Spokojnie patrzyłem na Sainsburych, Cadburych, McVitch, synów greckich kupców oraz rozmaitych innych nowobogackich wrzuconych pospołu do złoconego kociołka. W naiwności swojej sądziłem, że prawdziwa błękitna krew zewrze przeciw nim szeregi. Nic podobnego. Adoptowano ich natychmiast. Wystarczyły pieniądze, wpływy i jeszcze raz pieniądze. Zresztą czymże jest arystokracja? Coś takiego obiektywnie nie istnieje. Przed laty czyjś przodek grabił biednych chłopów z prosiąt i kur. Albo stajenny pederasta otrzymał szlachectwo za wyrzucanie gnoju spod królewskich koni. Nawozem drzew genealogicznych jest zawsze gwałt lub serwilizm. Szlachta to synowie rabusiów i majordomusów. To samo tyczy się królów.

Dla tej skomplikowanej, chwiejnej struktury stary Ripley Bogle stanowił pewien problem. Trudność polegała na tym, że: 1). psułem całą zabawę, 2). nie

bałem się krytyki ani alienacji. To oni, ci słabeusze, lękali się mej obcej kulturowo siły. Mejsamotności i wyniosłej wzgardy dla służalców. Moja zapierająca dech, pompatyczna i niepodważalna wiara w siebie zbijała ich z nóg. Skąd wzięłem tę pewność, w obliczu której bledną autorytety? Przecież nie chodziłem z nimi do szkół. Skąd to wzięłem? Jak to możliwe?

Sięgnęli więc po ostateczny środek, najskuteczniejszą broń - asymilację. Spróbowali uczynić mnie jednym z nich. Przyciąć mi nieco pazurki. Oswoić. Byłem niepokieszony. Wolałbym jawną wrogość, dałaby mi przynajmniej asumpt do otwartych starć.

Co innego dziewczyny. Te warte były fatygi - głównie jako ładniejsze i obdarzone większymi cyckami niż koledzy. Ja z kolei też miałem dla nich urok (piękniś Bogle, bawidamek). Kiedy mieszkałem w Belfaście, irlandzkie pochodzenie nie wyróżniało mnie zbytnio spośród bliźnich. W Cambridge nauczyłem się czerpać z niego korzyści. Te wyniosłe kobiety, znużone jałową młodością własnej rasy i klasy, widziały w prozelicie ze Szmaragdowej Wyspy kawał celtyckiego dzikusa. Na szczęście bardzo grzecznego, o przyzwoitych manierach. Prawdziwy mógłby okazać się nieco zbyt zgrzebny jak na ich wyrafinowane gusta.

Miałem się z nimi spierać? Irlandzka szatka okazała się twarzowa, chętnie więc się w nią przyoblekłem. Ochotniczo naznaczyłem się celtyckim piętnem, choć dotąd mogłem się poszczycić czołem czystym jak łza.

(Może dlatego, że stamtąd wyjechałem? Bo i po cóż miałbym zostawać? Ze względu na szkołę, księży? Po to, żeby hasać po mieście z pukawką?) Bezczelnie wybrałem rozkosze Albionu. Ostatecznie Anglia zabrała mi mój piękny kraj i język, ściągająca ze mnie podatki, była mi więc co nieco winna. Rachunek krzywd ciągnął się od Cromwella i protestanckich Szkotów do Long Kesh i Ligi Kłamców. Nie mając własnego kraju, postanowiłem zagarnąć ich kraj. Wydawało mi się to sprawiedliwe - oko za oko, ząb za ząb. I tak ja, uciekinier z wolnego od węży rajy, zacząłem się ćwiczyć w gaelicyzmie. Przybrałem pozę celtyckiego proletariackiego bohatera, szczęśliwy, że czynię to w Cambridge, a nie w Belfaście. Oczywiście był to najobrzydliwszy kit. Nie znoszę proletariuszy (żaden proletariusz ich nie cierpi). Ale co tam! Robiłem wrażenie i osiągałem pożądany efekt.

Kilka obrazków z Cambridge. Będą to szkice portretowe ludzi, których tam znałem.

Benedict Sparrow. Studiował prawo w Trinity Hall. A gdzież by indziej? Ekstrawertyk, który stanowczością przekonań moralnych, politycznych i prawnych kompensował sobie wzrost siedzącego psa i oblicze podobne do krowiego placka. Ukończył Eton, co jak sądził, z naddatkiem kompensowało jego fizyczne niedostatki.

Głosił między innymi ponowne wprowadzenie kary śmierci, całkowite zniesienie opieki społecznej, repatriację grup etnicznych do krajów pochodzenia,

wystąpienie z Unii Europejskiej i - całkiem poważnie - natychmiastowy zbrojny atak na Francję. Tego rodzaju poglądy (może z wyjątkiem dziwnie zażartej ksenofobii) nie były w owym czasie w Cambridge czymś wyjątkowym, toteż z początku nie robiły na mnie większego wrażenia. Jednakże kiedy się dowiedziałem, że dziadek Sparrowa był lordem kanclerzem, pradziadek naczelnikiem archiwów Korony, ojciec ministrem sprawiedliwości - i że wszyscy oni studiowali prawo w Trinity Hall - dopiero wtedy zacząłem się martwić. Nie jestem socjalistą, ale ogarnęła mnie zgroza na myśl, że spotykam tu członków przyszłych rządów, luminarzy pal estry, przemysłu i handlu i że wszyscy oni, prawie bez wyjątku, mają nierówno pod sufitem.

Inne oblicze Cambridge ucieleśniał młodzieniec nazwiskiem Joshua Swinnington-Booth, też wychowanek Eton. Swoje dźwięczne nazwisko zmienił na Bazza Wilkins - to drugie miało jakoby lepiej odzwierciedlać jego prawdziwą naturę. Lekceważąc fakt, że jego ojciec był parem zasiedziałym od wieków w Izbie Lordów, Bazza strzygł się na zero i nosił olbrzymie czarne glany z grubymi sznurówkami oplątującymi mu nogi aż do kolan. Tyłek oblekał w brudne džinsy i mówił z okropnym akcentem z East Endu. Zapewne nie wyróżniałby się z szeregów któregośkolwiek południowolondyńskiego gangu, choć jak przypuszczam, doświadczenie bojowe miał niewielkie. Mówił prawie wyłącznie o zadymach, brutalnych przestępstwach, islamskim fundamentalizmie

i grupach paramilitarnych. (Podejrzewałem, że wiedzę na te tematy czerpał wyłącznie z mediów. Prawdziwy *desperado* nie strzepiłby sobie aż tak języka, żeby zrobić wrażenie na kumplach z uczelni.) Rozprawiał ze swadą o nienawiści, krwi i śmierci. Był także zdumiewająco dobrze obeznany z wszelkimi aspektami działalności IRA.

Moja znajomość z tym interesującym facetem skończyła się dość raptownie, gdy wysączywszy do dna cały mój zapas napojów wysokokowych, szlachetnie urodzony Bazza poinformował mnie, że jestem parszywym sprzedawczykiem, który zdradził swych ziomków dla żalosnych prób awansu społecznego. Być może jakiś aspekt tej wypowiedzi zakłuł mnie w oczy, bo zupełnie straciłem panowanie nad sobą. Niestety, nieustraszony bojownik nie wytrzymał na ringu dostatecznie długo, abym mógł mu kopniakami powbijać zęby w płuca.

Innym okazem z tej kolekcji był Art Likely, krótkonogi Amerykanin, który trafił do Cambridge w ramach wymiany studentów. Nosił aparat na zębach i ortopedyczne buty i cieszył nasze uszy brooklyńskim akcentem z lat pięćdziesiątych. Nie pomijał żadnej okazji, by stwierdzić, że w porównaniu z Londynem Nowy Jork jest ładniejszy, bardziej wielkomiejski i w ogóle *cool*. Wyśpiewywał peany na cześć Broadwayu, Madison Avenue, Central Parku, Times Square itede. Jak się w końcu okazało, pochodził z Albuquerque, a w

Nowym Jorku był tylko dwa razy w życiu, z czego raz w drodze na samolot do Anglii. (Na jego obronę muszę powiedzieć, że to on namówił mnie, by skosztować pastrami, ostatecznie więc do czegoś się jednak przydał.)

Byli i inni, rzesze innych, równie okropnych. Sandra (dla przyjaciół Szandra) Whitsun, gruba sepleniąca snobka terroryzująca co przystojniejszych mężczyzn w mieście swą nienasyconą żarłoczną nimfomanią. Vanessa Hampton, dwumetrowa anorektyczka, która przez dwa długie, przygnębiające lata próbowała dobrać mi się do zadka. Roger Markham, syjonista, który farbował włosy na blond i usiłował dostać się do Mensy. Sebastian, uroczy malarz homoseksualista, który napełniał wannę farbą, po czym ruszał na poszukiwanie smukłych chłopców chętnych spełnić rolę pędzla. Większość, jeśli nie wszyscy, to świry. Jak to jest, często się zastanawiam, że najbardziej inteligentni spośród nas popełniają w młodości najbardziej żenujące błędy? Zastanawiające, co? (I wnikliwe.)

Pominałem tu jeden z głównych aspektów lat spędzonych w Cambridge. Była nim nuda. Straszliwa, ogłuszająca nuda. Czas dłużył się nam w nieskończoność, choć nikt by się do tego nie przyznał. Siedzieliśmy w swoich schludnych jednakowych pokoikach, pustych i smutnych. Każdy z nas na swój sposób był straszliwie samotny. Tęskniliśmy do ciepła, uczucia, najbliższego kontaktu z drugim człowiekiem. Możecie sobie wyobrazić te samotne noce? Ich jedyną muzyką były

pospieszne kroki tych, którym się poszczęściło - szli gdzieś, do ludzi. Nasza społeczność była nerwowa, niepewna, powierzchowna. Przypominaliśmy pisklęta wylatujące z gniazda, pełne wątpliwości i niezbyt przydatne do czegokolwiek.

(Samotność jest żenująca. Zwłaszcza w Cambridge. Nikt o tym nie mówi, nikt się z tego nie zwierza. Ale samotność unosi się tam nad każdym, jest wypisana wielkimi czerwonymi literami. Oczywiście nad każdym oprócz mnie.)

Dobre stare Cambridge! Można je lubić lub nie, lecz trudno zignorować. Samo się prosi o uwagę. Kiedy już wbije w człowieka pazurki, nie puszcza. Może właśnie najbardziej podoba mi się w Cambridge jego ośli upór.

Po jakimś czasie słońce zaczyna irytować. Ten etap osiągnąłem już dwie godziny temu; teraz oślepiający, wszechogarniający upał jest nie do zniesienia. Po włosach spływają mi strugi potu, w oczy szczypie sól. Oddalam się powoli i niezbyt daleko. Idę krokiem znużonym, niepewnym. Plecy mam zgarbione, głowę zwieszoną, całość jest do luzu.

Z przyjemnością oglądałem mecz krykieta, musiałem się jednak wynieść przez te dwie idiotki z tranzystorem. Doprawdy nie pojmuję, co im się we mnie tak nie podobało. To upokarzające, kiedy jest się obiektem wzgardy ludzi tego pokroju. Widocznie wyglądam gorzej, niż myślałem. Oszukiwałem sam

siebie. Upadłem nisko, niżej, niż wydawało mi się możliwe. Niech to szlag.

Obracam głowę. Dziewczęta nadal leżą na trawie, wokół skaczą ich dwaj wielbiciele w białych strojach. Wciąż słyszę wątły skrzek radia. W jaskrawym słońcu, upale i hałasie obraz ten odbieram jako rażąco wulgarny. Nie wiem czemu, ale to mnie przygnębia.

Siłą narzucając sobie pogodny nastrój, odmaszerowuję różnym krokiem. Zdaję sobie sprawę, że śmierdzę pod niebiosa i usiany jestem ciemnymi plamami wilgoci. Po twarzy ścieka mi pot, a dziurawe buty emitują niemal widoczny obłok zgnilizny. Oczy mam przymrużone, usta wydęte i skrzywione, gdy łowię nimi rozgrzany tlen z powietrza. Naprzeciw mnie idzie starsza pani z psem. Serce pęka mi ze wstydu, kiedy zwierzak radośnie rzuca się ku mnie; najwyraźniej stanowią dlań bukiet ulubionych psich aromatów. Staruszka przywołuje go ostro. Pewnie boi się, że kundel złapie ode mnie parchy. Wiem, co sobą prezentuję, i nagle nie mogę już znieść upokorzenia. Stara mija mnie. Mimo woli spoglądam jej prosto w oczy.

I wiecie co? Ona się do mnie uśmiecha. Tak, uśmiecha się. Patrzy na mój brud, smród i ubóstwo, patrzy na mój smutek i uśmiecha się do mnie ciepło. Niewiarygodne!

Dziwny ten świat i dziwni są ludzie, którzy na nim żyją.

4

W normalnych warunkach zastanawiałbym się, na co komu aż tak wyjątkowa uroda. Laura była cudownie, niewiarygodnie piękna. Straciłem dla niej głowę. Kompletnie. Wpadłem jak śliwka w kompot.

Laura wciąż zaprzęta moje myśli. Tęsknię za nią, biadam nad jej utratą. Przychodzi do mnie w snach, nie wzywana i nieuchwytna. Przemawia do mnie ciepło, okazuje mi serce. W rzeczywistości wcale nie kochała mnie tak bardzo, ale we śnie jest miła. Bardzo miła.

Jako się rzekło, emocjonalne wzloty mej podświadomości nie mają pokrycia w faktach. Moje stosunki z Laurą układały się w kratkę, w paski, w groszki. To dziwne, ale zawsze najlepiej szło mi z dziewczynami, na których wcale mi nie zależało. Potrafiłem wtedy być uroczy, wrażliwy, seksowny, męski i tajemniczy. Kiedy na horyzoncie pojawiała się dziewczyna moich marzeń, stawałem się niezręczny, gburowaty i brnąłem od gafy do porażki. Nigdy nie zrobiłem dobrego wrażenia na kobiecie, którą chciałem oczarować. Przedzierałem się ku ukochanej przez tłum mdlejących wielbicielek i stanąwszy z nią oko w oko, natychmiast robiłem z siebie idiotę. Smutne, lecz prawdziwe.

Jadąc do Cambridge, nastawiałem się w duchu na promiskuityczne harce. Chciałem spółdzić miliony,

odcisnąć swoje piętno genetyczne na angielskiej populacji. Z radością skonstatowałem, że Angielki są o wiele ładniejsze od ulsterskich harpagonów, do których przywykłem w Belfaście. To mnie nieco speszyło. Przewidywałem odtrącenie i samotność. Ku memu zaskoczeniu, stałem się hitem sezonu. Miałem dziewcząt na pęczki - ładnych, eleganckich i nad podziw przyjaźnie do mnie nastawionych. Opływałem w rozkosze. Wszystkie były tak cholernie inteligentne! W kręgach, w których dotychczas się obracałem, inteligentna kobieta była zjawiskiem rzadszym niż biały kruk, toteż upajała mnie obfitość ślicznie opakowanego kobiecego geniuszu, jaki miałem do dyspozycji. Chłonałem go z zapalem. Jestem wdzięczny tym dziewczętom. Wiele mi dały. Darzyły mnie swą urodą, humorem i tolerancją. Ja darzyłem je sobą. I kto tu mówi o wymianie ekwiwalentnej? Byłem górą, spijałem całą śmietankę.

Po młodocianych przeżyciach z ukochaną Deirdre uznałem, że mam już dość wielkich namiętności. Stanowisko to było typowym przykładem ripleyowskiego niedocierania do istoty rzeczy. „Byłem - zobaczyłem - spróbowałem - zapomniałem.” Wierna monogamiczna miłość wypadła z pierwszej dziesiątki moich szczytnych celów. Byłem teraz gotów łajdaczyć się na prawo i lewo. Łakomie wodziłem dokoła roziskrzonym wzrokiem (i gotowym do działania penisem). Szukałem rozrywki. Nie warto było ryzykować złamanego serca.

Oczywiście Laura złamała mi serce niemal

natychmiast. Winę za to ponosi moje wrodzone kalectwo - niezdolność do zachowania obojętności w obliczu prawdziwego piękna. Laura wzbudziła więc we mnie burzę pożądania. Byłem bez szans. Sami wiecie, jak trudno jest nie zakochać się w pięknej dziewczynie. Zakułem się w zbroję zasad i uprzedzeń, Laura jednak bez wysiłku złowiła mnie na arkan. Popadłem w ciężką niewolę.

Rzecz nie w tym, co robiła i mówiła; nawet nie w tym, jak to robiła i mówiła... Prawdę mówiąc, sam nie wiem, na czym to polegało, ale miała w sobie coś - to wiem na pewno. Nasze pierwsze spotkanie to klejnot. Majstersztyk. Na pewno by się wam spodobało. Wyobraźcie to sobie: Cambridge, początek października, impreza na wolnym powietrzu, czyli tak zwane garden-party. Młodzi ludzie desperacko podtrzymują dobry nastrój, wygłaszając długie monologi. Ripley po męsku zalewa się w trupa. I oto pojawia się Ona. Królowa śniegu. Biedactwo, niedługo będzie się cieszyć samotnością. Na scenę wchodzi, wybałuszając oczy, straszliwe widmo: Ripley z twarzą odzianą w uśmiech kłamcy.

STRASZLIWE WIDMO BOGLE'A: Wyjdź za mnie.

LAURA: Słucham?

BOGLE (*podniośle*): Jedynym i prawdziwym złem jest okrucieństwo.

LAURA (*zdumiona*): Co mówisz?

BOGLE (*tajemniczo*): Czy gdybym był muchą, wyrwałabyś mi skrzydełka? (*Pauza. Dziewczyna jest rozbawiona i zmieszana, lecz najwyraźniej ani myśli rzucać mu się w ramiona.*) Chciałem rzec... Cześć, jak się miewasz? LAURA: Cześć. Dobrze.

BOGLE: Pochodzę z Irlandii.

LAURA: Aha.

BOGLE: A ty nie.

LAURA: Nie, ja nie.

BOGLE: Od razu wiedziałem.

(*Zapada milczenie. Nic dziwnego.*)

LAURA: To takie ważne?

BOGLE: To nas różni.

LAURA: No tak.

(*Cisza, dość krępująca. Ripley czuje, że sytuacja lada moment wymknie mu się z rąk. Brnie dalej.*)

BOGLE (*po namyśle*): Słuchaj, może wpadłabyś do mnie i wyszorowała mi czajnik? (*Dziewczyna zdumiona szeroko otwiera oczy, po czym wybucha śmiechem.*) To takie śmieszne? (*Dziewczyna nie może złapać tchu.*) Powiedziałem coś zabawnego?

LAURA: To tak podrywasz dziewczyny w Irlandii?

BOGLE: Nie podrywam dziewczyn w Irlandii.

LAURA: Dlaczego?

BOGLE: Widziałaś kiedyś Irlandkę?

LAURA: Niewiele.

BOGLE: Zatem nie zrozumiesz. (*Pauza. Uśmiecha się czarująco.*) To było miłe.

LAURA: Co?

BOGLE: Twój śmiech.

LAURA: Dziękuję za uznanie. (*Uśmiecha się, waha, decyduje się wszakże zostać.*) Zabawny z ciebie facet.

BOGLE (*natrętnie*): Podobam ci się?

LAURA (*zaskoczona*): Hm...

BOGLE (*namiętnie*): Czy jesteś gotowa umrzeć dla mnie? (*Dziewczyzna znów wybucha śmiechem*) Powiedz, umarłabyś dla mnie?

LAURA: Może... W każdym razie wolałabym to, niż żyć dla ciebie.

BOGLE: Brawo. Cóż za dęty języczek!

(*Znów milczą. Jej uroda wpływa destrukcyjnie na jego rozsądek. Jej lśniące jak gwiazdy oczy widzą jego obłąd.*)

LAURA: Nie jesteś najlepszy w te klocki, prawda?

BOGLE: O mój Boże, a myślałem, że tak dobrze mi idzie. Czyżbym się mylił?

LAURA: Nie całkiem.

BOGLE: To dobrze. Bardzo chciałem przed tobą zabłysnąć. LAURA: (*ubawiona*)! Wyróżniasz się, to fakt.

BOGLE: (*z uporem*)! Mam na myśli pozytywne wrażenie. Takie, jakie ty wywarłaś na mnie. Powiedz mi, jak mam to zrobić?

LAURA: No cóż...

BOGLE: Przypadek i czyn muszą spajać się na zimno. Zachowawszy spokój, można osiągnąć większość celów, nie łamiąc sobie zbytnio serca. Miej nade mną

litość. Tyle przeszedłem. Tyle złego.

LAURA: Nie bardzo rozumiem.

BOGLE: (*przemądrzale*): Ach, ileż na świecie jest nietolerancji! Jesteś za ładna i za młoda, moja panno, aby mieć w niej swój udział.

(*Chwila ciszy.*)

LAURA: Studiujesz literaturoznawstwo, tak?

BOGLE: Owszem.

LAURA: Nie wyglądasz na kogoś, kto umie czytać.

BOGLE (*ze swadą*): Literatura zastępuje mi życie. Jest ono bowiem puste i bezkobiece. Jakież to smutne.

LAURA: Istotnie, bardzo smutne.

(*Oddala się, nie zdobyta. Młodzieniec zostaje sam, jego wena pierzcha, ogarnia go gorzki żal*).

Kiepsko, co? Moje teksty nie poprawiły się od czasów Deirdre. Udawało mi się wyłącznie *non sequitur*. Cierpiałem na słowotok usiany podtekstami i aluzjami, zmierzający do swoistego ideału, za jaki można uznać niezrozumiały bełkot. Wyruszając na podbój serc, nie wziąłem pod uwagę zmienionych okoliczności. Tego rodzaju brednie mogły zrobić wrażenie na Deirdre, Laura jednak była inteligentna. Nie powaliłem jej na kolana.

Pierwsze tygodnie w Cambridge poświęciłem na tropienie jej po mieście. Usiłowania tyleż niezdarne, co nieskuteczne. Na razie nie obracaliśmy się w tych samych kręgach. Nasze rzadkie spotkania były pomnikami śmieszności i porażki. Za każdym razem

wszystko psułem. Przeważnie stawałem jak wryty, nie mogąc znaleźć języka w gębie. Nic dziwnego, że Laura wciąż mi się wymykała. Podczas samotnych nocy machałem wystrzępionym sztandarem pożądania, aż zdarł się do nitki. Za dużo piłem i za głupio gadałem. Dziwne. Łaknąłem jej obecności jak powietrza, a kiedy się pojawiła, byłem bezradny.

Na domiar złego Laura miała kochasia. Na imię mu było Greg. Snobistyczny wyłupiastooki kurdupel. Greg nie pałał do mnie sympatią. Żywił mgliste podejrzenia, że chcę mu przelecieć dziewczynę (i tu bardzo się nie mylił).

Prawdę mówiąc, nie myślałem nawet wiele o cielesnym pożyciu z Laurą. Tkwiłem w szponach jednego ze swych oczarowań. Kurczę, nie próbowałem nawet ocenić w wyobraźni, jaki ma biust! Pragnąłem miłości, a nie pospiesznego hop siup. Tęskniłem do unii dusz, słów rzucanych w natchnieniu i pojmwanych w lot, owego subtelnego preludium namiętności. Laura wydawała się do tego stworzona.

O Jezu, jak mnie wzięło! Przesłoniła mi cały świat. Wszędzie towarzyszył mi jej widmowy obraz. Widziałem jej rysy w każdej mijanej kobiecie. Przyspieszałem kroku z łomoczącym sercem, ale to nigdy nie była ona. Nosilem ze sobą zapach jej odzieży i włosów, otaczających ją mlecznobłądą aureolą. Moja biedna uzurpatorska namiętność nadawała barwy wszystkiemu, co robiłem - a zwłaszcza wszystkiemu, czego nie robiłem. Byłem chory

z miłości.

Moja pewność siebie rozplynęła się bez śladu, wszelkie decyzje poszły w zapomnienie. Chodziłem z wypiekami na twarzy, gorączkowy puls słabł mi z wyczerpania. Laura rozświetlała mi ciemności. Próbowałem przywołać się do porządku, ale nigdy nie umiałem chodzić środkiem drogi. Radosne zastrzyki adrenaliny tłumiała natychmiast świadomość, że to się nie uda. Ta obsesja skazana była na niespełnienie. Laura znajdowała się daleko poza moim zasięgiem.

Błąkałem się beznadziejnie po mieście, przygnieciony brzemieniem miłosnej tajemnicy. W końcu zdobyłem się na krztę odwagi i postanowiłem - a co, u licha! - że się jej oświadczę. Wdrapałem się na schody prowadzące do jej drzwi i tam przystanąłem, usiłując wykrzesać z siebie nieodzowną męskość. Gdy ta mnie zawiodła, rzuciłem się ze schodów w nadziei, że złamię nogę (kalectwo bardzo atrakcyjne erotycznie). Stoczyłem się z łoskotem dwa piętra w dół, uśmiechając się pod nosem: jest dobrze, kobiety najlepiej brać na litość. I co? Zwichnięty staw skokowy, wstrząs mózgu, a Laura... Okazało się, że wyjechała do Londynu na weekend! Cała ta sprawa prosiła się o logiczniejsze działanie lub kapitulację. Tymczasem stać mnie było tylko na fantazje.

Pewnego dnia na początku drugiego semestru, w samym środku zimy, otrzymałem nagle zastrzyk nadziei. Włóczyłem się właśnie w młodszej depresji,

przeładowany spermą i niekochany. Potrzebny mi był choć jeden dobry dzień. Było to standardowe zimowe popołudnie w Cambridge, zimne i szare, ponure i tchnące samotnością. Od rana padał deszcz, w końcu przestał. Sale uczelniane tchnęły nieznośną nudą, toteż społeczność studencka korzystając z poprawy pogody wyległa na mokre, niegościnne ulice. Każdy szukał czegoś, co by mu ubarwiło monochromatyczną samotną udrękę - czytelnik, kina, próby teatralnej, próby samobójczej czy jakiegokolwiek towarzystwa. Ospowate niebo roniło zimną matową mżawkę na miękkie ulice. Okrążałem dziarsko Castle Hill. Uwielbiam taką moką, błotnistą pogodę.

Nagły poryw wichru targnął niebem i na ulicę lunęła ściana wody, przez którą z trudem przedzierały się samochody, zostawiając za sobą plusk i smugi pary bijące z rur wydechowych. Skoczyłem w Kettle Yard, żeby schronić się przed potopem i spokojnie zapalić. Otrząsając moką głowę rozejrzałem się po stylowym krytym dziedzińcu. Na jednych drzwiach widniał wielki plakat wystawy żeńskiego kółka plastycznego. Też mi ucza duchowa, pomyślałem kwaśno. Nie chciało mi się wszakże stawiać czoła żywiołom, toteż wszedłem do środka.

Kosztowało mnie to całe półtora funta. W zamian dostałem odbity na ksero katalog i prawo do obejrzenia wszystkiego, co było do oglądania. Tchnące nastrojem miesięczkowym prace przedstawiały głównie samotne

macierzyństwo w otoczce nędzy i beznadziei. Daleki rzut, zważywszy, że wyszły spod pędzli nadzianych, bezdzietnych, rozwydrzonych studentek. Właśnie miałem wyjść, uznawszy, że z dwojga złego wolę już oberwanie chmury, kiedy wpadło mi w oko nazwisko Laury. Serce przestało mi bić i dopiero po chwili z wysiłkiem ruszyło naprzód. Na wystawie były trzy jej obrazy. Gorączkowo zacząłem ich szukać.

Najpierw dostrzegłem dwa oleje. Na pierwszym - autoportrecie utrzymanym w ciemnobrunatnej, rembrandtowskiej tonacji - jaśniała delikatna, piękna twarz Laury. Byłem wściekły z zazdrości. Kto dał innym prawo, by się nią zachwycać?! Obok wisiał pejzaż, akademicki i bez polotu. Jego niedoskonałość przyniosła mi zarazem rozczarowanie i ulgę. Przeszedłem dalej, żeby obejrzeć trzecie dzieło, w ołówku.

Nagle krew odpłynęła mi z twarzy, a serce zabiło mocno w ściśniętej piersi. Był to duży, wypracowany portret młodego mężczyzny od pasa w górę. Nagi tors, długie ciemne włosy i szczere spojrzenie, przykuwające uwagę i zarazem zbijające z tropu. Rysunek był jeszcze bardziej udany, żywszy niż autoportret. A przede wszystkim.... - tu mój puls całkiem stracił rytm - to byłem ja! Ja, Ripley! Nie żebym kiedykolwiek pozował jej na golasa, ale była to bezsprzecznie moja twarz.

Skamieniałem ze wstrząsu i dzikiej nadziei. Przed obrazami Laury zatrzymała się para amerykańskich turystów w średnim wieku. Bardzo dobrze!

Przeprowadzimy test. Amerykanie mają oko do tych rzeczy. Zaczekałem, aż obejrzą rysunek, po czym stanąłem skromnie nieco z boku. Prześliznęli się po mnie wzrokiem i wrócili do rysunku. Przyjrzeni mu się uważniej i znów ukradkiem zerknęli w moją stronę. Powstrzymałem bulgoczący mi wewnątrz chichot, patrząc, jak próbują zebrać rozproszone wrażenia. Rzut oka na rysunek, rzut oka na mnie... Wahanie... Zaskoczenie i rozpoznanie. Zerknęli na siebie zmieszani, potwierdzając podejrzenia, po czym życzliwie mruknęli coś do mnie. Odpowiedziałem im rozbrajającym uśmiechem. Ruszyli dalej, kręcąc głowami nad dziwactwem Anglików.

Teraz już nie miałem wątpliwości. Oni też mnie poznali. Nadzieja zawróciła mi w głowie. Obląłem się głębokim rumieńcem (który znacznie dodał mi uroku). Odrobinę zawstydziała mnie nagość tego mojego ołówkowego „ja”. Stało poważnie, bez słowa, emanując diabolicznym seksapilem. Stworzone przez Laureę, powołane z niebytu siłą jej wyobraźni. Odziane w ciało jej dłońmi.

Wytoczyłem się z maleńkiej galerii oszołomiony, podniecony, szczęśliwy. Dzień zmienił się nie do poznania. Mokre rdzewiejące ulice stały się nagle brzemienne nadzieją. Radośnie ruszyłem przez Magdalene Bridge, masywne pasmo betonu przerzucone nad ściśniętą obmurowaniami rzeką o barwie zielonego pieprzu. Postanowiłem odnaleźć Laurę i spojrzeć jej w

oczy. I co dalej? Dalej było mi już wszystko jedno.

Spotkałem ją przypadkiem tego samego wieczoru. Zdrzemnąłem się dwie godziny w bibliotece Trójcy Świętej i wychodząc niemal zderzyłem się z nią na schodach. Niebo było ciemne i twarde. Było to jedno z tych okropnych spotkań, kiedy obie zaskoczone strony zaczynają rozmowę, bo nie wypada im odejść bez słowa. Dylemat, po jakim czasie można ruszyć dalej, urasta do rangi śliskiego problemu. (Człowiek czuje się cholernie głupio, gdy rozmówca dał nogę.)

W ciemności wyczułem, że takie właśnie myśli krążą jej po głowie. Ona powitała mnie z wahaniem i rezerwą, ja ją - z nerwową wesołością. Nieśmiało zapytałem, jak leci.

- Fajnie. A tobie?

- Też.

Cisza była nie do zniesienia. Zagadałem szybko, żeby mi nie uciekła:

- Vanessa mówiła, że wystawiasz jakieś obrazy na Kettle Yard - skłamałem bez mrugnięcia okiem.

- Owszem. - Laura uśmiechnęła się blado.

Ta odpowiedź pozostawiała mi wybór strategii. Zapadła kolejna niezrozumiała chwila ciszy. Zastanawiałem się, co robić. Moment, Ripley, upomniałem się w duchu. Pozory pozorami, ale to już chyba przesada. Ta dziewczyna rysowała twoje gołe cycki! Właśnie otwierałem usta, kiedy w oczach Laury

coś błysnęło.

- Nie widziałaś ich?

Znów cisza. Strach, zażenowanie, nadzieja. Uśmiechnąłem się i jak zwykle stchórzyłem:

- Nie, ale mam zamiar. Przejdę się tam jutro.

Co mi wpadło do głowy?

- Nie warto. Nie są dobre. Prawdę mówiąc, zupełnie nieudane. - Laura delikatnie usiłowała mnie zniechęcić.

- Szkoda - westchnąłem.

Pomimo żałośnie zmarnowanego tematu Laura nie odchodziła. Poczujęm się pewniej. Widać nie jestem jej aż tak wstrętny, inaczej nie stałaby tu ze mną. Uśmiechnąłem się do niej promiennie.

- No cóż - powiedziałem - fajnie, że...

Właśnie wtedy z biblioteki wypadł ten kurdupel Greg.

- Cześć, Bogle. Muszę lecieć - pisnął nie zwalniając kroku, otoczył świętokradczym ramieniem obiekt moich westchnień i triumfalnie uprowadził Laurę w dal. Chyba nie był taki głupi, na jakiego wyglądał.

Rozżalony i upokorzony patrzyłem, jak znikają w mroku. Nawet się nie obejrzała. Byłoby jej zapewne trudno w mocnym, władczym uścisku Grega. Tego konusa, mojego śmiertelnego wroga!

Psiakrew! Zmarnowałem najlepszą w życiu szansę! I jeszcze gratulowałem sobie w duchu, że ze mną stoi! Nie przyszło mi do głowy, że czeka na tego dupka. Biedny Bogle! Nieudacznik. Pośmiewisko. Pewnie teraz Laura

dziękuje kochasiowi, że uwolnił ją od towarzystwa śmiesznego Irlandczyka. Kpi z moich uczuć. Kpi ze mnie. Nie zrozumiała tego, co starałem się przekazać jej telepatycznie, mówiąc o wystawie. Roilem głupie mrzonki. I jak zwykle zrobiłem z siebie idiotę. Ach, pieprzyć ją, pomyślałem ze złością. A raczej: nie pieprzyć (w tej sytuacji...).

Pociechą był mi tylko wrogi mars na czole Grega. Odczytałem w nim dobry znak, świadczący, że konus nie jest pewny uczuć Laury. Ona sama była zamkniętą księgą. Przez chwilę broniłem się przed głupią nadzieją, lecz w końcu zyskałem względną pewność, że któregoś dnia Laura położy jednak na mnie swoją białą dłoń.

5

Olbrzymie, rozpalone do białości słońce wisi nad miastem. Chodniki się topią, betonowe ściany pękają od skwaru. Sklepy ocieniają okna jaskrawymi markizami. Miasto opanowuje nagle atmosfera śródziemnomorskiego festynu. Bezbarwne, podobne maskom twarze londyńczyków rumienia się w promieniach lata. W dusznych kawiarniach pruderyjne stare panny spoglądają jadowicie na coraz śmielej obnażone ciała. Pocieszają się myślą o zimie - zima będzie należała do nich. A słońce tymczasem świeci.

Serpentine piecze się w upale, usiane pasmami światła, bryzgami wody i nawoływaniem lodziarzy. Koszulki dzieci kleją się od łez, smarków i roztopionych lizaków. Spoconym matkom kończą się pieniądze i cierpliwość. Staruszkowie obsiedli rzędy leżaków; młodzieńcy kopią piłkę na trawnikach w nadziei, że przyciągną wzrok opalających się piękności. (Ja odpadam.)

Dzień zwolnił kroku. Ociąga się, dreczcze. Z przenośnych odtwarzaczy wyją konkurencyjne, niemelodyjne utwory. Razem powinny tworzyć kakofonię, lecz stapiają się gładko w hymn na cześć tego gorącego, ciężkiego, leniwego letniego dnia. Patrzę na widoczną wszędzie wokół młodzież. Jestem w ich wieku,

powinienem się tu czuć jak ryba w wodzie. Powinienem, ale jakoś się nie czuję. Tęsknym wzrokiem spoglądam na rozleniwionych starców. Moje miejsce jest wśród nich, na leżaku. Nie czuję się dziś na siłach być młody.

Pomimo kurzu i hałasu na dzisiaj to znakomite miejsce. Życiodajne słońce jest tu jakby mniej oniryczne niż w miejskiej mikrofalówce ze szkła i betonu. Co nie zmienia faktu, że muszę odpocząć. Miałem kiepskie popołudnie; teraz chcę w spokoju popatrzeć, jak dzień kona. Usiąść.

Znów urwał mi się film. Tym razem było o wiele gorzej. Miałem koszmary. Szereg paskudnych, przygnębiających snów. Wszystkie o rzeczach, o których nie chcę myśleć ani wiedzieć. Co jest z tymi moimi snami? Dlaczego mnie dręczą? J a ich nie wzywam ani nie zatrzymuję - w każdej chwili mogą odejść. Nie odchodzą. Czego ode mnie chcą? I bez nich jest mi nielekkko. Gdzie moja autorska kontrola?

Luki w życiorysie zaczynają mnie martwić. Z tygodnia na tydzień stają się coraz bardziej dotkliwe. Na przykład z zeszłego piątku nie pamiętam niczego od południa aż do wieczora. Ocknąłem się nagle na dworcu autobusowym Victoria (gdzie przenigdy nie poszedłbym z własnej woli), zdumiony i wystraszony. Do dziś nie mam pojęcia, gdzie byłem i co robiłem. Ta wyrwa zaskoczyła mnie i odebrała mi spokój ducha. Wiedziałem, co oznacza - mniej więcej. W każdym razie nic dobrego. Najpewniej nie dokonałem w tym czasie

niczego godnego zapamiętania (tak jest z zasady), ale nie traktuję własnego życia na tyle lekceważąco, by chętnie spisać na straty dzień lub dwa. Potrzebne mi są wszystkie dni, i dobre, i złe.

Jak pewnie się orientujecie, mam o czym rozmyślać. Zastanawiam się, czemu zawdzięczam tę nową rozrywkę. Niedożywieniu? Wycieńczeniu? Nudzie? Bóg jeden wie.

Nie muszę chyba mówić, że śniłem o Laurze. To nie były przyjemne sny. Ani krzty romantyzmu. Ani krzty seksu. Laura była w nich obca, wroga, bezlitosna. To niesprawiedliwe. Kiedy człowiek śni o kobiecie, na ogół spodziewa się choćby króciutkiej sceny erotycznej.

Budząc się z ostatniego odcinka tego serialu poczułem się tak źle, że zawróciłem do centrum. Nie byłem już w nastroju do zwiedzania przedmieść. Toteż w chwili obecnej tuptam rozgrzaną jak piec Serpentine, wymijając spacerujące rodziny, właścicieli psów i biegaczy. To dalekie od ideału, ale co tam. Barn Elms zaczęło działać mi na nerwy.

Szukam ławki, na której mógłbym przysiąść. Muszę odpocząć, oczy wchodzą mi do głowy, a stopy mam całe w pęcherzach. Niestety, wokół same leżaki. Płatne, a więc nie stać mnie. Nie stać mnie również na awanturę z facetem, który je wypożycza. Mijam rozpartyh wygodnie tłustych biznesmenów i znudzonych punków, którzy mają dość odwagi, by siedzieć i nie płacić. Zmieniam plany i rozglądam się za drzewem, o które mógłbym się wygodnie oprzeć. O, jest. Stoi w połowie

trawiastego stoku zbiegającego ku wodzie - wysokie, pyszne, nie obstawione leżakami. Rozpościera nade mną absolutnie bezpłatny liściasty baldachim. Siadam u jego stóp, opieram grzbiet o pień i uśmiecham się do niego z ulgą. W kolanach coś mi strzyka (nie spodziewały się takich wygód), a biedne stopy wreszcie mogą puchnąć spokojnie. O, tak. Tego mi było trzeba.

Patrzę z zadowoleniem, jak jezioro dyszy w kończącym się upale, a przysmażone na słońcu tłumy zbierają się do powrotu. Miotła znużenia zmiata i mnie, trochę chłodzi. Pot wysycha. Popołudnie blednie, zmęczone i osłabłe. Wkrótce zrobi się ciemno. Będzie sobotni wieczór - czas na zabawę. Nawet ja będę się bawił - w pewnym sensie. Wiem, że noce, zwłaszcza sobotnie, są zwykle dla mnie bezlitosne, ale czuję, że ta będzie chłodna i miła. Przyjacielska i miłosierna. Niechże już nadejdzie. Stęskniłem się za odrobiną nocy.

Miewam się niespecjalnie - smutny, stary i zmięty. Już dawno się tak źle nie czułem. Wykańczam się w zastraszającym tempie. Byłem głupcem myśląc, że nędza spłynie po mnie jak po kacze. Teraz cierpię. Mam jej dosyć, powyżej uszu. Nagle dociera do mnie, że najpewniej nie jestem nawet w ćwierci taki, jakim mienię się być. Przykre. W końcu czeka mnie płacz i zgrzytanie zębów.

Rozmyślając nad swym upadkiem, muszę mieć się na baczności: nazbyt łatwo użalam się nad sobą. I nie chodzi o to, że za wiele z siebie daję. Chodzi o to, że nie

zostało we mnie wiele tego, co mógłbym dać.

Obwisłe słońce opadło jeszcze niżej, dotyka teraz fosforyzującego horyzontu. Ludzie ocieniają oczy przed bijącym poziomo blaskiem; wyglądają jak wycięte z papieru sylwetki w teatrze cieni. Gwar rozproszył się wraz z upałem, wszystko zbladło. Sobotnie popołudnia zawsze są takie - puste, niemrawe, jakby zwiędłe. Ludzie sięgają po wyniki ligowych meczów i ubierają się do wieczornego wyjścia. Ta pora, pachnąca kurzem, piwem i nudą, od dziecka mnie przygnębiała. Proletariacki aromat deski do prasowania i zmęczonego słońca.

To, że Laura zgrzeszyła brakiem miłości do mnie, nie oznacza, iż zostałem całkowicie pozbawiony pociechy, jaką daje damskie towarzystwo w Cambridge. W istocie dziewczyny atakowały mnie prawie bez przerwy. Najczęściej bezskutecznie, czuję się w obowiązku stwierdzić. Coś musiało się stać z moim popędem płciowym. Wciąż odmawiałem przepięknym kobietom! Niewiarygodne, lecz prawdziwe. Cała ta sprawa jest niezłe udokumentowana. Sprawdźcie, jeśli chcecie.

Pierwsza była Vanessa, przyjaciółka Laury - metr dziewięćdziesiąt dwa, fryzura za sto funtów, chuda, opalona na ciemny brąz i wymagająca. Łatwe życie przyzwyczaiało ją, że dostaje to, czego chce. Oczywiście wolno jej było mnie chcieć, lecz niekoniecznie musiała dostać, co chciała. Zapewne uważacie, że niedyplomatycznie jest podrywać dziewczynę (Laure) i

równocześnie posuwać jej najlepszą przyjaciółkę (Vanessę). I macie rację. Z tego właśnie powodu nie poszedłem do łóżka z Vanessą. Poza tym jednym zrobiłem wszystko inne. Oczarowałem ją i uwiodłem, pojawiałem się w jej snach i fantazjach seksualnych, słowem - rozkochałem ją w sobie do szaleństwa. Z pewną przewrotną nostalgią stwierdzam dziś, że złamałem serce tej biednej bogatej dziewczynie. Pewnie wyszło jej to na dobre. Ktoś kiedyś powiedział, że doświadczenia, szczególnie te bolesne, są bezcenne. A tak. To moje słowa.

Vanessa zagroziła kiedyś, że się zabije, jeśli nie wezmę jej tu i teraz. Pochlebiła mi, lecz nie przekonała. Kiedy odrzuciłem jej awanse, zapisała się na wykłady z archeologii i antropologii okresu magdaleńskiego. Samobójstwo byłoby mniej bolesne.

Mój przelotny flirt z teatrem zaowocował wieloma damskimi znajomościami. Tam właśnie poznałem maleńką Sarę. Partnerowała mi jako Ofelia i bardzo chciała dobrać mi się do renesansowych portek. Byłoby ciasno, bo w tym samym czasie ćwiczyłem akrobacje z odtwórczynią roli Gertrudy. Mój związek z Sarą pozostał zatem mniej więcej platoniczny. Ód czasu do czasu zrzucała szatki i prezentowała mi piersiątką z okrzykiem: „Patrz! Czy nie są śliczne!” Sara wysoko ceniła swój mały, lecz kształtny biuścik i muszę przyznać, że miała po temu powody. Pisała do mnie tasiemcowe listy, w których przeważnie żaliła się na moją „egzystencjalną

obcość” i „destruktywną zmysłowość” (wcale nie żartuję - spytajcie ją, jeśli mi nie wierzycie!).

Ów dziwny układ wkrótce się zdegenerował; pozostała uraza i duma. Problem Sary polegał na tym, że jej inteligencji dorównywała tylko jej niedojrzałość. Chyba kiedyś już o tym wspomniałem. Szkoda. Lubiłem ją. Mogłem się w niej zakochać. Nie wyszło.

Inną moją teatralną partnerką była Julia - Kasia u boku błyskotliwego, łotrzykowskiego Petruchia w moim wykonaniu. Właściwie miałem z nią coś w rodzaju romansu (romanse w Cambridge zawsze były dziwnie mgliste). Julia była błyskotliwa, twarda i obcesowa. W owym wczesnym okresie uosabiała dla mnie ducha Londynu - „łatwo przyszło, łatwo poszło”. Seks z Julią przypominał wizytę w toalecie. Raz, zapragnąwszy złożyć jej hołd ustami, zacząłem zsuwać się w dół, gdy wtem poczułem szarpnięcie za włosy. Syknęła wściekle: „Nigdy więcej nie waż się tego robić!” Jak łatwo się domyślić, już nie próbowałem. Julia panicznie bała się czułości i przywiązania. Wszystko, co choć trochę wykraczało poza fizjologię, było dla niej afrontem. Na jakikolwiek czulszy gest chyba uciekłyby w popłochu. Słabość, bieda, nieszczęście czy jakakolwiek niedoskonałość napawały ją odrazą. Nie było na nie miejsca w jej świecie. Obarczony garbem problemów, wad i zmartwień, stanowiłem dla niej nie lada kłopot, którego ze wszystkich sił starała się nie dostrzegać. Udało nam się pozostać na dobrej stopie, ale magnetyzm,

jeśli takowy był, zdechł.

Były i inne - całkiem sporo innych kobiet. Ostatecznie prezentowałem się wówczas całkiem nieźle. Nie wykorzystałem nawet połowy podsuwanych mi okazji. Doszedłem do perfekcji w odmawianiu. Czyniłem to ze stosownym smutkiem, kraszając odmowę stekiem fantastycznych wymówek. To niesamowite, w jakie bzdury ludzie skłonni są uwierzyć, jeśli da im się szansę. Dziewczyna nie będzie ci miała za złe, że nie chcesz iść z nią do łóżka, byleś posłużył się jakimś spektakularnym pretekstem. Powiedz jej, że masz raka, zapalenie krtani spowodowane meksykańskim szczepem gronkowca, że urwało ci fiuta albo jesteś pedałem. (Nb. Nigdy, przenigdy nie mów, że zostało ci trzy tygodnie życia - zgwałci cię na miejscu, a potem pożre żywcem!)

Odmawiałem, bo od czasu do czasu nachodziło mnie pragnienie, by pozostać czystym dla boskiej, nieosiągalnej Laury. Wysiłek godny lepszej sprawy, choć bowiem większość nocy spędzałem samotnie, stugębna akademicka plotka przypisała mi wszelakie możliwe ekscesy. Wieść niosła, że przerywam dupczenie tylko po to, aby coś przekąsić (a czasem biorę termos i kanapki do łóżka). Rzecz jasna, brednie, lecz trudno takim bredniom przekonująco zaprzeczyć. (Zresztą przyznaję, że mit ów mile łechtał moją próżność.) Tak więc Laura była informowana na bieżąco. Mój Boże, jakże dziś żałuję, że nie użyłem sobie wtedy do woli!

Wyjawszy zespoły napięć przedmiesiączkowych,

rażący brak logiki i kompletne odpały, moje przyjaciółki z Cambridge dały mi wiele szczęścia. Zawdzięczałem to ich inteligencji i brawurze. Nawet najdramatyczniejszy romans w Cambridge wyzuty był z upokorzeń, pogmatwanych emocji i tragicznych skutków cechujących większość historii miłosnych świata. Być może wynikało to stąd, że w Cambridge nikt się niczym zbytnio nie przejmował. Niewiele było rzeczy zdolnych przyspieszyć tętno. (Nastawienie tyleż wygodne, co nudne.) Cywilizacja to życie pozbawione wstrząsów. Nie ma w nim miejsca na ekscesy - oczywiście z wyjątkiem mych przesadnie wulkanicznych uczuć do Laury.

W efekcie to małe uniwersyteckie miasteczko zawsze już będzie mi się kojarzyć z błogim słodkim porubstwem. (Kiedy rok temu byłem w Cambridge, idąc główną ulicą dostałem wzvodu, tak miłe opadły mnie wspomnienia!) Budziłem się rano w zmiętej pościeli jakiejś czarującej przyrodniczki, potem piłem kawę w miłym, nudnym bistrze, jadłem lunch, wpadałem dać buzi na pożegnanie ślicznej towarzysze ubiegłej nocy, po czym wyczerpany erotycznie wlokłem się do siebie, żeby się nieco zdrzemnąć bądź porozmyślać o metafizyce. Nazajutrz z grubsza to samo. Raj na ziemi - i to raj zasłużony. Po dziewiętnastu latach ciągłego gradobicia, które znosiłem siedząc w szambie, należał mi się odpoczynek.

Byłaby to sielanka - forsa, przywileje, wykształcone i chętne kobiety - gdyby nie drażniący fakt, że okrutna

Laura uparcie nie chciała się we mnie zakochać. W którymś momencie wpadłem na pomysł, że zabłysnę przed nią tężyzną fizyczną. Namówiłem Vanesę, żeby przyszła kibicować mi w finałach pucharu akademickiego (upewniwszy się, że weźmie ze sobą Laurę). Futbol zawsze był moją mocną stroną; byłem pewien, że obudzę w ukochanej drzemiącą dotąd namiętność. Grałem dobrze. Prawdę powiedziawszy, bardzo dobrze: szybki jak błyskawica, niezawodny, celny, jasnowidzący. Bryłowałem na boisku. (Zawodnicy o połowę gorsi wygrywali plebiscyty na najlepszych piłkarzy ligi.) Zdobyłem trzy kolejne gole; przeciwnicy byli bezradni. Co prawda sędzia nieco popsuł mój *image*, wlepiając mi czerwoną kartkę (próbowałem pobić bramkarza; podobno nie zdarzyło się to jeszcze nigdy w osiemdziesięcioletniej historii akademickich rozgrywek). Przy odrobinie dobrej woli można było mi to zapisać na plus, ale pani mego serca wyraziła ponoć ubolewanie, że jestem takim prostakiem. W sumie i tak była to chyba najbardziej udana z moich prób olśnienia Laury.

Pracą i przekupstwem zdobyłem ósmą lokatę na roku. Pisałem wiersze. Posyłałem jej kwiaty, za które dziękowała Gregowi. Czyściłem zęby, chesałem się i zachowywałem co najmniej irracjonalnie. Nic nie pomagało. Jeśli w ogóle udawało mi się zwrócić jej uwagę, to jakimś zawstydzającym wybrykiem. Nie umiałem utrafić w ton pociągającej desperacji.

Patrząc na Grega, nie posiadałem się ze zdumienia.

Ten karzeł, ta pozbawiona ikry miernota! Co ona w nim widziała? Po jakimś czasie doszedłem do wniosku, że byłem dla Laury po prostu zbyt wysoki, zbyt przystojny, zbyt seksowny i zbyt inteligentny. Trochę mi ulżyło. Ale tylko trochę.

Hyde Park. Słońce ciężko stacza się za widnokrąg. Szybko gasnący brzeżek wyziera jeszcze zza odległych budynków. Ale niebo wciąż płonie. Lepkie poziome światło pełźnie po ziemi, ostrymi cieniami odwzorowując sylwetki domów, drzew i ludzi. Smugi blasku oślepiają. Krzywię się i obracam bokiem, żeby dać ulgę oczom.

Pod pobliskim rzęsiście oświetlonym drzewem widzę bliźniego swego, brata w niedoli. To szpetny brudny facet w średnim wieku, z paskudną egzemą okrywającą połowę twarzy. Włosy ma mokre od potu. Z wymiętej, zjedzonej przez mole i robactwo odzieży wychyla się baloniasty brzuch porośnięty szarym włosiem. Oczka mętne i fałszywe. Słowem: nie jest to człowiek, z jakim chcielibyście się kochać. Nie wygląda nawet na sympatycznego. Mam nadzieję, że nie należy do moich znajomych.

Hm... żenujące, lecz niewykluczone. Facet patrzy na mnie, jakby mnie poznawał. Nie powinienem się tego wstydzić. Przecież Jezus lubił nędzarzy. Im który bardziej odrażający, tym lepiej. Ba, sam był włóczęgą! A Łazarz? Łazarz to dopiero superkloszard! Reasumując: bratanie się z nędzarami jest OK. To znamię klasy.

Skoro Chrystus mógł, ja też nie powinienem mieć z tym problemów.

Facet widzi, że na niego patrzę, i uśmiecha się przyjaźnie. Brunatnych pieńków po zębach prawie nie widać w usmarkanej gębie. Robi mi się niedobrze. Niepewnie przerzucam w myśli dwutomowy spis „Włóczęgów, których znam”. Wertuję listę Paddych, Jimmych, Mickeyów, Billych, Jocków i Johnnych. Nie, zero skojarzeń. Nie zapomniałbym przecież takiego skrofulicznego monstrum!

Facet wyłazi spod swojego drzewa i przystaje. Najwyraźniej zamierza do mnie podejść. Mimo całego chrześcijańskiego egalitaryzmu nie uważam tego za dobry pomysł. Nie szukam towarzystwa. Odwracam głowę, starając się wyglądać, jak gdybym był pogrążony w myślach o czym innym. W duchu modłę się gorączkowo, żeby zostawił mnie w spokoju. Nie chcę, żebyście na to patrzyli.

Oglądam się nieznacznie. Na szczęście został w tyle. Czego mógł ode mnie chcieć? Pieniędzy, współczucia, miłości? Po namyśle stwierdzam, że chyba istotnie gdzieś go już widziałem. Ale gdzie? To gorszy gatunek trampa. Brudny, chory, chciwy. Żaden szanujący się kloszard nie wydałby za niego swojej córki. Skąd ja go mogę znać?

O psiakrew! Idzie. Pokonał nieśmiałość i kuśtyka w moją stronę. Na gębie wypisane ma hasło: „Biedacy wszystkich krajów, łączcie się”. Kaprawe ślepie wbił we

mnie i nie popuszcza. Patrzę na niego z (mam nadzieję) jawną wzgardą.

- Siemasz, koleś! - chrypi. Z bliska wygląda jeszcze paskudniej, a śmierdzi tak, że mój snobistyczny nos sam marszczy się z odrazą. - Masz fajki?

- Niestety, nie mam.

Spoziera na mnie nieprzychylnie.

- Na pewno? - pyta złowrogo.

Ten pitekantrop wyraźnie szuka guza. Sam prosi się o kłopoty. Przykro mi, nie jestem w nastroju. Nie mam na zbyciu dość nienawiści. Oczywiście jeśli przyjdzie co do czego, dołożę starań, żeby go nie zawieść. Odpowiadam spokojnie, starając się, by zabrzmiało to groźnie i stanowczo:

- Już mówiłem, że nie mam papierosów.

Wzrusza ramionami i uśmiecha się, puszczając bańki. W nagłym przyplywie tkliwych uczuć próbuje objąć mnie ramieniem. Odsuwam się szybko, nie na tyle jednak szybko, by nie owionął mnie jego zapach. Żołądek podjeżdża mi do gardła.

Facet jest urażony. Nadepnałem mu na ambicję. Dziwni ci ludzie. O byle co unoszą się ambicją. Jest się czym unosić!

- Jasne - mówi. - Nie ma sprawy. Ja tam swoje wiem, znamy się nie od dziś, ale nie ma sprawy.

Mogłem się spodziewać tego rodzaju *dictum*. To ten typ człowieka. Z jakich zakamarków pustej czaszki wyciąga podobne brednie? Co chce przez to powiedzieć?

I kogo to obchodzi?

- Słyszysz, koleś? Mnie możesz się przyznać. Jesteśmy kumple.

Wzrok ma skupiony, choć szklisty. Gość wie, o czym mówi. (Nie wie tego nikt inny, ale on najwyraźniej panuje nad sytuacją.) Prostuję się, żeby zauważył, o ile jestem od niego wyższy. Nie wydaje się wystraszony i patrzy na mnie wyzywająco. Słońce świeci mi prosto w oczy - oddaje mi przysługę, zacierając jego turpistyczne rysy.

- Odejdź - radzę spokojnie, nieomal przyjaźnie. To może być błąd. Jak już mówiłem, bardzo łatwo takiego urazić. Na szczęście to tylko stary żebrak.

- Tak do mnie nie mów, koleś! Daj mi parę fajek i już idę. Zgoda, co? Jest zgoda? Dwie fajki, okej? Nie jestem głupi! Masz mnie za głupka? Co? Masz mnie za głupka?

Rozmowa z takim osobnikiem przypomina podstępny wir: chcąc nie chcąc, człowiek dołącza się razem z nim. Nie można błysnąć intelektem w dyskusji ze szmaciarzem. Szkoda zgrywać się na Oscara Wilde'a: aforyzm nie znajdzie tu oddźwięku. Proszę gościa w prostych słowach, żeby sobie poszedł, i też nie rozumie. Moje przesłanie nie dociera do niego z wystarczającą siłą.

- Spierdalaj - mówię jasno.

- Tylko mi tu nie wyjeżdżaj ze spierdalaniem, koleś, co? Nie próbuj! Widziałem cię wczoraj, miałeś pełną

paczkę, oszuście, gnoju! Co, myślisz, że nie widziałem? Masz się za lepszego ode mnie, co? Co? Masz się za lepszego? Wiesz, kto jesteś? Chuj! Pierdolony chuj!

Zajmujący jeszcze leżaki staruszkowie kierują w naszą stronę zgorszone spojrzenia. Uśmiecham się rozpaczliwie do młodej kobiety, która omija nas szerokim łukiem. Próbuje wyglądać na oburzoną, zgorszoną ofiarę napaści. „Przekłęci włóczędzy!” - mówią moje oczy. - „Nie zostawię człowieka w spokoju.”

Mój rozmówca się wścieka; parska, pluje, wymachuje mi przed nosem brudnymi łapami. Jest na skraju hysterii. Tak jest zawsze: najpierw uniżona prośba, potem gniew, w końcu przemoc o skali zależnej od wieku, wyposażenia i wagi problemu.

- Ty łajzo, ty! Nie próbuj mi wciskać kitu! Widziałem cię z tą dziwką, jakeście sobie palili na boku, panicz i paniusia! Nie dasz kumplowi fajki, ty! Ty złamasie, ty ciulu!

No tak. Wszystko jasne. Gość widział mnie w garkuchni dla ubogich. Powziął w związku z tym pewne nadzieje.

Naiwniak! Nawet gdybym miał pod dostatkiem papierosów, i tak bym mu nie dał. Działa mi na nerwy.

Zauważył błysk rozpoznania w moim oku. Staje przede mną w bojowej pozie - rozstawił szeroko krótkie śmierzące nogi, zacisnął pięści. Chce mi się śmiać. Nie mam ochoty go bić, ale w razie potrzeby jestem w stanie rozsmarować go po całym Hyde Parku. Nagle złość mi

przechodzi; mówię doń wytwornie:

- Mój drogi oburzony przyjacielu, doprawdy będziesz musiał się stąd oddalić. Niechaj cię zadowoli informacja, że nie dysponuję dostateczną liczbą papierosów. Jeśli wszakże będziesz natrętny, stanę przed niemiłą koniecznością skopania ci tyłka. Innymi słowy: jeśli kochasz życie, zmykaj, nim je stracisz!

Facet mamrocze coś bezradnie, patrząc na mnie tępo. Biedak, nie zrozumiał. Uśmiecham się zachęcająco. Nie mogę zbyt wiele od niego oczekiwać. Wytrzeszcza oczy, wargi drgają mu z furii.

- Ty gnoju, ty chuju, ty skurwysynu!.. - wrzeszczy, tupiąc nogami i zaciskając śmieszne piąstki.

To etap gniewu, po nim przyjdzie kolej na przemoc. Pobliskie leżaki zaczynają się opróżniać. Zmykających spacerowiczów odprowadza wysoki, jękliwy klakson pełnych nienawiści wyzwisk. Ludzie tacy jak ten tu wpadają w szal z byle powodu. Noszą w sobie moc rozpaczy, którą chcą odreagować. Słyszałem kiedyś, że aktor, który ma zapłakać na scenie, przypomina sobie najsmutniejsze chwile swego życia. Najlepiej płaczą więc ci, z którymi życie się nie pieściło. Podobnie musi być z nędzarzami, tylko im jest łatwiej.

- Ty gnoju, ty gówniarzu, zabiję cię, skręcę ci ten brudny kark... - pluje.

Tak, tak. Bardzo interesujące. Mów do mnie jeszcze.

- Już nie żyjesz, facet! Już nie żyjesz! Zabiję cię, a przedtem...

Szybki prawy sierpowy łąduje z chrzęstem w celu. Gość milknie, unosi ręce do twarzy i patrzy na mnie ze zdziwieniem. Poprawiam z tej samej strony. Co za ulga, wreszcie mam co zrobić z rękami. Tym razem facet ciężko wali się na ziemię. Z ust wyrywa mu się cienki jęk. Odtacza się na bok, osłaniając rękami głowę.

Owszem, dałem się ponieść nerwom. Naganne, ale w tej sytuacji...

Gość jest mocny; szybko dźwiga się na nogi i wrzeszczy z bólu i złości. Siła tego wrzasku nieco mnie zaskakuje, na ułamek sekundy zbija z tropu, co daje mu czas, by do mnie doskoczyć. Rozpędzona pięść trafia mnie w nos, czuję krew spływającą do ust. Drugi cios niespodziewanie mocno trafia mnie w krtań. Z trudem łapię oddech; w tym czasie on kopie mnie w biodro i zaczyna okładać pięściami po głowie. Zginam się z bólu. Akcja rozwija się niezgodnie ze scenariuszem. Kolejny kopniak miażdży mi łydkę. Ból jest ostry, przenikliwy, euforyczny. O to chodziło. To bodziec, którego mi brakowało. Popełniłeś błąd, koleś. Ripley stracił cierpliwość.

Rozpoczynam masakrę. Walę go bykiem w twarz i z przyjemnością słyszę mokry chrupot. Chwieje się na nogach, tworząc względnie nieruchomy cel. Poprawiam z całej siły łokciem. Rzęzi i cofa się; idę za nim i biję w zakrwawioną twarz, raz po raz, aż trafia plecami w to samo drzewo, pod którym wcześniej siedziałem. Łapię oddech i wymierzam mu silny cios w krtań. Coś tam w

środku ustępuje. Serce bije mi opętańczo, napędzane nienawiścią. Podnoszę nogę i dwukrotnie walę go piętą w jądra. Tracę równowagę.

Odtaczam się szybko na bok i szybko zrywam z ziemi. Czuję przepelniającą mnie prężną energię. Mój przeciwnik osunął się po pniu, dłońmi obejmuje jądra, ze zrujnowanej twarzy na pierś cieknie krew i śluz. Oddycha ciężko, chrapliwie, ze świstem. Ruszam do walca.

Od tego powinienem był zacząć. Moje sierpowe zawsze były kiepskie; jestem urodzonym kickbokserem. Zresztą tu nie miejsce na klasyczną walkę. Moim celem jest eksterminacja przeciwnika.

Jego żebra pękają pod moimi butami. Kość biodrowa słyszalnie trzeszczy. Obiłem sobie duży paluch u nogi, ale poza tym jestem z siebie zadowolony. Pora odpocząć. Takie akcje są straszliwie męczące. Gość nadal się rusza. A zatem jeszcze jeden taniec. Na dobranoc kopię go z całej siły w bok głowy, żeby uniknąć przykrych niespodzianek.

Odchodzę na miękkich nogach, z trudem łapiąc powietrze i czując przeszywający ból w boku. Gapie skrzętnie udają, że patrzą w inną stronę. Poza paroma punkami, którzy okrzykami zagrzewali mnie do boju, chyba nikomu nie podobała się ta scena. Staruszkowie oburzeni drepczą w stronę wyjścia, najwyraźniej rozglądając się za policjantem. Zerkam na smętne resztki mego przeciwnika. Stracił sporo krwi. Powinienem stąd zniknąć, zanim zacznie się afera. To nie wygląda na

samoobronę. Pytanie, czy gość przeżyje.

Sprawdzam, czy oddycha, i oddalam się na tyle nonszalancko, na ile mnie stać. Cała rzecz w tym, żeby nie biec. Kieruję się ku Speakers' Corner, odprowadzany potępiającymi spojrzeniami. Głowa mnie boli, nos puchnie i nie jestem w towarzyskim nastroju. Chciałbym wydostać się na ulicę, zanim mnie aresztują.

Nie wiem, co mi się stało. Przesadziłem. Po prostu puściły mi nerwy. Mogłem go zabić. Nie wiadomo, czy nie zabiłem. Nie miałem zamiaru posuwać się tak daleko. Dałem się ponieść.

Słońce jest już za widnokretem, niebo zasnuwa się bezbarwną mgiełką. Zerwał się wiaterek, który suszy moją spoconą twarz. W prostopadłej alejce widzę dwóch policjantów; przyspieszam, starając się nie rzucić w oczy. To był zły dzień i jeszcze się nie skończył. Wyteżam wszystkie siły, by nie rzucić się do ucieczki. Nie chcę wzbudzać nawet przyjaznego zainteresowania.

Pięćdziesiąt metrów przed sobą widzę zgarbioną bełkoczącą postać. Nie do wiary! Powstał z martwych jak Łazarz i jeszcze mu mało. Ratunku!

Z odległości dziesięciu jardów dostrzegam błysk ostrza. A to coś nowego. Mój znużony umysł budzi się w panice. Facet chce mi zostawić trwałą pamiątkę.

Patrzę, jak włochate ramię nadlatuje ku mnie, ściskając wąski pasek stali. Cofam się, lecz za wolno. Poły mojego płaszcza rozchylają się, ostrze gładko przecina przód koszuli. Czuję na piersi ukośny ciepły

dreszczyk i wyrywa mi się krzyk. Boże, dziabnął mnie, łajdak!

Powinienem być przerażony, ale jestem tak wściekły, że nie starcza mi miejsca na strach. Zaczynam mieć dość tego gościa. Co za dużo, to niezdrowo. Nacieram na niego w furii. Chybiamy obaj; nóż śmiga mi tuż obok twarzy, wymierzony był w oko. Facet staje naprzeciw, wznosi ostrze. Myśli, że już mnie ma. RzUCA się w przód, celując w brzuch; wykonuję łatwy unik i kopię go w nerki. Zamach uje się jeszcze raz, na wysokości gardła. Ku jego zaskoczeniu ignoruję nóż i kopię go w żołądek, bardzo mocno. Odskakuję. Śmieszna chwila przerwy. Facet dławi się, zwija, rzyga krwią. Nóż chwieje mu się w dłoni, wytrącam go kopniakiem. Bezbronny, zgina się w pół, obejmując brzuch, opada na kolana, wypływa kolejną falę krwi. Rozmowa skończona. Zabrakło mu argumentów.

Oglądam swoją ranę. Zaczyna się pod lewym sutkiem i biegnie w dół, za pępek. Prawie nie krwawi, jest jednak bolesna i irytująca. Patrząc na powalonego przeciwnika i furia znów uderza mi do głowy. Z całej siły wbijam stopę w jego pierś. Słyszę trzask pękających żeber, facet wali się na wznak, powoli, jak w zwolnionym tempie. Dobrze. Dla ostatecznego poprawienia nastroju kopię go jeszcze raz w głowę - niezbyt mocno, w końcu jestem człowiekiem cywilizowanym. Tak. Dla niego też nie był to dobry dzień.

Z Park Lane dolatuje muzyczka klaksonów. Pisk

opon; pokonany hamuje gwałtownie, zwycięzca dodaje gazu, zostawiając za sobą smród palonej gumy. Idiotyczna scenka. Jestem zmęczony, nogi mnie bolą, a brzuch piecze, kiedy schylam się po nóż. To nawet nie jest nóż - zaostrzony kawałek metalu owinięty z jednego końca taśmą izolacyjną. Ciekawe, skąd go ma. Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby sam go zrobił. Nie wyglądał mi na rzemieślnika. Bylejakość narzędzia, które miało pozbawić mnie życia, wkurza mnie jeszcze bardziej. Ujmuję rękojeść i staję nad przeciwnikiem.

Wygląda paskudnie. Niepokojąco. Poza wszystkim innym chyba uszkodziłem mu coś w środku - wciąż wypluwa tę krwistą, cuchnącą maź. Przykro mi. Nie prosiłem, żeby starał się mnie zabić. Ściskam mocniej rękojeść i wypełnia mnie zimna, wyrachowana nienawiść. Teraz ja dorżnę go jak wieprza. Pochylam się nad nieruchomym ciałem, wybieram miejsce do ciosu. (Jest jasno, w parku wciąż sporo ludzi i nikt nie próbuje mi przeszkodzić! Co się dzieje z tym światem!) Kropla mojej krwi pada mu na pierś, mieszając się z jego krwią. Głębokie. Symboliczne.

Gość otwiera oczy (chyba) i unosi rękę, by odepchnąć od siebie własny nóż (skąd u licha ma jeszcze na to siły?). Kwili cienko, głowa opada mu w tył.

Przyzywam swój słuszny gniew. Unoszę nóż, zamykam oczy...

I?

Odrzucam nóż i ze znużeniem dźwigam się na nogi.

Po cholere to komu? Po co?

Odchodzę pospiesznie. Koszulę mam podartą, brzuch lepki od krwi. Dotarłszy do Park Lane, oglądam się. Wokół mego powalonego adwersarza zebrał się tłumek. Widok nie jest chyba zbyt przyjemny. Zwarty prąd przechodniów opływa mnie instynktownie. Całe szczęście, wystarczyłoby lekkie potrącenie, żebym zemdlął.

Lampy uliczne zapalają się kolejno, pstrykając i mrużąc. W ich świetle niebo staje się ciemniejsze, a mój posępny ból nabiera wagi. Mijają mnie twarze, pospieszne, wnikliwe, zaaferowane, młode, niezbyt rozgarnięte i zawzięte. Zerkają na czerwoną pręgę przecinającą mi brzuch. Zapinam płaszcz i obejmuję się ramionami. Ciepło dnia zgasło, teraz czuję dreszcze. Serce stopniowo zwalnia. Spokój. Odpoczynek. Bez pośpiechu. Oddycham głębiej i przystaję bez powodu. Mijające mnie twarze wciąż patrzą, mierzą mnie twardymi spojrzeniami. Nagle odkrywam, że płaczę. Zdradzają to drobne łzy. Odsuwam się na bok, opieram głowę o lśniącą witrynę sklepu z obuwiem. Ludzie skręcają, obchodzą dookoła mnie i mój wstyd. Unoszę głowę, żeby otrzeć twarz, i spostrzegam, że szyba usmarowana jest moim potem i krwią. Wycieram więc szybę i ruszam dalej. Niebo ciemnieje jeszcze bardziej. O Boże! Pieprzony Jezu Chryste!

*

Chyba wiele moich osobistych problemów wynika stąd, że nie wiem, kto był moim prawdziwym ojcem (czyli tym facetem, który w 1963 roku zapłacił pół pensa czy coś koło tego za słodkie tête-à-tête z moją matką). Co dziwne, nie zaprzętałem sobie tym zbyt głowę, dopóki nie wylądowałem w Cambridge. Tam ktoś zapytał, czy nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Oczywiście natychmiast zacząłem się zastanawiać.

W pewnym sensie mogę się uważać za szczęściarza. Mam do dyspozycji dużą ofertę potencjalnych ojców, spośród których mogę wybierać. Wielu mężczyzn korzysta i korzystało z płatnej miłości. Toteż ilekroć widzę przystojnego lub szacownego pana po czterdziestce, bez zwłoki wdaję się w chronologiczne kalkulacje. Oczywiście zachodzą mi Izami, serce nabrzmiewa tkliwym synowskim uczuciem. Któregoś razu spostrzegłem nawet uderzające podobieństwo między mną a księciem Edynburga. Wcale nie żartuję! Ten długi nos, szerokie płaskie czoło, wąskie surowe wargi. Kto wie?

- Tatusiu! - zawołałem.

W grę wchodzili również: Richard Burton, Gerry Fitt, Philip Larkin (!), Denis Law, Ringo Starr, Bill Shankly, Robert Graves, Paul Schofield, Peter O'Toole, Cliff Richard (!!), Richie Barnaud, Robert Kennedy, Jean-Paul Sartre, Clint Eastwood, Chris Bonnington, Harold Pinter, Gore Vidal (?), Tony Jacklin, lord Lucan, Jean Genet, Anthony Burgess, Robert Mitchum oraz Pat

McGahey, barman w "Sportowym" przy Lower Falls w pierwszej połowie 1963 roku.

Smutne, prawda? Wzruszające. Doprawdy nie wiem, po co zadałem sobie tyle trudu. Mój ojciec wedle wszelkich danych był śmierdzącym, zapitym irlandzkim nierobem. O co ten gwałt? Za kim tu tęsknić?

6

Sloane Square. Niebo ciemnieje i kłębi się nad płaskimi białymi sztabami lamp ulicznych. Oświetlony prostokąt broni się przed naporem piętrzącej się ciemności. Wokół placu śmigają samochody burząc grubiańsko, roi się przycichły tłum. Siedzę smutny, czuję krew na języku, przy rozmytych krańcach pola widzenia migają mi świetliste linie. Już wieczór, jestem gotów na przyjęcie nocy. Będzie niedobra. Czuję się źle. Chyba umieram.

Wszystkie te szczegóły topograficzne mogą się wydać nieistotne, ale dla mnie są ważne. Niewiele odsłon mego dramatu rozgrywa się dziś we wnętrzach. Te, które zapamiętałem, są niewyraźne, szkicowe. Jestem znawcą otwartych przestrzeni, księciem chodników, królem ławek parkowych; chłodny wiatr bez ustanku pieści moje ciało. Aby iść ze mną, musicie stawić czoło żywiołom i wielkiej nagiej nudzie. Nazwą mojej gry: Przechadzka. Jestem człowiekiem zewnątrz, mniej lub bardziej z własnej woli. Kroczę ulicami miasta wiedziony nadzieją, lękiem i wdzięcznością.

Nie jest tak źle, choć przeważnie zimno, mokro i paskudnie. Za to szersze horyzonty doskonale stabilizują równowagę ducha. Oddycham pełną piersią, idę, gdzie mnie oczy poniosą - jestem w pewien sposób wolny. Moje noce, długie i surowe, usiane są światłami i

wydarzeniami. Jaki domator może to powiedzieć o sobie? Niewielu.

Taak... Doznania wizualne to jedna z niewielu zalet bezdomności, jakie mi wpadają do głowy. Ale to już coś.

Boże, jaki jestem zmęczony. Straszliwie, śmiertelnie zmęczony. Kończyny mam zwiotczałe, mózg pusty, oporny, niechętny do współpracy. Dopadło mnie to jakieś dziesięć minut temu. Musiałem usiąść. Usiadłem więc na samym środku Sloane Square, wbity w grunt ciężkim głazem znużenia. Po prostu zgasłem. Bez obaw, powoli wracam do formy.

Pewnie chcecie usłyszeć o mojej ranie. Ma siedem lub osiem cali długości i biegnie skosem przez pierś aż do zziębniętego pępka. Nie jest bardzo głęboka, ale kończy się luźnym skrawkiem ciała, który boli jak diabli. Obandażowałem ją najlepiej, jak mogłem, fragmentami koszuli. Po bójkę koszula już prezentowała się nie najlepiej, a nowe uszczerbki postawiły pod znakiem zapytania całość jej struktury. Kłapie mi mokro na brzuchu i zgoła umownie chroni przed nocnym chłodem. Na szczęście mam guziki w palcie; zapiąłem się po szyję.

Boli. No cóż, bardzo boli. Gdyby dano mi wybór, chętnie pominąłbym to nowe życiowe doświadczenie, ale nikt mnie nie pytał. Zastanawiałem się, czy nie dać się pozszywać w szpitalu Świętego Tomasza, po namyśle jednak zrezygnowałem. Zaraz by wezwali lekarza, a lekarze nie są mili dla włóczęgów. Krzywią się, sarkają i zadają mnóstwo niewygodnych pytań. Poza tym bałem

się, że znów spotkam kogoś znajomego. Wielu medyków z Cambridge odbywa staż w londyńskich szpitalach. Byłoby to dość niezręczne: „Panie doktorze, w pokoju zabiegowym jest ranny kloszard.” „W porządku, siostrze, studiowałem z nim w Cambridge... Jak się masz, Bogle, stary druhu, co słyszeć?” Doprawdy, chyba zapadłbym się pod ziemię. (A propos: pamiętacie moje wczorajsze spotkanie z dziewczyną w jadłodajni dla ubogich? Niestety, to prawda, znaliśmy się - właśnie z Cambridge. Biedna, musiała przeżyć szok. Nie chciałem wczoraj o tym wspominać; oderwałoby to waszą uwagę od innych aspektów tej historii.) Ale wróćmy do mej chwalebnej rany. Będzie musiała sama się zabić. Mam nadzieję, że sobie poradzi. Nie wiem, czy mój organizm uporałby się z gangreną.

Nieco przeholowałem. Tak, wiem, jesteście oburzeni. Wy na moim miejscu postąpilibyście inaczej. No cóż, nie będę się usprawiedliwiał. Ten człowiek mnie napadł, chciał zabić. Zasłużył na to, co dostał - i na więcej. Postąpiłem słusznie. Postąpiłem jak mężczyzna.

Niemniej ten incydent załazł mi za skórę. Przez półtorej godziny dyszałem jak wściekły pies, starając się uspokoić rozszalały puls. Potrzeba czasu, żeby dojść do siebie po czymś takim. Wierście mi, żądza mordy to nic zabawnego.

Wyrównawszy oddech, przeszedłem się na King's Road, by otrząsnąć się z przygnębienia. Błąd. Przeżyłem tu wiele miłych godzin, lecz dzisiejsze do nich nie

należały. Przyglądanie się zdrowym, zadbanym młodym ludziom jeszcze bardziej nadszarpnęło mi morale. Zgrzytałem zębami w bezsilnej złości. W ich wykonaniu młodość wydaje się taka łatwa, taka pożądana. Nagle zobaczyłem siebie w całkiem nowym świetle. W porównaniu z nimi wyglądałem na... no, na to, czym jestem. Smutny, szary, brudny, pokiereszowany... szkoda słów!

Przez cały dzień staram się nie myśleć o papierosach (pewnie zauważyliście, że rzadziej o nich wspomynam). Ci nadziani młodzi dranie palą tak, jakby celowo chcieli mnie rozdrażnić. Dwa, trzy sztachnięcia i od niechcienia rzucają na chodnik dobre dwa cale cennej używki! Resztki dumy powstrzymały mnie przed pełzaniem na czworakach i zbieraniem tych skarbów. Może bym to zrobił, gdyby nie ich młodzieńcza arogancja - i gdybym im tak bardzo nie zazdrościł. Zostało mi pięć fajek i zaczynam gryźć palce do krwi.

Opasłe czarne taksówki wypluwają opasłych białych teatromanów przed Royal Court. Teatromani wchodzą do teatru, a ja znów czuję ukłucie zazdrości. Chętnie bym wszedł wraz z nimi, zasiadł w ciepłym, przytulnym wnętrzu i ukoił oczy widokiem kunsztownie oświetlonych dekoracji. Teatr nieodmiennie kojarzy mi się z pieniędzmi. Tylko w najlepszych czasach mogłem sobie pozwolić na bilet. Bądźmy szczerzy: mimo (dobrze opłacanych) anarchistycznych haseł padających ze sceny teatr to rozrywka burżuazji. I co z tego? Komu

przeszkadza burżuazja i jej rozrywki? Sam chętnie bym się do nich przyłączył. Uczta dla intelektu, a w przerwie trzy fajki na raz w palami. Oddałbym za to duszę.

Koniec marzeń. Wróćmy do rzeczywistości. Co my tu mamy? Gwarny plac, hałaśliwe auta, chłód, moją ośmiocalową ranę, znużenie i rozpacz. Chyba lepiej już było marzyć.

Z drugiej strony placu dolatuje przenikliwy damski głos. Oglądam się zaniepokojony, czy komuś nie dzieje się krzywda. Dziewczyna w obcisłych białych spodniach i szarym skóropodobnym płaszczu złości się na swojego chłopaka. Wrzeszczy, wymachuje mu rękami przed nosem, tupie czerwonymi szpilkami. Facet - elegancik w białych skarpetkach - czyni pojednawczy gest, w zamian za co z rozmachem obrywa po gębie. Patrzy przez długą chwilę na towarzyszkę, odsuwa się grzecznie, żeby przepuścić przechodniów, po czym oddaje cios za cios. Trafiona czysto w szczękę dziewczyna ląduje z impetem na ziemi. Klasyczny nokaut. Chłopak z irytacją przeczesuje palcami rozjaśnione włosy i pochyla się, żeby pomóc ukochanej wstać. Oj, nie! No tak. Mogłem go ostrzec. Ostry czerwony obcas wbija mu się w krocze. Facet wali się, ściskając dłońmi klejnoty, i zaczynają się szamotać na chodniku. Odwracam się. Niech się bawią sami.

To będzie paskudna noc. Ciekawe, że koniec tygodnia wyzwala w nas tyle barbarzyńskiej agresji. Skłonny byłem tłumaczyć to znużeniem pracą, lecz mój

dzisiejszy wypadek dowodzi jasno, że zatrudnienie nie jest niezbędnym składnikiem wspomnianego syndromu. To, że wzrost poczucia wolności oznacza obniżenie barier i skłania do ich przekraczania, rozumie się samo przez się. Weekendowe pijaństwo znacznie wzmaga anarchię, ale sama data również nie tłumaczy gorączkowego, zachłannego, desperackiego zalewania się w trupa. Chleją wszyscy, nikt się nie ociąga. Zachlani przestają myśleć i potem usiłują wypruć flaki każdemu, kto się nawinie pod rękę. Na pohybel minionym dniom roboczym, by tak rzec. Chryste, ci ludzie muszą mieć potwornie stresującą pracę, skoro w ten sposób odreagowują.

Sobotnie grzechy są płynne, pieniste i rodzą się w butelce. Sobotnia pokuta, ostra i błyszcząca, czeka w szufladzie ze sztucami. Racja bytu sobót jakoś mi umyka - futbol, supermarkety, rozhasana dziatwa, wędkowanie? Czy to wszystko jest warte sensnego niedzielnego żalu? Zapomnijmy o sobotach. Pozbądźmy się ich, wyjmijmy je spod prawa!

Krzywię się cierpko, ilekroć drgną mi mięśnie brzucha. Zasychające brzegi przecinającej go autostrady trą o siebie, sprawiając mi, hm... pewien dyskomfort. Jęczę cichutko i łapię się za żebra niczym ranny, lecz niepokonany kowboj. Wściekły Byk Bogle dostał kulkę, zabierze jednak ze sobą w zaświaty setkę czerwonych skór. (W dzieciństwie nigdy nie chciałem być kowbojem. Trochę mnie to martwiło, rodziło podejrzenie, że jestem

zбочony. Dziki Zachód nie przemawiał mi do wyobraźni. Od rana do nocy żucie tytoniu, łapanie byków i gadanie od rzeczy. Banda głupków. I do tego musieli załatwić się na dworze! Kawaleria Stanów Zjednoczonych też nie była lepsza. Siódmy Pułk rusza do ataku i osiem milionów krwiożerczych Indian myśli sobie: „Niech mnie nagła dyzenteria, Siedząca Wiewiórko, To Siódmy Pułk, lepiej spieprzajmy stąd, zanim zanudzimy się na śmierć.” W finałowej scenie pulchna miss osadnictwa Mary-Ann ze strzałą w cycu porywa w gorące objęcia dzielnego kapitana Blustera. Wolałem już Indian; mieli ładne stroje, wymyślne imiona i potulne kobiety. Zawsze uważałem, że nadawałbym się na czerwonoskórego. Oddałbym wszystko, żeby zastrzelić Johna Wayne'a.)

Te miłe, pogodne wspominki spełniły swoją rolę. Przenikliwy ból osłabł i dzięki Bogu czuję się już teraz tylko fatalnie. Nie ma to jak eskapizm.

Sloane Square okazał się złym miejscem na wypoczynek. (Nie znaczy to, żebym miał wielki wybór. Musiałem gdzieś przysiąść.) Sloane Square nie nadaje się z tego powodu, że na jego tle szaleńcze tempo mojego upadku staje się jeszcze wyraźniejsze. W Cambridge bez trudu wtapiałem się w to środowisko. Teraz zamieszkujemy różne galaktyki, należymy do różnych gatunków.

Właśnie minęła mnie grupka ślicznych dziewcząt; przecięły plac zmierzając ku wejściu do metra.

Napawałem oczy ich widokiem z rozkoszą, lecz i ze smutkiem - z apatyczną, nie mającą z nimi nic wspólnego *tristesse*. Były takie czyste, młode i miłe. Już nie dla mnie. Najgorsze, że na mnie patrzyły. Rzucały takie spojrzenia, jakie moje dawne dziewczyny rezerwowały dla kalek, wypadków drogowych i insektów. Ciężkie zdziwienia - w ich świecie nie ma przecież miejsca na takie rzeczy - i chłodny niesmak. Teraz tak właśnie patrzono na mnie, i to jawniej niż zwykle. Widocznie w ich oczach nie byłem dostatecznie człowiekiem, by zrozumieć wymowę tych spojrzeń. A może od tej strony wygląda to inaczej, ostrzej.

Poprawiam sobie nastrój, patrząc w obłoczne rejony. Są piękne, po prostu śliczne. Czasem niełatwo umiejscowić wieczór w rankingu urody pór dnia, ale ten jest wyjątkowy; to najlepszy fragment dzisiejszej doby. Na niebie rozciągają się grube ciemnopomarańczowe pasma. Dzień oddycha, powoli zapomina o porażkach i łąsi się do ciebie dźwięcząc swą kwaśną wesołością. Musisz jednak pamiętać, że jest kłamliwy i zły. Nie daj mu się. Bądź twardy.

Nie minęło wiele czasu, nim doszczętnie zepsułem sobie opinię w Cambridge. Czułem się bezkarny; mój szorstki celtycki *image* sprawiał, że zbyt wiele puszczano mi płazem. Przeciągałem strunę. Posuwałem się za daleko. Wdawałem się w bójki, opuszczałem wykłady, kłamałem, wywoływałem awantury, docinałem

wykładowcom i stawałem się coraz mniej lubiany. Miałem świetne notowania u portierów, pokojówek i personelu kuchni, ale reszta uniwersyteckiego świata zaczynała mieć mnie dość. Na kolacji w Klubie Wioślarskim (gdzie wszedłem bez zaproszenia) zagadnąłem żonę dziekana jak podrzędną dziwkę i zostałem wyrzucony za drzwi. Przy innej pijackiej okazji wsadziłem rękę pod habit brata Buntinga, naszego franciszkańskiego kapelana. Omawiając twórczość Jane Austen dałem w dziób koledze z roku, bo mi się sprzeciwiał. Lśniłem. Brylowałem. Oszalałem. Pewnie wydawało mi się to zabawne, oryginalne lub miłe. Byłem w błędzie.

Zaczęły docierać do mnie echa antyripleyowskiej kampanii wśród profesorów. Rzekomo nie zamierzali dłużej znosić moich wesołkowatych wybryków. Deptałem im po odciskach, czym nie przysparzałem sobie sympatyków. Struna ostatecznie pękła, gdy pod koniec pierwszego roku zrugalem w ostrych słowach dochodzącego wykładowcę z King's College. Pretekstem do dyskusji stała się „The Faerie Queene”. Trockistowskie brednie tego uczonego w piśmie durnia podziały mi na nerwy. Powiedziałem mu bardzo dokładnie, kim jest. Zajęło mi to sporo czasu.

Ta właśnie kropla przepełniła czarę. Zostałem zawezwany przed oblicze doktora Byrona, opiekuna roku. Dzień był deszczowy i zimny. Wiatr wyśpiewywał przenikliwe elegie na zabytkowych schodach. Drzwi

otworzyła mi sekretarka Byrona. Jak u większości mężczyzn, słowa „osobista sekretarka” budzą we mnie bardzo miłe skojarzenia. Stara wiedźma pachnąca szpitalem i pastylkami miętowymi, która powitała mnie spojrzeniem pełnym zgorszenia i niewysłowionej wzdargy, stanowiła żywe zaprzeczenie popularnego archetypu. Wyglądała na ten typ wrednej suki, która szczyci się tym, jaką jest wredną suką. Wśród romantycznej braci studenckiej krążył mit, jakoby była perwersyjną nimfomanką ze szczególnym upodobaniem do zgrzybiałych naukowców. Woląłem sobie tego nie wyobrażać. Z odrazą zmierzyła wzrokiem mój wymięty przyodziewek i zarośnięte oblicze. (Miała prawo. Tego dnia wyglądałem gorzej niż zwykle. Miałem za sobą kolejną depresyjną noc. Marzyłem o Laurze, gadałem do siebie i całowałem poduszkę.)

Oznajmiła mi tonem lodowatym, że spóźniłem się aż dziesięć minut. Sprawilo jej to wyraźną przyjemność. Uradowany jej szczęściem, omal nie zwierzyłem się jej ze szczegółów mojego skomplikowanego żywota, lecz nim zdążyłem otworzyć usta, wstała i z cichym, profesjonalnym szelestem trącej o rajstopy spódnicy znikła w sąsiednim pokoju. Po chwili zjawiała się ponownie i grobowym głosem, tchnącym uzasadnioną pogardą dla mnie i mnie podobnych, oznajmiła:

- Może pan wejść.

Mogę? Niemożliwe! Ależ spotkała mnie łaska! No, skoro mogę, to wejdę w podskokach. Hip, hip, hura!

- Dziękuję - odparłem godnie.

Gabinet Byrona był wielki, sklepiony, przepastny jak jaskinia. Ciemna boazeria i ciężkie rzeźbione stare meble - cudownie wykonane i okryte tą czcigodną akademicką patyną, którą ogląda się w filmach z epoki. W ogóle przypominało to nieco kadr z filmu. Olbrzymie, złożone z małych szybek okna wpuszczały do pokoju wielkie płaty światła o dziwacznym muzealnym zabarwieniu. W kącie stał duży, stosownie spłowiały globus, drzwi blokował pajęczokształtny teleskop. Książki, stare i nowe, stały w karnym szyku na półkach - papierowa palisada wiedzy i dociekliwości. Pompatyczne szacowne tomiska, wszystkie w twardych oprawach, żadne nie splamione kawą czy dżemem. Sam Byron siedział za wielkim biurkiem przy oknie wychodzącym na rzekę. Kiedy wszedłem, z roztargnieniem podniósł głowę i wdzięcznym ruchem wyzwolił się z fotela. Jego tweedowy garnitur o barwie przydymionej ochry kapitalnie współgrał ze staroświecką atmosferą wnętrza.

„Cześć, profesorku. Przyszedłem dać się ubrać w kaftan bezpieczeństwa.”

Oczywiście nic takiego nie powiedziałem. Byron odezwał się pierwszy.

- A, pan Bogle! - Uścisnęliśmy sobie dłonie z siłą proporcjonalną do wieku. - Proszę, niech pan siada.

Usadawiłem się w starym fotelu i ostentacyjnie poskrobałem po jajkach. Skoro ma mnie wyrzucić, nie będę się silił na grzeczność. Byron pozostał na środku

pokoju.

- Napije się pan sherry?

- Nie, po sherry chce mi się rzygać. Ale dzięki za dobre chęci.

Miałem zamiar nim wstrząsnąć, wyprowadzić go z równowagi. Czekałem na atak furii. Przez ułamek sekundy panowała cisza, po czym odparł żywo:

- Istotnie, mnie również przyprawia o podobne dolegliwości. Cóż, wytyczne zalecają nam częstować nią studentów. - Nieco zmieszany zasiadł naprzeciw mnie.

Nie speszony jego zimną krwią, przeszedłem do następnej fazy ataku. Wyciągnąłem papierosa, zapaliłem nie pytając o pozwolenie i otoczyłem się wonną chmurą dymu, patrząc nań wyzywająco. Tego, pomyślałem złośliwie, mimo najlepszych chęci nie będziesz mógł zignorować. Staruszek stracił mnie z piedestału, mówiąc:

- Czy mógłby pan poczęstować mnie papierosem?

- Słucham?

- Poprosiłem o papierosa.

Zdruzgotany poczęstowałem go fajką i podałem mu ogień drżącą ręką. Jezu Chryste! Ten człowiek nie walczył w mojej wadze!

Byron usiadł prościej, jego zaszuszoną twarz opromienił blask spokojnego piękna.

- Widzi pan, w zasadzie mi nie wolno... Mój lekarz to odrażający faszysta, a sekretarka rości sobie niepodważalne prawo do kontroli nad zawartością moich płuc, dopóki u mnie pracuje. W efekcie nigdy nie mam

własnych papierosów i muszę zebrać od ludzi.

Zamilkł na chwilę. Jego mała głowa na tle okna przypominała wycięty z papieru profil.

- Ale do rzeczy. Jak się zdaje, miał pan ostatnio kilka drobnych problemów. Na przykład zatarg z członkiem ciała profesorskiego innego kolegium. Tak... Dżentelmenów, jak mi doniesiono, absolutnie odmawia nauczania pana. Mhm... Stanowisko nieco skrajne, nie uważa pan? Na Boga, cóż takiego pan mu powiedział?... A raczej, bo to istotniejsze: dlaczego mu pan to powiedział?

Poczułem się pewniej. Na widnokręgu nareszcie zamajaczyło pole bitwy. Spojrzałem na staruszkę tak bezczelnie, jak tylko zdołałem, i wypaliłem:

- Stwierdził, że marnuję czas na uczelni, ponieważ nie napisałem zadanego przez niego kretyńskiego eseju i nie chciałem przyznać, że Fielding był protomarksistą, cokolwiek by to miało oznaczać. Powiedział, że jestem powierzchowny, irytujący i niedorozwinięty umysłowo, ja zaś, będąc człowiekiem o ciętym języku i mściwej naturze, odpowiedziałem mu, że logika i forma wyglądają w jego ujęciu jak para owłosionych jaj, a on sam jest kupą gówna.

Uśmiechnąłem się triumfalnie. Teraz byłem z siebie zadowolony.

- Hm, no cóż... - chrząknął Byron - trudno odmówić panu odrobiny racji.

- Słucham? - pisałem z niedowierzaniem.

- Był pan w pewnym stopniu usprawiedliwiony.

Dobór słów świadczyć może o pana wzburzeniu, ale pomijając kwestie leksykalne, ten człowiek sam pana sprowokował.

Nie tak to sobie zaplanowałem. Byron zarumienił się lekko. Stary oszust miał na tyle przyzwoitości, by zawstydzić się tego podstępnego uniku.

- Na tym sprawę można by zakończyć - podjął spiesznie - choć oczywiście zmuszony będę udzielić panu nagany za obrazę wykładowcy... co niniejszym czynię. I dość o tym. Przejdźmy do następnej kwestii. Panie Bogle, czy czuje się pan tu szczęśliwy?

- Ja... eee... no...

- Podejrzewam, że przeżył pan poważne rozczarowanie.

- Hm, no... W sumie tak.

Uśmiechnął się mądrym anielskim uśmiechem. Stary drań dokładnie to sobie przemyślał.

- Wcale mnie to nie dziwi - rzekł. - I w pewnym sensie tak być powinno. Ma pan uczucie, że tu nie pasuje lub coś tym guście, prawda?

- No cóż...

- Postrzega się pan jako zbuntowany outsider. Co w pana pojęciu jest tu zupełnym *novum*.

Byron teatralnym gestem wskazał okno. Chyba świetnie się bawił. Podjął, wyraźnie akcentując każde słowo:

- Te mury, panie Bogle, od ośmiuset lat goszczą wyłącznie buntowników. Nieprzystosowanych,

pragnących przełamać ciasne scholastyczne ramy. I obawiam się, że również pan ich nie zburzy, drogi chłopcze. Oglądałem wielu zbuntowanych studentów, którzy opuszczali tę elitarną uczelnię, by stać się prominentnymi figurami tego samego establishmentu, którym pogardzali w młodości. Ba, nasze największe dotacje pochodzą od tych, którzy buntowali się najbardziej. To wszystko słowa. Wytarte, puste słowa. Czy i pan pójdzie tą samą drogą? Podejrzewam, że tak. Ma pan w sobie równie wiele młodzieńczej arogancji. Ale to za mało, by wyrósć ponad tradycję naszego uniwersytetu.

Miałem wrażenie, że w gabinecie zaroilo się od szacownych cieni, które zwały szeregi, przychodząc Byronowi w sukurs. Nawet dębowa boazeria górowała nade mną wiekiem i tradycją. Brawo! Oklaski! Po co się buntować, skoro to i tak nic nie da? Gapiłem się na Byrona, usiłując zebrać myśli.

- ... Niech pan mi wierzy, panie Bogle, pasuje pan do nas lepiej, niż jest pan sobie w stanie wyobrazić. Mimo pańskich wysiłków, by udowodnić coś wręcz przeciwnego...

- Urwał dla większego efektu. - Widzi pan, pańskie zachowanie jest dla mnie dziwnie krzepiące. Choć nieco zbyt ordynarne, rzecz jasna. Najwięcej radości sprawiają nam tacy studenci jak pan. Cambridge to dla pana wymarzone miejsce i sam pan o tym dobrze wie.

Uśmiechnął się blado, jak ktoś, kto sam nigdy nie

był młody. Przedstawienie dobiegało końca.

- To chyba już wszystko, co chciałem panu powiedzieć. - Zerknął na mnie życzliwie. - Poza sugestią, aby zainwestował pan w maszynkę do golenia i mydło.

Poskrobałem się po zarośniętym podbródku. W tamtych czasach też nie lubiłem się golić. Ludzie się nie zmieniają.

- Czy chce pan jeszcze coś dodać? - spytał Byron.

Miałem bardzo wiele do dodania. Chciałem i ja dać popis, zagwoździć te jego pompatyczne ciężkie działa i zmasakrować go werbalnie.

- Nie, nie sędzę - bąknąłem.

Wstaliśmy obaj. Byron zdusił papierosa w doniczce. Zwrócił wyblakłą staroświecką twarz ku staroświeckiej wyblakłej panoramie za oknem.

- Cambridge się zmienia - rzekł - aczkolwiek, co mówię z zadowoleniem, ani prędko, ani też dogłębnie. Zasady pozostają te same. Czy się to panu podoba, czy nie, wstępując na tę uczelnię, wstąpił pan w szeregi elity. Arystokracji, merytokracji; jakkolwiek pan by ją zwał, jest to elita. Prawdziwi egalitaryści nie przyjeżdżają do Cambridge.

Patrzyłem na szarą rzekę pocętkowaną kroplami deszczu.

- Decyzja ta - ciągnął - podminowała pańską przynależność klasową. Wkrótce stare więzy całkiem znikną. Cambridge ukształtuje pana według swego wzorca. Jak wszystkich. Stanie się pan jednym z nas...

lub kimś równie okropnym. Musi pan zadać sobie pytanie: czy to naprawdę tak źle? Hm?

Zwrócił ku mnie starą, królewską twarz okraszoną przyjacielskim uśmiechem, zapowiedzią przyszłego braterstwa. Zrobiło mi się niedobrze. Ponownie uścisnęliśmy sobie dłonie i ruszyłem do drzwi, chcąc wyrwać się z kokonu tego przeładowanego wnętrza. W progu zatrzymał mnie łagodny głos Byrona. Usadowiony z powrotem w swoim przytulnym kącie, odgradzony oknem od zacinającej ulewy, patrzył na mnie w szarym mroku.

- Byłbym zapomniał. Jeszcze jedno, panie Bogle. Jeśli jeszcze raz zrobi pan coś takiego, w ciągu godziny wyleci pan stąd na pysk. Proszę mi wierzyć. Dziękuję panu, to wszystko.

Wyszedłem, póki mogłem utrzymać się na nogach.

Wpadlibyście na coś takiego? Przewrotny stary drań! „Dawne więzy znikną!” Muszę przyznać, zrobił ze mnie sieczkę. Dziw, że pozwolił mi wyjść o własnych siłach. Nauczył mnie pokory, bez dwóch zdań.

Po tej rozmowie odrobinę zmądrzałem. Walka szła na noże, a nie chciałem się pozbawiać komfortowych warunków. Nie miałem też zamiaru rezygnować z jedynej szansy zdobycia Laury, marnować tylu włożonych wysiłków, tym bardziej że coś jakby drgnęło. Ale o tym jeszcze wam opowiem. Mamy sporo czasu.

Ciemność ciemnieje. Witaj, nocy. Latarnie nabierają sił i przyćmiewają światło gwiazd. Chodniki zaściela zdeptane kwiecie ciśnięte na zaturę rozrzutnym wiońnianym gestem.

Ulicę przecina grupka złożona z trzech młodych Murzynów. Idą zamaszystym, rozkołysanym krokiem. Właściwie powinienem się wstydzic, że znam tak niewielu kolorowych. W Belfaście ich po prostu nie ma, a Cambridge też nie pęka w szwach od nadmiaru szalonych rastafarian. Tak więc to nie moja wina. Ilekroć jednak próbowałem być miły dla człowieka o ciemnej skórze, zarzucano mi fałsz, maskowane poczucie wyższości bądź krótko określano mnie mianem białego skurwysyna. Może ci ludzie mają swoje powody - nie wnikiem. Dość, że łakną krwi. (Zapomniałem wspomnieć: po dzisiejszym incydencie cierpię na dotkliwe zaburzenia naczyniowe. Jestem pewien, że to wstrząs. Moje żywotne organy są w niebezpieczeństwie. Nie mogę sobie pozwolić na utratę kolejnej porcji krwi. Więc wara ode mnie, panowie.)

- Co tak ciemno?
- Goryle uciekły z zoo!
- Te, Kunta Kinte, chcesz banana?
- Wracajcie na drzewo, dupki!

Okrzyki dobiegają z drugiego końca placu, gdzie rozsiadło się kilku białych młodzieńców. Śmieją się hałaśliwie i robią małe gesty. To nie włóczędzy. Są czyściutcy, odprasowani, z dobrych domów. Ich zaczepki

są leniwe, wyzute z prawdziwej nienawiści. Czarni obracają się i jak na komendę wystawiają prowokacyjnie środkowe palce. Biali krzyczą głośniejsze, ale nie ruszają się z miejsca, toteż czarni wzruszają ramionami i idą dalej. Tak kończy się większość tych drobnych incydentów - bez konkluzji, bez przemocy. Podnieceni biali chichoczą, gratulują sobie daru wymowy.

Prawdę mówiąc, nie widzę wiele sensu w przywiązywaniu takiej wagi do barw. Ci faceci mieszkają w tym samym kraju, mają taki sam akcent, grają w krykieta i śmieją się z dowcipów o mieszkańcach Bletchley. Są tacy sami jak reszta, tylko czarni (też mi problem!). I znacznie, znacznie lepsi od Walijszczyków.

Patrzę na niebo. Niebo patrzy na mnie. Wypełnione raketami, satelitami, stacjami orbitalnymi nocne niebo wydaje się niższe, bliższe. Kosmos zstąpił o stopień bliżej nas. Współczesne niebo jest ciasno owinięte wokół Ziemi, jak bibułka na pomarańczy. Podnosząc głowę, człowiek sam nie wie, co jeszcze tam zobaczy. Wkrótce zaczną wystrzeliwać tablice reklamowe. Noc straciła dystans, tajemniczości urok. Rozpościera się tuż nad głową, zwyczajna i nudna.

Przed popadnięciem w skrajną nudę chroni mnie dzisiejsza rana. Ból odzywa się ponownie, trochę zbyt brutalnie jak na mój gust. Zaczynam się martwić - na tym ostrzu mogły być Bóg wie jakie brudy. Wolałbym się ustrzec gangreny i tęcza, ale poza włamaniem do apteki niewiele mogę zrobić. Nie, nie chcę iść do szpitala.

Powinienem był to przemyć. No to zaraz przemyję. (Nie ma to jak płukanie ran w publicznej toalecie!) Ewentualnie mógłbym ją obsikać. Mocz ma właściwości odkażające. Tylko kiedy pomyślę, jakie akrobacje musiałbym wykonać, żeby nasikać sobie na pierś... Życie nie szczędzi mi wyzwania.

Wsuwam rękę pod płaszcz i z zadowoleniem stwierdzam, że prowizoryczny opatrunek nie jest już taki mokry. Suchy również nie jest i boli jak cholera, ale przynajmniej nie wykrwawiam się na śmierć.

Wstaję. Mój dwugłowy cień wyrywa się do przodu. Idę za nim, lecz ucieka, chytry potwór. Przecinam jezdnię w bełkotliwym szumie samochodów i autobusów. Ulicę wypełnia śmiech, ludzie kroczą szybko, napędzani alkoholem i weekendową adrenaliną. Wykrzykują imiona - z niedowierzaniem, kpina, radością. „Jenny! Ha, ha, Martin! Juuulia!” Panuje świąteczny nastrój. Młode pary włączają się splecione ciasno niczym zakochane kraby. Grupy chłopców i dziewcząt doganiają się nawzajem, otaczają, przegrupowują. Pijący uginają się pod ciężarem butelek i puszek. Wszyscy cieszą się hałaśliwie; z upływem nocy hałas będzie się niestety wzmacniał. Oni mają przed sobą wytyczony szlak. Podobnie jak ja.

I tym szlakiem, boleśnie zgięty w pół, podążam.

7

Z Laurą dopiąłem celu szybciej, niż się spodziewałem. (To eufemizm, albowiem w ogóle nie spodziewałem się dopiąć celu.) Sprawy własnym biegiem osiągnęły finał - jak to zwykle bywa.

Maj. Jak co roku ostatni tydzień ciągnął się nieznośnie. Oblewano egzaminy, wiosłowano po rzece, pito alkohol i wszyscy mieli już przed oczyma wypocony koniec roku. Ulice jęczały pod naporem przystrojonych w czarne krawaty zarozumialców, gburów i cyników. Wiele hałasu i niewiele snu. Cambridge majaczyło w sesyjnej gorączce. (Lekarze nie dawali mi wielkich nadziei.)

Wieczór wielkiego balu w Trinity College. Słońce zaszło, opuściło nas bez żalu i poszło świecić gdzie indziej. Noc wciąż się spóźniała - latem ma wiele obowiązków i rzadko zdąża na czas. Na niebie spiskowały chmury, gotowe obsikać każdą wyśledzoną zabawę. Mrok, deszcz, chłód i wiatr to kwartet zwyczajowo angażowany na każdy majowy bal.

Bal ów zaprzętał nasze myśli przez cały ostatni trymestr. Zgodziłem się towarzyszyć pewnej brzyduli z Clare College, która strasznie się na mnie napaliła (któż mógłby ją winić?). Miała na imię Emily, cuchnący oddech i zamiar zrobienia kariery w bankowości. Usiłowałem ją polubić - ostatecznie zapłaciła za mój bilet - ale jakoś mi się nie udało. Bez przerwy mówiła o

finansach i giełdzie papierów wartościowych. Boże, ależ ta dziewczyna była nudna! Oznajmiła mi, że jestem śliczny i kochany, ale jeśli zostawię ją samą na parkiecie w połowie imprezy, odrąbie mi fiuta. Ona płaci, ona ustala warunki. Uśmiechnąłem się z przymusem, starając się być miły. Ciekawe, czy dziewczyny, za które ktoś płaci, też otrzymują podobne ultimatum. Całkiem możliwe, skonkludowałem w duchu.

Muszę zaznaczyć, że tego wieczoru byłem wyjątkowo urodziwy. W smokingu wyglądałem jak marzenie, czego zapewne byście się nie spodziewali po facecie wyciągniętym z rynsztoka. Wysoki, smukły, gładki... Moje rysy nabrały klasycznej symetrii. (Słowo daję, miałem nawet dołek w podbródku! Rano zniknął.) Oczy lśniły zagadkowym zielonym blaskiem. Byłem oszałamiający. Dorośli mężczyźni mdleli z pożądania, kiedy ich mijalem. Omal nie aresztowano mnie za przekroczenie limitu urody na terenie zabudowanym. Byłem piękny nad ludzkie wyobrażenie. Mielibyście chęć mnie zgwałcić na środku skrzyżowania.

Cieszyło mnie to z dwóch powodów. Po pierwsze, Laura miała być na balu; chciałem, by dokładnie się przyjrzała, co traci. (Liczyłem i na to, że skonfrontowany ze mną Greg sam zapadnie się pod ziemię.) Po wtóre, miałem nadzieję, że uwieszony na moim boskim ramieniu kaszalot imieniem Emily uświadomi sobie rażącą niestosowność swych uzurpatorskich zakusów, zawstydzi się, spłoni i zemknie, nim porazi ją grom z nieba.

Majowa noc! Wszystko czekało: dekoracje ustawione, aktorzy zgromadzeni, scenariusz gotowy. Wlokąc za sobą zakochaną Emily ruszyłem w bój, zdecydowany zostać królem balu.

Cztery godziny później. Zapadł zmrok. Emily została skutecznie spławiona; poruszałem się po scenie hermafrodytycznie sam. Otchłanna, bezkształtna paszcza obsceniczej nocy toczyła pianę mroku i chaosu. Stare budynki kuliły się w cieniu, strząsając z siebie trupio bagienne błyski kolorowych żarówek. W powietrzu zgrzytała kakofoniczna muzyka z głośników i desperackie akordy kilku amatorskich kapel. Trawa zwijała się pod zrącymi bryzgami wymiocin. Ciemność tętniła, pchana wezbraną falą niepoohamowanej wesołości.

Wyzwolone mięsiste ciała, żółte od potu, wyginały się szpetnie w dzikich podrygach. Kosztowne wieczorowe suknie zmiatały brud. Tańczący mieli szkliste oczy i ruchy manekinów. Butelki i kieliszki pękały pod nogami i kruszyły się w zdeptanej trawie, światło i ciemność splatały się w wynaturzonych, nieprzyzwoitych pozach. Niedojedzone potrawy okrywały się pleśnią na stołach i krzesłach. Wierście mi, nie wyglądało to uroczo. Wcześniej jakaś młoda dama nasikała mi na buty. Zobaczyłem nagle kształtny biały tyłeczek i - chlust! Spostrzegłszy mnie, właścicielka tyłeczka zachichotała głupkowato. Gdzie podziała się skromność i dobre maniery?

Wbrew sobie nie czułem się przygnębiony. Pławiłem się w poczuciu, jak wspaniale wyglądam, żeglując trzeźwy i piękny przez to bagno nieumiarkowania. Zapaliłem papierosa i ukradłem butelkę szampana dziewczynie leżącej bez zmysłów pod markizą. Zawsze gotów nieść pomoc, sprawdziłem jej puls, nim odszedłem w poszukiwaniu spokojniejszego miejsca, gdzie mógłbym zakotwiczyć swą urodziwą ascetyczną samotność na resztę nocy, okadzając się nikotyną i racząc szlachetnym trunkiem.

Po drugiej stronie rzeki było jeszcze gorzej. Znacznie pochłodziło, lecz nie przeszkadzało to członkiniom elity hasać w kieckach opuszczonych do pasa. Widok ich bladych chudych piersi napełnił mnie dziwną odrazą. Owszem, lubię cycuszki, ale to nieśmiałe stworzenia, którym służy dyskrecja i nie lubią być obnażane publicznie. Sposepniałem. Poczuję się zaściankowy, cnotliwy i męsko-gorzko-sentymentalny.

Brnąłem przez epicentrum imprezy szamoczące się wśród drzew na skraju parku. Tu, w mroku, byli śmielsi. Wrzeszczeli, śpiewali śmiali się i walili bez przytomności na ziemię, rozpaczliwie próbując dowieść całemu światu, że się świetnie bawią. Ubarwiali swoje przyszłe wspomnienia, i to jak! Trudno było nie wdepnąć w barwnego pawia. W bardzo ciemnym i stosunkowo słabo zarzyganym zakątku zobaczyłem półnagie pary splecione w różnych smętnych parodiach miłosnego aktu. Noc dygotała i upiornie rzeziła z rozkoszy. Nijak nie

mogłem dociec, jak to się wszystko ma do wyższej kultury.

Nieco dalej, już na samym obrzeżu parku, natknąłem się na trzy pijane pary przemieszczające się chaotycznymi zygzakami. Pewnie gapowicze. No cóż, bądźmy sprawiedliwi: ja też nie płaciłem za bilet. Przyspieszyłem kroku, żeby ich minąć, i nagle serce stanęło mi w gardle tak brutalnie, jak to ono potrafi. Laura. Laura w obłoku jasnych włosów, w zielonej sukni odsłaniającej mlecznobiałe ramiona. Zataczała się u boku nienormalnego Grega, króla uczelnianych krasnoludków. Greg pierwszy mnie zauważył i powiedział coś do pozostałych. Wszyscy wbili we mnie wzrok pełen pijackiej agresji. Myśl, że nareszcie rozbiję kilka makówek, od razu podniosła mnie na duchu. Greg i jego koledzy oderwali się od dziewczyn, poszeptali chwilę, a następnie ruszyli ku mnie chwiejnym kowbojskim krokiem. O, tak! - radowałem się w duchu. Bliżej! Dajcie mi tylko pretekst. Wejdźcie do mojego ogródka, chłopcy. Wejdźcie do mojego świata. Już ja wam go pokażę.

Zatrzymali się tuż przede mną. Uśmiechnąłem się pobłażliwie.

- Cześć, chłopaki - powiedziałem ze spokojem.

Nie otrzymałem odpowiedzi. Ziemista twarz Grega powlekła się akrobatyczną kombinacją złości i pogardy. Dałbym sobie z nim radę jedną ręką, ale pozostali dwaj byli więksi i masywniejsi. Na ich otepiałych obliczach z

pewnym opóźnieniem wykiełkowała złośliwa wesołość. Uśmiechnąłem się ponownie. Wszyscy czterej szczerzyliśmy do siebie zęby jak małpy.

- Chętnie bym z wami pogawędził, przyjaciele - rzuciłem gładko - ale muszę iść.

- Nie tak prędko - warknął nieustraszony Greg. Oj, prosił się o fangę! Zebrawszy odwagę i zmusiwszy do współpracy drętwy język, dodał: - Powinieneś być zostać w swojej oborze, Paddy. Nikt cię tu nie chce.

Ach, tak? Zerknąłem ponad jego ramieniem w stronę dziewcząt. Oczywiście. *Cherchez la femme*. Zachichotałem radośnie. Biedny stary Greg, biedny zakochany gnom! Wyobraziłem sobie, co zobaczył, patrząc na mnie - o dwie stopy wyższego, o jard szerszego w ramionach i o półtorej mili przystojniejszego. Miałem ochotę dać mu buzi na pociechę.

- Nie słyszałeś? - pisnął, podniecając się. - Głuchy jesteś? Nie chcemy cię tutaj. Nie pasujesz do nas, synu.

Pochyliłem się, przytykając dłoń do ucha, by dosłyszeć ten głosik kastrata. Przerażające. Wprost trząsałem się ze strachu. Zaśmiałem się gromko i ominąłem go z demonstracyjnym lekceważeniem. Najwyższy z jego towarzyszy zastąpił mi drogę. Był całkiem spory i już się nie uśmiechał. Z nim przynajmniej nie miałbym wrażeń, że biję mysz. Puściłem do niego oko.

Zza pleców doleciał mnie mysi pisk Grega:

- Nigdzie nie pójdziesz, pastuchu!

Obejrzałem się.

- Zdawało mi się, że mnie tu nie chcecie? -
zauważyłem logicznie.

Na zmarszczonym obliczu mojego rywala odmalowała się konsternacja. Omal nie pękłem ze śmiechu. Zaniepokojone dziewczyny zaczęły wołać do kochasiów, żeby się w to nie mieszały (cokolwiek „to” miałoby znaczyć). Poparłem je:

- Właśnie, chłopcy, słuchajcie mądrej rady. Chyba nie chcemy awantury, prawda?

- Zamknij się - warknął Greg.

- No co ty - zdziwiłem się - na nic więcej cię nie stać?

Laura podbiegła i szarpnęła go za rękaw. Patrzyła na mnie - słowo daję, widziałem, jak rumieni się ze wstydu! - szepcząc mu coś do ucha. Z pewnością tym czymś była pochwała pacyfizmu. Jednakże Grega i spółkę wciąż korciło, żeby skopać mi tyłek. Najwyraźniej nie wzięli pod uwagę różnicy doświadczenia nabytego w jakże różnych środowiskach. Ich było trzech, aleja wychowałem się na Falls Road, na Falls zaś człowiek prędko uczy się rozmaitych perfidnych a skutecznych chwytów. Grałem w pierwszej lidze, oni najwyżej w trzeciej. Nie mieli ze mną szans. Już się cieszyłem, że dam im pokazową lekcję tego, na co stać starą dobrą klasę robotniczą. Laura będzie zachwycona. Umieszczenie rywala w szpitalu to najowocniejsza znana

mężczyznom technika seksualna.

- Proszę cię, Greg. Proszę!

Głos też miała piękny. Słyszając ten intymny ton omal nie udławiłem się z zazdrości. Spojrzałem na nich: Piękna i bestia. Toż to przestępstwo, zbrodnia! Opanowałem chęć, by runąć ku niej z ustami złożonymi do pocałunku, zacisnąłem zęby i postarałem się wyglądać tak ślicznie, jak to tylko możliwe.

Mogłem rzucić się jej w ramiona. Mogłem też wykazać się męskością, wdeptując w ziemię wszystkich trzech przeciwników. Nie zrobiłem tego. Doszedłem do wniosku, że i tak nie mam szans załśnić romantycznym blaskiem, obróciłem się więc na pięcie i odszedłem nie czekając, aż ci trzej zbiorą się na odwagę.

Kiedy się obejrzałem, szli w przeciwnym kierunku. Laura i Greg zostali nieco w tyle. Greg, zgięty w pół, rzygał obficie i z zaangażowaniem. Laura uniosła głowę, spojrzała na mnie. Wpadło mi na myśl kilka gestów, które mógłbym zrobić. Żaden nie wydał mi się odpowiedni, dałem sobie zatem spokój.

Tak... Znów porażka. Kolejna zmarnowana szansa. Po co się tak uparłem? W Cambridge było wiele ślicznych, rozumnych dziewcząt. Komu potrzebna do szczęścia właśnie ona?

Mnie.

W końcu znalazłem sobie spokojne miejsce nad strumykiem, z dala od balowego zgiełku. Usadziłem pupę w trawie i grzecznie przywitałem się z kapuśniaczkiem,

który właśnie zaczął siąpić z ponurego nieba. Zapaliłem, pociągnąłem łyk szampana z butelki. We własnym towarzystwie człowiek czuje się najlepiej. Noc, dysząc z wyczerpania, czołgała się w stronę świtu. Czekałem wraz z nią na nadejście dnia.

Ranek znalazł mnie w tym samym miejscu, smutnego i zmarzniętego. Wilgotna ściereczka brzasku wypolerowała świat do połysku, skwapliwie zacierając nocne grzechy. Rzeka toczyła się niemrawo, niebo było miękkie i przepaszające. Na trawnikach poniewierały się śmieci, skacowane markizy zwieszały mokre płachty odarte z nocnego czaru sceptycznym spojrzeniem słońca. Alejkami snuły się pary w wieczorowych strojach - znużone i zmięte, na poły zachwycone, na poły zawstydzone swymi świeżymi, kruchymi aliansami.

Dobrze, a gdzie Bogle? - zapytacie. Powtarzam: tam, gdzieśmy go zostawili. Na samym końcu nadrzecznego bulwaru, ukryty wśród gałęzi wierzb płaczących, karmi kaczki okruchami znalezionej w trawie bułki. Plecy oparte o wilgotny, ojcowski pień drzewa. Palce rwą pieczywo. Umysł zapadł w przyjemny letarg. Ma za sobą dobrą noc. Zimną, mokrą i ciemną, lecz na swój sposób miłą. Jedną z jego najlepszych nocy pod gołym niebem.

Wstyd się przyznać, ale wspominałem Maurice'a. Ta szaleńcza noc i niespokojny brzask nastroiły mnie do głębszych refleksji, nasyciły delikatnym farszem żalu. W takich chwilach pogmatwane sny przemawiają do

człowieka, gdy wygładza je żelazkiem wspomnień.

Spłoszone kaczkę zerwały się do ucieczki, tracąc apetyt. Usłyszałem, jak czyjś głos szepcze moje imię. Zaskoczony podniosłem głowę. Słońce mnie oślepiło, tak że najpierw rozpoznałem sukienkę. Cudownie, pomyślałem. Właściwy moment jest istotą liryzmu. Próbowałem zapanować nad swym banalnie wrażliwym sercem, lecz ono jak zwykle skoczyło mi wprost do gardła.

- Witaj, Lauro - wyjąkałem. (Całkiem nieźle w porównaniu z moimi wcześniejszymi popisami.)

Powiedziała, że szuka mnie od wielu godzin. Chciała przeprosić za nocne zajście. Greg był pijany. Zwykle tak się nie zachowuje. Ma kłopoty z pracą magisterską i puszczają mu nerwy. Na pewno już żałuje tego, co powiedział.

Nim jeszcze skończyła, łkałem ze wzruszenia i żalu. Biedny Greg! Ach, cóż ja najlepszego zrobiłem!

No, to niezupełnie prawda. Uśmiechnąłem się i rzuciłem subtelną uwagę typu: „A kogo obchodzi ten kretyn?”

Nie, też nie. Poprawka. Po prostu się uśmiechnąłem i nic nie odpowiedziałem. Moje wypowiedzi nie robiły dotąd najlepszego wrażenia na Laurze. Postanowiłem zmienić taktykę. Milczeć jak głaz. Trochę się bałem, ale byłem dobrej myśli.

Laura najwidoczniej przeżyła ciężką noc. Sukienkę miała rozdartą w paru miejscach, włosy w nieładzie.

Teoretycznie przedstawiała sobą obraz nędzy i rozpacz, lecz ja oczywiście byłem nią urzeczony. Wyglądała jeszcze ładniej niż zwykle; niedbały strój tylko podkreślał jej wdzięki. Podzegała moje zmysły, bezwstydnica. Byłem wściekły: nie grała fair. W ramach kontrofensywy zaproponowałem jej, żeby usiadła.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie? - rzuciłem na chybił trafił.

Ku memu nieogarnionemu zdumieniu Laura Markham zeszła na brzeg strumyka i klapnęła na trawę obok mnie, nie zważając na to, że ziemia jest mokra po deszczu. Zrzuciła buty i zaśmiała się. A niech mnie, pomyślałem, jeśli to nie jest to. Mamo, mateńko, jestem o krok od prawdziwego szczęścia!

I co robi w takiej chwili szczęśliwy człowiek? Umiera na serce? Píše wiersz? Zdziera z ukochanej bieliznę? Nie. Postąpiłem jak każdy prawdziwy mężczyzna: straciłem mowę. Przez pięć minut siedziałem niczym ostatni tłupek, starając się wymyślić, co by tu inteligentnego powiedzieć. Jej nagie ramię dotykało mojego, chwyciłem w usta jej ciepły, kwaskowy od wina oddech. Jej włosy miękko muskały mi szyję, krew we mnie wrzała, a wzwidziony członek obijał mi się o podbródek (pocziwe pragmatyczne hormoniska!). Nie posiadałem się z radości. Każdy miewa w życiu takie chwile, kiedy po prostu wie. Kiedy zyskuje erotyczną pewność. Co prawda długo to trwało, ale ja już tę pewność miałem. Gwiazdka w tym roku wypadła w maju;

przy odrobinie szczęścia czekała mnie moc cielesnych rozkoszy.

Laura przyszła. Była tutaj. *Avec moi*. Wyglądało na to, że jednak pozwoli mi się kochać. Po tylu czarnych od rozpaczki dniach. Właśnie wtedy, kiedy już odesłałem Nadzieję do mamusi. Ta głęboka myśl zaabsorbowała mnie bez reszty, toteż po pięciu minutach zdołałem wydukać jedynie:

- Pewnie ci zimno?

- Tak.

Wykorzystała okazję! Zdjąłem marynarkę i otuliłem nią jej gładkie, kształtne arystokratyczne ramiona. Targała mną niewysłowiona czułość. Dygoczącymi rękami wysupłałem papierosa i zapaliłem, żeby pokryć panikę. Jej uroda bolała, druzgotała mi serce. Wypaliłem. Uspokoilem się. Moja biała wieczorowa koszula jaśniała enigmatycznie, przecięta krwistymi smugami zadziornie czerwonych szelek. Zwróciłem twarz ku Laurze i oczy zamgliły mi się ze wzruszenia. Uśmiechnęła się o cal od mych pożądlivych irlandzkich ust. Po co mieliśmy rozmawiać? Zasadą w takich sytuacjach jest zamknąć dziób i przybrać wyczekujący wyraz twarzy. Podziałało.

Przywarła do mnie i mocno pocałowała, przyciskając moją głowę do pnia. Potem się cofnęła zaniepokojona, podejrziwa.

- O co chodzi? - spytała. - Czy nie tego chciałeś?

Nagle zrozumiałem: ona nie ma pojęcia, iż najchętniej zjadłbym tę jej małą okrągłą pupkę. O tym

nie pomyślałem. Nie przyszło mi to do głowy. Jakim cudem nie dostrzegła mego cieleącego zauroczenia? Taka piękna, a nie skalana próżnością! Tak, to niewątpliwie była dziewczyna dla mnie. I to ona, królowa moich snów, przed chwilą mnie pocałowała! Drżącym głosem odpowiedziałem:

- Tak, to jest prawie dokładnie to, czego chcę.

Tylko się nie śmiejcie, z łaski swojej. Nic na to nie poradzę. Byłem młody. Do ludzi w tym wieku przemawia tania liryka, im tańsza, tym lepsza. Zresztą dlaczego mam się usprawiedliwiać? Kochałem tę dziewczynę. A w każdym razie kochałem ją tak, jak umiałem. (Czyli bardziej, niż skłonni bylibyście przypuścić.)

Ucieszy was wieść, że przeszliśmy wprost do rzeczy. Laura wyznała mi, że już od pierwszej chwili zakochała się we mnie bez pamięci. Sądziła, że to widzę. Wyjaśniłem, że jakoś nie przyszło mi to do głowy. (Ho, ho!)

Później zjedliśmy razem śniadanie w zapyziałej kawiarence przy Chesterton Road. Zbzikowana staruszka, która nas obsługiwała (romantyczka przekonana, nie wiedzieć czemu, że jestem Szkotem, do tego z Dunfermline), szczebiotała, że cieszy się widząc tak szczęśliwą młodą parę, pytała, czy chcemy się pobrać i tym podobne. Była to Niagara na mój uczuciowy młyn. To miłe, że życie czasem demonstruje swoje ekscentryczne kaprysy we właściwym miejscu i czasie.

(Byłem babinie taki wdzięczny, że omal nie zostawiłem jej dziesięciu funtów napiwku.)

Śniadanie było cudowne, a obiad jeszcze lepszy. Kolacja zaś biła jedno i drugie na głowę. Krótko mówiąc, spędziliśmy razem cały dzień. Ruszyliśmy w dal - ona ubrana w moją smokingową marynarkę, ja młody i rycerski w koszuli. Kroczyliśmy wolno przez drogi, ścieżki i pola; mijaliśmy wioski, nawet ich nie dostrzegając. Widzieliśmy tylko siebie, napawaliśmy się sobą. Wreszcie razem - nie do wiary.

Mój Boże, jakież byłem szczęśliwy! Oto ja, Ripley Bogle, wyrzutek i drzazga w oku ludzi obdarzonych dobrym smakiem, paraduję w pięknym wiosennym pejzażu u boku tej cudownej, eterycznej Angielki! Przyjemnie było pomyśleć sobie, iż jednak osiągnąłem w życiu jakiś sukces.

Co za dzień! Na samo wspomnienie jeszcze dziś Izy cisną mi się do oczu. Pogoda, jakby chcąc zatrzeć złe wrażenie, okraśniała ów dzień radosnym, ciepłym słońcem. Ludzie, których mijaliśmy po drodze, jakby sprzysięgli się, by okazać nam sympatię. Uśmiechali się, machali do nas, salutowali i widać było, że nam zazdroszczą. Wszystko składało się na moje szczęście. Jej oczy, jej słowa, jej śmiech... Usta Laury były miękkim zaproszeniem do pocałunku; jej cień okrywał moją twarz. Miałem wszystko, czego pragnąłem na tym świecie. Płonałem z miłości.

Zapadła noc i nogi odmówiły nam posłuszeństwa.

Byliśmy oddaleni o wiele mil od miasta. Ciemność odebrała nam wzrok, skazując nas na gorączkowy dotyk. Opadliśmy na trawę i ciepła letnia noc dokonała reszty, usłała nam łoże na wielkich fotogenicznych polach hrabstwa Cambridge. (Tutejsi rolnicy fryzują żywopłoty i kąpią owce w szamponie.) Skóra paliła mnie z wdzięczności, gdy czciłem czyste, nieosłonięte ciało Laury w zmiętej trawie.

Pomyślałem: udało się. Nareszcie się udało. Paliłem papierosa, a ona spała z głową opartą na moim ramieniu (zaskakująco niewygodna pozycja: ramię drętwieje w ciągu kilku minut). W ciszy snułem różne wnikliwe rozważania. Nie wiedzieć czym sobie na to zasłużyłem, ale najwidoczniej zostałem skazany na szczęście. Zerknąłem na jej uśpioną twarz. Niemożliwe, pomyślałem, a gdzie haczyk? Gdzie dopisana drobnym druczkiem klauzula o zapłacie? To nie przetrwa. Rzeczywistość wedrze się i wszystko zniszczy. Dziewczyny zawsze w końcu odchodzą. Gorzknieją, zaczynają mieć do ciebie pretensje, potem tańczą na twoim grobie i wykpiwają twą pamięć. No i co z tego? zadecydowałem. Chłopie, choć przez chwilę żyj jasną terażniejszością! Zadowolony patrzyłem, jak zaspane ptaki budzą się, wzbijają w górę i świergoczą nowinę o dwojgu dziwnych szczęśliwych istot ukrytych tu przed światem.

Och, Lauro, i ty mi to zrobiłaś! Dlaczego, na Boga,

gdy szczerą miłość była na wyciągnięcie ręki i przy tobie
mogłem stać się mężczyzną!

8

Północ. Bloomsbury. Ławka przed British Museum.
Zimno. Ciemno. Niespokojnie.

Oooouch! Psiakrew!

No tak, cudnie. Mam problem z pępkiem. Boli jak cholera i na dodatek znów zaczął krwawić. To ciekawe, że nie istnieje obszar ciała, który można by uznać za bezpieczny. Każdy potrafi się zmienić w rozpalone do białości narzędzie tortur i każdy chętnie da ci do wiwatu, jeśli dostrzeże choćby cień szansy.

Mój brzuch się na mnie mści. Ma do mnie pretensje, że pozwoliłem go zranić. Próbowałem przemówić mu do rozumu, ale wiecie, jakie są brzuchy - trudno z nimi racjonalnie dyskutować. No dobra, przynajmniej przestał broczyć krwią. Zaczynałem się już niepokoić. Nie wiem, ile jej dokładnie straciłem, lecz chyba na tyle dużo, aby tego nie lekceważyć. Szkoda, że jednak nie poszedłem na pogotowie. Teraz jestem za bardzo zmęczony; może zrobię to jutro, kiedy poczuję się lepiej.

Droga z King's Road sporo mnie nauczyła, choć myślałem, że wiem wszystko o sobotnich nocach. (Zostałem zmuszony do rewizji poglądów.) Był to jeden wielki eksces: pijacy, snobi, chuligani, zboczeńcy, bezdomni, smarkacze i wariaci pokazywali, w co może człowieka zmienić ulica. W kął poszły wszystkie zasady, wszystkie normy. Nastął wielki bal, szaleństwo

rozpasanej imaginacji. Horror.

Przemykałem się pod ścianami ignorując zaczepki, drwiny, wyzwiska i groźby. Nie mam zamiaru powiększać swej kolekcji chlubnych blizn. Dziwne, że tylu ludzi ostatnimi czasy irytuję.

Byłem dumny ze swej samokontroli (względnie tchórzostwa). Bywają takie noce, gdy wystarczy, że ktoś zacznie mi się przyglądać, i już lecę na niego z pięściami. Innym razem znowu nadkładałam całe mile, żeby uniknąć awantury. Pozwalam ludziom kpić ze mnie, mieszać mnie z błotem, obmacywać po jajkach i pluć mi w twarz. Nazywam to zdolnością przystosowawczą.

Generalnie staram się trzymać z dala od konfliktów. Bójek przed dyskotekami i nocnymi klubami oraz tym podobnych mocnych wrażeń poszukiwanych przez młodzież. Skokowych wyładowań głupoty. Nie są zbyt zabawne, a często bołą.

Tu, w Bloomsbury, świat wygląda na normalny, spokojny i nawet nieco zacofany. Przytulne małe knajpki i ładne, dobrze zaopatrzone księgarnie. Polubiłem takie miejsca w czasie pobytu w Cambridge. To zasługa Laury. Uparcie podciągała mnie w górę. Była dobrą nauczycielką; kulturę miała we krwi. Ucywilizowawszy nieco irlandzkiego dzikusa, zaprosiła mnie nawet do swojego rodzinnego domu w Oksfordzie, rezydencji wielkiej jak garnizon wojskowy (znacznie większej od szkoły, do której chodziłem w Belfaście). Tatuś był ucieleśnieniem szacowności. Nie pamiętam dokładnie,

jakie zajmował stanowisko - króla Anglii, Boga wszechmogącego lub kogoś w tym rodzaju - dość, że był zabójczo wielkopański. Spłodził kilkunastu dwuipółmetrowych synów tudzież grupkę zdrowych, urodziwych cór. Czuję się w tym towarzystwie mały i niedożywiony. Co dziwne, tatuś z łezką w oku wspominał karłowatego Grega. Ten przynajmniej pochodził z odpowiedniej klasy, czego ja nie mogłem o sobie powiedzieć. Wypytywano mnie o rodzinę. Odparłem, że ojciec, uznany lekarz, odumarł mnie w dzieciństwie, matka zaś, pisarka, wkrótce podążyła w jego ślady. Wychowywała mnie cioteczna babka, uciekinierka z Polski. Widziałem, że nie bardzo mi wierzą, lecz nie mieli śmiałości wprost zarzucić mi kłamstwa, toteż milczeli.

Nie wywarłem na nich najlepszego wrażenia. Na całe szczęście siostry Laury stwierdziły jednogłośnie, że jestem niezwykle przystojny. To pozwoliło mi składać wizyty ukochanej, ilekroć zdołałem wyrwać się z roboty (w lecie pracowałem na budowie w Brixton). Odwiedzałem ją więc z perfidną regularnością. A kiedy ja nie mogłem, przyjeżdżała ona i natychmiast ciągnęła mnie do łóżka. Pokazała mi zupełnie inny Londyn - atrakcyjny, wytworny, pełen galerii, teatrów i ładnych miejsc. Stanowił on właściwą oprawę dla mej niewiarygodnej euforii. Po tygodniu pocenia się w rubasznym męskim towarzystwie wskakiwałem w elegancki garnitur, myłem zęby i powściągałem plugawy

język, po czym udawałem się na randkę z moją królową z bajki, dzieckiem innej planety. Miało to wszelkie cechy sympatycznego układu.

Całe to lato było fantastyczne, wyjątkowe, nieziemskie. Londyn wychodził ze skóry, żeby nam dogodzić. Słońce świeciło dłużej niż zwykle, a turyści niewątpliwie zwęszyli, że jesteśmy w mieście, schodzili bowiem z naszych romantycznych szlaków. Laura uczyła mnie właściwych zachowań, szlifowała mój gust i upodobniała mnie do ludzi ze swojej sfery. Dni poświęciliśmy wrażeniom estetycznym, noc - długotrwałym i wyrafinowanym pieścizotom. Odkryłem, że seks z osobą, którą się kocha, jest zupełnie inny, jest oszałamiający. Bardzo wiele się wtedy nauczyłem.

A ilekroć spojrzałem na Laureę, zapierało mi dech z zachwyty. Składała się z perfekcyjnych części. Każdy jej nawet najdrobniejszy gest stanowił ukoronowanie ideału. Jej sukienki, buty, rozmaite fatałaszkki uwodziły mnie na własny rachunek. Zaczynałem rozumieć, co czują fetyszyści. Okrywając ciało Laury, te szmatki przestawały być odzieżą, stawały się płótnami, na których malowała portret swej urody. Biała koronka, błękitny jedwab, barwny szyfon, wełna i dobry smak - wszystko to, z czego wcześniej szydziłem - nałożone na odpowiednią dziewczynę potrafiło być niesamowicie seksowne.

To było moje najlepsze lato (prawdę mówiąc, nie ma z czego wybierać). Wciąż się bałem, że los mi nie

pozwole długo się nim cieszyć. Nie przywykłem do takiego szczęścia. Nie ja. Miałem wrażenie, że łamię prawo. Spełnienie to niebezpieczny dar, zagraża stanowczości i zdrowemu rozsądkowi. I co z tego, mówiłem sobie. Na wszystko jest pora. Kto wie, może właśnie przełamałem złą passę.

Słyszałem kiedyś, że człowiek najbardziej kocha winnych własne odbicie. To nieprawda. Człowiek kocha w innych to, czego nie ma szans ujrzeć w sobie. A jak wy uważacie?

Miłość to śliska sprawa, wymaga rozsądku i opanowania. Próbowałem trzymać się w ryzach. Nie rozdmuchiwać nadziei. Taktyka jest w zasadzie prosta: żądaj mniej, niż dostajesz (ma ona oczywiście wiele wad, ale będąc wytrwałym w uczuciach, nie wypadniesz z gry). A kiedy dostrzeżesz swoją szansę, maleńką szczelinę, okazję, pędź co sił i ufaj, że się powiedzie.

Laura należała do ulubionych dzieci Bożych. Do tych, którym się poszczęściło ponad ludzką miarę. Była promykiem światła, okruczem dobra w moim życiu. Na pewien czas, bardzo krótki czas, sprawiła, że stałem się taki jak ona. Podciągnęła mnie do połowy drogi wzwyż, ku sobie. Zostałem zaproszony do krainy czarów. Jestem jej wdzięczny za to interludium.

W ciemności powiał wiatr, zaśmiecające ulicę papierzyska wyrwały się na wolność i harcują. Plakaty łopoczą rytmicznie, płachty gazet toczą się i wzbijają w

górze niczym staroświeckie dwupłatowce. Wiatr świszczy, porzucone puszki klekoczą, śmieci szemrzą bezczelnie. Mam ochotę bić brawo, ale czułbym się trochę głupio. Choć jestem w stanie ciągłej wojny z pogodą, muszę jej to przyznać - ma fantazję.

Dokucza mi już zmęczenie. Oczy mnie pieką, myśli zwalniają biegu. Wszystkie klarujące się zamiary idą w rozsypkę i czuję znów znajome ripleyowskie uczucie, że życie wymyka mi się spod kontroli. Niezdarnie próbuję ją odzyskać. To szkopuł sam w sobie, reumatyczny trąd herezji, który pozostawia malownicze dziury w mym rozsądku. Rozumiecie ten słowotok? Dowodzi, że jestem roztrzęsiony. Wręcz rozdygotany.

Jedyne, co pozwala mi zachować przytomność, to stały ból promieniujący z pokiereszowanego brzucha. Pięć minut temu kaszlnąłem. Wykrztusiłem grudkę flegmy, która więzła mi w krtani, a także świeżą strużkę krwi z rany. Cierpię czyścicowe męki, ale jakby gwoli zadośćuczynienia rozpalona rana jest jedynym źródłem ciepła w moim stygnącym ciele. Wyczerpanie zdziera ci palto i szalik, wystawia na kąsający chłód i w końcu jest ci tak zimno, że nie możesz zasnąć, nie możesz odpocząć. Ironia losu. Zabawna. I niesprawiedliwa.

Dzisiejszej nocy sporo myślę o Perrym. Chyba zastosowałem w stosunku do niego złą taktykę. Nic dziwnego - młodym trudno się porozumieć ze starymi i chorymi. Martwi nas, że nie potrafimy ich pocieszyć. To błąd (moim zdaniem). Dlaczego koniecznie mamy ich

pocieszać? W sumie nic im nie dolega - prócz starości. Czy starość to kalectwo?

Perry nie potrzebuje mego niezdarnego współczucia. (Patrząc na mnie w tej chwili, sam pewnie by mi współczuł.) Zasluguje na coś więcej. Muszę się bardziej postarać. Stać na wysokości zadania i zapisać nową kartę w dziejach naszej znajomości. Traktować go z szacunkiem. Nie przemawiać doń protekcjonalnie. I muszę się z tym pospieszyć, żeby zdążyć, nim stuknięcie młotka obwieści koniec licytacji.

Jeeeeeeeeeeeeeeee!

Dysharmoniczny, anonimowy krzyk londyńskiej ulicy. Alkoholowa pieśń triumfu, obłędu i rozpaczycy pochodząca ze zbioru „Wyobcowanie oraz inne bajki”.

Ooooooouuuuu!

Następny. Cześć, stary, ja też jestem wariatem. Trylując w chórze nie będziemy się czuli tak głupio.

To artyści, adepci najczystszej z form.

Aaaaaooooooooooooouooooooooaaaa!

Proszę, mamy trio! Wiele problemów przybiera dziś wokalną postać. Mam nadzieję, że śpiewacy nie stworzą koalicji i nie zaczną się rozglądać, kogo by złożyć na ołtarzu swoich smutków.

Zza rogu wychodzi rosły, tęgi policjant w wysokim hełmie. Dyskretnie, z namysłem zerka w moją stronę. Siadam nieco prościej, nonszalancko zakładam nawet nogę na nogę. Przecieram oczy i przyzywam zimną krew.

- Bry wieczór - mówi.

- Dobry wieczór - odpowiadam.
- Zimno dziś.
- O, tak.

Przystaje, poprawia swe śmieszne nakrycie głowy i rytmicznie przerzuca ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Zebrało mu się na rozmowę, słowo daję! Jest stary jak na krawężnika, zbliża się do pięćdziesiątki i wyraźnie sięga teraz do swych bogatych doświadczeń, by rozwiązać dylemat: jestem włóczęgą czy też nie. Szczelnie zapięty płaszcz zakrywa moją zakrwawioną koszulę, lecz i tak wątpię, bym siedząc tu prezentował sobą obraz szczęścia i zamożnej stabilizacji.

- Jak leci? - pyta lekko.
- Hm... doskonale.
- To dobrze.
- Owszem.

Uśmiecha się ostrożnie. W jego spojrzeniu nie ma wrogości, ale czai się w nim rezerwa; podejrzewam, że zdążył już wyciągnąć większość wniosków. Strzela oczyma w prawo, w lewo, w tył, w przód, w ten specyficzny sposób właściwy policjantom. Odznaka na hełmie błyszczy w żółtym świetle latami, nadając mu wygląd herosa. W końcu jego wzrok spokojnie zatrzymuje się na mnie. Próbuję się uśmiechnąć możliwie beztrąsko. Gliniarz pobłażliwie kiwa głową.

- No to dobranoc.
- Dobranoc panu.

Rusza dalej powłóczystym patrolowym krokiem.

Śmieszny facet. Z początku bałem się, że mnie pobije lub zastrzeli. Cieszę się, iż londyńscy policjanci kultywują dawne cnoty. Dzięki nim my, kloszardzi, możemy przeżyć. Ciekawe, czego ode mnie chciał. Czy wyglądam na kryminalistę? Czy to ja zatłukłem włóczęgę w Hyde Parku? Czy ktokolwiek mnie szuka? Wątpię.

Rozmawiając z policjantem czuję się upokorzony, nawet jeśli jest miły. Gdzie te czasy, gdy zwracałem się do nich wyniośle: „Posterunkowy!” lub „Konstablu” albo nawet „Mój dobry człowieku”! Dziś nie ośmieliłbym się tego spróbować.

British Museum lśni własnym blaskiem, rozmywają mi się w nim pobliskie witryny. Wyteżając wzrok, czytam plakaty w oknie księgami. William Etty, George Eliot. „Pejzaże z Hampshire 1840 - 1914”. Obok „Filozofia chińska”, zarys historyczny pióra Martina Freemana. Słowa i obrazy chwieją się, replikują i bledną. Wyczerpanie to chaotyczny system przekłamań pamięci i zachwiania wnikliwości myśli. Porządek i sens idą w odstawkę, miernota fascynuje, logika odstręcza, a najprostsze rzeczy wydają się nie do pojęcia. Wyczerpanie zaburza percepcję, kwestionuje celowość. Niszczy podstawy inteligencji. Każe ci myśleć o bzdurach.

W pobliżu rozlega się radosny dźwięk tłuczonego szkła. Krzyki, w nich agresja i strach. Mam nadzieję, że znajomemu policjantowi nic nie grozi. Hałas cichnie nagle, słychać tylko komiczne pogwizdywanie wiatru.

Powiewają proporczyki śmieci. Ten wiatr to satyryk, ironista. I cynik.

Wiatr czy nie wiatr, muszę się przespać. Głowa sama mi opada, myśli migają jak zepsuty neon. Jutro jest niedziela i będę potrzebował sporo sił, żeby przetrwać tę ciężką próbę. Pewnie zauważyliście, że dziś udało mi się nie ględzić bez przerwy o fajkach? Staralem się o nich zapomnieć (z miernym powodzeniem). Dzięki najwyższemu i nietypowemu wysiłkowi woli udało mi się jednak dochować do tej chwili trzy papierosy. To dobrze, choć wątpię, by ujrzały światło poranka. Choćbym dostał śpiączki, pójdą z dymem jeszcze tej nocy. Jutro muszę coś wykombinować. Może zahaczę Perry'ego o parę funtów. Głód też będzie się dopraszać uwagi. Podobnie rana - i to bez pardonu. Jutrzejszy dzień nie zapowiada się najprzyjemniej. Wcale do niego nie tęsknię. No cóż, zobaczymy, jak to będzie.

Z bezbłędnym wyczuciem chwili zaczyna padać deszcz. Ha, ha. Cześć, wodo, świetnie wyglądasz. Głowę plamią mi drobne, natarczywe krople. Chodnik jest w kropki, potem w cętki, potem w grochy. To powolny, łagodny proces. Nikt się tu nie spieszy. Leniwy deszczyk zbytnio się nie wysila. Nagle ustaje tak samo nagle, jak nagle się zaczął. Co za pogoda, na litość boską! Nie mówiłem? Coś dziwnego dzieje się z klimatem. A może po prostu wcześniej tego nie zauważałem, nie mam pewności. Jestem zmęczony, nie możecie polegać na moich osądach.

Laura powiedziała kiedyś, że nie wyobraża sobie, bym dożył dwudziestu pięciu lat. Widziała we mnie postać mgliście tragiczną, dla której nie ma miejsca w normalnym, prostym i wyczerpanym z namiętności świecie. Było to w szczytowym okresie naszej miłości i właśnie przez pół nocy śpiewała dla mnie wiązkę pieśni orgazmicznych, nie wziąłem więc jej słów zbyt poważnie. Dziewczyny często mówią ci to, co ich zdaniem (zwykle błędnym) chciałbyś usłyszeć. Miłosiernie puściłem w niepamięć owo wesolutkie stwierdzenie. Ale dziś zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem Laura nie miała racji. Jeśli mi się przyjrzeć, naprawdę jestem postacią tragiczną.

Moje czujne wnętrzości pilnują, bym broń Boże nie wlaź na piedestał romantycznej melancholii. Kwaśne, żrące odbicie pali mnie w gardle tak, że omal nie mdleję. Chryste! Na to jest tylko jedno lekarstwo. Wyciągam cennego papierosa z pustoszejącej kieszeni i w szalonym pośpiechu zapalam zapałkę. Zgasła. Próbuję następną. Szlag! Mam jeszcze tylko trzy. Osłaniam płaszczem zgięte ramię i próbuję jeszcze raz z desperacko przekrzywioną głową. Grudka siarki pluje i syczy, ale budzi się do kruchego migotliwego życia. Zaciągam się. Dym łagodzi pieczenie, tłumi odór kwasu. Siadam nieco wygodniej, rozluźniam kolana i wtykam ręce do kieszeni. Opanowuję się.

Niedziela

1

Dzień już mruć. Mru, mru. To irytujący dźwięk charakterystyczny dla niedziel. Pomimo mej nietypowej pozycji w społeczeństwie niedziele mnie przerażają. Napawają duszę tępą instynktowną grozą. Przypisywane niedzieli zalety - wypoczynek, odprężenie, komfort i czas na rozmyślanie - dla większości ludzi są niedostępne. To ściśle elitarne rozrywki. Tylko duchowni, wdowy i krykieści lubią niedziele. Ja osobiście nie znam nikogo, kto by je lubił.

Ta konkretna niedziela jest wyjątkowo zła. Zaczęła się fatalnie. Dziś rano umarł Perry. Niestety. (Dopuszczam myśl, że umarł w nocy, ale w niedzielny poranek był już martwy - winna jest więc niedziela.)

Perry nie żyje. Zadaję sobie pytanie, jak się w związku z tym czuję, i nie jestem pewien. Chyba źle. W każdym razie niezbyt dobrze. Nie wydaję radosnych okrzyków. Jestem smutny, przygnębiony i pełen gorzkości. Zmagając się ze swym egoizmem odkrywam, że lubiłem Perry'ego. Tak było. Miałem dla niego mnóstwo podziwu, wdzięczności i współczucia.

Litość ma w dzisiejszych czasach złą prasę. Bóg jeden wie, dlaczego ludzie tak się złością stwierdzając, że ktoś się nad nimi lituje. Głupcy. Kto dał nam prawo

deprecjonować to uczucie? Ja sam w tej chwili chętnie pozwoliłbym komuś litować się nade mną. Przyjąłbym każdą miłosierną ofertę. Litość jest emocją pozytywną. Może być piękna. Przypomnijcie sobie ostatni raz, kiedy naprawdę litowaliście się nad kimś. Nad dzieckiem, żoną, matką czy kimkolwiek innym. Widzicie? To wcale nie jest nieprzyjemne doznanie. Po trzykroć „hura” dla litości! Nie ukrywajmy słabości; przy odrobinie szczęścia wcale nie trzeba się jej wstydzić. Istnieje pośród nas. Posuńmy się, zróbmy jej miejsce. Zlitujmy się nad nią. (Ja kultywuję swoją słabość; niedługo mnie przerośnie.)

Kiedy rankiem zjawiłem się w Putney, Perry'ego nie było nad rzeką. Poszedłem więc do tej jego rudery, gdzie zastałem zabieganego lekarza, dwóch policjantów i personel karetki pogotowia. Właśnie pakowali Perry'ego do worka. Nie musiałem nawet pytać.

Za to gliniarze wypytywali mnie przez chwilę. Byli wściekli, że akurat pojawiłem się na scenie. Moje ewentualne zeznanie oznaczało kolejny papierek, a ci dwaj nie wyglądali na kandydatów do Nobla w dziedzinie literatury. W związku z powyższym nie okazali mi wiele szacunku; również lekarz zbył mnie dość obcesowo, kiedy go zapytałem, na co staruszek umarł. Bredził przez chwilę o rozedmie, po czym oddalił się pospiesznie. Trudno mi ich winić. Sceneria nie nastrajała do pogaduszek. Dobrze, że Perry tego nie widział.

Jak się okazuje, Perry był znany w niższych sferach

Putney; pisano o nim nawet w lokalnych szmatławcach. Ochrzczono go „starcem znad rzeki” lub jakoś równie kretyńsko pompatycznie. W trakcie wynoszenia zwłok pojawił się miejscowy fotoreporter, żeby uwiecznić na kliszy zgasłą sławę. Był bardzo podniecony tym artystycznym wyzwaniem i chciał, żebym mu pozował ze stosownie żalobną miną. Odpowiedziałem mu brzydko, co może zrobić, musiał więc się zadowolić zdjęciami szopy, policjantów i karetki. Mam wrażenie, że jednak pstryknął mi fotkę, kiedy nie patrzyłem. Byłem zanadto zmęczony, by się z nim awanturować.

Umknąłem stamtąd czym prędzej - chciało mi się płakać, a gliniarze zaczęli się mną interesować. Udało mi się wyłudzić kilka fajek od sanitariusza. Miły facet; kiedy wkładałem papierosy do kieszeni, zauważył, że jestem ranny, i chciał mnie zawieźć do szpitala. Obiecałem mu, że sam później zgłoszę się na pogotowie. Nie wiem, czy uwierzył.

Nim odszedłem, spytał, czy chcę je zobaczyć. Kiedy dotarło do mnie, że mówi o ciele Perry'ego, byłem przerażony. Nie, przenigdy! Już zapakowany był dla mnie do zniesienia. Czysto, sprawnie, bez dramatów. Gdybym go zobaczył, zostałby ze mną na zawsze - martwy i prawdziwszy niż dawniej. A tak wytłumaczyłem sobie, że po prostu odszedł. Zachowałem wspomnienie. Tak było łatwiej.

Wiecie, że płakałem wracając do miasta? Płakałem w głos. Czasem tego rodzaju smutek dopada człowieka z

opóźnieniem, ale gdy cię już ogłuszy, długo nie możesz się pozbierać. Żałoba to straszna rzecz. Potępiającym okiem odziera cię z dumy i miłości własnej. Kiedy ktoś ci umarł, najdrobniejszy gest, najbłahsza przyjemność wydaje się zbrodnią egoizmu - jak palenie papierosa przy osobie chorej na raka płuc. Przebiegasz od a do z listę rzeczy, których tamten już nigdy nie będzie robił. Masz uczucie, że kradniesz drogiemu zmarłemu niebo i powietrze, zapachy i dźwięki. Opanuj się. To nie twoja wina, że umarł. I nie czuj się winny, że ty jeszcze żyjesz.

Żal to płacz nad rozlanym mlekiem. Żal to kiedy w dzieciństwie stłuczysz najlepszy wazon i modlisz się o jego cudowne scalenie, zanim wrócą rodzice. Żal chce cofnąć czas, błaga o drugą szansę. Śmierć jest inna. Definitywna, absolutna, nieodwracalna. Śmierć oznacza koniec. Zniszczenie narządów i funkcji istoty ludzkiej. Odejście intelektu i duszy. Kropka. Żal nie może nagiąć tych reguł.

Chciałbym odprawić żałobę po Perrym, ale nie wiem jak. Cierpię na nadmiar wzruszenia i bólu, którego nie potrafię zagospodarować. Lubiłem staruszka, byłem mu wdzięczny za opiekę i pomoc, cóż jednak mogę poradzić na jego śmierć? Nie mam kwalifikacji na płaczkę. Zresztą wątpię, by tego ode mnie oczekiwał. Może nawet wzdrygnąłby się z niesmakiem.

Kiedy umarł mój ojciec, byłem za młody i za głupi, żeby wiedzieć, jak powinienem zareagować. Kiedy zginął Maurice, odegrałem parodię żalu składającą się głównie

z gniewu, poczucia winy, nienawiści i skruchy. Żadna z tych gwałtownych emocji nie nadaje się na podzwonne po Perrym, ale jestem zbyt skołowany, aby wymyślić coś innego.

Chyba powinienem zawiadomić jego rodzinę. Wspominałem, że ma synów? Wiem, gdzie mieszka jeden z nich. Umyję się, żeby nie zrobić staremu wstydu, i pójdę do niego. Tak zrobię. Na pewno zechce usłyszeć o śmierci ojca. Nikt nie jest tak nieczuły ani tak zajęty, by nie znaleźć chwili czasu dla posłańca złych wieści. Ja, przyjaciel i mentor staruszka, człowiek, który nauczył go, jak przeżyć, zostanę tam podjęty z honorami.

Brednie. Skoro żaden nie zatroszczył się o ojca, gdy ten jeszcze żył, z pewnością nie będą się roztkliwiać usłyszawszy, że nareszcie przeniósł się do wieczności. A ja jestem zanadto brudny i obdarty, by grać rolę Sumienia. Bez szans. Nie zdołam ich zaciekawić.

Niezbyt spektakularna śmierć, prawda? Kiepska jednoaktówka, w której udział wzięło pięciu znudzonych i spieszących się zawodowców, bezczelny fotograf i sentymentalny spóźniony włóczęga. Może w oczach świata Perry nie był wiele wart, ale zasługiwał na coś więcej. Tego jestem pewien.

Muszę się przyznać do czegoś straszego. Kiedy wszyscy byli zajęci Perrym, pospiesznie przetrząsałem szopę i zwinąłem jego forszę. Wiedziałem, gdzie będzie, i była tam w puszcze po tytoniu, zagrzebana pod kupą

zielska. Siedemdziesiąt pięć funtów. Skąd, u licha, wziął tyle szmalu? Siedemdziesiąt pięć funtów, Chryste panie, fortuna! Wsunąłem pieniądze do kieszeni i wyszedłem na zewnątrz.

Odrażające, nieprawdaż? Wiem, że Perry wolałby dać forszę mnie, niż pozwolić, by przepadła w otchłani pogrzebowej biurokracji. Lubił mnie. Wiecie o tym, sami widzieliście. Dlatego nie zgrzeszyłem biorąc te pieniądze. Zgrzeszyłem szukając ich.

Jest jeszcze jedna straszna rzecz, do której muszę się przyznać. Wracając do miasta pełen odrazy do samego siebie wdrapałem się na most Waterloo i cisnąłem te siedemdziesiąt pięć funtów do rzeki. Wyrzuciłem do wody dwadzieścia paczek Benson&Hedges, okrągły tyśiąc papierosów! I znów jestem bez grosza, ale przynajmniej zachowałem godność. Ha, kurwa, ha! Panie w niebiesiech, co ja czasem wyprawiam...

Któregoś razu Perry opowiedział mi o swoich snach. Śniło mu się, że znów jest młody. Zdrowy, sprawny i wygadany. Budził się potem z tak miłym uczuciem, że stopniowo zaczął śnić na jawie także w ciągu dnia - z początku mimowolnie, później rozmyślnie. W fantazji nie widział siebie takim, jaki rzeczywiście był w młodości, lecz jakby ulepszoną wersję siebie - wyższą, silniejszą, przystojniejszą, inteligentniejszą i (uśmiejecie się) z większym członkiem. Miło jest, powiedział, mieć znów

płaski brzuch i silne, umięśnione nogi. Gęste włosy i gładką cerę. Śniąc czuł się cudownie, ale potem zawsze było mu głupio. Tęsknotę, by być kimś innym, uważał za żalostną i hańbiącą. Ot, rojenia starego wariata.

Powiedziałem, żeby się nie przejmował, dorzucając kilka krzepiących frazesów. Zacząłem się jednak martwić, gdy sam przyłapałem się na podobnych fantazjach, że miewał je Perry - w porządku, ale ja jestem jeszcze miody! Nie przyznałem mu się do tego. Założyłem, że go to nie zainteresuje.

2

Wyjmuję pierwszą z wyżebranych fajek. Przyglądam jej się z bliska, świadom silnych więzów, jakie łączą mnie z tą cienką tutką. Biorę zapałkę i mocną, śmiałą dłonią uderzam. Płomień, żar. W ekstazie zasysam dym. Oto ja, Vlad Palacz, niszczyciel papierosów, których imię legion.

Boże, jaki czuję się szczęśliwy! Znów jestem sobą. Wydycham prostą, jasną smugę związków węgla. Na niebie płaczą cicho zastygłe szare chmury. Tak jest lepiej. Paradoksalnie słoneczne niedziele są najcięższe do zniesienia. Ta przynajmniej niczego nie udaje. Ocieka mżawką, bezcelowością i nudą. Można ją zabutelkować i opatrzyć etykietą: „Esencja niedzieli” - pytanie tylko, kto by to kupił. Z pewnością Amerykanie. I być może Walijczycy.

Teraz, gdy patrzę wstecz z bezpiecznego dystansu kilku godzin, wydaje mi się niewiarygodne, że wrzuciłem do Tamizy siedemdziesiąt pięć szeleszczących dostatkami funtów. Idiota. Teraz by mi się przydały. Bardzo by mi się przydały, bo... pewnie się domyślacie? Zawitał do mnie Głód. Rano wysłał goryli, żeby mnie trochę postraszyć. Wyrzuciłem ich za drzwi. Teraz więc pofatygował się do mnie sam Wielki Boss. Pewnie już usłyszał, że pozbyłem się forsy, i wcale go to nie bawi. Obliczył, że te pieniądze, gdyby mądrze nimi

gospodarować, zapewniłyby mi żarcie na miesiąc. Grozi, że wytnie mi nerki i przybije je gwoździami do uszu. Chyba się nieco wściekł.

Muszę coś przedsięwziąć, to jasne. Nie jadłem od piątku, od owej hucznej dobroczynnej uczyty, i nie wiem, jak długo mój żołądek zgodzi się jeszcze odwlekać egzekucję. Pewno niezbyt długo, jak go znam. Po tych wszystkich przeżyciach, z których udało mi się wyjść obronną ręką, nie chcę zwyczajnie wykorkować z braku paliwa. Potrzeba mi mnóstwo glukozy; dźwigam ciężkie brzemię smutku, z którym muszę się uporać.

Zresztą już prawie kończę. Moja opowieść zbliża się do finału. Zostało tylko parę drobnych konkluzji i nieścisłości, które należy sprostować. A potem zapieczętować i won. Już niebawem.

W końcu wyleciałem z Cambridge. Lub, jeśli wolicie - zostałem skreślony z listy studentów. W jednej chwili straciłem wszystkie z trudem zdobyte przywileje. Stary Byron orzekł, iż nie przykładałem się dostatecznie do nauki, ale to tylko część prawdy. Pozostała, większa część, sprowadza się do tego, że narobiłem sobie zbyt wielu wrogów. Obraziłem o jednego wykładowcę za dużo (ściślej mówiąc, o kilkunastu za dużo). Uznali mnie za prostaka i mąciwodę. Takich ludzi nie chcą na swojej uczelni. No i wyleciałem na pysk.

Naturalnie zbiło mnie to z tropu. Straciłem byt i pozycję społeczną - wszystko. Wiele pracy kosztowało

mnie dostanie się do Cambridge. A teraz, po tylu staraniach, znalazłem się z powrotem w tym samym miejscu, z którego wyszedłem - po niewłaściwej stronie ulicy Gównianej.

Chyba najbardziej zabolalo mnie, że w ten sposób kompletnie zaprzepaciłem wszystkie wysiłki zainwestowane w Laurę. Roilem sobie, że to będzie coś trwałego. Laura oczywiście była na mnie wściekła. Uznała, że sam jestem sobie winien, że zmarnowałem swoje zdolności etc. Miała rzecz jasna słuszność, co ją jeszcze bardziej wkurzało. Jej prawo. Nie muszę chyba dodawać, iż nie mogła sobie pozwolić na to, by przylgnęło do niej odium mej porażki. Czekwały na nią przyszłe życiowe sukcesy. Tak więc z żalem i smutkiem, wdzięczna za przeżyte razem piękne chwile, delikatnie (jak to ona) dała mi do zrozumienia, że to koniec.

Wyplakałem rzekę łez, pakując swój skromny dobytek. Drzwi do świata, do wiedzy, do zaszczytów - i do romantycznej wytwornej miłości - zatrzasnęły mi się przed nosem. Jak mogłem być takim dupkiem?

W dniu wyjazdu spotkałem się z Laurą pod rozłożystym drzewem na Christ's Pieces. Było to bardzo uczuciowe spotkanie. Szlochy, błagania i babskie wyrzuty... w każdym razie z mojej strony. Prawdę mówiąc, pławiłem się w tej melodramatycznej scenie, którą miałem przecież pełne prawo odegrać. Laura chyba widziała to nieco inaczej. Nie podchwyciła właściwej nuty i nie uroniła ani jednej łzy. Moje popisy podziały

jej na nerwy. Najgorsza była chwila, kiedy chciałem ją pocałować, a ona odwróciła głowę. Było, minęło, stwierdziła. Koniec.

Smutny i przybity klęską udałem się więc do stolicy.

Przez rok szarpałem się na różnych budowach, w knajpach i tym podobnych miejscach pracy. Wynająłem obskurne mieszkanie w Finsbury Park i prowadziłem ponury żywot niespełnionego młodego londyńczyka. Pomimo krwawiącej rany, jaką pozostawiła w moim sercu utrata Laury, wiodło mi się zaskakująco dobrze. Zwykle starczało mi pieniędzy i choć zawarłem niewiele znajomości, udało mi się nawet poderwać dziewczynę. Miała na imię Jenny i pracowała w jednym z tych kolorowych czasopism dla kobiet traktujących o orgazmach, miejscach erogennych i nawilżaczach pochwowych. Była osobą niezmiernie energiczną i kompetentną, a do tego zamożną i wręcz odrażająco zdrową - kobietą sukcesu, można rzec - co w połączeniu z wirtuozerią nieudacznictwa w moim wykonaniu mogło być prowadzić do wielu spięć, ale jakoś udawało nam się w miarę zgodnie współżyć. Lubilem tę dziewczynę mimo jej licznych zalet. Ona też mnie lubiła. Najbardziej lubiła mnie w łóżku. (Bóg jeden wie dlaczego - nie znałem się za dobrze na orgazmach. Jakoś nigdy nie starczało mi na to czasu ani pojemności płuc.) Wiele mówiła o seksualnej autonomii (!) i nieskrępowanym wyrażaniu siebie. Do dziś nie mam pojęcia, co miała na myśli; podejrzewam, iż była to kazuistyczna wymówka dla

niektórych wyuzdanych praktyk, którym mnie poddawała. Co dziwniejsze, Jenny była obiektywnie bardzo atrakcyjna, a ja już zniszczony przez nikotynę, alkohol i zaniedbania kulturowe. Mimo to wykorzystywała mnie, ilekroć mogła.

Byliśmy razem prawie rok. Co prawda nie pozwoliła mi wprowadzić się do swojego sztywnego mieszkania w Chelsea i zastrzegła sobie prawo do okazjonalnych stosunków z innymi mężczyznami. W końcu jakiś gość się jej oświadczył - łysiejący wydawca w średnim wieku. Oczywiście natychmiast zgodziła się wyjść za niego, mnie zaś pocieszyła deklaracją, że przemawiałem do ciemniejszej strony jej natury.

Ten związek z góry skazany był na zagładę. Wciąż otwarcie szlochałem z tęsknoty za Laurą, co odrobinę złościło Jenny - dziwne, zważywszy, że w tym samym czasie sypiała z połową mieszkańców zachodniego Londynu. W ogóle czy tym dziewczynom przypadkiem nie odbija? Wystarczy im się sprzeciwić, a w ciągu paru minut zjawia się damski oddział specjalny i odgryza ci jądra. Panie mają prawo mieszać nas z błotem, ale niech no jakiś facet spróbuje się odciąć, zaraz jest męską szowinistyczną świnią, faszystą lub metodystą (choć to ostatnie to już chyba przesada!). Większość kobiet jest głupia. Podobnie jak większość mężczyzn (z niżej podpisanym włącznie). Wielokrotnie korciło mnie, żeby powiedzieć tej czy owej, jaki z niej fiut. (Praktycznie codziennie). Niestety! Coś takiego możesz oznajmić

facetowi (jeśli jest od ciebie mniejszy), spróbuj jednak obrazić dziewczynę - zabije cię, a zwłoki rzuci psom na pożarcie. Nieraz słyszy się, że kobiety lubią mężczyzn z poczuciem humoru. Uważajcie, żeby nie przesadzić. Za wiele humoru i budzisz się na intensywnej terapii. (Dziewczyny potrafią bić. Potrafią też kopać. Kiedyś uczono mnie, że gdy kobieta cię bije, należy unieruchomić jej ręce, unieść nieco nad ziemię i ścisnąć, zmuszając do poddania. Jakoś nigdy mi się to nie udało. Zwykle waliłem się jak kłoda już po pierwszym ciosie.) Mężczyźni muszą być czujni, trzymać język na wodzy, a gdy obraża ich kobieta - udawać, że nie słyszą. Uważam to za niesprawiedliwe. Panowie, odezwijcie się! Odpłaćcie tym wyzwolonym wiedźmom ich monetą. Odważcie się na krytykę, kpinę, szyderstwo, nie pozwólcie się całkiem zdominować! Jeśli inaczej się nie da, zmieńcie orientację seksualną. Pokażcie paskudnym babom, kto tu rządzi.

Problem z dziewczynami...

Dziewczyny są księgowymi Miłości. Starają się zbilansować twoje rachunki - przedsięwzięcie ryzykowne i rzadko zabawne. Pracują nad tym ciężko i pobierają horrendalnie wysokie prowizje. I biada ci, jeśli się spóźnisz z zapłatą.

Praktycznie jednak cały problem z dziewczynami polega na tym, że nigdy nie kochają cię tak, jak powinny.

Jenny też taka była. Odchodząc, powiedziała mi krótko, że nie mam przyszłości. Widocznie paraliżuje

mnie inteligencja i narodowość. Doradziła mi, bym przestał pasożytować na ludzkiej tolerancji, bo ta wkrótce się wyczerpie. Żałuje, że zmarnowała ze mną czas. Jestem ładny, ale nic poza tym.

Brakowało mi jej bardziej, niż przypuszczałem. Troszkę się załamalem. Posunałem się nawet do tego, że wdarłem się na jej ślub, gdzie odznaczyłem się podczas ceremonii, krzycząc: „Stójcie! Ta kobieta będzie miała ze mną dziecko!”

Fiu, fiu, ależ zyskałem sobie popularność!

Potem chciałem umrzeć. Umrzeć i nareszcie wyrwać się z tego zaklętego kręgu. Nie nosiłem się z zamiarem samobójstwa; zapobiegło temu moje zdrowe robotnicze pochodzenie. Po prostu nie robiłem dalekosiężnych planów. Antyripleyowska koalicja Laury i Jenny skłoniła mnie do rozważań, co ze mną jest nie tak. Musi to być potężna, fundamentalna skaza. Pogarda kobiet twego życia jest dla mężczyzny najefektywniejszą lekcją pokory.

Za pomocą rozmaitych tanich alkoholi pielęgnowałem w sobie żal, zawiść i poczucie krzywdy. Sfrustrowany, pewnego wieczoru podniosłem rękę na właściciela domu, w którym mieszkałem. Jego kunszt bitewny przekonał mnie, iż był to błędny krok. Skopał mnie i wyrzucił na ulicę. Wzdragałem się wrócić po swoje rzeczy.

To było tuż po Nowym Roku i od tamtej chwili żyję mniej więcej tak, jak widzicie. Zima była ciężka, bardzo

ciężka. Moje dotychczasowe włóczęgi szczęśliwym trafem wypadały w miesiącach letnich. Nie miałem doświadczenia pozwalającego bezpiecznie przeżyć mrozy na ulicy. Omal nie straciłem kilku palców i sporo wycierpiałem, ale jakoś udało mi się przetrwać. (Najgorszy był śnieg. Omal nie wyprawił mnie na tamtą stronę. Nie chcę tego wspominać.)

Widziałem Jenny jakieś dwa miesiące temu. Nie był to przypadek - przez kilka dni włóczyłem się w okolicy jej mieszkania w nadziei, że poruszona wyrzutami sumienia podaruje mi jakąś okrągłą sumkę. Kiedy mnie dostrzegła, błyskawicznie przyspieszyła kroku, udając, że mnie nie zna. Mówiąc szczerze, była to chyba największa przysługa, jaką mogła mi wyświadczyć. Machnąłem ręką i dałem jej spokój.

Zima przeszła, wiosny nie było, a teraz mamy środek roku. Jestem głodny, ranny i wyczerpany, ale poza tym memu życiu nic nie zagraża. Minione dni zlewają mi się w jedno. Oczywiście miałem parę przygód - trudno ich nie mieć, gdy non stop patroluje się ulice. Były one jednak przewidywalne i pozbawione znaczenia. Nie chce mi się o nich opowiadać, a wam z pewnością nie chciałoby się słuchać.

Tak więc dwa lata temu jadałem bażanty w towarzystwie szlachetnie urodzonych, a teraz zlizuję grzyb w publicznych toaletach. Widzę w tym zestawieniu pewną (nieco może wulgarną) głębię.

Nie zgadzacie się? Pewnie macie rację. To stary,

ograny chwyt. Zważywszy ogrom cierpienia, jakim skarało mnie życie, powinienem był przynajmniej wysilić się na oryginalność.

3

Opowiedzieć wam coś ciekawego? Anegdotkę, *une petite histoire*? Tak? No to posłuchajcie.

Jakieś dwa tygodnie temu włóczyłem się smętnie po jednej z głównych ulic południowego Londynu, głodny, paląc jedną fajkę za drugą. Było grubo po północy i cholernie zimno. Przy końcu ulicy, pod zamkniętym na tęgie żelazne sztaby sklepem monopolowym zobaczyłem naraz dziecko. Robiło mniej więcej to samo co ja - to znaczy spacerowało sobie po ulicy! Miało na sobie koszulkę z krótkim rękawem i spodnie od piżamy, podczas gdy ja dygotałem w brudnym, ale grubym palcie! Nie mam skłonności do roztkliwiania się, jak pewnie już zdążyliście zauważyć, lecz nawet takiego zatwardziałego bezdzietnego skurczybyka ruszy widok sześćioletniego smarka wałęsającego się po mieście o trzeciej nad ranem. Buzia brudna, ręce sine z zimna, a te odrapane bosc nogi... ! Podśpiewywał pod nosem. Nie wierzyłem własnym uszom. I... co zrobiłem? Odezwałem się do niego, zaprowadziłem go do domu, dałem mu jeść, wezwałem karetkę, opiekę społeczną, księdza, ekipę telewizyjną?... Nie. Nic z tych rzeczy. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i oddaliłem się w pośpiechu. Bałem się do niego zbliżyć. Oczyma duszy ujrzałem się natychmiast aresztowany, skatowany, oskarżony, osądzony, zamknięty i gwałcony trzy razy dziennie w

więziennej latrynie. Pytam was: co to za cholerny świat? Co się z nami stało? Bałem się pomóc dziecku!

Na swoją obronę powiem, że pięć minut później poczułem do siebie taki niesmak, że zawróciłem. Oczywiście już go tam nie było. Szukałem, ale zniknął. Począpiałem dalej, paląc się ze wstydu. To jak? Jestem bohaterem, prawda? Brawa dla mnie!

Wzruszające? Nieprawdopodobne? A może banalne? Spokojnie. To bujda. Wymyśliłem tę historię, żeby wprowadzić was w odpowiedni nastrój. Wyssałem ją z palca.

To łatwe. I kuszące. Choć jestem z natury wykrętny, muszę w tym miejscu przyznać, że w ciągu ostatnich paru dni nie zawsze niosłem sztandar prawdy tak wysoko, jak powinienem. Nie byłem z wami do końca szczery. Nie powiedziałem wam całej gorzkiej prawdy.

Z pewnością zauważyliście, że dość lakonicznie potraktowałem śmierć Maurice'a. Dało wam to do myślenia. W końcu nie co dzień traci się przyjaciela, zwłaszcza od kul terrorystów. Zda się, zasłużył na obszerniejszą wzmiankę! Cóż, miałem swoje powody. Wstydzilem się. Mój udział w tej sprawie był nieco dwuznaczny. Nie byłem pewien, czy zechcecie o tym słuchać.

Wkrótce po swych siedemnastych urodzinach mój zaangażowany przyjaciel przeszedł od teorii do praktyki. Krótko mówiąc, dureń wstąpił do IRA. Dostał od nich

sprzęt. Żelastwo. Aż mu się łapki trzęsły ze szczęścia. Naturalnie było to ściśle tajne, ale po tygodniu wiedziała cała szkoła. Przeżyłem niemiły wstrząs. Lubiłem Maurice'a i chętnie zaoszczędziłbym mu ran postrzałowych. Odbyłem z nim bardzo poważną rozmowę, jak mężczyzna z mężczyzną. Dyskursywny, aluzyjny mecz bokserski. Próbowałem mu wytłumaczyć, że te wszystkie bomby i karabiny są cholernie niebezpieczne. To zabawa dla dorosłych i tak dalej. Usiłowałem go ostrzec. Wrzeszczałem na niego, nazywałem głupim gnojkiem, odważyłem się nawet zagrozić, że go spiorę (ryzykowne posunięcie - teraz, gdy był zrzeszony i uzbrojony!).

Maurice nie docenił moich intencji i niezbyt uprzejmie kazał mi się odczepić. Prosiłem, błagałem, jęczałem i szlochałem. Wykazałem, iż masowa rzeź cywili jest moralnie naganna. W tym miejscu Maurice mi przerwał. W jego szalonych oczach zamigotało coś jakby otrzeźwienie i już wiedziałem, że zaraz powie coś, z czego będzie niezmiernie dumny. Oznajmił, że nie będzie się zabijać cywili. Tylko żołnierzy, policjantów, służbę więzienną, rezerwistów z obrony terytorialnej i tak dalej. To są usprawiedliwione cele.

- Usprawiedliwione! - wrzasnąłem pogardliwie.
- Owszem. Usprawiedliwione.
- Nie bądź głupi!
- Po co tu przyszli? Myśmy ich nie zapraszali. Czego się spodziewają?

Chyba żartujesz.

Jak się okazało, nie żartował.

Ich militarna obecność na tej wyspie jest bezprawna. Angole to nie Irlandczycy. Tak samo unioniści; w każdym razie nie są porządnymi Irlandczykami. Kim zatem są?

- Cholernymi szczęściarzami - odparowałem błyskotliwie.

- Bardzo zabawne - skrzywił się Maurice. - Koń by się uśmieł. To najeźdźcy, głąbie.

Dostałem ataku. Omal nie umarłem ze śmiechu.

- Najeźdźcy! Chryste panie, Maurice! Powinieneś się leczyć. Uważaj, co mówisz. Propaganda ci się zadziera i widać halkę.

- Fajny z ciebie chłop, Ripley, ale czasem zachowujesz się jak kawał skurwysyna.

- Ach, pieprz się sam!

Nie była to spokojna wymiana poglądów - ba, nie była to nawet racjonalna dyskusja. Poszedłem do domu zdecydowany przespać złość i nazajutrz spróbować ponownie. Wymyśliłem dobre podchwytliwe pytanie. Zapytałem, co by zrobił, gdyby poproszono go o wzięcie udziału w przypadkowej eksterminacji „cywili”. Tak, tak, wiem, takie rzeczy oczywiście się nie zdarzają, nie mają prawa. Ale przypuśćmy hipotetycznie. Co by wtedy zrobił?

Odparł, że po prostu odmówi. Powie: „Przykro mi, nie ma mowy, to nie wchodzi w rachubę”.

Wtedy jeszcze bardziej zacząłem się o niego martwić.

Miesiące mijały ślamazarnie; krążyły pogłoski o różnych ciemnych sprawkach, w których Maurice miał jakoby brać udział. W większości były to zwykłe plotki, ale stawało się jasne, że mój przyjaciel nie zmierza w dobrym kierunku. Gnębiło mnie to. Wiedziałem, że Maurice nie ma wpojonej brutalnej agresji, bez której trudno przeżyć w irlandzkich ugrupowaniach paramilitarnych. Czułem, iż skończy się to dla niego przykro. Skończyło się bardzo przykro.

Tuż po Bożym Narodzeniu Maurice zjawił się w mojej norze przy Indiana Street, zadyszany, blady i wyraźnie przerażony. Poprosił mnie o azyl. Powiedział: „Jestem ścigany” czy coś w podobnie filmowym stylu. Nie miałem pojęcia, kto konkretnie go ściga, lecz byłem pewien, iż nie czyni tego w przyjaznych zamiarach. Maurice przeprosił, że mnie w to wciąga. Nie miał innego wyjścia. Muszę go ukryć; później przedostanie się do Anglii i tam na jakiś czas „zniknie”. Następnie wyjął olbrzymi rewolwer i zapewnił mnie, że wszystko będzie dobrze, jeśli żaden z nas nie straci głowy. Omal nie zsikałem się ze strachu.

Jeżeli dobrze pojąłem, w szeregach ugrupowania, do którego należał Maurice, nastąpił rozłam. Najwyraźniej mój przyjaciel nie krył się ze swymi sympatiami. Separatystów spacyfikowano i teraz wyrzynano ich na

wyrywki. Maurice został przeznaczony pod nóż. Przyszła pora odmówić modlitwę za konających.

Byłem przerażony. Miałem uczucie, że jeszcze do tego wszystkiego nie dorosłem. Psiakrew, nie byłem nawet pełnoletni, chodziłem do szkoły! Jeśli ktoś przyjdzie rozwalić Maurice'a, mało prawdopodobne, że oszczędzi mnie przez wzgląd na piękne oczy. Kiedy nas znajdą, zarobię kulkę. Dlaczego zwrócił się właśnie do mnie? Było do przewidzenia, że sprawdzą wszystkich kolegów Maurice'a, a ja znajdowałem się na czele listy. Chciałem jechać do Cambridge, a nie kryć się przed egzekutorami z IRA! Czułem się urażony i było mi bardzo nieprzyjemnie.

Przełknąłem strach (z pewnym trudem) i obiecałem mu pomoc. Ostatecznie był moim przyjacielem. Nie miałem wyboru. Wiedział o tym z góry.

Nie mógł zostać u mnie - dla niego też było to oczywiste, ku mojej wielkiej uldze. Musieliśmy znaleźć jakąś metę do czasu, aż pościg ustanie i Maurice będzie mógł dyskretnie wymknąć się z kraju. Burza mózgów trwała wiele godzin, nim wreszcie wpadliśmy na sensowny pomysł.

Podczas tej bezsennej, trwożnej nocy wiele się o nim dowiedziałem. Głównie to, jaki jest bezdennie głupi. Wciąż pieprzył bez sensu, ilu to wykończy, jeśli go namierzą. Próbowałem mu wytłumaczyć, że rewolwer mu nie pomoże, bo będzie zbyt martwy, żeby dobrze celować, ale mnie nie słuchał. Klął się, że zabierze kilku

drani ze sobą. Miałem tylko nadzieję, że nie wciągnie mnie na listę uczestników tej wycieczki. Moja przyszłość zaczynała wyglądać obiecująco. Chciałem jeszcze trochę pożyć, żeby zobaczyć, co z tego wyjdzie.

Nazajutrz z samego rana pojechaliśmy autobusem do Kilkeel, rybackiej wioski w hrabstwie Down. Ojciec Maurice'a trzymał tam łódź. Zaplanowaliśmy, że z braku lepszej koncepcji Maurice wykorzysta ją jako kryjówkę. Kupiłem żarcie i fajki w miejscowym sklepie z żarciem i fajkami, po czym powiedziałem mu „do widzenia”. Mój szalony przyjaciel był w dobrym nastroju. Ta sensacyjna przygoda sprawiała mu niezłą frajdę, a poza tym chyba lubił być obsługiwany. Snuł plany, jak to spotkamy się w przeklętej Anglii, kiedy już będę w Cambridge. (Słuchałem tego ze smutkiem, pewien, że wcześniej zginie.) Wyraził także wdzięczność, że ryzykowałem dla niego życie (no myślę!), i dodał, że choć absolutnie nie sposób mnie lubić, jestem całkiem do rzeczy. Ów twardy, męski wyraz sympatii mimo woli trochę mnie wzruszył. Pożegnaliśmy się i dałem stamtąd nogę, zostawiając Maurice'a z jego kretyńskim rewolwerem i jeszcze bardziej kretyńskim optymizmem.

*

Następne dni wspominam bez przyjemności. Wpadłem raz do Maurice'a na pół godzinki, resztę czasu spędziłem w Belfaście, starannie udając, że się uczę.

Uczę! Nie byłem w stanie się skupić na Drydenie czy sir Tomaszu Brownie, czując nad sobą wiszącą stale groźbę nagłej śmierci. Jak łatwo możecie sobie wyobrazić, była to dla mnie sytuacja dość stresująca. Na normalną codzienność, wielką płaską równinę zwykłych dni, takie zagrożenie działa jak trzęsienie ziemi. Widuje się je w filmach, nie w życiu. Owszem, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zagrać drugoplanową rolę w delikatnym pornosie, ale gangsterski thriller to nie dla mnie.

Interesujące, co z człowiekiem robi ciągły strach. Przede wszystkim fatalnie wpływa na układ trawienny - sporą część dnia spędza się na kiblu. To bardzo niedobrze. Po pierwsze, traci się w ten sposób czas, zyskując mierną rozrywkę. Po drugie, w tej pozycji szanse obrony przed atakiem terrorystów są nikłe. Po trzecie, któż chciałby zginąć, zanim zdąży podciągnąć spodnie? Kolejnym ujemnym efektem obłąkańczego lęku jest zaburzenie percepcji mijającego czasu - zwłaszcza nocą. Minuty boją, godziny ranią, a dni dobijają. Człowiek szybko wpada w paranoję. Nocami przyzywa niepunktualny świt, a we dnie nie może się doczekać osłony nocy. Rzecz jasna, to się kumuluje. Im dłużej trwa, tym większe przybiera rozmiary. W końcu ogryzasz sobie uszy ze strachu.

Capnęli mnie, kiedy wracałem ze szkoły. Tego nie przewidziałem, smętny głupek. Będąc w czterech ścianach, czujnie łowiłem uchem każdy szelest, za to na

ulicy kroczyłem wesoło, pewien, że jestem bezpieczny. Niezbyt rozsądnie z mojej strony, co?

Wrzucili mnie do furgonetki zaparkowanej przed warsztatem samochodowym przy końcu New Lodge. Wsadzili mi worek na głowę i powiedzieli, żebym siedział cicho, bo połamią mi nogi. Usłuchałem.

Było wpół do piątej po południu i zmierzchnącego nieba sączyło się jeszcze nieco światła. Jechaliśmy dość długo, bo kiedy kopniakiem wyrzucono mnie z furgonetki, zorientowałem się, że jest już ciemno. W mokrym chodniku odbijały się szare uliczne lampy. Z jakiegoś powodu strasznie nie chciałem umierać w błocie; nie chciałem, żeby deszcz rozmywał moją krew. Było mi zimno, spodnie miałem mokre (ze strachu; oburzony moim brakiem manier, jeden z prześladowców omal nie połamał mi żeber).

Ruszyliśmy opadającą w dół drogą. Z workiem na głowie co krok się potykałem. Facet, który wcześniej mnie kopnął, klął i raczył mnie dalszymi kopniakami, ilekroć miał okazję - czyli często.

Stanęliśmy przed jakimś domem. Jeden z mężczyzn zastukał do drzwi. Czekaliśmy chwilę, która wydała mi się bardzo długa. W oddali słyszałem dychawiczny terkot silnika rybackiej łodzi. Oznaczało to przystań. Lame? Derry? Kilkeel? Miałem nadzieję, że nie jesteśmy w Kilkeel. Drzwi się otwały, wepchnięto mnie do środka i poprowadzono przez kilka dość dużych pokoi, aż wreszcie zatrzymano. Poczułem pod kolanami ucisk

krzesła. Opadłem na nie ciężko. Doleciały mnie stłumione szepty, oddalające się kroki, a potem czyjś głos poinformował mnie:

- Pięć minut. Bądź grzeczny, a nic ci się nie stanie.

Przez pięć minut dusiłem się pod kapturem w pocie, strachu i łzach. Oddychałem z trudem, mając uczucie, iż tonę w samym sobie - uczucie o tyle pozytywne, że zagłuszyło myśl o bliskiej śmierci.

Potem zdjęto mi worek i oślepiło mnie jaskrawe światło.

- Kurwa! - powiedziałem wytwornie.

- Ty, kurwa, nie pyskuj! - odpowiedział mi w tym samym tonie czyjś głos.

Posłuchałem dobrej rady i zamilkłem. Moje oczy stopniowo przyzwyczajały się do światła, które skądinąd było całkiem wątłe.

- Wygodnie ci?

Kiwnąłem skwapliwie głową. Było ich dwóch. Obaj średniego wzrostu, jeden krępy i łysiejący, drugi długowłosa, w okularach i z brodą w stylu Gerry'ego Adamsa.

- Przykro nam, synu, że musieliśmy cię tu przywieźć - odezwał się łysy - ale mamy pewien drobny problem i potrzebna nam pomoc. Mam nadzieję, że ty jej nam udzielisz. Jak sądzisz?

Bardzo ostrożnie odparłem, że nie wiem, i skuliłem się oczekując ciosu, strzału, wrzasku. Zachowali spokój. Łysy uśmiechnął się i mrugnął do tego drugiego. To mnie

zaniepokoiło. Dobrotliwość do nich nie pasowała. Spodziewałem się raczej demonstracji siły. CS faceci bynajmniej nie byli komediantami.

- Szukamy Maurice'a Kelly'ego. Twojego kolegi. Widzisz, mamy z nim do pomówienia.

Z niewiadomego powodu moje słabnące morale nieco się podniosło i zdołałem odpowiedzieć z godnością:

- Maurice'a? Zwiął. Nie wiem, gdzie jest. Od tygodni nikt go nie widział.

Znów zapadła cisza. Mój rozmówca tym razem się nie uśmiechnął. Oddychał ciężko, z przerwami, jakby starał się opanować. Przymknął oczy i zapalił papierosa. (Mnie nie poczęstował, drań!) Czułem się coraz pewniej. Wszystko to miało nierealny posmak sceny z filmu. Ten łysy wyglądał mi na amatora. Szepnął coś do swego milczącego towarzysza i zwrócił się znów do mnie. Westchnął teatralnie, jak gdyby przyzywając resztki kończącej się cierpliwości.

- Nie próbuj z nami pogrywać, synu. Powiedz, gdzie jest, i możesz iść do domu. Uwierz mi, nie jestem w nastroju, żeby pieprzyć się z gówniarzami.

Ha, ha. Oparłem się wygodniej, demonstracyjnie podrapałem się w kroku i wypaliłem bezczelnie:

- Już wam mówiłem, panowie, że nie wiem. Ciekawe, skąd miałbym wiedzieć. Traciecie czas.

Aj, to było głupie. Bardzo źle oceniłem sytuację. Okularnik nagle zmaterializował w dłoni spory

automatyczny pistolet i wbił mi lufę w skroń. Posłyszałem szcęk i poczułem delikatną wibrację w czaszce, gdy mechanizm napiął się, gotów do strzału. Mój pęcherz znów nie wytrzymał, w nozdrza buchnął mi odór ciepłego moczu. Łysy skoczył na równe nogi. Zaczął wrzeszczeć. Był wściekły. Miał w sobie mnóstwo, całą lawinę wściekłości. Dziwne, że aż do tej pory udawało mu się ją pohamować.

- Gdzie on jest, gnojku? Co, myślisz, że nie damy sobie z tobą rady? Gadaj, durniu, bo będzie źle!

No tak, pomyślałem. Przeciągnąłem strunę i struna pękła. Nadszedł Czas Wyznań.

Podaję, że niewielu z was czuło kiedykolwiek dotyk odbezpieczonej broni (przynajmniej mam taką nadzieję). To ciekawe przeżycie. Zdumiewające. Zwłaszcza gdy się jest, jak ja, tylko zwykłym cywilem, który nie przewidywał, że pewnego dnia stanie się łatwym celem dla jakiegoś zbzikowanego partyzanta. Po pierwsze: to boli. Naprawdę boli. Robi człowiekowi krzywdę. W większości wypadków nie ma potrzeby strzelać; zadanie zostało już spełnione. Widujemy to w filmach: czarny charakter ściska gnata, a biały klęczy przerażony, szlocha i wypaca z siebie wiadra potu. No, z lufą przy uchu człowiek się mocno poci! Taka lufa zabija w tobie duszę. Twój los został oddany w cudze ręce. Śmierć jest oddalona o skok spustu. Minimalny ruch rozpyli twoją głowę po całym pokoju. I już cię nie ma.

Dlatego przytknięcie komuś lufy do skroni to dobry

sposób. Stary i niewymyślny, lecz skuteczny. Efektywnie motywujący. Niewielu ludzi w takiej chwili podejmuje dyskusję.

Próbowałem myśleć o swoim przyjacielu. O tym, jak bardzo będzie cierpieć, umierając. O lojalności, honorze i człowieczeństwie. Próbowałem. Ale ta cholerna lufa nie dawała mi się skupić.

Oczywiście puściłem farbę, a jakże! Ze łzami w oczach wyznałem im wszystko, co chcieli wiedzieć - a także mnóstwo innych rzeczy, które wcale ich nie obchodziły. Powiedziałem im o Kilkeel, o łodzi, o tym, że Maurice ma rewolwer. Szlochałem i mówiłem, błagałem i mówiłem, mówiłem, mówiłem...

Chcieli, żebym z nimi pojechał i dokładnie wskazał miejsce jego ukrycia. Pocieszyli mnie, radzili, żebym się odprężył itd. Dali mi chusteczkę do otarcia łez i papierosa na uspokojenie. Byli tacy mili, że jej.

Droga do Kilkeel zdawała się trwać wieki. Teraz było ich czterech. Ciemnowłosy kierowca, którego twarzy nie widziałem, brodaty milczek siedzący z nim z przodu, mój łysy rozmówca i jeszcze jeden, krzywozęby olbrzym w wełnianej czapce. Ci dwaj wzięli mnie w środek; od czasu do czasu rzucali do kierowcy dowcipne uwagi, które ten kwitował radosnym chichotem i jeszcze dowcipniejszymi ripostami. Urodzony komik, słowo daję! Razem wyglądali groźnie. To nie byli ideowi, uświadomieni politycznie terroryści. To byli po prostu

bandyci. Zabójcy.

Tęsknym wzrokiem odprowadzałem mijające nas na szosie samochody. Siedziały w nich rodziny, pary, samotnicy. Nosiciele bezpiecznych, nudnych, skromnych życiorysów nietkniętych wielką przygodą. Nagle wydało mi się to strasznie atrakcyjne. Chętnie zamieniłbym się miejscami z którymkolwiek z tych zwyczajnych, przeciętnych kierowców. Z radością przehandlowałbym swój dreszcz emocji za ich podróżną nudę! Och, jakiej wagi, jakiej ceny nabiera życie, gdy człowiek siedzi w aucie z czterema psychopatami! Chciałem żyć.

Dotarcie do Kilkeel zajęło nam dwie godziny. Jechaliśmy powoli, starając się nie przyciągać uwagi. Samochód został zaparkowany przy boisku piłkarskim w centrum osady. Kierowca został, reszta ruszyła pieszo do przystani w luźnym szyku, niczym gromadka kumpli. Wyglądało to dość naturalnie, lecz wiedziałem, że jeśli zrobię jakieś głupstwo, zastrzelą mnie jak psa.

Noc była paskudna; ciemna, zimna i mokra. Wąska droga połyskiwała złowieszczo refleksami stojących w regularnych odstępach latarń. Z dala, od plaży, dobiegał szept wyznań, jakie morze czyniło ciemnemu miękkiemu niebu. Nie było jeszcze późno, ale już całkiem pusto. Szedłem szybko, ciężko stawiając stopy w nadziei, że ich tupot rozproszy śmiertelną ciszę. Nie poskutkowało.

Dotarłszy do przystani, zatrzymali się. Łysy zaszepotał mi do ucha. Wskazałem niewielką łódź zacumowaną przy końcu nabrzeża. Kiwnął, żebym szedł

dalej.

Miałem wywabić Maurice'a na pomost mówiąc mu, że sytuacja uległa zmianie i musimy natychmiast wracać do miasta. Następnie poprowadzić go w stronę tamtych i czekać na to, co zrobią. Wiedziałem, że będą strzelać, ale w tej chwili niewiele mnie już obchodziło. Byłem potwornie znużony. Chciałem, żeby to się wreszcie skończyło.

Obejrzałem się. Trio moich znajomych przyczało się w cieniu pod murem. Bardzo zręcznie. Maurice za skarby nie dostrzeże ich w porę. W porę na co, u Boga Ojca? W porę na co?!

Maurice był w kabinie i właśnie gryzł wielkie czerwone jabłko. Ten idiota sięgnął po swoją śmieszoną pukawkę już po tym, jak zobaczył, że to ja. Niezbyt przekonująca demonstracja czujności. Poczulem, że ogarnia mnie bezbrzeżny smutek. Uśmiechnął się, rzucił rewolwer na wąską koję i gestem wskazał mi stołek, który dotąd zajmował. Najwyraźniej ucieszył go mój widok. Pewnie czuł się samotny, biedny głupiec.

- Co słyszeć? - spytał.

- Nic.

- To dobrze.

Podał mi papierosa i znowu wgrzyzł się w jabłko. Nie wyglądał na kłębek nerwów. Wyraził opinię, że skoro dotąd go nie znaleźli, to już nie znajdą. Ironicznie wychwalał moją odwagę i lojalność. Przyjaciół poznaje się w biedzie, stwierdził. To pewne jak robak w jabłku.

Strasznie się z tego śmiał. Zabijał czas, wymyślając bezsensowne aforyzmy. Może kiedyś ogłosi je drukiem, rzekł. Są dostatecznie głupie.

Skończył jabłko i odebrał mi papierosa. Widocznie nie miał więcej. Zapytał, czy przywiozłem chociaż paczkę, i był zaskoczony, kiedy odparłem, że nie. Uspokoilem go, że kupię, kiedy wrócimy do miasta. Zaciągnął się mocno i oddał mi fajkę. Paliłem ją powoli, oszołomiony żalem, odrętwiały. Chciało mi się rzygać. Usta swobodnie wypowiadały okrągłe zdania, ręce się nie trzęsły, a na czole nie pojawiła się ani kropla potu. Tylko oczy mówiły co innego. Wciąż myślałem: Boże, przecież on musi to widzieć! Zorientował się, że coś jest nie tak! No, chłopie, przecież to oczywiste! Mam to wypisane w oczach. Oczy mnie zdradzają.

Nieprawda. Znów daliście się nabrać. Moje szczere, niewinne oczy zachowały się bez zarzutu. Perfekcyjnie odegrały swoją rolę.

Maurice był ciekaw, dlaczego musi się przenieść, ale gdy odmówiłem wyjaśnień, potulnie się z tym zgodził. Prowadziłem go na rzeź jak nowo narodzoną owieczkę. Podniósł się i zgasił lampę. Podałem mu płaszcz. Wepchnął rewolwer do kieszeni. Nim wyszliśmy na pokład, obrócił się do mnie i rzekł:

- Dzięki, Ripley. Jestem twoim dłużnikiem.

Boże! Jak on czule się do mnie uśmiechał!

- Nie ma sprawy bąknąłem. - Chodźmy.

Wszystko było dobrze, dopóki nie zeszliśmy na ląd.

Nagły powiew świeżego powietrza ożywił moje słabnące morale i uświadomiłem sobie w pełni brzydotę swego czynu. Zerknąłem na ciemny mur okalający przystań. Nic. Gdzie ci dranie się podziiali? Co się dzieje?

Maurice szedł już zwawym krokiem w stronę domów. Powlokłem się za nim, pewien, iż ujrzę, jak jego ciało drga gwałtownie i wali się na ziemię. Po chwili przystanął z pobłażliwą miną, czekając, aż nadrobię dziesięciometrowy dystans. Zbliżałem się powoli, jakbym nogi miał z ołowiu. Jezu, myślałem, zaraz się zaczniesz. Teraz, dopóki dzieli nas te parę metrów.

Cisza.

- Jezu, Ripley - zakpił Maurice dobrodusznie - rusz dupę. Przyszedłeś tu na inhalacje z morskiego powietrza czy jak?

W pierwszej chwili nie usłyszał. Zatrzymał się ponownie i spojrzał na mnie. Głos miałem zmieniony, cienki, spięty. Znow nie dosłyszał.

- Co tam mamrociesz?

- Leć, głupku! Uciekaj!

Stał i patrzył. Kątem oka dostrzegłem błysk w cieniu pod murem. Maurice obejrzał się w ślad za moim wzrokiem i też go dostrzegł. Zachłysnął się strachem, znow spojrzał na mnie, ale w jego oczach nie było już blasku. Zerwał się do biegu.

Dokąd? Byle dalej. W stronę morza. Zresztą dokąd miałby uciec? Gnał starym nabrzeżem ku czarnej wodzie, gdy wtem zatrzymał się, zgarbił i uniósł ramiona w

przelotnym gościu jakby lekceważenia, zniecierpliwienia czy irytacji zmieszanej z rozbawieniem. Drgnął, cofnął się chwiejnie i powoli opadł na kolana. Z szyi trysnęła mu nagle krew. Okręcił się i upadł na twarz, uderzając z miękkim kłapnięciem o kamienie nabrzeża.

Posłyszałem za sobą kroki. Łysy wyłonił się z mroku i stanął obok mnie. Obserwowaliśmy w milczeniu, jak tamci dwaj zbliżają się do ciała. Brodaty miał w ręku pistolet z tłumikiem. Pochylił się nad Maurice'em, a potem zerknął na łysego. Ten odpowiedział gestem, wskazując łódź. Przez łzy patrzyłem, jak ładują do niej ciało, potykając się i omal nie upuszczając go do wody. Poczułem żrący kwas w ustach. Przełknąłem głośno, szybko, żeby nie zwymiotować. Łysy podniósł palec do ust, nakazując mi ciszę. Zacisnąłem wargi. Nie chciałem, by owionął go mój cuchnący strachem oddech.

Po chwili tamci wynurzyli się z kabiny. Brodaty miał przymknięte oczy, jakby był naćpany albo senny. Z leniwym uśmiechem wyjął spod płaszcza automat, wycelował go we mnie i delikatnie nacisnął spust.

Muszę oddać pozostałym sprawiedliwość: nie uważali tego za śmieszne. Brodaty się nie przejął i chichotał w najlepsze. Co do mnie, miałem to wszystko w nosie, bo całkiem niespodziewanie mój strach ustąpił, wyparty przez gigantyczne, śmiertelne znużenie. Nie obchodziło mnie, co się stanie, byle tylko nikt niczego ode mnie nie żądał. Wiem, że brzmi to jak wyjątek z kiepskiej powieści sensacyjnej, ale to prawda. Strach

karmi się groźbą utraty. Jakoś nie wpadało mi do głowy, co jeszcze mógłbym stracić.

Nie zabili mnie. Nie postrzelili, nie pobili, nie zagrozili nawet, że mam milczeć, bo... Stare wygi wiedziały, że nie muszą tego robić. Zrobili za to co innego. Szatańsko sprytnego. Co? Ano, po prostu wrzucili mnie na łódź, odwiązali cumy i zepchnęli nas na morze - mnie i Maurice'a.

Maurice wciąż żył. Co prawda był konający, ale jeszcze nie umarł. Najpierw, miotając się w panice po chwiejnej łódce, nie mogłem tego zrozumieć. Dlaczego go nie zabili? Nieco oprzytomniawszy, przyjrzałem się rannemu i uświadomiłem sobie, że zabili, tylko nie od razu.

Z początku nie było tak źle, bo przez pierwsze dwie godziny Maurice był nieprzytomny, a księżyc - ukryty za chmurami. Ciemność i względna cisza (przerywana tylko chrapliwym rżeniem) czyniły sytuację znośniejszą. Wkrótce jednak Maurice odzyskał przytomność i zaczął krzyczeć. Matko Boska, jak on krzyczał! Wydawał raz po raz te same potworne nieartykułowane dźwięki i nie chciał przestać. W zestawieniu z jego zwykłą stoicką postawą robiło to jeszcze straszniejsze wrażenie. Moja parszywa malutka dusza skamieniała ze zgrozy. Oczy miał otwarte, wysadzone z orbit; rozbiegane ręce szarpały rany, rozdzierając ciało jak dojrzałą krwistą brzoskwinię. Wcale sobie w ten sposób nie pomagał;

chciałem go unieruchomić, przyciskając mu ręce do podłoża. Opierał mi się z obłąkańczą siłą. Musiałem nad nim klęknąć, a kiedy to zrobiłem, z rozprutego brzucha bluznęła struga krwi, mocząc mi jądra ciepłym, lepkiem okładem.

Na szczęście wkrótce stracił siły i przestał się ze mną szamotać. Krzyki stopniowo cichły, przeradzając się w bolesny gulgot. Niezgrabnie zbadałem rany. Jedna w szyi, jedna w brzuchu, a jedna pomiędzy żebrami - dokładnie pośrodku lewego płuca. Płuco chyba natychmiast poszło na wagary; prawe rozpaczliwie i niezbyt skutecznie usiłowało kompensować stratę. W porównaniu z raną w piersi ta na szyi była dziwnie mała. Miała lśniące nieregularne brzegi, lecz wywołała chyba mniej zniszczeń niż dwie pozostałe. Dziwne, że krew mojego przyjaciela, dla niego tak cenna, tak niezastąpiona, mnie napawała odrazą. Zrobiło mi się wstyd i pokochałem go jeszcze bardziej. Tymczasem Maurice szykował się do wielkiego skoku. Przez postrzępione otwory w gładkim smukłym ciele wyciekało z niego życie, plamiąc deski pokładu.

Wtedy pogodziłem się z myślą, że on umiera. Czuję się przede wszystkim podle, choć moje emocje trudno by precyzyjnie nazwać. Klębiło się ich zbyt wiele. W roli głównej miało wystąpić Poczucie Winy, ale jeszcze nie pojawiło się na scenie. Znużenie było na swoim miejscu, profesjonalne jak zawsze, Żal nerwowo wyglądał zza kulis, za którymi tłoczyło się jeszcze paru

statystów, i ogólnie rzecz biorąc, przedstawienie szlag trafiał. Na gwałt potrzebny był uczuciowy reżyser. Bez niego wszystko się rozpadało.

Maurice już prawie milczał. Szeptał coś gorączkowo i niezrozumiale, wodził oczyma w poszukiwaniu czegoś, co mu umykało. Jego oddech przerodził się w krwawy trwożny szloch. Twarz miał zakrwawioną, nos złamany po upadku na molo, jedno oko zapuchnięte i półprzymknięte. Jego ręce wciąż wyciągały się i zaciskały. Zawołałem go półgłosem. Nie odpowiedział. Nie poznał mnie. Znajdował się gdzie indziej i chyba nie było to miłe miejsce. Odarty z jednego płuca mózg nie dostawał wystarczającej ilości tlenu, co raczej nie pomagało mu zebrać myśli.

Wytoczyłem się z kabiny na otwartą część pokładu. Po prawej widziałem światła lądu, lecz nie miałem pojęcia, jak daleko są. W każdym razie dryfując oddalaliśmy się od nich. Zastanawiałem się, jak długo potrwa, nim ktoś nas (czy raczej mnie) znajdzie. Księżyc wykaraskał się zza chmur i mazał bladością drobne fale. Morze było dziwnie spokojne, wściekły skrzyp łódki zagłuszał jego cichy szmer. Czułem obłąkańczy głód nikotyny. Mój najlepszy przyjaciel konał, zabity pośrednio przeze mnie, a najwyraźniejszą dostępną mi myślą była myśl o papierosie. Zaciekawilo mnie przelotnie, jak nisko jeszcze upadnę, ale nie znalazłem jednoznacznej odpowiedzi.

Siedziałem na zewnątrz ponad godzinę, oddychając

głęboko i usilnie starając się spowolnić bicie serca. Maurice od czasu do czasu jęczał głośno - puszczałem to mimo uszu. Nie chciałem patrzeć na jego śmierć.

W końcu, rzecz jasna, wróciłem do kabiny. Nawet ja nie jestem aż tak nieludzki. Kiedy otworzyłem drzwi, smuga szarego światła skrzesała srebrny błysk bólu w jego gasnących oczach. Próbował się obrócić sponiewieraną twarzą ku mnie, ale mu się nie udało. Jego usta wciąż poruszały się gorączkowo, bezgłośnie. Nachyliłem się nad nim, próbując go uspokoić.

- Nie martw się, wyjdiesz z tego - powiedziałem.

Położyłem swoją zimną, skamieniałą dłoń na ranie w piersi, z której wciąż rytmicznymi falami wypływała krew. Nie zdołałem jej zatamować, tyle że zagrzałem sobie palce. Kiedy cofnąłem rękę, Maurice zadygotał gwałtownie. Z rozdartych jelit unosił się odór, zarazem odrażający i wzruszający. Czułem gorycz patrząc, jak siła i młodość mojego przyjaciela przemijają tak łatwo i tak brzydko.

Maurice bulgotał, krwawił i rzeził jeszcze przez jakieś dwie godziny. Skończył tuż przed świtem - nagle i zgoła dyskretnie. W pierwszej chwili nie zauważyłem, że umarł, dopóki nie ujrzałem brzydkiego szarego śluzu sączącego mu się z nosa. Ku własnemu zaskoczeniu nie czułem odrazy, pogłaskałem go nawet po twarzy wierzchem dłoni. Oddychałem teraz lżej, choć wciąż chciało mi się palić. Maurice'owi też na pewno było lżej.

Pod koniec nie walczył już zbyt zawzięcie. Chyba chętnie pożegnał się z życiem.

Patrzyłem na bezwładne, zmięte ciało. Kiedyś był przystojny. Teraz już nie. Myślałem o tym, że kiedyś tego ciała dotykały kobiece dłonie i usta. Jakże to było dawno. Żywy Maurice wydawał się bardzo daleko spokrewniony z tym sponiewieranym kłębem krwi i tkanek. To, że uczynił ze swej śmierci tak odrażający spektakl, jeszcze potęgowało owo wrażenie. Czysty, elegancki koniec - coś w stylu Chattertona - byłby bardziej odpowiedni. Nie miałbym może tak potwornych wyrzutów sumienia. Maurice był moim przyjacielem, to ja byłem winny jego śmierci i odtąd miał się stać moim prywatnym koszmarem. Znałem go teraz lepiej niż ktokolwiek. Poznałem go od podszewki, w jego najintymniejszej chwili. Stał się moją własnością. Miałem jeszcze tupet przyznać, że to imponujące roszczenie.

Byłem zmęczony. Łaknąłem ulgi. Wygramoliłem się z kabiny i stanąłem, prostując się w zimnym, mokrym powietrzu. Padało mocniej, deszcz pozbawiał mnie sił. Lodowaty wiatr kradł mi oddech z ust. Wokół rozciągała się zielonkawa, martwa płaszczyna wód. Na myśl o tym, jak niepewne stanowi oparcie dla ciężkiej, chwiejnej łodzi, ogarniał mnie lęk. Małe nielogiczne stwardnienie na miękkim ciele morza. Utrata kruchej równowagi pograży nas w mulistej, niegościnniej toni.

To była zła noc wedle wszelkich standardów.

Zostałem porwany przez terrorystów, porzucony na morzu, mój najlepszy przyjaciel skonał, a ja musiałem się temu przyglądać. Czekają mnie jeszcze niezłe atrakcje, gdy nas znajdą. Policja, wojsko, prasa... Nie pragnąłem tego rodzaju sławy. Chciałem stać się mały i niedostrzegalny. Umknąć uwadze i osądowi. Ale na to było już chyba za późno.

Czułem silną potrzebę oddania moczu. Czułem ją od paru godzin, ale nie mogłem tego załatwić, dopóki Maurice żył. Nie wypadało mi powiedzieć: czekaj, stary, nie umieraj przez chwilę, ja tylko skoczę siknąć. Teraz był już martwy i miał to w nosie. (Mam niejasne wrażenie, że przedtem też nie zrobiłoby mu to wielkiej różnicy. Miał dość własnych kłopotów.)

Zacząłem się uginać pod ciepłym naporem snu na moje zziębnięte członki. To później, teraz muszę się wysikać.

Z ciężkim sercem przechyliłem się przez burtę.

Teraz rozumiecie, dlaczego nie chciałem o tym mówić?

Pora rozprawić się z następną fikcją. Pamiętacie moje zapewnienia, że nie miałem nic wspólnego z nieszczęsną ciążą Deirdre? (Pewnie od razu wydały się wam podejrzanym.) No cóż, to kłamstwo. W rzeczywistości to była moja zasługa. Co więcej, stałem się również bezpośrednią przyczyną poronienia. Paskudna sprawa, która zmusiła nas oboje do ustępstw w

sferze etyki. Deirdre musiało być łatwiej, bo nie była katoliczką: protestantki skrobią się bez przerwy, praktycznie co dzień. To ja czułem się bardziej poszkodowany.

Oznajmiwszy mi, że jest w ciąży, Deirdre irytująco zaplątała się w zeznaniach na temat dat i miesiączek. Trochę się denerwowałem, nękany wizją jej ojca, stojącego na mym progu w towarzystwie miejscowej kapituły Zakonu Orańskiego lub Ku-Klux-Klanu, lub czegoś w tym rodzaju, i spragnionego mojej krwi. Coś trzeba było zrobić. W Ulsterze aborcja jest prawnie zabroniona, toteż nie mogliśmy skoczyć do najbliższego warsztatu ginekologicznego, żeby tam pozbyć się małego drania. Musieliśmy improwizować. Obliczyłem, że płód ma osiem, najwyżej dziewięć tygodni, i postanowiłem zrobić to sam.

Jak postanowiłem, tak zrobiłem. Spędziłem tydzień w czytelni pławiąc się w szczegółach naukowego dzieciobójstwa. Płód będzie nie większy od ziarna fasoli. Trzeba tylko zeskrobać śluzówkę jamy macicznej i po kłopotcie. Dziewczyna nawet nie zauważy, że jej czegoś brakuje.

Owego brzemiennego w skutki dnia Deirdre przyszła do mnie, zdjęła majtki i padła na mój barłóg, ufnie zamykając przestraszone oczy. Posłużyłem się pędzlem o długim trzonku, który został mi z zajęć plastycznych. Rowney, miękkie włosie, bardzo dobra jakość! Sprawa była prosta i czysto mechaniczna. Po kwadransie

uznałem, że już dosyć, i ostrzegłem ją przed silnym krwawieniem z pochwy (co czynić w takim razie, już nie powiedziałem - po prostu kazałem jej uważać).

Po policzkach ciekły jej wielkie gorzkie łzy. Biedna mała. Rzecz jasna, oszczędziłem jej szczegółów i nie powiedziałem o pędzlu (dziewczęta bywają przewrażliwione na punkcie tego, co im się tam wtyka). Zrobiłem co w mojej mocy, żeby ją pocieszyć. Gotów byłem nawet się z nią przespać. (Mój wacek nie wyczuł powagi chwili. Jeszcze mu było mało. Wyobrażacie to sobie?!) Na szczęście mi nie pozwoliła. Nie była - by tak rzec - w nastroju.

W gruncie rzeczy wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby nie błąd w obliczeniach. W rzeczywistości ciąża miała nie dwa, lecz pięć miesięcy, skutkiem czego trochę narozrabiałem. Pięć miesięcy, rany boskie! Musiało być już w pełni ukształtowane, ludzkie i dość duże - wielkości piłki. A ja próbowałem się go pozbyć pędzlem!

Mówcie, co chcecie o wątpliwym statusie duchowym płodu - dla mnie było to ciężkie do przełknięcia.

Przypuszczam, że dlatego Deirdre odbiło. Zyskała bądź co bądź solidne podstawy do obłędu. Mój dotyk Midasa okazał się niezawodny. Cała ta sprawa to jeden ohydny koszmar, ale najgorsze, że po wszystkim próbowałem zaciągnąć ją do łóżka. Boże, jak ja tego dziś żałuję!

Teraz rozumiecie, dlaczego skłamałem.

A, jeszcze jedno. Oczywiście nigdy nie spałem z Laurą. To była trzecia podłożona wam świnka. Subtelna, liryczna, wzruszająca, ale mimo wszystko świnka. Nie kochaliśmy się ani na polu, ani w łóżku, ani nigdzie. Choć na początku chyba jej się podobałem. Narysowała przecież ten mój portret, prawda? Miałem wyraźnie sprecyzowane nadzieje, lecz spełzły one na niczym. Laura zdołała mnie znienawidzić na podstawie mniej intymnych doznań.

Właściwie mówiłem wam samą prawdę i tylko prawdę aż do dnia majowego balu. Konfrontacja z Gregiem i jego kumplami przebiegła nieco inaczej. Nie odszedłem stamtąd wyższy ponad ich szczeniackie zaczepki. Nie zostawiłem ich także pobitych na placu boju. To oni pobili mnie prawie do nieprzytomności na oczach Laury - bardzo upokarzające. Resztę nocy spędziłem na pogotowiu, czekając, aż mnie pozszywają. Nie było porannej sceny miłosnej, spacerów, nocy pod gwiazdami, a już na pewno nie było mowy o seksie. Wszystko wymyśliłem. Smutne, lecz tym razem to prawda.

4

Uporaliśmy się zatem ze wszystkimi trzema świnkami. Trzema kłamstewkami (mówiąc ściślej, wierutnymi łgarstwami). Powinienem się wstydić. Dwa zawinione zgony i erotyczne fiasko. A ja sza, jakby nigdy nic. Przepraszam. Tak po prostu wyszło.

Bałem się i było mi wstyd. Co prawda wiarygodne autorytety twierdzą, że bohater dwudziestego wieku nie jest pomnikowy - musi być głęboko, niezmywalnie skażony kontaktem z naszą epoką... są jednak pewne granice!

Należy tu podkreślić, że większość ludzi łże tak, jakby dzisiejszy dzień miał być ostatnim (może istotnie nie spodziewają się jutra). Robią to nawet najcnotliwsi spośród nas. Kłamią powieściopisarze, gazety, politycy - ci nawet się nie rumieniają! Mówią: „Nie likwidujemy opieki społecznej”; „Nie istnieje coś takiego jak M16”; „Republika Południowej Afryki to piękny słoneczny kraj zamieszkały przez wesołych tubylców”...Co dziwne, nikt nie protestuje, nikt nie jest zaskoczony, ba, nikt się niczego innego nie spodziewa! Nazywa się to „realistycznym spojrzeniem na życie” czy jakoś tak.

Przykład idący z góry wpływa na nasze drobne losy, drobne kłamstwa. Kto w dzisiejszych czasach spodziewa się usłyszeć szczerą prawdę? Mówiłem wam o grzeszkach Jenny. Kiedy dowiedziałem się, że sypia z

połową miasta, poczułem zazdrość, upokorzenie i ból - ale związane były one z samym aktem, nie z towarzyszącą mu obłudą. Słowo „zdrada” nawet nie powstało mi w głowie. Przyjąłem, że ukrywała to przede mną dla mojego dobra. Ona też tak uważała. Kto chciałby wiedzieć, że jest rogaczem?

Do pewnego stopnia miała słuszość. Przemilczenie, to pomniejsze kłamstwo, należy do uzbrojenia współczesnego człowieka. Albowiem kłamstwo - wygodne, szybkie, bezbolesne - ma wielką wartość. Wyzwala cię z sideł i więzów. Oszczędza uczucia twoje i twoich bliźnich. Pełni też konieczną, niezastąpioną rolę mizerykordii.

Prawda czai się w coraz ciemniejszych kątach, nieśmiała, płochliwa i nieufna. Co byście zrobili, spotkawszy ją twarzą w twarz? Co byście zrobili, gdyby ktoś wam powiedział prawdę? Ja chyba umarłbym ze strachu, a najpewniej w ogóle bym jej nie poznał - nawet gdyby przyszła do mnie w koszulce ze swoim imieniem, przedstawiła się i podała mi na dowód metrykę urodzenia, odciski palców, kartotekę dentystyczną oraz zeznania trzech wiarygodnych świadków. „Spadaj”, powiedziałbym. „Masz mnie za idiotę?”

Ale to nie usprawiedliwia mego kłamstwa. Jestem jeszcze bardziej rozczarowany sobą niż wy mną. A przecież chciałem, żebyście mnie polubili. Tak, to dość istotne. W tym świetle moje przemilczenia wydają się bardziej zrozumiałe, nieprawdaż? Napiętnowanej

surowym weryzmem opowieści nie dosłuchalibyście do końca. Obróciłibyście się na pięcie i z niesmakiem wrócili do domów, gdzie przy kawie lub drinku obgadalibyście mnie przed swoimi bliskimi. Na samą myśl przeszywa mnie dreszcz. Dlatego zwodziłem was aż do końca.

Albowiem istotnie zbliżamy się do końca. Zaczyna brakować papieru. (O, nieczułe stronice! O, okrutne okładki!) Ale na pewno już to zauważyliście. Nie dziwota. Macie nade mną tę przewagę. Nie nadużywajcie jej, proszę.

Chcecie wiedzieć, które z moich kłamstw - a raczej która z moich prawd jest najgorsza? Niewątpliwie opracowaliście już własne rankingi i preferencje. Obiektywnie jednak najgorsza jest prawda o poronieniu Deirdre. Narobiłem najwięcej szkód (jej, mnie i jemu), a wykreowałem się na cnotliwego bohatera. Z pierwotnej wersji wyłoniłem się pachnący różami, podczas gdy w rzeczywistości śmierdziałem spermą, śmiercią i klozetem. Rozziew między prawdą a zmyśleniem jest tu największy. Korekta musiała być gruntowna.

Jednakże fikcją, która najbardziej nadszarpnęła moją godność, była historyjka o romansie z Laurą. Mówiąc ściśle, tamte dwie nie były do końca zmyślane. Pomiąłem w nich pewne istotne fakty, przyznaję. Tu natomiast cały wątek miłosny od początku do końca został wyssany z palca. Nie zdołałem nawet poklepać jej po pupie, tak skrzętnie mnie unikała.

Nie musiałem kłamać. Nie było mi to potrzebne do zatarcia śladów lub ukrycia jakiegó zbrodni. Tym, co chciałem zataić, była moja porażka. Komiczne nieudacznictwo. Chciałem się nieco podbudować, i tyle.

Z powodu Laury do dziś robię z siebie sentymentalnego idiotę. Ileż to razy ze łzami w oczach śniłem ckliwy sen o spotkaniu - powiedzmy, za dziesięć lat od dziś - które wszystko naprawi i wszystko wyjaśni. Nasze drogi krzyżują się przypadkiem na którejś z ulic miasta. Ona podchodzi. Jest dojrzałą kobietą, na twarzy ma pierwsze zmarszczki (to takie wruszające; kobiety starzeją się dramatycznie od mężczyzn, co stwierdzam z zadowoleniem), lecz pała niesłabnącą ochotą na moje jędrne, dobrze zakonserwowane ciało. Jakże gorzko żałuje straconych bez me lat! To chwila mego triumfu. Wciąż piękny, gładki i życzliwy, nareszcie siadam za kierownicą. (Ostatecznie to moja fantazja, mam do tego prawo.) Niepewny, rozdygotany uścisk w scenie finałowej, nasycony bolesną pikanterią przez lata oczekiwania.

To upokarzające. Laura mnie nie wspomina (chyba że po to, by się złośliwie pośmiać). Zadała mi ciężkie rany, ironia i pewność siebie okazały się zbyt słabą tarczą przeciw jej ciosom. Do dziś się nie wylizałem. W porządku, jestem drań i kłamca, ale czy nie żal wam? Czy w waszych serduszkach nie rodzi się cień współczucia? Tak? To świetnie. Idźcie do niej i urządźcie pod jej oknem małą demonstrację - wiecie, pikietę z

transparentami: „Uszczęśliwić Ripleya!” lub „Kochaj go, Lauro!” i tym podobnymi. Może się uda, a nawet jeśli nie, to przynajmniej Laura choć raz o mnie pomyśli. Zrobicie to dla mnie? Dzięki. W razie potrzeby zrobię dla was to samo.

Może powinienem już dać sobie spokój? Pogodzić się z myślą, że co było, minęło? A jednak dla niej wykrzesałbym z siebie wszystko, czym współczesny język zastępuje słowo „miłość” - to znaczy altruizm, prawość, czułość i dobroć.

Mówię o altruizmie i prawości - ja! (Znacie mnie już dostatecznie dobrze, by w tym miejscu zaśmiać się szyderczo.) Nie jestem nawet pewien, czy moja obsesja na punkcie Laury zasługuje na nazwę miłości. Na jej miejscu mogła się znaleźć dowolna kobieta. Nie ta, to inna, jak mawiają. Może niby ćma dążyłem do konfrontacji, odtrącenia i porażki. Może najcenniejsza była dla mnie tęsknota. Czekanie. Polerowanie wspomnień.

Ale wszystkie te rozważania są teraz próżne, jałowe, akademickie. Nie mają wpływu na naszą dalszą drogę.

A pora ruszać. Byliście ze mną na złe i jeszcze gorsze, pozostańcie ze mną przez najbliższe pięć minut. Możecie mnie lubić, nienawidzić, ignorować bądź mną gardzić, lecz nie odchodźcie jeszcze. Pokręćcie się w pobliżu. Musimy iść dalej, dotrzeć do jakichś wniosków. Już niedługo. Wkrótce ta opowieść się zakończy.

À propos: cała ta gadka, że prawda jest nieuchwytna, nierozpoznawalna, to czysty kit. Ja już to wiem, a podejrzewam, że wy dawno doszliście do tego wniosku. Żałosne, prawda? To cena, jaką płacę za swoją młodość - konieczność dokonywania nieustannych poprawek. Weźcie na przykład Perry'ego. Nie poznaliście go tak dobrze jak ja, lecz Perry był chodzącą prawdą, wierzcie mi, okiem werystycznego cyklonu. Zawsze mówił prawdę; po prostu inaczej nie umiał. (Starałem się tego nie dostrzegać, ale to fakt.) Do kłamstwa miał podobny stosunek jak Lilipuci u Swifta. Pojęcie fałszu, który w imię wygody podważa logikę, było mu obce. Mam nadzieję, że czerpał z tego pociechę. Okrasilo mu to smutne życie. Wiecie, jestem nawet tego pewny.

Starzy ludzie ciągle coś opowiadają. Taki mają zwyczaj. To zwyczaj uznany, zatwierdzony i opieczętowany. Tego się wręcz od nich oczekuje.

Wspomnienia starców mają liczne zalety. Po pierwsze, jest ich na ogół sporo - potężny magazyn zdarzeń. To główna przewaga starych nad młodymi: mają w zanadrzu długi szereg lat. Z niezliczonych doświadczeń tkają później epickie pogmatwane sagi. Lecz zaleta owa bywa również wadą: muszą dokonywać cięć w imię zwięzłości tekstu. Potrafią się rozprawić z dekadą w jednym zdaniu. Pół godziny na temat utraty dziewictwa, a potem, ciach, przeskakujemy całe pokolenie. W opowieściach tych są więc dłużyzny, ale też luki, zmiany

tempa i przesunięcia akcentów. Naciągnięte przez czas, rwące się wątki na pól zatartych wspomnień.

Rzadko się zdarza, by opowieść snuł człowiek młody. Wzdragamy się upubliczniać nasze drobne fabuły. To trąci uzurpatorstwem, ignorancją, głupotą. Cóż takiego przeżyliśmy w swym krótkim życiu, żeby warto o tym słuchać? Kogo to obchodzi? Nie mamy kluczy do skarbca przeszłości, lamusa przeżytego i oglądanego czasu. To nasza słabość, lecz zarazem siła. Dla młodego człowieka zdarzenie znaczy więcej. Brak nam obiektywizmu i zmysłu chronologii. Nasza przeszłość jest bliska, gorąca, epizodyczna, zaprzątnięta sobą. A przede wszystkim - obrazkowa. Składa się wyłącznie z treści, nie z osądów. Nasze wspomnienia są wyraźne, ostre, żywe.

Starzy patrzą w przeszłość z punktu docelowego. Zakończyli już większość swoich spraw. Ich opowieści są kompletne, przypieczętowane. Opowieści ludzi młodych urywają się w pól słowa. Podlegają zmianom. Nie ma w nich nic pewnego. Nie potrafią zająć określonego stanowiska ani wyciągnąć żadnych prawdziwych wniosków. Te pozostawiam wam.

5

Trafalgar Square błyszczy przedwieczorną rosą. Wypełniła go mgła; spętane nią grupki ludzi miotają się nerwowo w zmierzchającej niedzieli. W powietrzu unosi się ciężki mokry odór gnijącego nieba. Przenika budynki, samochody, przechodniów. Ludzkie oddechy tworzą w niej wiry, które odkształcają atmosferę, pełząc ukradkiem w górę. Złośliwa trująca mgła oblepia je, przygniata i kotwicz przy ziemi.

Rozleniwiony dzień obudził się po południowej drzemce zły i zrzędny. Ludzie to czują. Ja czuję to jeszcze silniej.

Jestem pełen po uszy martwych, zużytych frazesów. Zmagałem się z nierównowagą swych win i pokut. Czuję się nieswojo pod surowym spojrzeniem moich zasług i grzechów. Utkwiły we mnie wzrok i patrzą, jak się wiję, szukając usprawiedliwienia. Być może przydałby się w tym miejscu żałobny rapsod, psalm, wieczne odpoczywanie. Ale nie mam na to czasu.

Obracam ściągniętą, smutną twarz ku centrum, ku matecznikowi miasta. Usadowiło się w nim i czeka. Odtwarza listę zdarzeń i wykroczeń. W sadzawkach okien mokro odbija się mgła. Tańczy i umyka, dając się schwytać innym, nie mnie.

Ludzie na Trafalgar Square kręcą się w różnym tempie, spowolnieni oporem, jaki stawia im niedziela.

Kokon mgły sprawia, że nie czują się w pełni wolni - jakby wyszli tylko na chwilę, na lunch lub wagary. Samochody prześlizgują się bezszelestnie; utrwalone w szybach twarze plami eteryczne błoto. Miasto dziś nie błyszczy.

Każdy chce mieć w życiu szansę... albo dwie lub więcej. Na poprawę, na zapomnienie i litość. Nasze przeszłe i przyszłe błędy demonstrują przed nami na ulicy. Chcą zostać wysłuchane. Mają wiele zapiekłych żalów. Żądają sprawiedliwości. Sądu.

Co dostaną?

Czas dojrzał. Fałsz nie zdierzy pola; łamie się i ustępuje. Przyszła pora brzydkiej, niezdarnej konkluzji, koszmar prześladujący w snach każdego kłamcę. Za późno, o wiele później, niż zapowiadano. Próbowałem zarazić was swoją historią. Wędrowką do epicentrum głupoty i zła. Ufam, że mi się to nie udało.

Niewiele już mam do powiedzenia. W rynsztokach i ciemnych sieniach szukałem natchnień, by zabawić was moją jarmarczną poezją, chciwie zbierałem wszelkie ochłapy, wskrzeszałem umarłych ludzi i umarłe chwile, płaśałem od arogancji do banału; sprzedawałem się za grosze. A chciałem przecież mówić o mądrości i dobrej woli, o zrozumieniu i poczuciu celu. Gdzie znajdę potrzebne słowa? Wszystkie moje co wznioślejsze próby nadają się na śmietnik; dryfują, jak i teraz, w stronę śmieszności. Pokonała mnie surowa kazuistyka mej rasy i epoki.

Ale wciąż próbuję. Uwierzcie mi, bardzo się staram.

Moje najwcześniejsze lata upłynęły pod surowym moralnym patronatem wiktoriańskiej literatury. W powieści sympatyczny młodzieniec we fraku nazwiskiem, powiedzmy, Tom Jones, porzuca dotychczasową dziecinną stagnację, by wyruszyć w podróż ku dojrzałości. Rozpoczyna tę wyprawę wyposażony we wszelkie wady, egoizm i płaską sofistykę - choć zasadniczo charakteryzuje się dobrym sercem i lotnym umysłem. Kroczy więc stromą ciernistą ścieżką, napotyka na niej postacie brzemienne prawdą i odwieczną mądrością, które, świadomie lub nie, wskazują mu etapy dalszej drogi. Błędy, potknięcia, gafy i szaleństwa pełnią na niej rolę kamieni milowych. Dzięki nim bohater nabiera rozumu. To chwiejna spekulacyjna mądrość, ale jednak mądrość. Krótko mówiąc, bohater dojrzewa i zostaje za to nagrodzony.

Obraz ten wywarł potężne wrażenie na upośledzonym przez Los smarkaczu z Turf Lodge. Próbowałem zastosować ten schemat do siebie. Chciałem zmądrzeć szybciej niż Arthur Pendennis. System jest dość prosty, lecz w moim przypadku jakoś nie zadziałał. Doznałem bardzo wielu napadów obłądki, katastrof i upokorzeń. No, myślałem, zbierając się obity po kolejnym upadku, teraz już na pewno wszystko się odmieni! Po czymś takim musiałem niebotycznie zmądrzeć; Salomon to przy mnie bęcwał. Witaj, Dojrzałości, miło cię wreszcie poznać! I niezwłocznie

popęlniałem kolejny fałszywy krok, kolejny występki, kolejną zbrodnię. Nie da się ukryć: jestem dzisiaj mądrzejszy niż ongiś. Jednakże więcej jest grzechów, które można popełnić, i znacznie więcej mądrości do zdobycia. Muszę brnąć dalej aż do spełnienia. Przypuszczam (czas pokaże), że moja mądrość będzie rosła jak toczona po śniegu kula. Wątpię tylko, by ktokolwiek zdołał dorównać bohaterom ksiązek. Chłodna rzeczywistość stwarza po temu niekorzystny klimat. Brak końcowej sceny pojednania, brak pulchnego dobroczyńcy gotowego sypnąć groszem, a zwłaszcza brak pięknej dziewczyny na ostatniej stronie.

Jak na końcowy wniosek to niewiele, i tak jednak zrobiłem wielki krok. Jestem jeszcze prawie dzieckiem, to wszystko peszy mnie i przeraża.

Rozglądam się po brudnym placu pławiącym się w mokrych angielskich rozkoszach. Robi co w jego mocy, lecz - niczym uśmiechnięta twarz o smutnych oczach - niewielu zdoła nabrać. Jedną z największych zalet Londynu jest to, że nie przesadza w wysiłkach. W Belfaście dusiła mnie aksamitna tyrania mego kraju, jego nacjonalistyczna mierzwa i surowe ojczyźniane piękno. Londyn podejmie grę, jeśli bardzo się starasz, na ogół wszakże zostawia cię w spokoju. Rodzi w tobie tkliwe osamotnienie, za to nocami koi twoje sny. W ciemnym garniturze prążkowanym szarością wieków Londyn zachowuje uprzejmy dystans. Ów godny podziwu takt należy głośno zalecać każdemu miastu.

Z innej beczki: wciąż całkiem nieźle znoszę głód. Jeśli nie co innego, to przynajmniej moja siła woli na tym polu zasługuje chyba na pochwałę. Ostatecznie nie skarżyłem się zbyt często. Rana też stworzyła mi okazję do popisania się spartańską wytrzymałością. Nie przerobiłem tego małego dramatu na nie kończący się cikliwy serial - a mogłem tak uczynić. Co do reszty mam mieszane uczucia. A wy? Co o tym myślicie? Ripley Bogle, przyjaciel umarłych, wygnany z Belfastu, Cambridge i Londynu na pastwę szpetoty. Przeżyłem to i owo na swoją małą egocentryczną modłę. Mniej lub bardziej konsekwentnie starałem się wybierać mniejsze zło i omijać co groźniejsze pułapki mego paskudnego losu. Przyznaję, sprawa Maurice'a to katastrofa, Deirdre - kataklizm, a Laury - żałosne fiasko. Wszystkich ich skrzywdziłem w ten czy inny sposób. Dręczą mnie w związku z tym wyrzuty sumienia, lecz paradoksalnie najbardziej winny czuję się wobec Perry'ego. Z jakiegoś powodu nie opuszcza mnie myśl, że go zawiodłem. Przedtem i nawet teraz. Może powinienem iść do jego syna. Nie wiem nawet, gdzie pochowają staruszka, ale wiem, że mnie tam nie będzie. Nikogo tam nie będzie prócz grabarza i księdza. A nie tak powinno być.

A moja misja? Co da się ocalić z rozsypanych szczątków mojej gorzkiej historii? Dlaczego skończyło się tak, jak się skończyło? Śliska sprawa. Boję się wysuwać na pierwszy plan własną osobę. Myślę, że powód zawarty jest w opowieści, a opowieść podstępnie

czai się u jego źródeł. Rozumiecie? Ja nie. Ani w ząb.
Absolument rien.

Jeśli jest gdzieś jakiś grzech do popełnienia, Irlandczycy - ci międzynarodowi altruści - chętnie się nim obarczają. Świat wyrządził mi krzywdę, czyniąc mnie Irlandczykiem. Broniełem się, lecz irlandzkość przywiera do butów jak krowi placek. Praktycznie jestem bez winy - ofiara okoliczności, epoki i pochodzenia. To wina Irlandii, nie moja.

Chcę tylko powiedzieć, że większość przewinień nosi fałszywe nazwiska. Zbrodnie i złe uczynki rzadko są dokonywane z zimną premedytacją. Nie popełniamy grzechów jako takich - popełniamy błędy. Straszliwe, nieobliczalne błędy o smutnych konsekwencjach, lecz w większości są to tylko pomyłki. Na tym opieram swoją linię obrony. Nikt nie chce być łajdakiem, jeśli może temu zaradzić.

I to już wszystko. Cieszę się, że to koniec. Zaczęło mi brakować wykrętów, sam przestałem wierzyć w to, co mówię. Wyciągam ostatniego papierosa. Wolno podnoszę go do ust, rozkoszując się tą chwilą. Ostatnia zapalka bucha nagłym płomieniem we mgle i udaje mi się jej nie zmarnować. Dym gubi się w wilgotnych oparach znużonego powietrza. Siadam wygodniej i patrzę na świat. W brzuchu mi burczy, lecz mam uczucie, że to dreszcz zadowolenia. Uśmiecham się bez powodu. Sytuacja nie jest jeszcze tragiczna. Może uda się coś pozbierać, wskrzesić. Ostatecznie jestem młody. Kiedyś

udało mi się odbić od dna. Może świat jeszcze raz otworzy przede mną drzwi? Chyba tym razem pojedę do Oksfordu. Kto wie? Powoli, miłosiernie wciągam w płuca dym i zaczynam układać plany.

Wstaję; mgła wiruje wokół mnie. Dwa autobusy hamują gwałtownie, o włos, jakby chciały się sobie rzucić do metalowych gardeł. Mgła ożywa, wtopione w nią dźwięki brzmią czyściej i pewniej. Obok przebiega dziecko z piłką, rozpędzając na boki ociężałe gołębice. Matka woła je głośno, dziecko zatrzymuje się, zawraca i z półuśmiechem biegnie dalej psocić. Ruszam, przecinając im drogę. Mój brzuch prostuje się bez słowa skargi, a nogi niosą mnie nad podziw lekko.

Unoszę wysoko głowę i krocę naprzód.